

ATENEUM.

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XIII.

ROK IV.

TOM I — ZESZYT I.

1879
1



Styczeń.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1879.

SPIS RZECZY.

KATASTROFA PATKULA

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW EPOKI

1704—1707.

Na podstawie dokumentów archiwum berlińskiego kreśliliśmy niedawno przebieg tragicznéj sprawy Kalksteina. Była to wycieczka w epokę, leżącą właściwie po za obrębem widowni, którą uczyniliśmy specyalnym przedmiotem naszych historycznych poszukiwań, wycieczka, tłómacząca się i spowodowana nadzwyczajnością i szczególnemi okolicznościami samegoż wypadku. Studya nad epoką, będącą głównym prac naszych przedmiotem, wprowadzają nas w styczność z osobistością, któréj losy i tragiczny koniec tworzą mimowolnie naturalną między nią a Kalksteinem paralelę. Mówimy o *Patkulu*.....

Patkul i *Kalkstein*, oba te imiona przypominają pokrewne sobie, podobne z dziejów naszych stosunki i okoliczności, trącają nie mniéj o najświetniejsze wspomnienia genezy wielkości, jak o tragiczne i upokarzające objawy rozpoczynającego się rozkładu Rzeczypospolitéj Polskiéj. Kalkstein i Patkul, Prussy i Inflanty, nazwy i imiona same przez się wiele znaczące i wiele *za* siebie i *ze* siebie mówiące, synonimy potęgi i powagi polskiéj w XV i XVI w., upadku, upokorzenia, jeśli nie wręcz hańby Polski w XVII i w początkach XVIII wieku. Obie krainy spieszą, każda w swoim czasie, do bra-

tniego związku z Polską, reprezentującego im bezpieczeństwo na zewnątrz, swobodę i swobody, jak je na ówczas pojmowano, na wewnątrz. Obie krainy, nie mniéj Prussy jak Inflanty, cierpią i boleją, gdy w skutek burz zewnętrznych i upadku moralnego Rzeczypospolitéj węzeł ich z Polską słabnie i ustaje. Obie krainy rozumieją w odzyskaniu dawnego związku odnaléść równocześnie utracone wraz z *jego* utratą swobody; obie poszukują go bezskutecznie, obie znajdują w tém niefortunnie podjętém dziele swych męczenników i ofiary, Prussy Kalksteina, Inflanty Patkula.

Paralela, jak co dopiéro powiedziano, nasuwa się tu naturalnie i mimowolnie. Jest wszakże między obu krainami, jak między obu ich reprezentantami *różnica*, w któréj, powiedzmy z góry, Prussom przypada stanowisko niezaprzeczalnéj wyższości. Wolnoż nam powiedziéć, wolnoż zrobić spostrzeżenie, na pozór tak mało dopuszczalne i uwzględnienia godne w rzeczach wielkiéj polityki i traktującéj koleje jéj historyi? Wytłómaczy ono nam najcharakterystyczniéj *różnicę*, o któréj mówiliśmy co dopiéro. *Prussami* rządzi w genezie związku ich z Polską w przeważnéj mierze *serce*, *Inflantami interes*. W Prussach jest jeszcze mimo kolonizacyi niemieckiéj poważny liczbą i znaczeniem zasób żywiołu słowiańskiego, tęskniącego *plemiennie* do połączenia się z Polską, ale prócz tego jest i tamtejszy pierwiastek niemiecki prawdziwie statecznie dla Polski usposobiony. Dość przeczytać akt oskarżenia, z jakim występuje deputacya miast pruskich w obec Kaźmierza Jagiellończyka w Krakowie; dość przypomniéć sobie dzieje Gdańska, czy to broniącego swych murów własnemi piersiami przeciw Karolowi Gustawowi, czy to chroniącego w nich Leszczyńskiego; dość przysłuchać się namiętnie tęsknym, rozpaczliwym wołaniom sejmów pruskich i ludności pruskiéj po traktacie Oliwskim; dość przypatrzéć się bieganinom wysłańców miast i stanów pruskich między Królewcem a Warszawą, by stwierdzić prawdę, jak dalece, prócz być może i materyalnego interesu, czynniki sercowéj, polityczno-uczuciowéj, jeżeli tak wolno powiedziéć, natury, odgrywają rolę w owéj wytrwałéj chęci ludności pruskiéj pozostania w nierozerwalnym związku z Polską. Inaczéj ma się rzecz z Inflantami. Jabłko niezgody, zatargów, wojen i pretensyi między wszystkiemi mocarstwami północy dotykającemi Baltyku, oddały się one pod opiekę polską, by pod jéj tarczą uchronić się od groźnéj nawałnicy wschodniéj. Inwazye szwedzkie Karola Sudermańskiego i Gustawa Adolfa nie znajdują z *ich* strony spontanicznego oporu; uświęcający aktem prawa publicznego zdobycz szwedzką traktat Oliwski nie wywołuje ze strony ludności Inflant owéj rozpaczliwéj tęsknoty za panowaniem polskiém, jaką wywołał ze strony ludności pruskiéj.

Inflantczycy są wzorowymi poddanymi królów szwedzkich, aż dopiéro słynna, wywłaszczająca szlachtę inflantską na rzecz skarbu publicznego *redukcya* Karola XI, akt niesłychanego w dziejach fiskalnego ucisku, przypomina jednemu z synów nadbaltyckiéj krainy *Polskę*, częścią jako tradycyjną kotwicę zbawienia w jéj burzach i kłopotach, częścią jako narzędzie zemsty przeciw Szwedowi. Jak *redukcya* Karola XI, pozbawiająca większość szlachty inflantskiéj posiadania dóbr ziemskich na rzecz korony, była czynem materyalnego ucisku *bez* właściwéj intencyi politycznéj, jest téż opozycya przeciw temuż aktowi, opozycya i postawa deputacyi, na czele któréj widzimy w roku 1690 Jana Reinholda Patkula, pozbawioną właściwéj barwy politycznéj, owéj krzykliwéj rubaszności, ale téż i owego serdecznego ciepła, które cechuje opozycyą pruską po traktacie Oliwskim. Inflantczykom nie chodzi o żadne swobody polityczne, zależy im po prostu na nienaruszalności majątków. Patkul przedstawia tę rolę, opuściwszy kraj rodzinny, dostawszy się na dwór czy to Augusta, czy téż Cesarza Piotra. Kalkstein zmuszony rzucić ojczyste Prusy, znalazł się pośród szlachty polskiéj i litewskiéj, jako w naturalnym żywiole. Zawiązuje stosunki z dawnymi towarzyszami broni, szuka poparcia między bracią szlachtą czy to w Wilnie, czy w Warszawie, opiera się na jéj barkach, jeśli tak wolno powiedziéć, sięga z nich po opiekę wpływowych postaci, czy to Pawła Sapiehy na Litwie, czy Olszowskiego lub Dymitra Wiśniowieckiego w Koronie. Jego postępowanie cechuje rubaszność, ale zarazem i niezaprzeczona serdeczność dla polskiego żywiołu. Inaczéj Patkul. Patkul, wychowaniec politycznych wyobrażeń swego czasu, człowiek niezaprzeczonéj wyższości umysłowéj i wykształcenia naukowego, choć charakteru niepewnego a temperamentu drażliwego i niespokojnego, nie cierpi Polaków, gardzi szlachtą polską, pomija ją arystokratycznie; przybywając na ziemię polską, szuka *dworu*, kołacze tylko do króla Augusta i jego doradzców memoryałami i listowemi radami, znaczy swój zawód w Polsce cyniczném lekceważeniem jéj całości i nietykalności; nie ma serca i uznania dla uczuć garstki poczciwych Polaków, jacy się jeszcze tu i owdzie pojawiają w téj smutnéj epoce; upamiętnia swą działalność na polskiéj widowni bądź to czynami zarozumiałéj lekkomyślności, do których zaliczymy między innemi niefortunne oblężenie Poznania z roku 1704, bądź to sztukami podstępnego machiawelizmu, do jakich zaliczymy doradzony przezeń zamach na osoby braci Sobieskich. Słowem, postać rokokowego stylu i rokokowéj epoki równie nam wstrętna, jak Kalkstein mimo wszelkiéj rubaszności i hałaśliwości sympatyczny.

Tyle w przedmiocie paraleli między reprezentantem i ofiarą Prus a reprezentantem i ofiarą Inflant.

A teraz klika słów objaśnienia, komentarz jakoby do stanowiska, intencyi i objętości niniejszéj naszéj rozprawy. Historyk niemiecki, sławny Jan Müller powiedział, iż Opatrzność przeznaczyła pewien kraj i pewną społeczność ku doświadczeniu moralności mocarzy tego świata. Odepchnięty wzgardliwie i mściwie z najsłuszniejszemi żądaniami od drzwi Karola XI, pochwycony z obrazą prawa narodów podstępnie przez Augusta, zapomniany obojętnie mimo oddanych usług przez Piotra W., ginie Patkul nareszcie męczeńską śmiercią z rąk Karola XII, którego bohatérstwo nie było powinno plamić się czynem tak wyuzdanego barbarzyństwa. Patkul staje się w ten sposób, dzięki ostatecznéj katastrofie, pewną jakoby internacyonalną, kosmopolityczną owéj epoki postacią, która z tego powodu właśnie dzieje nasze pośrednio właściwie tylko obchodzi. Dla tego téż nie mamy zamiaru kreślić tutaj całości jego żywota i zawodu wojenno-politycznego. Szukając przecież materyałów do epoki dziejów panowania Augusta II, od elekcyi Leszczyńskiego aż do bitwy Połtawskiéj, spotkaliśmy się w archiwum drezdeńskiém ze sporym, dotyczącym osoby Patkula zasobem dokumentów, na podstawie których niechaj nam będzie wolno zrobić niniejszą wycieczkę na widownię, luźnie bardzo tylko ze współczesnemi wypadkami polskiemi związaną. Główne jéj ognisko i interes skupią się około rozświecenia przyczyn i szczegółów jego upadku, uwięzienia i późniejszego zgonu.

W rozwiązaniu podobnego zadania możemy się ograniczyć na bardzo sumarycznéj lustracyi zawodu Patkulowego aż do roku 1705, dodając nawiasowo przy téj sposobności, że jak nas przekonywa zbadanie dokumentów archiwum drezdeńskiego, najbardziéj źródłową i najdokładniejszą dotąd pracą, dotyczącą osobistych kolei Patkula, jest rozprawa d-ra Förstera w dziele jego *Friedrich August II König von Polen und Kurfürst von Sachsen, Potsdam 1838.* Nie tu miejsce opowiadać genezę jego zatargu z dworem sztokholmskim w sposób szczegółowy. Dość powiedzieć, iż naraziwszy się swym protestem przeciw redukcyi Karola XI, pogniewany następnie osobiście z generalnym-gubernatorem Inflant, hrabią Hastferem, pociągniony do odpowiedzialności jako buntownik i niesubordynowany kapitan, został zaocznie skazany w Sztokholmie na śmierć; że się w roku 1694 schronił nasamprzód do Kurlandyi, następnie do Berlina, nareszcie do Genewy, gdzie przepędził kilka lat pod przybraném nazwiskiem Vi-

scheringa, trudniąc się dawaniem lekcyj i pracami naukowemi. Osierocenie dwóch tronów północnych, polskiego przez zgon Jana III, szwedzkiego przez zgon Karola XI, nastąpiło krótko jedno po drugiém. Dziedzictwo po pierwszym obejmuje przedsiębiorczy, awanturniczy, nierządzący się żadnemi skrupułami August II; dziedzictwo po drugim spada na piętnastoletniego zaledwie Karola XII, powierzonego opiece sędziwéj babki Jadwigi Eleonory, znanéj i naszym stronom małżonki Karola Gustawa.

Zmiana dekoracyi pożądana bez wątpienia dla przedsiębiorczości i mściwości Patkula, rozumiejącego bardzo naturalnie w Auguście znaléść upragnioną podporę, w Karolu XII słabą przeszkodę w dziele oswobodzenia rodzinnéj krainy z pod redukcyjnego jarzma Szwecyi. W roku 1698 widzimy go w Warszawie na dworze króla Augusta. Zasypuje zapalnego króla memoryałami, tłómaczącemi łatwość zdobycia Inflant, żywi chwytny umysł młodego i awanturniczego monarchy nadziejami sławy i powodzenia, z któremi się łączą daléj i głębiéj sięgające plany polityczne, w przedmiocie przeistoczenia wewnętrznych stosunków Polski; staje się duszą zamachu i alliansu, którego ostatecznym celem ma być oswobodzenie Inflant, podział Szwecyi. Dodajmy przy téj sposobności, co wcale rzeczą nie obojętną dla zrozumienia późniejszych kolei Patkula, że zaraz na samym wstępie swego nowego zawodu spotyka się z zazdrością, lub niechęcią w najbliższém otoczeniu Augusta. Wpływowe i znaczące na dworze królewskim osobistości, jak książę Egon von Fürstenberg, jak Flemming, jak najdzielniejszy z generałów saskich Schulenburg, pokazują mu z samego początku niezadowolnione, jeżeli nie wręcz wrogie oblicze.....

Zresztą, i to dodać daléj jeszcze należy, nie jest Patkul bynajmniéj osobistością, któraby wśród podobnych stosunków, okoliczności i ludzi była umiała utrzymać jeżeli gdzie, to tutaj nieodzowną, akrobatyczną istnie równowagę. Sangwinik, czasem i weredyk, złośliwy i niedyskretny, mało powściągliwego języka a mniéj jeszcze powściągliwego pióra, znajdował się ciągle w niebezpieczeństwie narażenia sobie śmiertelnie monarchów, którym służył, osobistości wpływowych, jakie ich otaczały. Przewrotny i machiawellistycznych środków polityk, usiłujący nadto z pewnym rozmysłem okazywać lekceważenie Polakom, nie umiał sobie u nich i pośród nich stworzyć odpowiedniego a bardzo potrzebnego poparcia. Zdolność i sukces wreszcie byłyby mogły nakazać mimowolne milczenie pierwszym, przekupić również mimowolnie na korzyść jego drugich. Tutaj na nieszczęście okazuje się jednakże najsłabsza strona Patkula. Jest to umysł mimo ukształcenia, mimo rutyny towarzyskiéj i polity-

cznéj równie zarozumiały, jak płytki, zdolny sprostać intrydze; grzeszy za to w poważnéj akcyi wojennéj i politycznéj pewném sangwiniczném niedołęstwem, wynagradzającém się chyba ustawicznemi rekryminacyami przeszłości. Natura niespokojna, niecierpliwa, zrażająca się łatwo i przerzucająca, istny konglomerat ujemności skupionych w jedno jakby na zgubę człowieka, wtrąconego w wir ludzi i stosunków, jakimi byli monarchowie, dwory i mężowie stanu pierwszéj połowy XVIII wieku.

W roku 1699 jeździ Patkul z polecenia Augusta do Moskwy, gdzie zawiera przymierze z Cesarzem Piotrem przeciw Szwecyi. Za powrotem do Warszawy pod koniec tegoż roku, dowiaduje się, że Sasi znajdują się już pod Rygą w akcyi przeciw Szwedom. Niefortunny przebieg owego zamachu mści się głównie na Patkulu, jako na domniemanym czy prawdziwym jego autorze. Opinia publiczna, taka naturalnie, na jaką się owa epoka zdobyć była w stanie, obraca się tém zacięciéj przeciw niemu, że znajduje on nieprzyjaciół w księciu Egonie Fürstenbergu, Flemmingu i Schulenburgu. Broni się przeciw czynionym sobie zarzutom w piśmie ogłoszoném roku 1701 w Lipsku, a co najważniejsza, nie zdaje się aby, jak na teraz, wrogie przeciw niemu usposobienie otoczenia królewskiego było wpływało na usposobienie samegoż króla. Przeciwnie, zachowuje Patkul u Augusta dotychczasowy kredyt, w charakterze tajnego radzcy saskiego przez lata 1701 i 1702 jeździ ciągle między Moskwą a Warszawą, uczestniczy w jednéj z takich przejażdżek w bitwie Kliszowskiéj, pojawia się późniéj nieco w obozie Palejowym na Ukrainie i nie przestaje być pośrednikiem i węzłem polityczno-wojennéj komunikacyi między Augustem a Piotrem. Cesarz mianuje go, bez utraty stanowiska w służbie saskiéj, tajnym radcą i generalnym komisarzem, tak że inflantski baron wychodzi na pełnomocnika czy agenta obu północnych monarchów, nie bez pewnéj kollizyi ich interesów, jak tego dowodem między innemi misya do Berlina w miesiącu Czerwcu roku 1704. Dodajmy nawiasowo, że właśnie przez owe lata 1701 i 1702, że właśnie wśród owych bieganin i przejażdżek Patkula między Cesarzem a Augustem, trwa nie tylko nieprzerwanie, ale rozdrażnia się coraz zjadliwiéj, rozpala coraz goręcéj zatarg jego z koroną szwedzką. Karol XII każe palić ręką kata pisma Patkulowe; Patkul wyrabia sobie u Cesarza pozwolenie palenia takąż samą ręką w Moskwie potępiających go pism i dekretów szwedzkich. Sama natura rzeczy zresztą, sam charakter jego stanowiska i jego działalności wskazywał go na podobny antagonizm, potęgował go i namaszczał na cel namiętnéj zemsty szwedzkiéj, zmuszając jego samego do szukania

w doszczętnym pogromie Szweda jedynéj kotwicy własnego ocalenia.

Przez większą część roku 1703 znajduje się Patkul przy boku Cesarza, mianowicie odbywa z nim razem kampanią inflantską, jest obecnym przy zdobyciu Nöteburga i szańca Ryen, na którego zwaliskach miał się wznieść późniéj Petersburg. Jest to chwila, odpowiadająca chronologicznie pamiętnemu sejmowi lubelskiemu i usiłowaniom Augusta około naprawy skołatanych interesów za pomocą porozumienia z Rzecząpospolitą; jest to również chwila, w któréj August, widząc niemożność podołania nawałnicy szwedzkiéj, własnemi siłami stara się na wszystkie strony o obce allianse; w pierwszym rzędzie naturalnie o Cesarski. Odkładając na późniéj akces Rzeczypospolitéj, która podobnemu alliansowi jest niechętna, porozumiewają się August z Piotrem za pośrednictwem agenta dyplomatycznego Heinsa. Rezultatem owych przygotowawczych negocyacyj jest we Wrześniu r. 1703 misya Patkula do Warszawy z upoważnieniem Cesarskiém do zawarcia traktatu z Augustem.

Traktat ten, zaczepny i odporny, przychodzi do skutku na dniu 12 Października 1703, po za plecami skołatanéj Rzeczypospolitéj, ku niezmiernie sangwinicznemu tryumfowi Patkula. W radosném uniesieniu donosi o swym sukcesie agentowi duńskiemu Menschenowi, dodając zarazem we francuskim do niego bileciku, iż opór w. hetmana koron. Lubomirskiego i podskarbiego koronnego Przebendowskiego zwyciężył: „*par le.... Vous m'entendez deja!*“ Nie wdając się tutaj, jako w rzecz dla obecnego naszego zadania obojętną a gdzie indziéj szeroko przez nas opowiedzianą, w szczegóły i stypulacye zawartego na ówczas przez Patkula między Cesarzem a Augustem traktatu, zauważmy tylko, że sam fakt jego zawarcia podnosi niepospolicie jego kredyt u obu monarchów. Nie dość, że zyskuje od Cesarza hojne, pieniężne prezenta 10.000 tal. gotówką, nie mniéj pięknie brzmiące tytuły, wychodzi po zawarciu, może i *w skutek* zawarcia owego traktatu na człowieka zaufania, na rodzaj faktycznego pełnomocnika Augusta. Odtąd bawi ciągle już bądź to przy jego boku, bądź to pracuje w jego interesie w Polsce i Saksonii, bądź też odbywa częste podróże do Berlina w celu konferencyi z królem Fryderykiem I lub jego ministrami, Kolbe von Wartenberg'iem i Ilgen'em, nie rzucając bynajmniéj swego stanowiska u Cesarza. W takiéj to roli widzimy Patkula przez lata 1703 i 1704, w roli, powiedzmy zaraz z góry, mieszczącéj zaród i przyczynę jego późniejszego upadku.

W miesiącu Listopadzie 1703 znajdujemy Patkula w Jaworowie czynnym niezmiernie około przekonywania Litwinów o konieczności Cesarskiego przymierza dla Rzeczypospolitéj, przedewszystkiém zaś

i dla Litwy saméj. W Grudniu towarzyszy Augustowi do Drezna i zatrzymuje się tutaj, podejmując wraz z księciem Egonem Fürstenberg'iem i zostającą pod jego przewodnictwem tak zwaną tajną radą (Geheimer Rath), zabiegłe starania około restauracyi skołatanéj siły zbrojnéj saskiéj. Stany saskie, do których w tym celu udano się po piéniądze, szemrały bardzo głośno, przyczém nie mogło naturalnie zbywać na objawach niechęci przeciw inflantskiemu intruzowi, podżegaczowi do wojny i przyczynie spadających na wycieńczony kraj ciężarów. O ile usposobienie podobne ludności saskiéj mogło się udzielić złożonym z krajowców członkom tajnéj rady, nie będziemy tutaj rozstrzygali stanowczo; zdaje nam się jednakże, iż wchodzi ono w pewnéj mierze w rachubę przyczyn katastrofy, jakiéj późniéj Patkul padł ofiarą. Zresztą pokazuje choćby najpobieżniejszy przegląd kroniki roku 1704 całą wagę i powagę politycznéj roli jego, już nie tylko w usługach Augusta i Cesarza, ale i w ogólnym przebiegu zawikłań północnych. Mianowicie widzimy, iż obejmuje, ku najwyższemu niezadowolnieniu tajnéj rady saskiéj, księcia Egona Fürstenberg'a, Flemming'a, Schulenburg'a, jakoby dyktaturę polityki Augustowéj. W Styczniu roku 1704 odbywa konferencye z wyprawionym do Polski posłem duńskim, baronem Jessene'm, i układa z nim bliższe warunki mającéj się udzielić Augustowi ze strony małych dworów niemieckich i Danii pomocy czy poręki. Wyjeżdżającemu pod koniec Stycznia r. 1704 z Drezna do Krakowa królowi przedkłada pierwszy i z własnéj inicyatywy wykonany w kilka tygodni późniéj plan pochwycenia braci Sobieskich. Tuż po jego urzeczywistnieniu, w pierszych dniach Marca 1704 jedzie do Berlina, by wahającego się wiecznie króla Fryderyka I i jego nie mniéj wahających się ministrów, Wartenberg'a i Ilgen'a, ukazywaniem zdala groźb Cesarskich, odstraszyć od przymierza szwedzkiego, skłonić, jeźli się uda, do akcyi przeciw Karolowi XII. Tuż potém, udaje się wśród roztopów i słot wiosennych do Krakowa, do zakłopotanego faktem detronizacyi warszawskiéj króla Augusta, by mu na ten raz posłużyć niepraktyczną, na szczęście nieusłuchaną radą opuszczenia całkiem Polski i przeniesienia się w celu przygotowania środków obrony do Saksonii. August woli podać ucha przedstawieniom swych polskich przyjaciół i doprowadza do skutku, w Maju roku 1704, pamiętną konfederacyą Sandomierską, któréj całemu przebiegowi i inaugaracyjnym czynnościom Patkul jest obecnym. W kilka dni po uskutecznieniu aktu téjże konfederacyi widzimy go, w pierwszéj połowie miesiąca Czerwca r. 1704. w Berlinie, wchodzącego w układy z ministrami pruskimi, Ilgen'em, Wartenberg'iem i Wartensleten'em o przymierze przeciw Szwedom. Co w ciągu tych negocyacyj uderza najcharakterystyczniéj, to cynizm

w traktowaniu Polaków, to wzdryganie pogardliwe ramionami nie na tych, może co brali oburącz pieniądze i szachrowali bezsumiennie dobrem i całością kraju, lecz na tych właśnie, co się gorszyli myślą jakichbądź ustępstw terytorialnych na rzecz Brandenburgii. *Tacy* to Polacy noszą we współczesnych listach Patkula przezwisko *błaznów* (barbou), są przedmiotem jego niekoniecznie szczęśliwych konceptów...

Co się tyczy samegoż przedmiotu i treści podjętych z dworem berlińskim negocyacyj, zgadza się Patkul w imieniu Augustowém na okrojenie Polski. W charakterze jednakże równoczesnego reprezentanta Cesarskiego, protestuje przeciw zaborowi Gdańska przez Brandenburgią, „ponieważ jest zdaniem jego mocodawcy (Piotra), że „ktokolwiek będzie panem Polski, bez Gdańska, jako jedynego a naturalnego upływu handlu polskiego obyć się nie może.“ Dodajmy do tego, że wśród podobnéj czynności w interesie obu północnych monarchów, że wśród owych ciągłych niezmordowanych, szybko odbywających się bieganin między Dreznem, Berlinem, dworem Augustowym i Cesarskim, Patkul nie umie zachować potrzebnéj jak akrobacie na linie, wśród podobnych stosunków i ludzi równowagi. Jego usposobienie jest, jak już zauważyliśmy wyżéj, drażliwe, niezgodne, skłonne do kłótni i zatargów, język i pióro niepowściągliwe, sposób wyrażania się cyniczny i lekkomyślny razem. Nie lubili go Polacy, mając jak najsłuszniejszy do tego powód. Z najbliższém otoczeniem saskiém Augusta był w coraz widoczniejszéj wojnie, a jak widać z jego sprawozdań do hrabiego Teodora Aleksiewicza Gołowina z lat 1703 i 1704 nie jest również zadowolnionym ze swego stanowiska w służbie Cesarskiéj. W Dreźnie korci go stosunek zależności od posła Cesarskiego kniazia Dołgorukowa; chciałby uzyskać inne stanowisko wojskowe i polityczne, domaga się tytułów generała porucznika i tajnego radzcy. Zobaczymy niżéj, jak dalece owo niezadowolnienie ze służby Cesarskiéj, jak dalece owa dysharmonia z osobistościami wpływowemi na dworze Cesarskim daje mu się we znaki, jak ubezwładnia i paraliżuje akcyą Cesarskiéj polityki na własną rzecz jego, w stanowczym dla niego momencie.

Zbliża się wśród takich okoliczności miesiąc Lipiec roku 1704, a równocześnie zaczyna się powoli zarysowywać, zaczyna nabierać pewnych wyraźniejszych kształtów, istnie jak w artystycznie pomyślanym i przeprowadzonym dramacie *tragiczny moment* zawodu Patkulowego. Dawniéj już nieco dostaje Patkul, żalący się, nawiasowo powiedziawszy, ciągle na małą płacę ze skarbu Cesarskiego, bardzo

znaczne sumy. W liście do Gołowina z Drezna dnia 9 Lipca 1704 pisze Patkul o 100.000 rublach, które dostał na odpowiednie użycie ich w Kopenhadze. Nie mniejsze zapewnie sumy miał pozostawione do dyskrecyonalnego użytku w Dreznie. Takie złotodajne źródło obudza naturalnie nie mniéj wiele nadziei, jak wywołuje w razie zawodu niechęci i zazdrości.... Patkula stanowisko staje się tedy coraz krytyczniejszém, coraz mniéj pewném...

Inna całkiem okoliczność wprowadza go niezadługo potém w wyraźny konflikt z samymże królem Augustem. W końcu Lipca w początku Sierpnia 1704 zbliżają się, nie czekając końca układów zawiązanych między Rzeczypospolitą autoramentu Sandomierskiego a Piotrem, posiłki rosyjskie pod Golicynem i Mazeppą ku teatrowi wojny polskiéj i łączą się w okolicy Jarosławia z Augustem. Patkul był już poprzednio rozkazem Cesarskim mianowany naczelnym owych posiłków dowódzcą i prezentował je w tym charakterze Augustowi. Patkul, będąc teraz naczelnikiem poważnéj, dziesięciotysięcznéj na tymczasem, oddanéj swym rozporządzeniom siły zbrojnéj, zaczął się poczuwać w swéj samoistności, chciał być samodzielnym, odgrywać raczéj rolę protektora aniżeli podwładnego króla Augusta. August chciał połączyć posiłki rosyjskie w jednę masę z oddziałem partyzanckim generała Brandt'a, tworzącym w krótkiéj kampanii ruskiéj z miesiąca Sierpnia i Września roku 1704, na przemian według potrzeby, bądź to przednią straż obserwującą Szweda, bądź tylną zasłaniającą od niego główną siłę. Patkul natomiast pragnął zachować posiłkom cesarskim odrębną akcyą i odrębny organizm, skarżył się głośno na niedołężność króla Augusta, na zaniedbywanie rad wojennych, w czém, dodajmy i to zaraz, strategicznéj racyi nie miał, ponieważ zaprojektowana i wykonana wbrew jego odradom akcya Augustowa odniosła ostatecznie świetny rezultat przez odzyskanie na Szwedach Warszawy. Poseł duński Jessen pisze w tym względzie z Krakowa do króla duńskiego pod dniem 13 Sierpnia 1704: „Za przybyciem do Jarosławia, znalazłem ku niemałemu przerażeniu memu króla polskiego pogniewanego najzupełniéj z Patkulem i to do tego stopnia, że tenże powziął już prawie postanowienie z rosyjskiemi wojskami powrócić do Cesarza, jak do tego był należycie upoważnionym. Po wspólném ich porozumieniu, miałem przecież za łaską Boską szczęście wszystko pomiędzy nimi naprawić". Po skleceniu owéj zgody za pośrednictwem Jessen'a odbywają król August i Patkul wspólnie kampanią ruską w drugiéj połowie miesiąca Sierpnia, w pierwszych dniach miesiąca Września roku 1704 i kończą ją świetnie, w czém, powiedzmy raz jeszcze, zasługa samego Augusta wzięciem Warszawy na Szwedach, zabraniem do niewoli Arweda

Horn'a, komisarzy szwedzkich i głównych bohatérów konfederacyi warszawskiéj, tudzież rozpędzeniem saméjże konfederacyi. Ten tryumf jednakże właśnie staje się przez zbieg rozmaitych okoliczności dziwnie fatalnym dla Patkula. Owo wzięcie do niewoli Arweda Horn'a, pobyt jego w otoczeniu Augusta jest istnie wypuszczeniem zatrutéj strzały ze strony ustępującego Parta. Chowając sobie bliższe objaśnienie tego spostrzeżenia na późniéj, zwróćmy choćby tylko z chronologicznéj racyi uwagę na następujący tuż po wzięciu Warszawy działalności Patkulowéj szczegół, który się dla niego staje powodem i źródłem nowych kłopotów, przyczyną ponownego zachwiania kredytu na dworze Augustowym.

W miesiącu Wrześniu, po odzykaniu Warszawy, ciągnie król August z całą swą siłą i posiłkami rosyjskiemi pod Wyszogród; Patkulowi dostaje się główna kwatera we wsi Wilczkowéj pod Zakroczymiem. Jak zwykle w przerwach pewnego namysłu i zastanowienia wśród życia spędzanego na miłostkach, hulance i intrygach, zatrzymuje się August pod Wyszogrodem, zwołuje radę w końcu miesiąca Września, urządza systematycznie i przezornie, jakoby w promieniach rozchodzącéj się na różne strony akcyi dzieło obrony w sferze wojennéj i politycznéj. Ponieważ *inne* jéj szczegóły nie obchodzą bezpośrednio naszego przedmiotu, ograniczymy się jedynie tylko na scharakteryzowaniu roli, jaka się tu specyalnie Patkulowi dostała. Patkul odebrał polecenie wyruszyć z 6 tysiącznemi posiłkami rosyjskiemi, z 3 tysięcznym zastępem dzielnego generała Brandta, do czego dodać jeszcze należy oddział 500 piechoty saskiéj, w województwo Poznańskie i odzyskać na Szwedach Poznań. Zadanie nie zdawało się na pierwszy rzut oka trudném, ponieważ cała załoga poznańska pod dowództwem generała Mardefeld'a i pułkownika Liliehõk'a nie przenosiła liczby 700 ludzi a w odwodzie miała tylko korpus generała Meierfeld'a w Toruniu, przedstawiający na pozór przedmiot bardzo łatwego zwycięztwa dla przewagi Patkulowéj. Patkul wybrał się też na ekspedycyą poznańską z najlepszą, najlekkomyślniejszą, powiedzielibyśmy, otuchą, wśród przechwałek pewności powodzenia, wśród przezwisk na Leszczyńskiego, nie rozpatrzywszy się należycie i rozważnie w trudnościach swego zadania. Tymczasem przedstawiły się one zaraz w saméjże chwili najgorętszéj akcyi. Nasamprzód udało się Meierfeld'owi uprzedzić Patkula, stanąć przed jego przybyciem pod murami Poznania i połączyć się z załogą Poznańską. Nie dość na tém, przekonał się dopiéro Patkul na miejscu, że nie ma dostatecznéj artyleryi oblężniczéj, w skutek czego pierwsze dwa tygodnie oblężenia poznańskiego aż do połowy miesiąca Października r. 1704 spełzły na mało szkodliwéj Szwedom blokadzie.

Około 15 Października nadeszły działa z Saksonii i 500 piechoty saskiéj; odtąd znów jednakże było kierownictwo oblężenia tak niedołężne, obrona Swedów tak dzielna, że Patkul zagrożony nadto szybkim pochodem Karola XII z Warszawy w Poznańskie, odstąpił mimo klikunastodniowego bombardowania miasta i mimo wyszczerbionych już w murze miejskim dwóch wyłomów dnia 2 Listopada od oblężenia. Nie ma żadnéj wątpliwości, iż na sromotny koniec jedynego przedsięwzięcia, jakie się od początku wojennego zawodu Patkulowi z zupełną swobodą *samodzielnéj* akcyi dostało, złożyły się własna jego nieudolność i lekkomyślność z leniwą akcyą tyle dzielnego zkąd inąd Schulenburg'a na tymże samym teatrze wojny i z niepojętém niedołęztwem Augusta. Patkul tymczasem zapominając o głównéj rzeczy, to jest o winie i nieudolności własnéj, pamiętał może zbyt dobrze a nadewszystko zbyt głośno, ku wielkiéj swéj szkodzie osobistéj, o winie dwóch wielce wpływowych osobistości, Schulenburg'a i księcia Egona Fürstenberg'a, namiestnika królewskiego w Saksonii, nie oszczędzając w dodatku króla samego. Pełen goryczy list jego z obozu pod Poznaniem, z dnia 29 Października 1704 do posła duńskiego, barona Jessen'a, jest tylko szeregiem skarg z jednéj strony przeciw Schulenburg'owi, który, mając do dyspozycyi całą armią saską w miesiącu Sierpniu, o zdobycie Poznania się nie pokusił, z drugiéj przeciw księciu Fürstenberg'owi, który mu dostatecznéj artyleryi, amunicyi i ludzi nie dostarczył. Jak widzimy z listu barona Jessen'a do króla duńskiego z Krakowa dnia 26 Listopada 1704, nie szczędził Patkul w rozmowach swych pod tym względem księcia Fürstenberg'a a jego usposobienie dla niego nie było na dworze Augustowym tajemnicą. Wie mianowicie o skargach i żalach Patkula przeciw księciu Fürstenberg'owi nadworny marszałek Pflugk i udziela o tém wiadomości; posłowi duńskiemu; widzą naturalnie i inni a kredyt Patkula znajduje się przez to tém bardziéj minowanym, że jeżeli kiedykolwiek, to właśnie wtenczas, właśnie w owéj epoce oblężenia Poznania przez Patkula, właśnie w owych dniach jesiennych sromotnéj ucieczki Augusta z Warszawy do Krakowa, kwitnie stosunek zażyłości i przyjaźni między królem a jego namiestnikiem saskim. Archiwum drezdeńskie zawiéra do dziś dnia całe pliki owych małych, ćwiartkowych, istnie jakoby kobiecą ręką z noclegów i popasów między Warszawą, z Warty, Uniejowa, straszliwą ortografią francuską (1)

---

(1) Próba owéj ortografii: „et que Bossen (Posen) est pries commes on le deblestes, la campagne a estes heureuse.“

pisanych bilecików króla Augusta do księcia Fürstenberg'a, bilecików, z których treści przebija wyraz najserdeczniejszéj życzliwości i zaufania dla księcia Fürstenberg'a. Kamerdyner królewski Spiegiel przewozi owę korespondencyą do Drezna, wraca z podobnąż od księcia Fürstenberg'a do Krakowa lub Częstochowy. Pojmiemy ztąd, iż wśród podobnego położenia rzeczy, nie było ze strony Patkula rzeczą szczególnie praktyczną i przezorną narażać sobie księcia Fürstenberg'a, choćby nawet czując po za sobą potężne plecy Cesarskie....

Odtąd to zaczyna Patkul być troskliwie szpiegowanym, jego niedyskretna i niepowściągliwa korespondencya przejmowaną. Późniéj nieco już skarży się Patkul sam na szpiegów, przeglądających widocznie jego papiéry i jego korespondencyą. Znajduje się w jego służbie niejaki Heinrich, nie wiadomo czy z imienia tylko, czy téż z nazwiska, na którego pada podejrzenie, dużo późniéj jednakże, dopiéro w drugiéj połowie roku 1705, jakoby był jego niepowołanym aniołem stróżem z ramienia nieprzyjaciół na Augustowym dworze. W owéj ściągającéj się tak powoli nad głową jego pod koniec roku 1704 burzy, nie jest bez pewnego znaczenia epizod z pułkownikiem Görz'em. Patkul, odstąpiwszy od oblężenia Poznania, cofnął się z podszarpanemi nieco nad granicą szląsko-brandenburską posiłkami rosyjskiemi, w ilości 6.000 piechoty do Saksonii. Mający w tym korpusie posiłkowym komendę pułkownik Görtz, Brandenburczyk rodem, awanturnik, kondottier, jakich na ówczas było wielu, pozwolił się umyślnie czy przypadkowo zachwycić Szwedom ze swym oddziałem podczas odwrotu i poniósł zupełną klęskę. Zagrożony przez Patkula sądem wojennym, nie uzyskawszy poszukiwanéj protekcyi u samegoż króla, uciekł do obozu szwedzkiego, zkąd począł rozpowszechniać paszkwile, zaczepiające dobrą sławę, odsłaniające niedyskretnie pewne tajemnice Patkula...

Uboczna ta sprawa miała dla niego na przyszłość gorzkie i przykre następstwa, choć dziwnym najrozmaitszych okoliczności zbiegiem nie zbywało równocześnie na innych ważniejszych przyczynach przygotowującéj się powoli ruiny jego. Istnie według reguł dramatycznéj intrygi, czy według wynalazczych pomysłów powieściopisarskiéj fantazyi, zbiegają się z przeciwkrańcowych jakoby biegunów dwa czynniki na torowanie dróg jego przeciwnikom, na dalsze przygotowanie dzieła jego zguby. Pierwszym jest rozpoczynający się właśnie z końcem roku 1704 romans króla Augusta z baronową Anną Konstancyą Hoym, późniejszą hrabiną Kosel, drugim pobyt w Dreźnie i w Lipsku wziętego do niewoli w szturmie Warszawy Arweda Horn'a. Pod wpływem nowo-zawiązującego się stosunku zasypia chwilowo inte-

res królewski dla polityki, dla wojny, dla zagrożonego, czy obalonego już nawet całkiem tronu polskiego. Wyjechawszy w początku Grudnia 1704 z Krakowa, po dokonanéj nibyto z Lubomirskimi zgodzie, po rozpoczęciu tajnych negocyacyi z bawiącym w Gdańsku prymasem Radziejowskim, porobił stronnikom swym w Polsce obietnice rychłego powrotu, naznaczył termin nowéj walnéj rady w Krakowie na miesiąc Styczeń, odroczył ją późniéj do Wiśnicza, lecz mimo to miesiąc za miesiącem mijał a król nie przybywał. Podobna zwłoka korciła tém bardziéj głównych reprezentantów jego stronnictwa w Polsce, że rzeczy tamże znajdowały się w najzupełniejszym chaosie; że Karol XII gospodarował z leż zimowych w Rawiczu na całą Wielkopolskę, że teraz właśnie targował się z prymasem o warunki koronacyi Leszczyńskiego. W skutek tego wychodziły raz po raz deputacye z Polski do Drezna, zapraszające króla do jak najprędszego powrotu, wszystko jednakże bezskutecznie. W Grudniu 1704, w Styczniu 1705 widzimy króla z Patkulem, Przebendowskim, nadwornym marszałkiem Pflugk'iem na jarmarku lipskim; od Lutego do końca Maja r. 1705 mimo wszelkich nagabywań polskich bez przerwy w Dreznie, w Czerwcu wyjeżdża do Karlsbadu... Widocznie lubuje się w stanie podobnie sybaryckiego wypoczynku, puszczając mimo całą burzę wojenną. Tajemnicę owego kapuańskiego rozkoszowania między Droznem a Karlsbadem, owego wstrętu do nowych gonitw z królem szwedzkim po mrozach czy błotach polskich, tłómaczy po prostu stosunek jego do Pani Hoym. Krótkie wzmianki w listach Załuskiego (1), oględniejsze i powściągliwsze od nich, ale zrozumiałe przecież dla obeznanego nieco ze współczesnemi stosukami dworu drezdeńskiego napomknienia barona Jessen'a (2), w listach jego do króla duńskiego, stwierdzają *historycznie* prawdę spostrzeżenia,

---

(1) *Epistolae ad Familiares Zaluskiego, Tom IV,* Wrocław, 1761. str. 411,415. (list z Drezna, 29 Grudnia (1704) „die VII (Grudnia) ubi dum cum regecomparui, iguis acceusus est indomo dominae Hem (Hoym) novae acqui sitionis Regiae, ita ut debuimus ex illa vicina abire et coenavimus apud Comitissimam Regis; ruterim pro recompensa combustorum magnam pecuniae summam Domina patieus promisam a Rege habuit"... „Diebus 26, 27, 28 non audisit Rex missam dolore pedisse excusaus, quac magis joctaba. tur causa, quam vera fuit, cui nec abcogare fidem, nec tribuere poteram, quia hoc non impedivit vespertinas conversationes et his diebus fuit in publico apud Reginam congressu, loquens in praesentiae eius cum Domina Hem et Reginae lacrymas, quas vidimus elicuit."

(2) Archiwum Kopenhaskie. *Relationes aus Pohlen, aus den Jahren* 1703, 4, 5. listy Jessena do króla Fryderyka z miesięcy Stycznia, Lutego, Marca (1705 wspominaja

mającego za sobą argument racyi *psychologicznéj*. Król August pragnął korzystać w pełni spokoju i zabaw z nowéj zdobyczy; wojna przeszkadzała mu, objawiał tęsknotę za pokojem. W taki moment usposobienia królewskiego trafiła z dziwną fatalnością obecność jeńca szwedzkiego z pod Warszawy, używającego w Dreźnie i Lipsku najzupełniejszéj swobody generała Arweda Horn'a.

Arwed Horn, nie inaczéj od Patkula, na wpół żołnierz, na wpół dyplomata, należy do najzręczniejszych i najprzebieglejszych osobistości w otoczeniu Karola XII. Jeśli Piper reprezentuje go w roli kanclerza urzędownie na zewnątrz, jeżeli Hermelin jako pierwszy sekretarz nie jest zręcznym tłómaczem jego myśli i intencyi w redagowanych przez się depeszach, manifestach, oświadczeniach, jest Arwed Horn człowiekiem zaufania, używanym do trudnych zadań i misyj, w których przebiegłość trzeba niekiedy poprzéć przymusem, przymus osłodzić i upozorować przebiegłością. Przypomnijmy sobie Arweda Horn'a jako reprezentanta Karolowego w obec generalnéj konfederacyi warszawskiéj, jako właściwego sprawcę detronizacyi Augusta, jako autora elekcyi Leszczyńskiego, który sam późniéj, bawiąc jako wygnaniec w Szwecyi, nazywał się potulnie w obec senatu szwedzkiego „dziełem rąk Horn'a". Obecność takiéj właśnie osobistości z obozu nieprzyjacielskiego, wśród owéj tęsknoty króla Augusta za pokojem, nie mogła być obojętną, nie mogła pozostać bez wpływu na bieg spraw wojennych i politycznych. W królu Auguście odzywa się gwałtownie chęć partykularnego pokoju z królem szwedzkim, Horn przedstawia się bardzo naturalnie w charakterze najodpowiedniejszego pośrednika, odbywają się częste i poufne między nim a Augustem konferencye. Dotychczasowe poszukiwania czy to w archiwum drezdeńskiém, czy w kopenhaskiém nie doprowadziły nas jeszcze do zupełnego rozwidnienia wszelkich szczegółów i tajników owych konferencyj między podstępnym jeńcem a łaknącym wypoczynku królem. Kto tu dał inicyatywę (1), kto je pierwszy

---

o zabawach królewskich w Dreźnie i Lipsku, o wycieczkach jego do Moritzburga, powtarzają kilkakrotnie, „że jest tajemniczy powód przykuwający króla na miejscu, niepozwalający mu mimo nagabywań Polaków wyjeżdżać do Polski" i t. d.

(1) *Nordberg* tom II (à la Haye, 1744) str. 9 robi autorem i inicyatorem owego projektu pokojowego hr. Zinzendorfa, posła Cesarskiego. Bardzo dobrze w téj sprawie poinformowany baron Jessen nic o tém nie wspomina, jakkolwiek jest rzeczą pewną, że dwór wiedeński pragnął gorąco pokoju, aby módz dysponować siłami Augustowemi na widowni wojny przeciw Francyi.

podjął, czy August nasunął ich myśl Horn'owi, czy Horn Augustowi, o ile były z obu stron szczeremi; czy po prostu August, chcąc mieć kilka miesięcy swobodnego czasu do romansowania z Panią Hoym, chciał uśpić podobną negocyacyą wypoczywającego również w Rawiczu Karola; czy przeciwnie Horn, chcąc swemu panu zgotować nieprzerwalność kilkomiesięcznego wypoczynku, miał zamiar powstrzymać energią akcyi Augustowéj, wszystko to pozostaje dla nas dotychczas przynajmniéj rzeczą niewyjaśnioną dostatecznie, jakkolwiek niewpływającą szkodliwie na zrozumiałość przebiegu sprawy Patkulowéj. Co pewna, to że król August chwyta się z roku 1704 na 1705 nie bez pewnéj skwapliwości, z przyczyn wskazanych wyżéj, myśli negocyacyi w celu zawarcia partykularnego pokoju z Karolem XII, a że Horn rozpoczyna odtąd w sposób nader pokaźny, kłujący w oczy przejażdżki między dworem drezdeńskim a główną kwaterą króla szwedzkiego w Rawiczu. Co najważniejsza, to że otoczenie saskie króla Augusta, mianowicie Książę namiestnik Eggon von Fürstenberg i marszałek nadworny Pflugk są gorliwymi zwolennikami myśli partykularnego pokoju z Karolem XII, choćby może nawet z poświęceniem korony polskiéj w interesie marniejącego coraz bardziéj dobrobytu Saksonii (1).

Epoką owych toczących się za pośrednictwem Horn'a między królem Augustem a Karolem XII negocyacyj w celu zawarcia partykularnego pokoju, jest przestrzeń czasu od miesiąca Grudnia 1704 do Marca 1705; między innemi brały w owéj sprawie udział dawna kochanka królewska hrabina Königsmark i hrabina Strattmann, małżonka posła Cesarskiego na dworze drezdeńskim. Pierwszymi, co zakomunikowali jéj tajemnicę posłowi duńskiemu Jessen'owi, byli wysoko zapisani w zaufaniu królewskiém generałowie Jordan i Tiesenhausen. Posłuchajmy niektórych ustępów z jego depesz do króla Fryderyka IV, dających najlepszą miarę i wyobrażenie postępu i rozwoju owéj negocyacyi. W liście z Pszczyny na Szląsku dnia 24 Grudnia 1704 pisze: „Jest podobno intencyą królewską pozostać długo w Saksonii. Z Wrocławia dochodzi pogłoska, że w Dreznie mają się toczyć tajne konferencye ze szwedzkim generałem Horn'em z dodatkiem, że się to dzieje w przedmiocie zawieszenia broni. Nie jest to jednakże rzeczą prawdopodobną..... jakkolwiek pewna, że gdyby się król polski z Cesarzem nie był tak daleko zagłębił, pokój przezeń z powyżéj wskazanych przyczyn jakimbądź sposobem byłby po-

(1) Poświadcza to w korespondencyi swéj kilkakrotnie baron Jessen.

szukiwany! Początkowy sceptycyzm posła duńskiego zmuszony przecież zwijać powoli żagle w obec oczywistości faktów. Posłuchajmy go daléj. W liście z dnia 9 Lutego 1705 z Drezna donosi: „Do przeszłéj poczty mojéj nie mam nic do dodania, jeżeli nie to, iż się obawiam, aby się P. Patkul w swych nadziejach bardzo nie omylił, ponieważ z pewnością objawia się od dnia do dnia coraz większa skłonność do pokoju a kobiety, mianowicie żona posła Cesarskiego i Pani Königsmark, maczają ręce w téj intrydze. Generał-porucznik Horn powrócił dzisiaj rano znowu z głównéj kwatery królewsko-szwedzkiéj a jak się właśnie teraz od obu generałów-poruczników, Jordana i Tiesenhausena, którzy mnie zaszczycili swemi odwiedzinami, dowiaduję, miał tu przywieźć wiadomość, jakoby króla szwedzkiego był wyprowadził z uprzedzeń przeciw królowi polskiemu i że tenże nie jest zbyt odległym od myśli pokoju, jak to było dawniéj.“ Więcéj znaczące pod tym względem było może jeszcze wyznanie, jakie August sam uczynił posłowi duńskiemu w czasie wieczornéj audyencyi z dnia 12 Lutego 1705. „Król przyznał mi, że ponieważ wszelka pomoc go opuściła, jest wojną doszczętnie zmożonym i że jeżeli król szwedzki do tutejszych (saskich) krajów wpadnie, jak tego się prawie obawiać należy, znajdzie się zmuszonym poszukania jakichbądź środków wydobycia się z obecnego zawikłania.“ Dodajmy i to jeszcze, że prócz nadwornego marszałka Pflugk'a, prócz Fürstenberg'a, stały się na ówczas dwie wielce wpływowe osobistości rzecznikami partykularnego pokoju z Karolem XII, Flemming i poseł Cesarski Strattman.

Stanowisko Patkula w obec tego nowego zwrotu polityki Augustowéj stawało się równie krytycznem, jak drażliwém. August „*zagłębił się*“ istotnie, według wyrażenia posła duńskiego, z Cesarzem Piotrem związał się z nim co dopiéro dwoma traktatami, Warszawskim z 12 Października 1703, Narewskim 30 Sierpnia 1704. Posiłki rosyjskie znajdowały się już na ziemi polskiéj, nawet saskiéj, subsydya pieniężne szły ze skarbu Cesarskiego do rąk Augusta, Patkul był w znacznéj, przeważnéj części twórcą, teraz stróżem trwałości owego aliansu. Tymczasem wychodzą tuż pod jego oczyma na jaw tajne, obawiające się światła dziennego roboty, wystawiające na szwank cały system polityczny północnych mocarstw, zbudowany na owym aliansie. Rzecz aż nazbyt naturalna, że myśl partykularnego pokoju między Augustem a Karolem była dla Patkula, autora i rzecznika wojny, dla osobistości, która całe swe życie, nadzieje

ście z d. 20 Lutego 1705 do króla duńskiego, „dodał jeszcze król (August) inne, z prośbą zachowania najgłębszego sekretu, jako nie może zaprzeczyć, iż dał polecenie szwedzkiemu generałowi Horn'owi, by zawiózł królowi szwedzkiemu komplement w celu popierania sprawy osobnego pokoju. Na to jednakże nadeszła grubiańska odpowiedź, brzmiąca, że król szwedzki ma nawzajem szacunek dla króla polskiego, że jednakże pokój tak długo nie może stanąć, dopóki król polski nie zrzecze się korony polskiéj.“ Z tém zwierzeniem łączyła się zarazem wiele znacząca i wiele mówiąca ze strony Augusta prośba do Jessen'a: by ułagodził Patkula rozdrażnionego i rozgniewanego wiadomością o podobnych, szkodliwych Piotrowi W. układach. Jessen wywiązał się z danego mu polecenia, ale z niezupełnie pożądanym skutkiem. W liście z téjże saméj daty pisze do swego króla: „Memoryał, który P. Patkul według ostatniéj relacyi mojéj królowi polskiemu doręczył, załączam; nie chce jednakże myśli swoich odmienić, chociaż mu do zbytku przedstawiałem, że ztąd nic innego prócz niepowetowanéj szkody dla niego samego, dla Cesarza i dla króla polskiego wyniknąć nie może. Mam wszakże nadzieję, iż wszystko znów obróci się na dobre a cały ten alarm przywróci znów Patkulowi u króla polskiego dawny kredyt. Koniecznie jednakże trzeba będzie królowi polskiemu uczynić zmianę w składzie swéj rady i najprawdopodobniéj usunąć pomienionego księcia (Fürstenberg'a) wraz z innymi od kierownictwa spraw publicznych.“

Widzimy tedy Patkula pogniewanego na dobre z radą przybocznią Augusta, mianowicie księciem Fürstenberg'iem, w walce o stanowisko zaufania przy osobie królewskiéj, grożącego w listach do króla porzuceniem spraw publicznych, komendy wojsk Cesarskich w Saksonii i zdaniem wszystkiego na posła Cesarskiego w Dreźnie Dołgorukiego, co zaś najważniejsza, mogącego stać się bardzo niebezpiecznym Augustowi przez możność skompromitowania go śmiertelnie w obec Piotra. Trzeba go więc, gotując mu skrytą zgubę, głaskać, przepraszać, utrzymywać w dobrym humorze, tém więcéj, że mimo owych strachów, mimo owych zwierzeń Jessen'owi, mimo owéj grubiańskiéj odpowiedzi (grossiere Antwort) króla szwedzkiego, tajne układy z nim za pośrednictwem Arweda Horn'a wcale jeszcze nie ustawały, generał szwedzki bywał na obiadach u księcia Fürstenberg'a, odbiérał prezenta od króla Augusta, jeździł znów z Drezna do Rawicza. Donosząc między innemi królowi swemu o korzystnym zwrocie całego domu Lubomirskich na rzecz Augusta, pisze baron Jessen pod dniem 6 Marca 1705: „Wiadomości te nadeszły właśnie wczoraj, gdy w towarzystwie wspomnianego generała Horn'a jadłem

obiad u księcia Furstenberg'a. Nie mogłem jednakże zauważyć, aby były zrobiły jakiebądź wrażenie na owym generale. Odjedzie znów dzisiaj lub jutro, a został ponownie udarowany od króla kosztowną bronią i końmi.“

Z podobnego położenia rzeczy rozwija się następnie dość naturalnym biegiem dalszy ciąg Patkulowéj katastrofy. Osobiście czuje się Patkul dotkniętym owemi pieszczotami Horn'a, prawéj ręki Karola XII we wszystkich zawikłańszych negocyacyach, właściwego autora elekcyi Leszczyńskiego. Tam naturalnie, gdzie jest miejsce u stołu czy to królewskiego, czy namiestnikowego dla reprezentanta Karola XII, jeńca w dodatku saskiego, nie ma go, nie może być dla osobistości, dla któréj Szwedzi mają mściwie przygotowane pal i koło. Nie dość na tém, są owe skryte negocyacye ze Szwedem żywą obrazą czci i interesu Cesarskiego, reprezentowanego przez Patkula. Cesarz Piotr płaci Augustowi grube, miesięczne subsydya pieniężne, zawiera z nim i z Rzecząpospolitą traktaty, przymierza, wysyła do Polski posiłki, które nawiasowo powiedziawszy, marnieją w obecnéj chwili bezużytecznie w Saksonii a tu zasnuwa się wbrew temu wszystkiemu nagle negocyacya, grożąca przemazać fakt przymierza między Augustem a Piotrem, wystawić może drugiego w odosobnieniu na zwycięzkie ciosy Karolowego miecza. W obec podobnych faktów łatwo pojąć stanowisko Patkula.

Miesiące, Styczeń, Luty, Marzec roku 1705, wskazują stan gorączkowego jego rozdrażnienia, które u człowieka gwałtownego, mściwego a nieostrożnego razem, jak on, objawia się w listach na różne strony, ustnych zwierzeniach, memoryałach, które zaś bardzo naturalnie, nie mogąc się odezwać stanowczo przeciw osobie króla Augusta, zwraca się z nieutajoną gwałtownością przeciw jego całemu otoczeniu. Polityka na dworach najniebezpieczniejsza, że zaś przez Patkula na bardzo szeroką praktykowana skalę, dowodów aż nadto. „Patkul“, pisze Jessen do swego króla, w liście z dnia 27 Lutego 1705, „miał istotnie zamiar porzucenia spraw publicznych, o co król polski bardzo był rozgniewany. Skarzą się z obu stron, król polski, że Patkul wszystko podług swojéj głowy chce kierować, mianowicie, że komendę swoję nad przebywającemi tutaj wojskami rosyjskiemi za daleko rozciąga. Patkul natomiast żali się ciągle, że rzeczy na tutajszym dworze postępują całkiem przewrotnie i dziwacznie, żeby Cesarza oszukiwał, pozwalając na dalszy podobny bieg rzeczy i na bezużyteczne marnowanie jego pieniędzy. J. Mość król polski żądał odemnie, abym Patkula wprowadził znów na właściwą drogę, do czego też przykładałem się z pilnością.

Nie mogę jednakże jeszcze z wszelką pewnością donieść, aby, jakkolwiek się tego spodziewałem, Patkul pozwolił się odwieść od swéj powziętéj rezolucyi, ponieważ tak długo, dopóki *obecni* ministrowie przy sterze pozostaną, o wszelkiem dobrém powodzeniu powątpiewa; tę strunę jednakże poruszać staje się rzeczą tém niebezpieczniejszą, im mniéj prawdopodobieństwa widzę, aby król polski okazywał się skłonnym do zmiany swego ministerstwa.“ Jak ztąd widać, zwrócił tedy Patkul wszystkie swe starania ku obaleniu Fürstenberg'a, Pflugk'a, Flemming'a.

Kazimierz Jarochowski.

(dok. nast.)

TOWIAŃSKI I MICKIEWICZ

(Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Listy i przemówienia 2 tomy 1877).

Zmarły w Zurichu 13 Maja roku 1878 Andrzej Towiański zostawił po sobie niezatarte, choć smutne wspomnienie. Był on twórcą jednego z tych ruchów religijnych, jakie przed laty 50 zaczęły nurtować w niektórych umysłach na obu półkulach. Wyznawcy jego nigdy wprawdzie nie przedstawili się w zastępie poważnym liczbą; lecz pomiędzy nimi znalazło się kilka umysłów nie tylko niepospolitych, ale nawet wielkich, którzy w literaturze naszéj utworzyli dzieła pierwszorzędnéj wartości. Zbadanie więc charakteru i dążności człowieka, który ich ku sobie pociągnął i przywiązał, nie może być dla nas rzeczą obojętną, choćbyśmy nawet samę jego naukę za prostą niedorzeczność lub szarlataneryą poczytywali. Dokładna, wyczerpująca analiza zawiązku i rozwoju towiańszczyzny, pomimo niejednokrotnych usiłowań ze stron najrozmaitszych, ortodoksyjnych i wolnomyślnych, nie udała się jeszcze dotychczas; a co więcéj udać się w zupełności nie może, dopóki nie zostanie ogłoszony dość obfity materyał rękopiśmienny. Mówią np. o notatach obszernych samego mistrza; obiecują wydać 10-tomowy zbiór dzieł Seweryna Gaszczyńskiego. Wprawdzie, sądząc z tego, co dotąd wydrukowano nie można sobie obiecywać bogatego żniwa myśli, albo uczuć i fantazyi w nieznanych jeszcze światu utworach; w każdym jednak razie niepodobna przesądzać z góry o ich nicości; bo chociażby tylko dały nam poznać bliżéj cechy zboczenia umysłowego, nie byłoby to do pogardzenia.

Zanim to nastąpi, trzeba się rozpatrzyć w materyale już istniejącym, ażeby ułatwić pracę późniejszym badaczom téj zawiłéj i nie dla wszystkich ponętnéj kwestyi. Wybierając za przedmiot obecnego studyum stosunek Towiańskiego do Mickiewicza, który się lat 15 przeciągał, postaram się nakreślić, podług dostępnych dla mnie dokumentów, zarówno jego początek jak i dalszy rozwój, zostawiając na boku szczegóły, niebędące z nim w związku bezpośrednim. Nie mogę tu zatém zastanawiać się ani nad wykładami Mickiewicza, mianemi w Collège de France, o ile te nie były propagandą towiańszczyzny; ani nad jego działalnością publicystyczną i polityczną; przed nami stanie jedynie „urzędnik Słowa.“

I.

Poczuwszy rozkaz wykonania „służby bożéj“, Andrzej Towiański wziął 21 Czerwca roku 1840 paszport zagraniczny i udał się w drogę. Był to człowiek 42 letni, poważny wielce, skupiony w sobie, małomówny. Dotknięty w młodości ciężką chorobą oczu, nie mogąc przez długi czas zatrudniać się pracami, do wykonania których potrzeba było wzroku, zapuścił się już na ówczas w ciągłe dumania i marzenia (1). Te przymusowe, przez dni, miesiące i lata ciągnące się rekolekcye przyzwyczaiły żywą wyobraźnią obdarzonego młodzieńca do życia sennego, do podsłuchiwania głosów wewnętrznych, do widzeń i uznawania tych widzeń duchowych za przedmioty zewnątrz istniejące. „Nieraz powiadał on późniéj cały dzień obmyślałem, jak buty powinny być uszyte; po kilka godzin trawiłem w modlitwie, jak kupić ćwieki dla ojca do gontów, żeby to wszystko było *w prawdzie*“ (I. 196). Młodość jego upływała właśnie w tych czasach, kiedy prąd mistyczny, popierany w Rosyi przez cesarza Aleksandra I, zajmował w swe nurty licznych wyznawców zarówno najpodnioślejszego jak i najtrywialniejszego rodzaju. Grabianka, Poszman, Studziński, Oleszkiewicz i inni są wyobrazicielami tego kierunku u nas; a jakkolwiek po większéj części żyli oni w Petersburgu a komunikowali się zazwyczaj z arystokracyą, niepodobna jednak, ażeby choć odrobiny ich marzeń nie dostawały się do szlacheckich dworków na Litwie lub Wołyniu. Jednocześnie doświadczenia magnetyczne, cudowni lekarze nieucy, nie mniéj cudowne jasnowidzące były w Wilnie przedmiotem ciągłych rozmów, a choć i przeciwników im nie brakło, mianowicie w Towarzystwie Szubrawców, zyskiwały mimo to gorliwych, zapalonych nawet zwolenników, którzy pomiędzy

---

(1) Stefan Witwicki: Towiańszczyzna, str. 19.

rokiem 1816 a 1818, późniéj zaś od r. 1826, do 1828, wydawali „Pamiętnik magnetyczny wileński“ (razem tomów 5). Jakkolwiek towiańczycy, a mianowicie Mickiewicz, wypierali się wszelkiego związku z magnetystami a ich doświadczenia i leki za ubliżenie drukowi podawali, to przecież prawdopodobną wydaje się rzeczą, że sam Towiański, w młodości przynajmniéj, nie gardził nimi a co więcéj korzystał z nich w wytworzeniu pojęcia swego o sile woli. W wyrażeniach jego spotykają się też nieraz słowa: *magnetyzm* i *magnetyczny*; a w sposobach leczenia, które również praktykował, widać wpływ magnetystów i jasnowidzących. Trzecim pierwiastkiem, który nieujętym fantastycznym rojeniom formę jakąś nadał był, zdaje się, już na ówczas osobliwy kult Napoleona, który wśród mało rozwiniętych ludzi uchodził za czarodzieja, za osobistość nadludzką do tego stopnia, że wielu w istotną śmierć uwierzyć długo nie chciało. Nadzwyczajne wyniesienie się tego bohatéra, jego olbrzymie zwycięstwa, zapał przezeń w masach budzony wydawały się cudownemi, to jest niedającemi się wyjaśnić sposobem czysto-ludzkim. Nie mamy wprawdzie bezpośrednich dowodów, żeby Towiański już w młodości swojéj takie zapatrywanie podzielał, ale zważywszy, że nie były one wyjątkowemi, że je niezależnie od siebie, w oddalonych od siebie miejscowościach wyznawali ludzie różnych przekonań, że nadto u polskich wojskowych były dosyć pospolite, bez trudu początek późniejszéj *idée fixe* „mistrza“ do owych chwil młodzieńczych związanych mglistém podaniem o kampanii r. 1812 odniesiemy.

O wykształceniu naukowém Andrzeja nic nie wiemy. Nie musiało być ono ani obszerném, ani gruntownéni; wyznawcy jego nigdy nie wysławiają jego nauki, owszem utrzymują z pewną chlubą, że jéj nie posiadał. Marzeniom więc nic nie kładło zapory, młodzieniec wyrastał na męża, na obywatela; ale pierwotnego usposobienia nie zmieniał. Zostawszy „zasiedatelem pierwaho Departamenta Gławnaho Suda“ (assesorem 1-ego departamentu Sądu Głównego), do czego natenczas nie potrzeba było nauki żadnéj, nawet prawa; nie uciekał się w razach wątpliwych do wyborów rozumu, lecz tylko do natchnień modlitwy. „Będąc urzędnikiem,“ mówił potém, kiedy jaka sprawa między żydem i chłopem przychodziła, „siedziałem ranek w kościele i potém największego trudu trzeba było, żeby mię nie zbito z rezultatu, jaki w modlitwie sobie zanotowałem. Bo nie sztuka,“ dodawał, „zirytować się, wyłajać kolegów, rozpisać się na wyroku; ale to rzecz użyć całéj miłości, całej mocy, żeby postawić prawdę.“

Na początku roku 1830 ożenił się i postarał się zaraz nakłonić swą towarzyszkę do wdrożenia się w jego sposób myślenia nie tylko

co do spraw donioślejszego znaczenia, ale nawet co do szczegółów najdrobniejszych w życiu codziennem. Zwolennicy jego z uwielbieniem wspominali później tę siłę woli „mistrza,“ któremu „nie wolno było“ mieć sługi, któryby mu jeść gotował, aż póki sam go nie wyuczył. I cóż to był za kuchmistrz godny mistrza? Sługą tym, jak się wyraził sam Towiański, była żona jego „która już przy kuchni, przy zatrudnieniach gospodarskich umie trwać w *w takim tonie*,“ że mistrz mógł z nią rozmawiać „o najwyższych rzeczach.“ Raz z powodu zajścia z rodzicami mistrz musiał dla chorej żony robić owsiankę, gotować jaja; a idąc na sądy w mundurze, przy szpadzie, pod płaszczem nosił to dla niej; często koledzy, spotykając go, śmiali się, ale Towiański umiał znieść szyderstwo z godnością. Drobiazgi te, powtarzał później Mickiewicz dla zbudowania „braci“ (I, 196).

Ludzie tego rodzaju są zazwyczaj usposobienia powolnego, a niezdolni do czynów gwałtownych posiadają natomiast energią wyczekiwania i upór w raz powziętych myślach. W wypadkach 1831 nie brał Towiański żadnego udziału i drugich (np. malarza Wańkowicza) od niego odwodził, przepowiadając, że się zakończą nieszczęśliwie. Odtąd nabrał przekonania, że ma do spełnienia misyą, nie wiadomo napewno; lecz opowiadają, że już i w kraju szerzył powoli swoje marzenia. Za granicę dosyć często wyjeżdżał dla kuracyi w Karlsbadzie; a nie tylko jednak lato, ale i zimę nieraz przepędzał po za krajem. Antoni Edward Odyniec pisze, że przez dwie zimy r. 1835 i 1836 w *Dreźnie* był z nim w tak bliskich stosunkach, że się widywali codziennie. Osobiście na Odyńcu zrobił dobre wrażenie; w rozmowach z Towiańskim znajdował Odyniec oprócz przyjemności i niemałą korzyść pod względem zwłaszcza psychicznej (*sic*) analizy fenomenów wewnętrznego życia.“ Wówczas to mistrz zapoznał się ze szczegółami biograficznemi Mickiewicza, które później tak trafnie wyzyskał. W pogawędkach bowiem Odyniec zawsze na pierwszym planie stawiał postać Adama nie tylko „jako przyjaciela i poetę,“ ale także jako największego człowieka sobie znanego. „Niejednokrotnie przeto,“ mówi Odyniec, „opowiadałem o nim to wszystko, co nie tylko widziałem sam, albo od niego słyszałem, ale i mnóstwo takich szczegółów i rzeczy, o których on sam nigdy przedemną nie mówił, a tylko opowiadali mi inni, najbliżsi powiernicy i towarzysze dzieciństwa jego i pierwszej młodości, jak np. Jan Czeczot, Tomasz Zan i nakoniec sama Maryla (Putkamerowa)“ (1).

---

(1) List Odyńca do Siemieńskiego z 20 kwietnia 1871, druk. w studyum Siemień: Religijność i mistyka w życiu i pismach A. Mickiewicza.

Wśród podróży tych nie wiadomo czy się zapoznał z dziełami Hoene Wrońskiego, w których była mowa o konieczności odnowienia chrystyanizmu, i o misyi Napoleona; czy też, ale to przynajmniéj za pewne przyjąć można, że nie mógł nie słyszeć o różnych reformatorach kościoła, jacy naówczas we Francyi się zjawiali. Bądź co bądź, dotychczasowe marzenia skonsolidowały się w pewne oderwane maksymy, które Towiański zaczął uważać za natchnienia boże. Sądził mianowicie, że nadeszła pora wprowadzenia zasad chrystyanizmu, które były dotąd podług niego pojęciami tylko czy uczuciami, w praktykę życia tak prywatnego jak publicznego; czyli wyrażając się jego słowy, nadeszła pora realizacyi. Sam jako człowiek powolnego charakteru i nieprzyzwyczajony do zebrań wielkich, nie ufał sobie, ażeby mógł jako apostoł w roli czynnéj wśród tłumu wystąpić, musiał zatém wyszukać takiéj osobistości, którąby powagą swego nazwiska, stopniem w hierarchii społecznéj, zapałem i pochopnością do czynu mogła się stać narzędziem owéj realizacyi. Osobistość taka nie przedstawiła się w umyśle jego odrazu jasno; dla tego też kroki jego w celu pozyskania sobie organu misyi swojéj były bardzo niepewne, widocznie pociemku stawiane. Z kościołem nigdy otwarcie i stanowczo zrywać nie chciał; zdawało mu się zapewne, że, przemawiając do duchownego w imię Chrystusa w celu urzeczywistnienia zasad w ewangielii wygłoszonych, potrafi go skłonić ku sobie. Udał się więc najprzód do arcybiskupa Dunina w Poznaniu; szczegółów atoli tego widzenia się nie znamy, wiadomy jest tylko rezultat tj. odprawienie Towiańskiego z niczém. Mniéj jeszcze znany drugi jego krok w Dreźnie, o którym mówi p. Władysław Mickiewicz, (1) bo nawet osoby odwiedzonéj tam przez Towiańskiego nie możemy z nazwiska przytoczyć. Dopiéro trzecie z kolei kołatanie, z którém apostoł do jenerała Skrzyneckiego w Brukseli się zwrócił, nieco szczegółowiéj wyjaśnić się daje. Towiański, klęcząc, opowiedział misyą swoję jenerałowi; ten zrazu dosyć zimny, uwierzył mu nakoniec, bo go znał oddawna, przepędzając po parę miesięcy u wód czeskich, jako człowieka potulnego, dobrego i poczciwego. Późniéj jednak, gdy dowiedziawszy się, że Andrzej od 20 lat przeszło a żona jego od trzech u spowiedzi nie byli, doradzał, aby to uczynili a oni z „gniewem i oburzeniem“ powstali nań; zerwał wszelkie z apostołem stosunki, chociaż przyznawał, że z nich „wiele dobrego“ wyniósł (II, 167—170). „Nie sądzę ja lekko Andrzeja i Gutta (jego teścia),“ pisał potém Skrzynecki do Mickiewicza, „wiele mi głębokich udzieli-

(1) Mémorial de la lég. polon. 1877, str. 118.

li rzeczy, wiele odkryli, które albo słabo czułem, albo przez zasłonę widziałem: oni mi odkryli siłę i skuteczność modlitwy: (II, 172).“ Skrzynecki odepchnął Towiańskiego dla tego jedynie, że nie widział w nim szczerego katolika a nawet podejrzywał, że nie wierzy w bóstwo Chrystusa; gdy tymczasem jenerał po za obrębem kościoła katolickiego nie widział zbawienia.

Kiedy się więc i ta trzecia próba nie udała, Towiański z właściwą sobie wytrwałością nie zraził się niepowodzeniem, ale pomyślał o innéj sławnéj osobistości, któréjby mógł użyć do urzeczywistnienia reformy chrześciaństwa.

Na nowo utworzonéj na ówczas katedrze literatury słowiańskiéj w *Collége de France* w Paryżu miewał odczyty Adam Mickiewicz i zyskał sobie niemi rozgłos europejski; poeta ściśle narodowy stał się mówcą, profesorem przemawiającym do słuchaczów różnéj narodowości językiem zrozumiałym dla klas ukształconych wszystkich krajów. Zdawałoby się, że takie stanowisko powinno było napełnić poetę dumą i zadowoleniem, jeżeli nie z osobistych, to przynajmniéj z narodowych pobudek. Tak jednakże nie było.

Nazajutrz po wyprawieniu owéj sławnéj uczty, na któréj Słowacki wyzwał Mickiewicza improwizacyą swoją do odpowiedzi z takiém natchnieniem, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdy nie czuł poeta, pisał do Bohdana Zaleskiego, że był smutny i kwaśny, kiedy miał mieć pierwszą lekcyą w Collége, że ją wypowiedział z pewną ciężkością, chociaż porządnie, jasno i czysto pod względem stylu. W tym samym mniéj więcéj czasie ciągle się skarżył na pracę, kłopot, czasami na biedę a zawsze na smutek. „Smutek,“ pisał, „powoli zstąpa aż *na dno* mojéj duszy, skąd bardzo trudno go wyrugować, zwłaszcza że i do pracy brak mi często czasu i swobody.“ W „hucznym i błotnym Paryżu“ brak mu było i widoków pięknych i przechadzek i powietrza; a co najgorsza otoczenie najbliższe, rodacy przebywający w tém mieście, najprzykrzejsze na nim wywierało wrażenie: „Nie możesz sobie wystawić,“ pisał wtedy do brata Franciszka, „co to za bieda z ludźmi zamkniętymi w tak smutném położeniu. Każdy dzień i noc kuje projekta polityczne i wścieka się, kiedy drugich nie może na swoję stronę przemówić. Chodzą nasi na mój kurs, ale dla tego, żeby się wywiedzieć, jakiéj ja partyi: czy arystokrata, czy demokrata, i gniewają się, że ja im o polityce nie gadam.“ Praca sama nad odczytami połączona była z badaniami, które nie bardzo do smaku przypadały poecie. Musiał się wielu rzeczy uczyć; książki słowiańskie nie poławiały się zbyt łatwo w Paryżu; trzeba było dosyć się za niemi nabiegać, to do pani de Circourt z domu Klustin, to do barona Eckstein‘a, to do biblioteki, dokąd nie rad za-

glądał. „Jak zbędę z głowy kurs,“ pisał w Czerwcu r. 1841, „muszę napisać gramatyczkę porównawczą słowiańską, to jest przepisać z Niemców. Praca mała, cóż kiedy ja do niej niezdolny. Przeczuwam nudę wielką. O poezyi boję się myśleć. Chybabym gdzieś głęboko na wsi zasiadł, tobym może coś wydumał.“ (1) Praca erudyta nie była właściwém dla poety zajęciem.

Z kraju też niepocieszające dochodziły go wiadomości. W domu częste były smutki z powodu choroby to żony, to dzieci, których wtedy miał troje. Od pobytu w Rzymie uczucia religijne ożywiły się w nim wielce, wieszczenie stawało się drugą naturą, jedyny ratunek widział w miłości i pokorze. „Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami,“ pisał w r. 1841, „pewnieby nas zbudował pokorą.“ Dręczyła go przyszłość, był jej bardzo ciekawy; jeszcze w r. 1838 chodził do jasnowidzącéj Parran i czytał wstęp do jéj przepowiedni.

Na dobitkę, żona jego ulega po raz już trzeci obłąkaniu. Wtedy to zjawia się w Paryżu Towiański i uzdrawia żonę. Jakim sposobem tego dokonał, nie wiemy; dosyć, że Mickiewicz za jeden z bardzo ważnych powodów wiary swéj w misyą mistrza podawał ciągle to *cudowne*, jak sam powiadał, wyleczenie. Niedawno ogłoszono list W. Chełchowskiego, pisany 9 Października 1841 do Ignacego Domejki, w którym mamy świadectwo spółczesnego o tym wypadku co do okoliczności zewnętrznych. Według tego listu, Towiański przyszedł po raz pierwszy do Mickiewicza wtedy, gdy ten, odwiózłszy żonę do *maison de santé* (zapewne w Vanvres jak dawniéj), tylko co wrócił do mieszkania ze ściśniętą utrapieniem duszą w stanie bliskim rozpaczy i zwątpienia. Po zarekomendowaniu się i przypomnieniu, że przed dwudziestu laty spotkali się z sobą (o czém dowiadujemy się dopiéro z tego listu), zapytał Towiański, jak się powodzi; a Mickiewicz opowiedział o swojém nieszczęściu. Poeta nasz mówił Chełchowskiemu, że Towiański nie wiedział nawet, iż Mickiewicz jest żonaty. My przeciwnie, powołując się na owe rozmowy Odyńca z Towiańskim w Dreźnie, możemy twierdzić, że wiedział o tém doskonale. Otóż po wysłuchaniu relacyi o chorobie, Towiański miał wytłómaczyć, co to za choroba a potém powiedział, aby *coś* zrobił, a żona ozdrowieje; ale *co* takiego, Chełchowski nie wiedział. Mickiewicz posłuchał, zaraz pojechał do *maison de santé* i żo-

---

(1) Korespondencya A. Mickiewicza, 1871, I, 178.

nę, którą znalazł rozdąsaną i w ekscytacyi *po zrobieniu doradzonéj rzeczy*, przywiózł do domu zdrową. Towiański dodał, że on to nie swoim rozumem zrobił, ale z rokazu Boga; że to jest znak dla Mickiewicza, żeby sam uwierzył i drugim dał świadectwo, jako Towiański ma specyalną misyą od Pana.

Oprócz tego uzdrowienia, Towiański dał jeszcze jakieś inne przekonywające dowody posłannictwa swego, ale o tych dowodach Mickiewicz zawsze ogólnikowo tylko się wyrażał, mówiąc, że mu T. opowiedział o nim takie rzeczy, o których tylko sam poeta mógł wiedzieć. Przejąwszy się zaś naukami mistrza, utrzymywał, że wiara jego w słowa Andrzeja była skutkiem całego życia, wszystkich usposobień i prac duchowych; tudzież że publicznie i wyraźnie przepowiadał rodakom w Paryżu. Powoływał się w tym względzie na swoje utwory i na owę improwizacyą, w któréj między innemi mówił, że „wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania, zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeżeli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas *prawem żywém*, którego słowa, czyny i *giesta* będą artykułami.“ Wówczas też przypomniał sobie widzenie, jakie miał w Grudniu 1840, kiedy oglądał przygotowania do egzekwii Napoleona i widział mianowicie człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle, i uczuł że ten człowiek wiezie wielkość.... „Nie brałem tego za widzenie prorockie,“ dodaje Mickiewicz, „ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki; chciałem go opowiedzieć, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy; dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży i uznałem *prawdę widzenia*“ (1). Nie wiemy, do jakiego stopnia szczegóły te były zgodne ze wspomnieniem owego widzenia; ale samo widzenie, jak go Mickiewicz w tym liście przedstawił, nie zawiera nic nadzwyczajnego, nic proroczego; trudno więc domyśléć się, dla czego poeta widział w nim niepodobieństwo do prawdy.

Mickiewicza pozyskał sobie Towiański 17 Lipca r. 1841 i odtąd przez kilka tygodni dawał mu ustne i piśmienne wskazówki, jak ma się przygotować do spełnienia wielkiego dzieła: odnowienia chrześciaństwa. Wszystko, co wyszło z pod pióra mistrza, nacechowane wielką niezaradnością stylową i z rokiem każdym wzrastającą niejasnością pomysłów i ich wypowiedzenia (2).

---

(1) Korespondencya A. Mick. I, 186.187.

(2) Z okresu dawniejszego znam tylko jeden trzystronicowy artykulik Towiańskiego, pomieszczony w „Tygodniku Wileńskim“ z r. 1820 (tom X. zbioru, str. 285—288).

Uczepiwszy się pewnego wyrazu, tak go często powtarza, czy potrzebnie czy niepotrzebnie, że, wypowiedziawszy dużo słów, bardzo mało myśli podaje. Takie cechy mają już i dwie notatki Towiańskiego dane Mickiewiczowi w czasie owego przygotowania. Zaleca w nich mistrz uczniowi swemu modlitwę „pracę wewnętrzną,“ przez którą ma nabrać „czucia wiernego sługi, umiejącego przez miłość Pana rozróżnić głos jego od poszeptów złego ducha, choćby najpiękniéj, najdoskonaléj udanych“ i każe nadto „pomódz ciału, aby było powolne duchowi, aby góry nad duchem nie brało.“ Zdawałoby się, że nic więcéj nie chciał powiedzieć Towiański; radził uduchowniać się i cały trud tego uduchowniania się oczywiście pozostawiał przysposabiającemu się na „wiernego sługę.“ Zdawałoby się że, nie mając innych pojęć do dania, na zanotowaniu wymienionych dopiéro co zakończy. W rzeczywistości było inaczéj: brak pojęć zakrywał mistrz częstém ich powtarzaniem. I tak np. podzieliwszy na dwa punkta swoje wskazówki w pierwszym liście do Mickiewicza i zamieściwszy jako punkt pierwszy radę owę o „pracy wewnętrznéj“, drugi tak formułuje: „Wysokie stopnie, na które dusza twa nieraz *wzniosła się*, stopnie, na które *wzniosła się* z czystéj posady miłości, *pokory ofiarowania dla prawdziwego ducha*, są tobie wiadome. Otóż *praca*, *usiłowanie wewnątrz*, aby nauczyć się stan ten *utrzymać*, *zapewnić w tobie*, aby skoro Pan Najwyższy powoła do służby, wystąpić pomimo mnóstwa przeszkód w czystéj sukience, w czystém i podniesioném czuciu.“ I to stanowi punkt, niby odrębny od pierwszego, a jednak myślowo tenże sam co i pierwszy.... Mistycy w ogóle czy są w Indostanie czy we Francyi mają zwyczaj rozkoszowania się pewnemi słowami, które zawierają, dla nich tylko naturalnie, treść nieskończoną, mogącą stać się przedmiotem całodziennych rozmyślań! Przemawiając do kogoś innego wymagają po nim spółki duchowéj najzupełniejszéj, a więc nie

---

p. n. „Zdarzenie prawdziwe.“ Artykulik ten odznacza się przynajmniéj jasnością, chociaż ani treścią, ani obrobieniem ponad mierność się nie wznosi. Opowiada tu T., że jeden „młody, żywy, wesoły jegomość, imieniem Ferdynand, był przedmiotem uwielbienia swoich przyjaciół zebranych na wspólnéj i uczciwéj zabawie“, ponieważ podbił serce pięknéj Ludwiki. Wróciwszy do domu Ferdynand odebrał list donoszący o śmierci kochanki, zachorował i gryzł się przez cały tydzień tém, że go najlepszy nawet przyjaciel Dyonizy nie odwiedził. Wyzdrowiawszy, idzie do Dyonizego i zastaje go na marach; wstępuje do klasztoru, przez dwa lata najprzykładniejsze prowadzi życie i mówi jednemu z przyjaciół, że w „klasztorze grób swój znajdzie. Wkrótce, bo w pół roku po tém oświadczeniu, przyjaciel ów, dowiaduje się, że Ferdynanda wygnano z klasztoru za nieprzyzwoite postępki „których wymieniać nie wypada“....

tylko rozumienia myśli swoich, marzeń, zachwytów, ale nadto przenikania ich, domyślania się, zgadywania, gdyż pod tym jedynie warunkiem mogą doświadczyć tych samych rozkoszy duchowych, jakich sam mistrz doznaje.

W ciągu tych chwil, użytych na wdrożenie umysłu poety do mistycznych ćwiczeń, Towiański potrafił pozyskać dwu jeszcze ludzi, Antoniego Góreckiego, wielce cenionego za czasów Księstwa Warszawskiego i początków Królestwa Polskiego poetę, i Izydora Sobańskiego. Na podstawie więc zdania ewangielicznego, że gdzie trzech się zejdzie w imię Chrystusa, tam Duch boży się znajdzie, poświęcił ich aktem uroczystym na apostołów sprawy bożéj i ogłosił, że dnia 7 Sierpnia 1841 o godzinie dziesiątéj zrana początek téj sprawy „zrobiony został". Skutkiem tego „Pan," jak się wyraził T., kładzie kres niedoli ludów a chce, ażeby nauka chrystusowa zajaśniała w całym blasku jak przed 18-u wiekami i ażeby do wszystkich czynów człowieka „bez wyłączenia dotychczasowego" była zastosowana. „Kto uwierzy świadectwu tych trzech braci," mówił, „przez wiarę duszę swą wdzięcznością i miłością dla Pana zapali, zgodnie wezwanie przyjmie i przez to *uwolni brata przybyłego od rozszerzania usty śmiertelnemi* tego, co głęboko w pokorze i milczeniu czcić należy: znajdzie u pana zasługę wiary i da świadectwo zbawienia swego, że głos Pana, choć przez *proch* (tj. przez Towiańskiego) przeszły, poznał i dopełnił" (I, 2).

Nie wiem, jak dwaj inni apostołowie poczynali sobie, ale Mickiewicz z całym zapałem gorącego serca rzucił się do propagandy. Zaraz 15 Sierpnia pisze natchniony wiersz do Bohdana Zaleskiego, powołuje go do natychmiastowego przybycia do Paryża. Brał tu oczywiście życzenie swoje za skutek, bo wierzył silnie w niecofnioną prawdę słów mistrza. Ta wiara skłania go również do przyzywania Ignacego Domejki, ażeby, rzuciwszy wszystko w Chili, wracał czémprędzéj do Europy, do Paryża, gdzie się zjawił „mąż nadzwyczajny, naczynie łask dziwnych." „To co już wiem od niego," dodawał, „jest tak wielkie, że wartoby do Ameryki jechać i z Ameryki wracać, aby podobne rzeczy słyszéć" (I, 14). W Paryżu wpływem swoim wielu do uznania mistrza przyprowadzał, bo słynął wśród rodaków nie tylko jako naj większy poeta, ale też „jako praktyczna głowa, dobrze obejmująca rzeczy i niełatwa do oszukania" (I, 9). Kilku, czy kilkunastu ludzi poszło za przykładem wielkiego poety, znakomitego profesora, dobrego obywatela, który do żadnych robót wątpliwéj wartości nigdy nie należał a wszystkich i zawsze do zgody, do jedności namawiał. Ta okoliczność, że Mickiewicz przez lat 10 nie łudził się ża-

dnemi zwodniczemi nadziejami, dodawało niezmiernéj wagi obecnemu jego wystąpieniu.

Towiański korzysta z tego zapału, jaki widział w najbliższém otoczeniu swojém; postanawia z roli biernéj przejść na chwilę do czynnéj; zwołuje wszystkich rodaków drukowaną kartą do wspaniałéj katedry paryskiéj (Notre-Dame) na dzień 27 Września o godzinie ósméj i pół zrana. Że krok ten spowodowała ostatecznie rwąca się do czynu dusza Mickiewicza, przypuszczać można niemal na pewno.

W dniu wskazanym obecni w kościele ujrzeli ołtarz umyślnie urządzony na środku kościoła, msza była czytana przez tytularnego kanonika katedralnego w asystencyi dwu innych kanoników. Podczas mszy przyjęli komunią Mickiewicz i Towiański. Po skończoném nabożeństwie Towiański przemówił do licznie zgromadzonych Polaków rozmaitych partyj (1).

W końcu głosem podniesionym a uroczystym wymówił słowa następne: „A teraz, zapraszając was do uczestnictwa czynnego, do którego was wezwałem z woli bożéj, oświadczam w obec Boga, którego wolę spełniam, że sprawa boża i epoka chrześciańska wyższa rozpoczęły się“ (II, 293). W sprawozdaniu samego Towiańskiego załączono jeszcze kilka uwag, zapewniających, że w tém co ogłaszał, nie ma nic sprzecznego z Ewangelią, że wszystkie jéj przepisy, wszystkie formy i ceremonie doznają u niego nie tylko uszanowania, ale są rozpatrywane w świetle zupełniejszém, są ożywione duchem miłości i poświęcenia, są czczone czynnie a zatém wywyższone. „Ewangelia,“ mówił, „jest mojém jedyném światłem, mojém jedyném prawem nic wyższego nie zstąpi na ziemię; światło boskie téj księgi zostanie; aż do końca świata jedyną pochodnią człowieka; w miarę postępu chrześciańskiego będzie ono coraz lepiéj poznawane i wykonywane; a wszelkie inne światło okaże się złudzeniem przemijającém“ (II, 291). Zapewnień tych w sprawozdaniach Chełchowskiego i Witwickiego nie ma; ale nie są one nieprawdopodobne. Samo przystąpienie do komunii świadczyło, że Towiański nie chce bynajmniéj

(1) Znam trzy sprawozdania z téj pierwszéj publicznéj mowy Towiańskiego: jedno prawie spółczesne, bo spisane w liście Chełchowskiego z 9 Października 1841; drugie o kilka lat późniejsze, ale przez naocznego również świadka Witwickiego; trzecie dokonane przez samego Towiańskiego, podobno jeszcze późniejsze, a ogłoszone dopiéro w roku 1877. Są one dosyć zgodne ze sobą; jeden tylko punkt z większym naciskiem występuje w sprawozdaniach obu niż u Towiańskiego.

zrywać z kościołem; więc oświadczenie, że w niczém Ewangelii nie zmienia było bardzo naturalném. Towiański uczuł widać na ówczas że z katolikami potrzeba po katolicku postępować, żeby ich nie zrazić tak jak już zraził Skrzyneckiego.

Skutek téj mowy nie odpowiedział oczekiwaniom mistrza; wprawdzie ci co stali bliżéj niego byli wzruszeni, Eustachy Januszkiewicz miał oczy czerwone od łez, płakali też inni, ale nie wszyscy. Stefan Witwicki, na którego Mickiewicz wielce liczył jako na serdecznego przyjaciela, nie uznawał wcale misyi mistrza. Antoni Górecki wkrótce się odstrychnął; liczba uczniów nie zwiększała się silnie. Towiański spróbował jeszcze jednego wystąpienia. Wiedział, jak serca jego rodaków katolików przejęte były czcią dla Matki Boskiéj; w kościele więc Ś. Seweryna zawiesił obrazek M. B. Ostrobramskiéj a powiadamiając o tém rodaków kartą drukowaną, wyraził się dosyć dwuznacznie tak, że można było mniemać, iż to był oryginał, chociaż była to tylko kopia.

I ten atoli środek niewielu przywabił wyznawców; zaniechał więc na czas jakiś głośnych manifestacyj po kościołach, zwłaszcza, że prefekt policyi zwrócił już na nie oko i ostrzegał arcybiskupa paryskiego (17 Grudnia 1841) o nowym apostole. Arcybiskup Dyonizy podziękował prefektowi i zapewnił go, że uprzedzi proboszczów paryskich, aby się mieli na baczności w obec Towiańskiego, gdyby znowu chciał występować w jakim kościele.

Trzeba więc było poprzestać na zebraniach prywatnych. Odbywały się one w mieszkaniu Mickiewicza co niedziela; przychodził na nie prawie każdy, kto chciał, wprzód się tylko gospodarzowi domu opowiedziawszy. Z początku miewał konferencye sam mistrz lecz w roku następnym odbywał już wielki post samotnie, z Mickiewiczem nawet rzadko i krótko widując się. Obowiązek więc nauczania braci spadł na poetę, który w tym samym czasie musiał również ciągnąć dalej swój kurs literatury w *Collége de France*. Co w kursie literatury było napomknięciem, to w konferencyach niedzielnych stawało się radą praktyczną, ćwiczeniem duchowém, tworzeniem obrządku nowego objawienia. Musimy się więc zapoznać z ich treścią choćby w zarysach najogólniejszych.

II.

Nie chodziło w konferencyach tych o rozpowszechnienie jakichś pojęć, jakichś idei, gdyż miestrz sam małą ich ilość posiadając, nie-

wiele je cenił. Prawidłem jego było nigdy z nikim *nie rozprawiać* (I, 16), bo idee nikomu już nie pomogą (I, 70). Ziemska mądrość jest głupstwem; należy wszystko z ducha czerpać i *czuciem* pojmować prawdę słowa pańskiego. Ktoby więc szukał jakiegoś określonego poglądu na świat, na naturę ludzką, na dzieje narodów lub jednostek, tenby najzupełniejszego doznał zawodu. Człowiek, co prawda, nigdy się nie potrafi pozbawić wszystkich zdolności swego umysłu; stąd choćby jak najbardziéj nie nawidził rozumu, zawsze przecież czerpać z niego choć trochę musi. I Towiański, zwłaszcza gdy się przekonał, że słuchacze jego i wyznawcy bądź co bądź potrzebują idei, mówił o niéj ogólnikowo i starał się dać jakie takie odpowiedzi na pytania dotyczące historyi i usposobienia ludów. Tak jak Hoene Wroński w dziejach odróżniał *siedm epok*; ale gdy autor Mesyanizmu każdą z nich dokładnie określił i powiedział, że żyjemy w piątéj; Towiański nie zadając sobie trudu nad wynalezieniem cech odznaczających wszystkie epoki zadowolnił się twierdzeniem, że żyjemy dopiéro w epoce drugiéj, zaczynając pierwszą od Jezusa Chrystusa a milcząc zupełnie o świecie przedchrześciańskim. Chrystus zrealizował słowo boże na ziemi; to co ludzkość dopełnić ma w ciągu wieków, Chrystus w życiu swém już urzeczywistnił; ale wraz z jego śmiercią słowo boże opuściło ziemię, umarło dla ziemi (II, 293). Człowiek przez „złą wolę swoję“ przerwał działanie myśli bożéj i pozostał w stanie dziecińśtwa; czcił formę słowa bożego a nie posiadał jego ducha.

Reformacya, podług Towiańskiego, nie tylko nie podniosła sprawy bożéj, lecz owszem poniżyła ją. „Luther popełnił grzech straszny, chcąc wytłómaczyć słowo boże przez ziemię; nadał on zbyt fatalny kierunek czczeniu Boga za pomocą rozumu, za pomocą ziemi; znaczy to tyle, co chcieć obalić chrystyanizm, który pojmuje Boga duchem, uczuciem; a duch Lutra do téj pory uznać tego nie chce.“ Wyrzuca protestantyzmowi, że wygnał z kościoła wszystko co obudza uczucie: ceremonie, obrazy, posągi, że wszystko w nim jest zimne, rozsądkowe; że każdy jest w nim jakby w swoim pokoju; że nie ma żadnéj ofiary „a zatém żadnego postępu“..... (II, 337).

Napoleon dopiéro zaczął realizować słowo boże, ogłoszone przed 18 wiekami, zarówno w życiu prywatném jak i publiczném. W czém Towiański dopatrzył téj realizacyi, o tém nigdy szczegółowo nie powiedział, zbywając ciekawych takiemi ogólnikami, że był to urzędnik słowa, przedostatni w świętéj kolumnie duchów wspierających człowieka, że czas poprzedzający pojawienie się jego był przed świtem, on jakoby jutrzenką przed wschodem słońca, że gdyby Napo-

leon nie był wprzódy na ziemi, to on, mistrz, musiałby bardzo wiele trudu ponieść, ażeby dać poznać Francyi bohatéra epoki nowéj. Napoleon umiał znaléść „punkt egzaltacyi,“ posiadał „ruch ducha“, chociaż dla idei niższéj; z powodu téj pracy ustawicznéj ducha był on zamyślony, milczący. Bądź co bądź Napoleon był człowiekiem niepojętym (un homme inconcevable). Misyi jednakże swojéj nie spełnił. Dla czego? W odpowiedzi znowu ogólniki: ponieważ nie wytrwał w *tonie*, ponieważ energia jego nie była w końcu dosyć *czysta*: ażeby zasłużyć na pomoc nieba (II, 309), że wykoleił słowo boże (II, 317) i t. p. Naciskany pytaniami, odkrył przecież po dwakroć bliżéj, na czém polegało owo wykolejenie. Raz, popełnił Napoleon grzech wielki, że nie uszanował dostatecznie w papieżu namiestnika Jezusa Chrystusa i traktował go na równi z innymi władcami; a drugi raz, że pragnął, ażeby rękodzielnie francuskie wyrównały w doskonałości rękodzielniom angielskim; „przez to właśnie uznał wyższość Anglii i upadł“ (II, 312).

Chcąc zrozumiéć możność tego grzechu, trzeba wiedziéć, że każdy naród ma swoje przeznaczenie, swoje posłannictwo i że nie powinien z zakrésu jego wychodzić. Rzecz tę tak Towiański, niepodnoszący się nigdy do poglądów szerokich, przykładowo objaśnia. „Napoleon upadł, ponieważ chciał zwyciężyć Anglią *tonem* Anglii; chciał zgnieść jéj handel i przemysł, robiąc Francyą przemysłową i handlującą. Bóg wszakże popiéra handel i przemysł Anglii, ponieważ one są *na wysokości* ducha angielskiego, a wymaga, żeby Francya wydała owoc wielkości i starożytności swego ducha. Wiedz, mój bracie, że każdy Francuz był *mężem przed* epoką Jezusa Chrystusa. Napoleon źle zrobił, chcąc unicestwić Anglią. Trzeba szanować myśl bożą *nawet w błocie* a nigdzie nie można przekraczać granic położonych przez Boga. *Żółć* popycha nas do niszczenia, ale duch mówi: szanuj wszędzie myśl bożą, podnoś się na swojéj drodze a podniesiesz innych (II, 335). „Nie przyszedłem“, mówi Towiański w innym czasie, „dawać wam rozkazy, ale służyć. Wszystko co żyje w naturze jest bratem moim, nawet ten robaczek, co czołgając się z jednego miejsca na drugie spełnia wolę bożą w małém swojém kółku. Tak samo są ludzie, mający małe kółko działalności, to też dozwoloném jest Anglikom, którzy *według ducha są dziećmi dwuroczne-mi*, bawić się złotem. Niemcy, mający lat trzy, mogą zajmować się filozofią; ale lud Izraela, Francuzi i wy, rodacy moi, którzy już dosięgliście wieku młodzieńczego nie możecie mieć téj wolności. Wy obowiązani już jesteście poszukiwać tego, co podnosi ducha i nie powinniście czynić wszystko jedynie podług prawa wyższego, podług

prawa słowa bożego. A jednak ów robaczek, ów Anglik, ów Niemiec są braćmi naszemi i kochać ich powinniśmy.“ Napoleon chciał się wynieść i przewyższyć Anglików na polu dziecińśtwa; ażeby zwyciężyć Anglików sam stał się dzieckiem. Gdyby był chciał pracować dla zajęcia swego własnego i pokazania się na niém tém czém jest, tém czém jest Francya; wówczas Anglia upokorzyłaby się, bo pokonałaby ją broń właściwa dla zwyciężenia „brata młodszego“ dla podniesienia go. Bóg pragnie tego zwycięstwa; bo ono będzie „postępem“ obu braci: aż do téj chwili „brat młodszy“ widzi w starszym widziadło tylko to jest męża, który się stał dzieckiem. Anglik nie jest widziadłem, on „jest w prawdzie,“ on jest tém, czém jest; dziecko bawi się pogrążone całkowicie w swych cackach, w swych złudzeniach (II, 337).

Towiański mówi ustawicznie tylko o trzech narodach: Izraelitach, Polakach i Francuzach jako o przeznaczonych do spełnienia „Sprawy Bożéj“; sprawa ta jednak dotyczé całéj ludzkości; cóż więc mówi o przeznaczeniu owych „braci młodszych“. Pod tym względem zachowuje T. roztropne milczenie, widząc, że i wśród najbliższego otoczenia propaganda bardzo powoli postępuje. Pochlebiając miłości własnéj tego otoczenia, kwalifikuje inne narody jako dzieci, które jeszcze nie dorosły do zrozumienia „sprawy bożéj,“ które długo jeszcze będą musiały pracować, ażeby stanąć tam, gdzie już stał stary Izrael, Polak i Francuz. I tym jednak nie przyznaje zupełnego usposobienia do wypełnienia; mówi im tylko o ich wielkiém przeznaczeniu. Cierpienia długowieczne Izraelitów, zapał Francuzów, prostota i pobożność Polaków zjednały im tę wielką łaskę u Boga, że pierwsi usłyszeć mogli słowo boże w wyższym rozwoju. Szczególniéj jednak dwa ostatnie narody cieszą się tą łaską. Francuzi „posiadają materyą, siły ziemskie w obfitości, ale potrzebują ducha ofiary chrześciańskiéj.“ Francuzi mają ciało subtelne, które dla ducha ich nie stanowi przeszkody; stąd łatwo się zapala; są narodem, które idzie na czele postępu ludzkości. Polakom przeszkadza ciało, które jest grube; ale oni mają w sobie ducha ofiary, którym mogą zasilić Francuzów. Wpływu jednak tego nie określa dokładnie Towiański; owszem niekiedy wypowiada wprost, że Francya może dojść do poznania „słowa bożego“ wtedy tylko, gdy się przejmie duchem Napoleona, który, odpokutowawszy swe grzechy na wygnaniu, stał się wolnym dnia 15 Grudnia roku 1840, to jest wówczas, kiedy prochy jego przeniesiono do Paryża. Co więcéj ten duch Napoleona powinien przejmować wszystkich. „Musimy się koniecznie“, powiada T., „połączyć z duchem Napoleona. Napoleon dał wzór działania, jest poprzednikiem czynnego życia słowa. Człowiek, który ma choć trochę

idei napoleońskiéj, jest bliższym Boga niż wiele osób modlących się do Boga od rana do wieczora“ (II, 296).

Ziemia jest wielka i potężna przez nadużycie łaski; Boga nie ma na ziemi: bo na niéj panuje duch piekieł; grzech stworzył arcydzieło, ciało się podniosło, duch się obniżył. Podróże, umiejętności, sztuki piękne, teatra, koleje żelazne, statki parowe, wynalazki: są to owoce grzechu, są to nieszczęścia człowieka zostającego na manowcach. Nie są one jednak złe same przez się; mogą się owszem stać szczęściem na drodze prawdziwéj, mogą się stać siłą człowieka i środkiem do zrealizowania ducha. Francya pierwsza powołana jest do urzeczywistnienia téj prawdy, że można mieć wielkie życie ziemskie, nie zniżając ducha do tonu ziemskiego. Kiedy się pytano T., który powiadał, że rządy Ludwika-Filipa gubią ducha we Francyi, jaki też rząd w tym błogosławionym kraju się ustali, odpowiadał niejednokrotnie wygodnym frazesem, że taki rząd Francya mieć będzie na jaki zasłuży.

Jakież więc reguły podaje Towiański, ażeby sobie zasłużyć na błogosławieństwo boże; co trzeba robić, ażeby nastąpiło urzeczywistnienie słowa bożego na ziemi? Człowiek ma trzy obowiązki do spełnienia: podnieść ducha, zdobyć ciało, podnieść ciało do wysokości ducha. Człowiek powinien się egzaltować, bo egzaltacya daje siłę. Ale egzaltować się bez przeniknienia ciała, jest to zbaczać z drogi prostéj. Kto egzaltuje się tylko w duchu jak Francya, jak panie salonowe; ten dokonywa tylko pozorów: egzaltacya jest fałszywa. Jak tylko wzniesiemy ducha, powinniśmy duchem tém przeniknąć swe ciało; a wówczas możemy wpływać na innego człowieka i udzielać im ruchów swego ducha. Pierwszym środkiem do uczynienia egzaltacyi prawdziwéj jest modlitwa, ale nie modlitwa waży, tylko wzniesienie ducha do Boga, połączenie się z nim. Modlitwa ta powinna odbywać się codziennie; co wieczór zaś robić należy rachunek sumienia. Dalszemi środkami są: ciągła praca w duchu, pomoc udzielana ciału, aby powolne było duchowi, spowiedź, inne sakramenta, poprawa życia, darowanie urazy i czekanie „hasła szczęścia swego“ z czystém sercem, wyrabianie „czucia mocy,“ zapomnienie o sobie, strzeżenie się suchości i ospałości ducha, bo „lepiéj jest być dziecinnie i chłopczykowato wesołym niż ociężałym;“ zdanie się na Boga, słuchanie, staranie się o pokój duszy, oczyszczenie wnętrza z zarazy arystokratycznéj, unikanie wszelkiego *zaprzeczenia*, z którego rodzi się dyskusya. Wszystkie te środki skupia Towiański we własnych technicznych wyrazach: *hora*, *horowanie* (prawdopodobnie wzięte z języka ludowego: harować to jest ciężko pracować).

Do pomocy przy téj pracy wewnętrznéj doradzał mistrz różne obrządki zewnętrzne. Królową Sprawy ś. była, jak wiemy, Matka Boska Ostrobramska w kościele ś. Seweryna. Wpatrywanie się w ten obraz, modlitwa przy nim, były zalecane. Krucyfiksu nie protegowali towiańczycy; mieli natomiast krzyż *biały* bez męki pańskiéj i chorągiew z wizerunkiem Chrystusa. Post nowego zakonu był następujący: od rana do zachodu słońca wstrzymywano się od działań, rozmów i myśli, któreby nie były w stosunku prostym ze sprawą. Do miejsc świętych odbywano pielgrzymki, a szczególniéj do Waterloo. Mistrz, zachęcając do odbycia téj pielgrzymki, doradzał wyznawcom, ażeby odwiedzili przedewszystkiem kapliczkę znajdującą się na tém miejscu, gdzie stali Francuzi w pobliżu fermy Caillou, i obejrzeli drzewo, pod którém znajdował się Napoleon przy końcu bitwy. „Pod tém to drzewem“, objaśniał mistrz, „Napoleon uczuł, że utracił całą potęgę, że nić łaski urwała się dla niego. Módlcie się tam do Boga, żeby połączył w was *Słowo* z czynem; żeby nie pozwolił, aby myśl uczczenia *Słowa* przez praktykę została przerwana.“ Drugiém miejscem uprzywilejowaném było Einsiedeln w Szwajcaryi, gdzie czczono ś. Meinarda. Bracia nosili znaki Służby ś. i ozdabiani byli medalami. Przez czas jakiś Mickiewicz nosił się nawet z myślą wybudowania czy też urządzenia kaplicy a przynajmniéj Ołtarza przed obrazem Matki Boskiéj Ostrobramskiéj. Towiański myśl tę pochwalił, ale kazał się wstrzymać z jéj wykonaniem; podał tylko projekt, jak w danym razie należy to urządzić. Cała kaplica miała być błękitno pomalowana z gwiazdami u góry; na bokach ołtarza miały stać dwie kolumny koryncki „w całéj wzniosłości porządku;“ na nich dwa *łęki* lub pawilon, a na tym znów, amor wznoszący się w górę z napisem: *Gloria in excelsis Deo.*

Wynikiem połączonych ćwiczeń wewnętrznych z praktykami zewnętrznemi miał być *ton*, który stanowił całą zasługę i całą potęgę zarazem prawdziwego wyznawcy. Nie ma prawie ani jednego listu, ani jednéj notatki Towiańskiego, w którychby o tym *tonie* mowy nie było; ale napróżnobyśmy szukali wyjaśnienia, czém on jest, po czém go poznać można. Do wyrobienia, do podnoszenia tonu, do trwania w nim słyszymy ciągłe zachęty. Mistrz orzeka, że ten brat ma ton, a tamten go nie posiada, że jeden obniżył się w tonie, a drugi podwyższył; ale powodów tego orzeczenia wcale nie wskazuje. I nic dziwnego; ton musiał być wytworem każdego wyznawcy z osobna, musiał być wynikiem ruchu jego ducha; pojęcie o tonie z zewnątrz dane do niczegoby nie służyło. Zresztą nawet ‚pojęcie tonu“, w ściSłém znaczeniu wyrazu, było niemożliwém; bo go *czuciem* jedynie pochwycić należało. Kto taki ton posiadał i ciało swe przeniknął

nim, ten mógł czuć ton innego brata, chociażby o kilkaset mil oddalonego. Mickiewicz i Towiański raz tylko jeden podali *cechy* tego tonu: „prostotę, rzewność, niewinność dziecięcą, bez błagania, bez uniżenia się przed ludźmi“ (I, 274, 284). Jako wzory takiego tonu podaje Mickiewicz pisma Towiańskiego; ale dla profanów nic ta wskazówka nie może znaczyć, bo oprócz ciemności wyrażeń i chaosu myśli nic więcéj w nich odkryć niepodobna. Towiański napomyka raz (I, 286), że duch ma *siedm tonów*, ale nie rozwija wcale tego poglądu i nigdy nie wskazuje praktycznie, jaki ton, czy pierwszy, czy drugi, czy trzeci i t. d., ma ten lub ów wyznawca. Wiemy wszakże, że ton musi panować w każdym ruchu ciała, w każdém drgnięciu, w każdém słowie, w każdym postępku. U kogo ton „niedociągnięty“, ten nie może służyć skutecznie Sprawie Bożéj, ten jest w „męcie“. Jak ton podobny bracia odróżniali? Jedynie za pośrednictwem czucia. Ztąd téż takie np. sprawozdania Mickiewicza przesyłane mistrzowi, jak: „brat Seweryn w tonie ciągle *twardnieje* i zniża się; bracia nie zawsze w stosownym tonie mu odpowiedzieli“; albo téż że brat N. w tonie podniósł się: nie dają nam obrazu stanu duszy danéj jednostki, ale są jedynie dla wtajemniczonych, dla odczuwających ten stan zrozumiałe. Mickiewicz lubił wyznawcom dawać za przykład prostotę chłopa polskiego, który, dotknięty chorobą, bosonóż, na kulach idzie na odpust z tą wiarą, że zdrów do domu powróci. „Może my wiele zrobiliśmy“, dodaje poeta, „może my mamy wielkie zasługi; ale jakkolwiekbyśmy stali wysoko, chłop nasz jest od nas większy przed Bogiem; jemu jest więcéj wiadomych tajemnic pańskich; bo taką wiarę w ojca może tylko mieć syn, co na jego piersiach spoczywa“ (I, 222).

Rzecz naturalna, że takie zatopienie się w samém uczuciu, posługiwanie się wyłącznie intuicyą wymagało abdykacyi rozumu, wymagało, mówiąc słowami Towiańskiego, „wypróżnienia ducha“, „zgłupienia dla Chrystusa“. Mickiewicz téż najwyraźniéj powiada, że potrzeba wyrwać się zupełnie z przeszkód ziemi, „z więzów umysłu naszego“, ze wszystkiego, co jeszcze zawadza a „utonąć“ natomiast i „spocząć w Sprawie“ (I, 231). A wtedy, jeśli uczucie jest silne, jeśli wyobraźnia bujna; można mieć przeczucia, sny cudowne, natchnienia i widzenia. I rzeczywiście miewa je Mickiewicz, miewają niektórzy inni bracia. „Miałem myśl“, opowiada raz Mickiewicz Towiańskiemu, „aby jedno pomieszkanie było obrócone na skład rzeczy należących do Sprawy: pism, obrazów etc. gdzieby wolno było bratu pójść na pracę duchowną. *Uczułem*, że o tém będzie *znak* jakiś. Badałem Romualda, czy nie miał jakiego *znaku* o mieszkaniu swojém, ale nic z téj strony nie było. Razem *ciągnęło* mię

czucie ku mieszkaniu jednéj pastuszki kóz (gdzie nigdy nie byłem), która o Sprawie wié i świątobliwie żyje. W tymże czasie ona, nic o moich zamiarach nie wiedząc, miała nadzwyczajne widzenie, iż Bóg w jéj chatce przyszedł mieszkać" (I, 153). Podobne przeczucia powtarzają się nieraz, choć się nie sprawdzają nigdy (I, 87, 167). Sny i widzenia nawiedzają go równie często. „Byliśmy trapieni ciągle *snami* o Ferdynandzie (Gucie). W czasie choroby mojéj raz śniło mi się, że walczyłem z wrogami, a Ferdynand wisiał na mojéj szyi bezwładny i słaby, i że go tak nosiłem. Inni także o nim *śnili*. To nas bardzo niepokoiło. Celina (żona M-a) miała téż przypadek: padła krzyżem silnie na schody kościoła. Teraz zdrowa. Lepiéj z nią i będzie lepiéj. Mam to zapowiedziane *znakami wielkiemi*. *Widziałem jéj ducha*. Odtąd postępowanie moje z nią poszło z pewniejszéj siły i coraz skuteczniéj idzie" (I, 143). W parę miesięcy potém znowuż widzenie: „W ostatnich dniach dał mi Bóg poczuć niektóre ważne rzeczy o sobie. Doszedłem, iż moje cierpienia ciała są robotą ducha czy kilku ich, którzy dotąd mię napastują. *Jednego z nich w pólsnu widziałem*. I dobry téż stróż mój coraz mnie bliższy i *dotykał mię*, ale jeszcze nie wiém jego nazwiska i kto jest. Może Bóg i to mi odkryje. Jedenastego i dziś *w nocy* byłem w téj pracy. Zdaje się, że duchy koło mnie *są z mojéj rodziny*" (I, 192). Tego rodzaju widziadła, natchnienia, dosyć często zapisuje Mickiewicz (I, 40, 51, 52, 62, 139, 142; II, 99), uważając je zawsze za wskazówki postępowania; notuje téż sny innych braci (I, 98, 135, 143, 261) i przedstawia je mistrzowi do rozwagi i sądu.

Kto nigdy sam nie odbywał ćwiczeń duchowych z zupełném zapomnieniem o świecie zewnętrznym i o sobie; kto nigdy nie doznawał rozkoszy i męczarni zarazem tego mistycznego zatopienia się w Bogu, tego zrzeczenia się swojéj indywidualności na rzecz ducha niewidzialnego, wszędzie obecnego, na wszystkie najdrobniejsze nawet kroki nasze patrzącego; albo téż kto nie studyował przynajmniéj życia wewnętrznego wielkich mistyków (jak np. ś. Teresy): ten przytoczone powyżéj sny, przeczucia, natchnienia i widzenia traktować będzie uśmiechem politowania i nie zrozumié nigdy, jak potężna inteligencya mogła się zniżyć do wiary prostaczéj, zabobonnéj, cudackiéj. Ale ten, kto się znajdował choćby pod niedługotrwałą władzą ekstazy, a późniéj trzeźwém na nią spojrzéć mógł okiem, oceni wysoką tragiczność, jaka się w owych naiwnych mieści opowiadaniach. Nie tak to łatwo było szeroki pogląd na wszechświat i jego dzieje zacieśnić do szczupłego koła pojęć udzielonych przez mistrza; nie tak łatwo było nabytki wiedzy przez lat co najmniéj 30 zbierane podeptać i zbrzydzić sobie a na ich miejsce czcić same fantastyczne obra-

zy; nie tak łatwo przemienić tryb życia codziennego i w każdym stąpnięciu, w każdym geście mieć na pamięci Sprawę i tylko Sprawę. W duszy poety odbywała się walka straszna, w któréj dawny człowiek, ustalony w pojęciach i uczuciach, pasował się z człowiekiem nowym, a jednak niezupełnie sobie obcym. Walka ta trwała rok cały. Pomimo początkowych zapewnień poety, że w duszy jego wiosna zapanowała, były tam słoty jesienne, płaczące łzami gorzkiemi. Pozostał nam ślad tych łez w jednym z listów poety do Towiańskiego, w którym są ustępy tragicznėm przejmujące uczuciem. Mickiewicz zaczyna od wezwania pomocy: „Drogi nasz mistrzu! Zasilaj *koło* nasze słowem i *mnie pożyw*. Koło trzyma się w całości, ale mało ruchu i słabo.“ Następuje zarys ówczesnéj fazy szamotania się ducha: „Ja więcéj kruszę się jak podnoszę się, dałeś mi *jęk* do Pana, ale *moc* nie schodzi“. I jakżeż? mówi to minister słowa bożego, przyznaje się do słabości!... A dla czego? Bo przeszłość jest po za nim, bo w nim silnie stoi dawny człowiek: „Często zdaje mi się, że już jestem duchem stojącym i pokutującym w *nieruchomości*, tak przeszłość moja ciemna i kręte dawne drogi porywają ducha mego *wstecz* na rozmyślanie. *Lotu nie mam dotąd*“. A prócz tego nieubłagana rzeczywistość grozi mu ciągle, bo mistyka daje siły, ale tylko we wnętrzu ducha. Jakże głęboki smutek widać w tém krótkiém prostém zdaniu: „Część wielką siły pożera mi dom.“ Nie rozszerza się poeta nad tym przedmiotem, jakby mu wstyd było, że na chwilę o sobie, o rodzinie pamiętał; więc natychmiast zwraca się do swych obowiązków, do prac w „kole“. „A muszę ciągle pilnować i najmniejszą szczerbę opatrywać i *duchem całym* zatykać, aby złe nie wcisnęło się. Ciężko mi samemu w *kole*“. W końcu wciska się rozpacz nawet do owych widzeń, które mogły były dostarczyć najwięcéj pociech, najwięcéj rozkoszy duchowych: „We snach mam częste i ciężkie walki z duchami przeciwnemi, a *jeszcze ni razu mi się nie przyśniło, żebym ich zwyciężył*. To męczą mię, to wołam o ratunek, to uciekam. Stoję zawsze walecznie, ale siły nie dopisują. *Toż samo i na jawie dzieje się zapewne ze mną*“.... (I, 39, 40).

Na ten krzyk duszy zbolałéj, która tak szczerze zaufała słowom mistrza, przynoszącego „pociechę“, — cóż odpowiada Towiański? Otacza się przedewszystkiem, jak zwykle tajemniczością; powiada, że z powodu oddalenia nie może „wyjaśnić myśli pańskiéj temi czasy spełniającéj się“; ale „wolno mu“ odezwać się już do braci i „daléj na kierunek wpłynąć“; prawi znane wszystkim ukształconym ogólniki o rozdwojeniu duszy ludzkiéj i jego potrzebie; zamiast serdecznéj szczeréj pociechy daje uczuć chłodną powagę mistrza, który z góry wiedział, że taki stan w duszy ucznia

musi nastąpić. „Odkrywasz mnie, kochany Adamie, stan wnętrza twojego. Wchodzę w położenie i czuję ciernie żywota twojego; a *widzę jak wszystko dobrze będzie*. Wyzwoliłeś się już wiele z więzów padołu i wiele się wznosisz do krainy weselszéj; ale masz, najmilszy bracie, *dopełnić to wyzwolenie*, w *należnéj swobodzie* ducha twojego stawiąc; a wolnego wznosić, rozpalać dla pana i wielkiéj myśli pańskiéj". Tyle dla zachęty na przyszłość, a teraz następuje niby wyjaśnienie duchowego stanu ucznia: „Jestto *prawo* dla wszystkich nas powołanych. A *taki* tylko *duch nasz troski*, jak słońce mgły, rozpędzi: a troski dawane są dla budzenia do tego tonu czystości i wzniesienia, do téj ofiary od gatunku ducha należnéj (?). Przez skruchę i jęk do Pana obmywamy się w źródle miłosierdzia, wyzwalamy się, stajemy na drodze; a tylko przez *budzenie siebie* na téj drodze, przez *pracę ducha* wznosimy się, ofiary naszéj dopełniamy, owoc dojrzały panu składając. Rozdzielanie tych dwóch osobnych części jest częstokroć źródłem niedoli człowieka... Po trudach twych, bracie najmilszy w tych dwóch częściach, kiedy wiele w nich zasługi liczysz, ostatni *szlif* (?) łatwo dopełnisz, przygotowane owoce zbierzesz; a Sprawa Pańska pole i ułatwienie tobie podaje, a dzięki Panu nad Pany, ten nas połączył i nie rozdzieli."

Taki list mógł pocieszyć i umocnić chyba Mickiewicza tylko, który mógł czerpać z zasobów własnego umysłu, wznosić się po szczeblach udoskonalenia duchowego. Mistrz atoli kazał mu jeszcze budzić ducha w kole, do takiéj saméj pracy ducha zagrzewać, ton z braci czysty i pełny wydobywać, to jest po prostu trzymać w zawieszeniu ich umysły i ich serca. A przecież po większéj części byli to ludzie prostego serca, którzy nie potrafili przenikać ciągle ciała swego duchem, nie mogli żyć abstrakcyami lub fantazmatami. Istotnie, prócz Mickiewicza, Goszczyńskiego i Słowackiego, w gronie wyznawców mistrza napotykamy same imiona nieznane, ludzi bez wątpienia poczciwych, może nawet serdecznych, ale inteligencyą nieodznaczających się. Oni pragnęli czynu, kazano im się modlić; oni chcieli wiedzieć coś napewno, kazano im czytać niezrozumiałe listy mistrza i zatapiać się przez 24 godzin (I, 264); oni byli ludźmi praktycznymi, kazano im robić egzercycye mistyczne. Potrzeba było takiéj energii i takiego wpływu na umysły, jakie posiadał uwielbiony przez wszystkich poeta, ażeby tak długo ludzi tego rodzaju utrzymać przy sobie. Do jakiego zaś stopnia trudném było położenie, najlepiéj wykaże ta okoliczność, że w pięć lat po rozpoczęciu Sprawy Mickiewicz musiał wydać o własnéj żonie Celinie świadectwo następne: „Celina wiary w sprawę nie ma, lubo ją *udać umié*, kiedy potrzeba" (I, 300)... Cóż dopiéro mó-

wić o ludziach obcych skądinąd poecie, którzy spodziewali się jakiegoś rychłego przewrotu, a ten ciągle się jakoś nie pojawiał. Dla tego też silna i radośna wiara dni pierwszych wkrótce zniknęła tak dalece, że Mickiewicz nie naglił już Domejki do powrotu, lecz zostawiał to jego własnemu natchnieniu. Proroctwa nie spełniały się, widzenia okazywały się ułudą, sny zawodziły: oschłość ducha zaczynała się wkradać, wytężone z początku uczucia i wyobraźnie, pozbawione nowéj karmi, słabnąć zaczęły. Potrzeba było coś przedsiębrać i jeżeli nie sprowadzić królestwo boże na ziemię, to przynajmniéj dążyć do tego. W tym celu mistrz sam a częściéj z natchnienia Mickiewicza i za jego pośrednictwem decydował się do pewnych kroków, które miały na celu okazać, że nie sama modlitwa, nie sama kontemplacya jest posadą opoki realizacyi słowa bożego, lecz rzeczywiste wniknięcie w życie, działalność, czyn jakiś.

III.

Nie będę kroków tych opisywał szczegółowo, ponieważ pod względem wewnętrznym nie rozjaśniają teoryi; nakreślę tylko chronologiczny ich przebieg z uwydatnieniem punktów ważniejszych.

17 Marca 1842 przy sztandarze Chrystusa Nanterre mieli bracia pod przewodnictwem Mickiewicza „ruchem ducha drgnąć dla Boga“ i błagać o strącenie szatana to jest ducha ziemi. Mistrz zapewniał wyznawców, że w dniu tym o godzinie 10-éj wielu ludzi dobréj woli łączyć się z nimi będzie, a między innymi ówczesny marzyciel francuski Pierre-Michel.

Na wielkanoc w Kwietniu tegoż roku miał Mickiewicz i Karol Różycki udać się do Czartoryskiego i przedstawić mu sprawę. Rezultat bliżéj nieznany, ale widocznie negatywny.

3 Maja na posiedzeniu „Towarzystwa historyczno-literackiego“ Mickiewicz, który był jego prezesem po śmierci Niemcewicza, mową swoją pociągnął ku sprawie 44 rodaków. Cyfra ta byłaby bez wątpienia bardzo wymownym świadectwem wpływu wywartego przez mowę, gdybyśmy nie musieli przypuścić, że pomiędzy owymi słuchaczami znajdowało się już wielu wyznawców Towiańskiego dawniejszych. A przypuścić to musimy dla tego, że w dwa miesiące potém na uroczystym akcie, który potrzeba było stwierdzić największą

liczbą podpisów, znalazło się wyznawców Towiańskiego tylko 45, a wiemy napewno, że w Lipcu przybyli Bolewski, Słowacki, Shinder, Nielubowicz, Klukowski.

15 Czerwca poleca mistrz „baryerę dotychczasową z bratem Francuzem zedrzéć“ to jest mówiąc po prostu szukać prozelitów wśród obcych. Ciekawą jest instrukcya dana towiańczykom przez mistrza, jak mają do Francuzów przemawiać. Modyfikuje on tu wyraźnie słowa, które do rodaków 27 Września 1841 wypowiedział. Zszedłszy się z Francuzami „w Bogu, w jedném czuciu, w jedném widzeniu“ poleca „mówić o zlitowaniu się Pana *najprzód* nad Francyą, a potém z *kolei* nad ludami słowiańskiemi.“ W radzie téj nie znać proroka; ale natomiast występuje człowiek, znający potęgę miłości własnéj.

W Lipcu Mickiewicz, nagabywany przez księży polskich, którzy wyznawcom Towiańskiego nie chcieli dawać komunii, udał się do arcybiskupa paryskiego Affre, ażeby go zapewnić o swojéj prawowierności a zarazem przedstawić mu martwotę ówczesnego duchowieństwa, które, zamiast budzić ducha, zamiast zapalać serca entuzyazmem dla prawd wiary, piszą nędzne rozprawki, zajmują się administracyą, pilnują litery pisma. W końcu gdy arcybiskup pytał się Mickiewicza, co ma uczynić? poeta miał odpowiedziéć: „Ja prosty laik, tyś biskup: módl się do ducha ś. a zrozumiesz, co masz czynić. Ale koniecznie zrób coś takiego, aby, gdy wychodzisz na ulicę, lud klękał przed tobą, prosił cię o błogosławieństwo i, otrzymawszy je, wierzył, że jest lepszym i został nim rzeczywiście. Otrzymaj to, a będziesz prawdziwym biskupem“ (1). Obustronne wrażenie, jakie widzenie się to sprawiło przedstawia ks. Kojsiewicz w sposób następny. Mickiewicz przyszedłszy do księdza K., który oczekiwał na jego powrót, powiedział: „Wiesz, on daleko pokorniejszy odemnie, jamci mówił do niego na kolanach, ale on przedemną jakby laik się tłómaczył.“ Arcybiskup zaś miał powiedzieć o Mickiewiczu do tegoż księ-

---

(1) Sprawozdanie o téj rozmowie mamy tylko jedno, spisane w dość późnym czasie przez ks. Kojsiewicza, który, będąc dawniéj przyjacielem Mickiewicza, potém jako gorliwy kapłan stawiał mu gdzie tylko mógł przeszkody. Ton i słowa Mickiewicza w tém sprawozdaniu są zbyt ostre, że nie powiem grubiańskie. Zdaje się, że pomimo żywości swojéj i skłonności do uniesień, nie mogły być one zupełnie takiemi, jak je ks. K. podał, tém bardziéj że je M. wypowiadał „na kolanach“.

dza: „Wasz poeta jest człowiek egzaltowany, ma on jednak dobre chęci, nie odpychajcie go zatém i bądźcie z nim cierpliwi.“

13 Lipca otrzymał Towiański rozkaz wydalenia się z Paryża z powodu, jak mówią, jakichś przepowiedni odnoszących się do śmierci księcia Orleańskiego. Pozostał jednakże jeszcze dni kilka w mieście, a w wilią wyjazdu (18 Lipca) zebrawszy braci w kościele ś. Seweryna miał do nich przemowę, czy też rozdał tylko kartki z pożegnaniem i zachętą do wytrwania. Poczém udał się najprzód do Belgii, gdzie przebywając to w Senhi, to w Ostendzie, to w Brukseli przebył aż do Sierpnia roku 1843, poczem udał się do Szwajcaryi.

Odtąd koło paryskie, podzielone na siódemki, zostawało pod kierunkiem Mickiewicza, słuchało jego konferencyi, przez niego odbierało wskazówki mistrza; Seweryn Goszczyński był z początku najgorliwszym jego pomocnikiem i odbierał od Tow. wprost do siebie adresowane listy. Przez kilka miesięcy trwa znowu praca tylko wewnętrzna. Zewnętrzny skarb koła Mickiewicz tak opisuje w liście do Ignacego Domejki z dnia 22 Października r. 1842. „Wystawieni jesteśmy na szturm całéj emigracyi. Wszystko się zmieszało. Książę Czartoryski i jego strona ma nas za szalonych... wojskowi za przywłaszczycieli ich rangi! Piszą, krzyczą, my milczymy. Walka zamknęła się w murach kościoła; tam wszystko kupi się. U ś. Rocha księża mają polskie kazania przeciwko nam jako przeciw heretykom, a ludzie, którzy nigdy do kościoła nie zazierali, przychodzą z książkami, aby zrobić przeciw nam manifestacyą. A ja cię upewniam, co wiem, że nigdzie takiéj modlitwy nie masz jak w naszém kole i *takich łask* nigdy Bóg nie zlewa. My posyłamy ludzi do spowiedzi, choć na spowiedzi ludziom przeciw nam plotki szepcą księża... Już *Izrael* zaczyna z nami łączyć się, upatrując epokę swego powrotu do Chrystusa, i *protestanta* mamy, który poszedł z nami paść przed ołtarzem Bogarodzicy, i głucha wieść już poczyna iść na Paryż. Ale *niewielu* dano to *poczuć* i wyrozumiéć, co się spełnia. Księża nasi: Kojsiewicz i Duński są przeciwko nam. Witwicki nas ściga jako Kacerzy, Bohdan (Zaleski) unika ze strachem... Wszystkie dawne związki rwą się i dziwnie plączą... Familia żony mojéj boi się nas, i przestaliśmy prawie widywać się“ (I. 46). Ów Chełchowski, co to sprzedał meble i przeniósł się do oberży, zaczął wyklinać Towiańczyków. W Listopadzie dowiadujemy się, że „niektórzy z braci słabną lub słabieli.“ Pocieszano się w kole tém, że inni natomiast bracia zbliżali się w *tonie* coraz więcéj do mistrza, mianowicie nawrócony izraelita Ram

i brat Romuald. Zajmowała też podjęta przez Mickiewicza kwestya stanowiska kobiét w nowéj epoce. Poeta nasz oświadczył, że jestto epoka „wyzwolenia kobiét“, i powoływał się na słowa mistrza, który objawił to jako „istotną część Sprawy.“ „Kto tego nie uzna i nie poczuje, ten nie jest w Sprawie. Kobiéty są powołane do równości, duchy nie mają płci, są sobie równe i stosownie do różnic organizacyi wezwane do czynów odpowiednich. Wy byłyście dotąd *niewolnicami*, dawano wam rolę podrzędną, najdogodniejszą dla męża. Kobiéta do niczego mieszać się nie mogła. Kuchnię, gospodarstwo zdano na nią. Fałszywie pojmowano ich zalety, od młodości córkę, która chętna doglądała kuchni, pielęgnowała dzieci, poświęcano do kuchni, albo zamykano do klasztoru jako nie dla świata, bo taki kopciuszek nie mógł wprowadzić w dom bogatego szlachcica, ani honoru utrzymać, a wysilano się dla téj, która fałszem, próżnością celowała nad inne. W wychowaniu samém uczono je udawania i obłudy, ukrywania się i błyszczenia tylko pozorami. Ten ucisk kobiét poczuły kobiéty w ostatnich czasach, szczególniéj Francuzki, i poczęły się wyzwalać na niewłaściwéj drodze, pogardziły wszystkiém, zaczęły pisać romanse jeszcze wolniejsze od mężczyzn.“ Jaka była właściwa droga wyzwolenia się kobiét, tego Mickiewicz szczegółowo nie wskazywał, powołując się tylko na dwa przykłady z dziejów krajowych: jeden z nich malował odwagę wojenną, a drugi serce miłosierne i umysł jasny. Zresztą uczestnictwo w „Sprawie“ widać dostatecznem już było do wyzwolenia. W tym czasie także zaczęto zjednywać sobie niektórych Francuzów a zwłaszcza Francuzki, których imiona tylko znamy: Marya, Amelia, Anna.

5 Grudnia mistrz uznaje, że „w kole jest liczba pańska dostateczna“ i stawia zasadę, że „przy *tonie* przewodnictwo, nie przy człowieku;“ Mickiewiczowi radził, aby w prelekcyach swoich w *Collége de France* „z początku na teoryi poprzestał“. 10 Marca 1843 sądzi, że zło doszło „do swego górowania“ i że pora „działać zaczepnie,“ ile okoliczności pole otworzą, co najzupełniéj uznaniu Mickiewicza zostawiał, ukazując mu tylko „ogół myśli bożéj“. 27 Marca następuje potępienie kroku Światopełka Piasta Mirskiego, podpisane przez 59 wyznawców.

10 Września zaprowadza mistrz ważną reformę, która na tém polegała, że na zgromadzenia można było przychodzić tylko „w pełnym tonie.“ W tymże czasie chcąc stanowczego coś przedsięwziąć po namyśle długim wyjeżdża do Włoch i posyła w Październiku „ton papieżowi“ Grzegorzowi XVI. W Rzymie nie tylko nie mógł się widzieć z papieżem, którego uprzedził o mistrzu podobno ks. Kaczanowski; ale dostał rozkaz natychmiastowego wyjazdu. 24 Listopada

poleca Mickiewiczowi „daléj się w lekcyach posuwać.“ Ale w samém kole niezbyt dobrze się powodziło, gdyż 7 Grudnia donosi Mickiewicz mistrzowi, że „ruch ducha w kole jest przerwany“, że życie ogólne koła zatrzymane.

Mistrz tém się nie zmartwił zbytecznie, bo zdawało mu się, że przez brata Rama, owego nawróconego izraelitę, potrafi zyskać dla „Sprawy Bożéj“ potężnego Izraela—Rotszylda. Napisał więc do niego w Sierpniu 1843 odezwę „z wyższego rozkazu,“ aby ducha swojego sposobił na wielką godzinę, w któréj Pan do służby go powoła. „Bóg powołuje człowieka w dniach tych miłosierdzia swojego na drogę opuszczoną,“ pisał tu między innemi. „Kto *wyżéj stoi* w dopełnieniu myśli Bożéj, przeznaczony jest zająć wyższy szczebel na ziemi. To prawo czyni Izraelita *wielkim*. Przez winę Izraela prawo to nie spełnia się dla Izraela przez wieki. Co *niższém jest od Izraela przed Bogiem*, poniża Izraela na ziemi.“ Trzyma się tu téj saméj metody, jaką doradzał w instrukcyi danéj braciom co do postępowania z Francuzami; za pośrednictwem łechtania miłości własnéj stara się ująć bogacza, ażeby wsparł sprawę. Podobną odezwę wysłał 1 Października następnego roku, a nawet donosił Mickiewiczowi, „że służba z Rotszyldem szczęśliwie odbyta,“ że list jego i mowa brata Rama wyzwały ducha izraelskiego, że się poddał, ukorzył i drgnął dla woli bożéj... Pomocnemi w téj sprawie były dwie Francuzki: Amelia i Anna, które „wyzwały złego ducha“ Rotszyldowego. Zdaje się jednakże, że było to złudzeniem, bo o dalszych skutkach tego nawrócenia nigdzie nie czytamy; a o bracie Ramie niedługo potém pisze Mickiewicz, że go cechują „bojaźń i drżączka prawdziwie żydowska.“

Tymczasem w Paryżu, starano się przez pierwsze miesiące roku 1844 najwięcéj pozyskać braci Francuzów, gdy nad kołem polskiém unosiła się „mgła chłodna.“ I znowuż Mickiewicz występuje do pracy zarówno w konferencyach prywatnych, miewanych w „kole francuskiém,“ jak i na publicznych kursach literatury, które w tym roku zamieniły się na wykład towiańszczyzny. Nigdy może nie słyszano z katedry świeckiéj wylewu uczuć tak ogólnych, słów tak namiętnych, pragnienia poprawy ludzi tak szczerego, jak właśnie w tych mowach Mickiewicza. Wymowa jego wzniosła się tu do najwyższego punktu i mogła porwać, zachwycić nawet tych, co do objawień nowego mistrza żadnéj nie przywiązywali wagi; bo znać w niéj było siłę przekonania olbrzymią i potęgę głębokiego uczucia. Mówił on tu głównie o wielkich wadach kościoła urzędowego, który misyą swoję spełniał przez rutyniczne wykonywanie obrządków i wydawanie

pism religijnych „ckliwych i pieniackich,“ a nie posiadał ani najdrobniejszéj cząsteczki ducha apostolskiego, ducha ofiary i poświęcenia. „Kiedy cholera grasowała w Paryżu,“ mówił do słuchaczów, „spotykaliście na ulicach ojców rodzin bladych, drżących, którzy, nie mówiąc do siebie słowa, spojrzawszy tylko jeden drugiemu w oczy, zgadywali, czy się lepiéj czy gorzéj dzieje w mieście, i za powrotem każdego z nich do domu z saméj postawy, z chodu można było poznać jaką nowinę przynosili żonom i dzieciom stroskanym. Kościół prawi nam ciągle, że zaraza niedowiarstwa szerzy się po narodach; Kościół mówi nam bezustanku, że choroba zabójcza ogarnia dusze i zadaje im śmierć, którą on ma za wieczną. Pytamże się wszystkich ludzi dobréj wiary, czy widzą na twarzach, w ruchach, w skinieniach reprezentantów kościoła tę boleść, jaką widzieli w ojcach rodzin? A przecież księża patrzą na zgubę całéj ich rodziny duchownéj.“

Jak przed dwoma laty od arcybiskupa paryskiego, tak obecnie od wszystkich duchownych żądał, ażeby mocno przejąwszy się tém, co głoszą, wzbudziwszy w sobie wiarę silną, stali się tak gorliwymi apostołami, jak byli pierwsi opowiadacze słowa Chrystusowego, ażeby potęgą wiary mogli wywoływać nawrócenia cudowne i odmieniać oblicze zepsutego świata. Po takiém przygotowaniu wyłożył zasady zawarte w piśmie Towiańskiego „Biesiada,“ zestawił ze swoją oceną kościoła słowa zawarte w *Śnie Cezary* i *Legendzie* Zygmunta Krasińskiego; a w końcu wezwał obecnych na lekcyi 19 Marca 1844 we wtorek, ażeby zaświadczyli, że widzieli nowe objawienie wcielone, że Mistrza uznają. „Bracia powstali i odpowiedzieli w wielkim *tonie*. Byli Francuzi *obcy*, którzy powstali równie i świadczyli. Jeden Rosyanin krzyknął: nosim to w nas. Reszta słuchaczów *przybita* i *zdekoncertowana*. Nikt nie śmiał przeczyć nawet giestem. Sala była pełna i wielu stało za drzwiami. Siłę Bóg dał taką, że po ostatnich pięciokwadransowych przemowach, nie czułem,“ powiada M. „żadnego strudzenia w ciele i mógłbym był wieczorem drugą lekcyą dawać. *Zło* na tém ostatniém zebraniu miało *całe swe wojsko*, ale nie śmiało nic począć.“ Koło „spojone było w miłość“ jak nigdy przedtém.

Takie były złudzenia głębokiéj wiary w skuteczność słowa. Niebawem jednak miał się Mickiewicz przekonać, że inaczéj było w rzeczywistości. Najprzód, od roku już była pewna dysharmonia pomiędzy członkami Towarzystwa historyczno-literackiego a jego prezesem; czasopismo, które uchodziło za organ Czartoryskiego,

ostro krytykowało Towiańskiego i Mickiewicza; potrzeba więc było usunąć się dla uniknienia przykrzejszych powikłań. Mickiewicz podał się do dymisyi; Rada wydziału starała się go wprawdzie zatrzymać, ale gdy prezes nie chciał uznać, że w wykładach jego są napaści na kościół, a Rada zarówno w tych wykładach jak i w objaśnieniach dodanych przez Mickiewicza „znalazła pewne opinie tyczące się religii niezgodne z własném przekonaniem" i uznała, iż „ta różność zdań zniosłaby harmonią, jaka między towarzystwem a jego naczelnikiem zachodzić powinna": musiało nastąpić ostateczne zerwanie (18 Kwietnia 1844). W krótce potém gdy zebrania w Collége de France przybrały charakter zgromadzeń sekciarskich; gdy kobiéta jakaś wśród lekcyi zaczęła przemawiać, gdy zaczęto wzywać ducha Napoleona i wznosić toasty; minister oświaty prosił, ażeby zaprzestano podobnych manifestacyj, a gdy Mickiewicz nie chciał się na to zgodzić zapropowano, żeby się podał do dymisyi, albo żeby przynajmniéj żądał dłuższego urlopu, na co przystać musiał.

Tym sposobem usunęła się z pod nóg jedyna scena, na któréj mógł przemawiać publicznie i rozszerzać prawdy nowego objawienia. Podczas gdy inni rodacy, niewciągnięci w koło Towiańczyków, ubolewali nad tèm, że miejsce tak ważne, z którego można było zapoznawać z dziejami i literaturą narodów słowiańskich i wielką sławę dla narodu swojego zjednać, musiało zostać zajętém przez kogoś obcego; zwolennicy Towiańskiego nie mogli nie odczuć straty cienia przynajmniéj jakiéjś publicznéj reprezentacyi tego, co za najświętsze i najważniejsze na ziemi uważali. Nastała więc znowu ciężka robota wewnętrzna, którą kierować musiał Mickiewicz. Na ostatniéj lekcyi w Collége (28 Maja) odbyło się wezwanie ducha. Napoleona i duchowe z nim połączenie. Otóż z dniem pierwszym Czerwca nastąpiły rekolekcye siedmiodniowe, poświęcone „gotowaniu się do Służby we Francyi" a zasadzające się na tém, aby bracia zespolili i ustalili w sobie „ton miłości sług Chrystusowych z tonem mocy wojowników Napoleona." Po siedmiu dniach i przyjęciu uroczystém komunii, mieli badać siebie bracia, czy są gotowi do służby we Francyi. „Kto z nas poczuje w duchu odpowiedź: owośmy służebnicy pańscy! ten będzie miał dowód, że pracę tych siedmiu poranków spełnił." Widocznie bracia nie poczuli w duchu téj odpowiedzi; bo w kilkanaście dni potém musiano pomyśléć o innych środkach urzeczywistnienia Sprawy. Podjęto mianowicie myśl Wrońskiego, że przeznaczeniem Rosyi jest przekształcenie na lepsze istniejących stosunków, i wystosowano (15 Sierpnia) odezwę do cesarza Mikołaja, ażeby uznał posłannictwo Mistrza i Sprawę Bożą zrealizował. Rozumié się, że ten

fantastyczny pomysł ugrzązł w ambasadzie rosyjskiéj w Paryżu; ale wieść o nim, tudzież postępki Seweryna Pilchowskiego, którego Mickiewicz poczytywał za „prawdziwego reprezentanta Słowiańszczyzny“, utrudniły niezmiernie położenie Towiańczyków. Rozpoczęły się znowuż odstępstwa; nastąpiły kłótnie w łonie samego koła; trzeba ich było nie tylko zachęcać, podnosić w tonie, ale nawet „bawić“; powaga Mickiewicza zmniejszała się; ci bracia, na których patrzano jako na filary nowego objawienia, zawodzili nadzieje, zaczynali się skarżyć, że nie rozumieją słów mistrza, lub téż chcieli przewodnictwo w kole wydrzéć naszemu poecie. Mistrz nie wiedział sam co robić. Minister ustanowiony przezeń utracił możność publicznego głoszenia sprawy i nie mógł być tak czynnym jak dawniej, prócz tego narzekał na niektórych braci, to prawda, ale bez niego możeby się koło ani na chwilę nie utrzymało w całości. Nie można więc było utracić takiego męża, ale trzeba było silnie „docisnąć.“ To téż gdy od 15 Sierpnia 1844 aż do Kwietnia 1845 koło nic nie przedsięwzięło na zewnątrz „budując się“ tylko na konferencyach, mistrz zaczął pisać długie listy pouczające a 11 Kwietnia 1845 oświadcza, że „na pierwszych sługach Sprawy ś. Sprawa zatrzymana“; w objaśnieniu zaś tego wyrażenia (z 11 Czerwca) przypisuje główną winę Adamowi, który jako „kapłan ducha w formie odbudowanego kościoła nie stanął“. W skutek tego wyrazu niezadowolenia, który dla nas jest ciemnym, ale dla Mickiewicza i koła stanowił cios dotkliwy, Mickiewicz wyjeżdża do Szwajcaryi, aby się osobiście porozumiéć z Mistrzem, który z niego „rachunek ciągnął.“ Poczém udał się w odwiedziny do dawnych znajomych i listownie za pośrednictwem rodziny Towiańskiego z nim się komunikował. W Szwajcaryi, a mianowicie w Kantonie Vaud, znalazł grunt przygotowany do przyjęcia „słowa“, i doradzał, aby tam zwrócić działalność w celu jego „realizacyi.“ Doznawał tu serdecznego i zaszczytnego przyjęcia jako dawny profesor akademii w Lausannie; naczelnik kantonu p. Druey słuchał z zajęciem opowiadania Mickiewicza o odnowieniu religii i zdawał się podzielać jego poglądy.

Za powrotem do Paryża (12 Czerwca) ujrzał, że „koło“ jest podzielone; że niektórzy bracia zawiązali ze sobą „spółkę ściślejszą,“ do któréj i reszta się skłaniała, chociaż nie brakło oporów i niechęci. Zaczęto oskarżać Mickiewicza, że chce utworzyć niezależne od mistrza koło; a chociaż poeta nasz zwyciężył i przed mistrzem się oczyścił, nie wróciły jednak dawne pełne zaufania stosunki. Starał się Mickiewicz roczną bezczynność wynagrodzić nowemi ruchami, ale te nie udawały się, jak i poprzednie. W rocznicę zburzenia Je-

rozolimy (12 Sierpnia) zeszli są bracia w bóżnicy, która była „mało albo prawie nie oświecona“ a Mickiewicz miał mowę do rabina, który wielekroć mu przerywał i uciekał, najmocniéj oburzając się na to, że mu poeta o żałobie Izraela mówił, gdy on téj żałoby wcale nie czuł. Tak samo nie powiodło się znowu poselstwo do księcia Czartoryskiego, tudzież do przedstawicieli stronnictwa demokratycznego. Stosunki z komunistami jako też rozmowy z księżmi również do niczego nie doprowadziły. W dodatku w Październiku wykazała się w kole wielka nędza finansowa. Mistrz, który o wszystkiém odbierał dokładne raporta, był bardzo niezadowolniony z Mickiewicza i wyrzucał mu, że „kocha śmierć“. Ażeby więc życie obudzić, postanowił dodać mu do pomocy „wodza słowa“ Karola Różyckiego (13 Listopada) i tę chwilę za rozpoczęcie nowéj epoki w Sprawie uważał, określając ją jako „wyjście sprawy na ziemię.“ Przez czas jakiś było między dwoma wodzami dobre porozumienie; robi ponowne kroki to u Czartoryskiego, to u księży; ale niebawem naprężone stosunki nie mogły się utrzymać i każdy zaczął iść swoją drogą. Towiański 11 Lutego 1846 daleko wyraźniéj niż poprzednio daje uczuć swoje niezadowolenie, powiada, że Mickiewicz „w dawną noc odpadł,“ że „skaził“ dom jego „tonem pogańskim, salonowym“; widzi w nim reprezentanta „tonu morzącego,“ 28 Marca oznajmia, że wola boża odparta została przez brata Adama. Obok tego potępienia działań Mickiewicza, wielce charakterystyczną jest zmiana tonu, w jakim Towiański do rodaków przemawiał: 17 Marca ostrzega on ich, że myśl o ojczyźnie ziemskiéj jest zbrodnią (II, 30). Towiański zawsze wprawdzie stawiał misyą swoję na pierwszym planie, ale teraz po raz pierwszy tak stanowczo myśl o czém inném, a nie urzeczywistnieniu misyi, za niegodną wyznawców swoich poczytał.

Widoczną było rzeczą, że Towiański, straciwszy nadzieję dokonania dwu spraw odrazu, to jest polepszenia doli rodaków i ugruntowania swoich marzeń co do ulepszenia ducha religijnego, jako człowiek niesklonny do czynu, wyrzekł się pierwszéj sprawy, która napotkała niezwalczone trudności, ażeby przynajmniéj ratować drugą. Mickiewicz, raz zaufawszy mistrzowi, wierzył mu później naślepo; uznał nawet 19 Grudnia 1846, że teraz dopiéro wszedł na właściwą drogę Sprawy; ale mimo to nie mógł nie spostrzedz, że zawiódł oczekiwania jeżeli nie swoje, to tych dusz prostych, co jego przykładem i słowy do koła weszli. Stąd w sercu jego zapanował znowu smutek głęboki; stąd przerwa kilkomiesięczna w korespondencyi z mistrzem; stąd list z 12 Maja 1847, w którym swój zawód maluje i te walki, jakie z duchem braci staczać musiał. „Drgnięcie dusz wystawialiśmy na widok,“ czytamy w tym liście, „jako okrasę próżności naszéj; zadawali-

śmy to drgnięcie jeden drugiemu jakoby jakiś martwy inwentarz z pod jednéj ręki pod drugą zapędzany. Kazaliśmy braciom radować się lub boleć, kochać lub nienawidzieć, często nie mając w sobie tego czucia bólu lub radości, do któregośmy wzywali! Wielość rozkazujących mnożyła wyzywy częstokroć sprzeczne; a na każdy kazano odpowiadać. My wyzywający, sami będąc w braku wiary, szczerości, w utrapieniu, nie mogąc znieść samotności, która nas w obec nas stawiąc nicość nam naszę pokazywała; wypadaliśmy na braci, zadawaliśmy im cierpienia, aby widokiem ich mąk tragicznie rozrywać się. Doszło było do tego, że wyzywający podobni stali się do słabnących tyranów, którzy tylko w krwawéj kąpieli ciepło znajdują. Brano kąpiele z ducha bratniego! Im czuliśmy mniéj w sobie swobody, siły, życia; tém mocniéj wołaliśmy o życie.... Kiedy Bóg nam nie dał téj łaski, aby sam nasz duch, samo oblicze nasze wyzywało bliźnich do skupienia się, do podniesienia, do czci dla nas; chcieliśmy brak nasz fizyczny zastąpić fukaniem, krzykiem; a kogo nie mogliśmy wystraszyć, ogłaszaliśmy zaocznie za zbrodniarza. Bo każdy kto czémkolwiek i kiedykolwiek nie zgodził się z nami, a raczéj *echem naszém nie był*, zostawał ogłaszany za buntownika. Zaprowadziliśmy władzę najsmutniejszą jaka jest na globie; władzę, którą w kraju naszym mają ochmistrzynie, ekonomowie i ludzie dworscy i panicze goście nad chłopami, władzę najsmutniejszą, bo ona zna tylko doniesienia, kary; bo tam nie ma skargi i obrony, wysłuchania, sądu i wyroku; władzę, którą Opatrzność już nawet z ziem słowiańskich usuwa.... Po tém wszystkiém trudno nam wrócić do tego zaufania, do téj szczerości, z jakąśmy się zeszli przed laty, a bez niéj nie ma płomienia, nie ma czynu. I nie wrócimy tam aż *każdy z nas* poczuje, co przewinił, wewnątrz siebie to odwoła i ducha braciom przyniesie wolnego od sądów, od wyroków i podejrzeń“...

Nie posiadamy odpowiedzi Towiańskiego na ten list, gdyż urywek z dnia 31 Maja nic nie wspomina o owych zarzutach, jakie Mickiewicz wypowiedział. Był to już krok stanowczy: Mickiewicz, który dawniéj nie śmiał ani jednego słowa bez porady lub zezwolenia mistrza wygłosić, który oczywistych omyłek ortograficznych i gramatycznych w pismach Towiańskiego nie ważył się sam poprawiać, teraz widział winy nawet ze strony „męża Epoki Słowa.“ Odtąd nie zerwawszy „spółki,“ poszli przecież każdy swoją drogą. Towiański, zdawszy czynne popieranie Sprawy „wodzowi słowa“ Karolowi Różyckiemu, sam zamknął się w swojém dawniejszém marzycielstwie, i, jak machinka, wyrzucał czasami z siebie rady i wskazówki, zawsze kręcące się w kółko. Najwybitniejszym dowodem jego niezdolności

do wystąpienia czynnego, jest powtórny pobyt w Paryżu po rewolucyi lutowéj. Chociaż już zdecydował się „przenieść Sprawę do Anglii,“ daje się jednak porwać ruchowi ogólnemu i choć z początku „odpycha“ Mickiewicza, który go zachęcał do „służby“ we Francyi, zjeżdża przecież do Paryża. Mickiewicz sądził, że jeden tylko Towiański potrafi wyjaśnić przyczynę zamieszek we Francyi i namawia mistrza, żeby to zrobił i zyskał sobie umysły francuskie. Ale Towiański, który bawił w mieście od 28 Maja do 11 Lipca, nie odwiedził nawet nikogo ani z pomiędzy Polaków, ani Francuzów, na miasto nie zaglądał a wychodził z domu tylko na przechadzkę w okolice Łuku Tryumfalnego. Taki to był człowiek, który zwiastował „realizacyą słowa“ nie tylko w życiu prywatném ale i w publiczném: w religii, w polityce i w każdéj czynności ludzkiéj. Mimo takiego odosobnionego trybu życia został Towiański osadzony w więzieniu i dopiéro staraniom Mickiewicza i żony jego zawdzięczał swoje oswobodzenie. Wyjechawszy z Paryża, przesłał do koła list ze zwykłemi ogólnikami i takiém usprawiedliwieniem swego postępowania: „W teraźniejszém położeniu naszém, w tych smutnych czasach, kiedy dopuszczone jest *złemu* panowanie we Francyi a zwłaszcza w stolicy jéj, oddalam się od was, nie zetknąwszy się z wami osobiście, nie pożegnawszy was. *Nie jest wolą bożą*, abyśmy łamali przeciwności nasze, abyśmy walczyli z tém złem, które jako winę naszę poczytało i jako za winę karało spółkę naszę i dążenia nasze w téj spółce do spełnienia woli bożéj, do podania Francyi drogi, na któréj jest zbawienie jéj“ (II, 123).

Odtąd zajmował się tylko rozmowami, cichem nawracaniem, leczeniem chorych, odezwami; wybierał się wprawdzie na „czynienie z papieżem“ i z Francyą; ale nigdy do tego nie przyszło, zawsze stawał na zawadzie brak „głosu z wyżéj.“

Mickiewicz przeciwnie, choć nie wspierany przez koło, na kilka stronnictw nieprzyjaznych podzielone, nie ustawał w zabiegach około urzeczywistnienia sprawy w tym duchu, jak była ogłoszona w katedrze paryskiéj 27 Września r. 1841. Na pierwszą wieść o ruchach włoskich wyjechał do Rzymu, utworzył zawiązek legionu, miał posłuchanie u Piusa IX, które trwało godzinę blisko a na którém starał się wstrząsnąć jego sercem i zapalić duszę jego do wielkiego czynu odrodzenia ludów. U papieża nie zyskał wprawdzie tego, co głównie sobie zamierzył; ale pomoc podana Włochom, wybijającym się na wolność, utrwaliła pamięć jego w Italii i w 28 lat potém przywiodła oswobodzonych już jéj synów do wynurzenia uczuć wdzięczności i utrwalenia faktu marmurową tablicą, wmurowaną

w fasadę domu, w którym stał Mickiewicz podczas swego w Rzymie pobytu. Towarzyszami jego w tém dziele byli po większéj części nowi wyznawcy: z dawnych bowiem tylko Edward Geritz i Kamieński Mikołaj znani mi są imiennie; inni w przeważnéj liczbie zostali przy Karolu Różyckim, z którym Mickiewicz spodziewał się wprawdzie „przyjść do ładu," ale nie wiadomo czy to nastąpiło, gdyż i późniéj widzimy, że dwaj ci „ministrowie Sprawy" działają zwykle samopas, łącząc się tylko chwilowo.

Pozostawiwszy legion włoski pod dowództwem Mikołaja Kamieńskiego, wrócił Mickiewicz do Paryża, ażeby tu spróbować, czy dawne przepowiednie o powrocie Napoleonidów na tron francuski nie dadzą się zużytkować na rzecz Sprawy. 28 Grudnia 1848 pisze do Towiańskiego: „Przychodzi czas, żebyśmy długą naszę pracę duchowną w idei Napoleona i związku jéj chrześcijańskim z losami narodów daléj posunęli czynem publicznym. Jeden z członków rodziny Napoleona *Hieronim jest wyraźnie wskazany* jako osoba pośrednicza między nami i urzędem. Hieronim teraz rządcą Inwalidów, postanowiony *au dessus des agitations humaines.* Dawne moje z nim stosunki (bo jeszcze z roku 1830). Przed rewolucyą *powiedziałem mu w szczegółach*, co ma nastąpić i nawet w jaki sposób będą do rządu powołani." W końcu powoływał Towiańskiego, ażeby przybył znowu do Paryża i „głosem żywym" odezwał się przed izbą lub urzędem. Ale mistrz odpowiedział, że służba jego dla Francyi już spełniona *w duchu*, gdyż „wszelka realizacya nie dopuszczona" mu była, że odezwa do narodu francuskiego nie zdaje mu się być właściwą i że należy zrobić „pauzę w dokonaniu zamiaru tego, nim się wyjaśni czy przed *czynieniem* z papieżem można nam czynić publicznie z Francyą" (II, 129).

Zanim ten list odebrał, już sam Mickiewicz uznał potrzebę wstrzymania się z krokami zamierzonemi. Widział się wprawdzie z ks. Hieronimem i jego synem, ale z powodu nawału zajęć prezydenta nie mógł z nimi wiele mówić. Był więc tego zdania, że „trzeba pozyskać takie zaufanie, ażeby rozmowy zażądano." Zdawało mu się, że to nastąpi; a gdy nie następowało, rzucił się poeta do publicystyki, zaczął wydawać *Tribune des peuples*, na którą łożył Ksawery hr. Branicki. Ale i ten w końcu odmówił funduszu; a wydawnictwo gazety po krótkiem wytrwaniu zawieszono.

W roku 1853 znowu zakołatał do Napoleona już wówczas cesarza, przedstawił mu w *nocie* posłannictwo Towiańskiego, jego myśli co do Napoleona i przepowiednie co do jego rodzeństwa; miał na-

wet osobiste posłuchanie; ale zraził się dwuznacznością jego odpowiedzi.

Z mistrzem przez lat kilka nie komunikował się nawet listownie, mimo to zachował dla niego niezmienione uczucie, a pomimo biedy i częstych kłopotów domowych, posyłał niejednokrotnie po 100 franków pani Towiańskiéj „na intencyą" lub „na potrzeby" Kazia, chrzestnego swego syna. Szlachetne to, wielkie serce nie pamiętało uraz i niesnasek, darowało mistrzowi wszystkie zawody, na jakie go tenże narazil i chociaż nie miało już téj ufności dziecięcéj co dawniéj, zamiast wymówek, współczuciem się tylko przejmowało. A Towiański? On nigdy nie miał słów serdecznych dla swego wielkiego ucznia, który dla niego wszystko poświęcił; on pamiętał zawsze o tém jedynie, że jest mistrzem. W ostatnim nawet liście do Mickiewicza, w którym chciał go niby pocieszyć po śmierci żony, czuć tylko wyobraźnią marzyciela, któremu o mrzonkę głównie chodzi. Mówi przedewszystkiém o tém, że Celina w ostatnich dniach swoich powróciła „do zarodu, do gatunku, do początku swojego"; oblicza jéj rachunek z Bogiem; a potém wspominając o „spółce" swojéj z Mickiewiczem robi nacisk na to, że była ona długo „umarła, nieowocująca" i tak przemawia do zbolałego poety: „Oby miara cierpień, ucisków twoich dopełnioną już była przed Bogiem, abyś niosąc odtąd sam tylko krzyż wewnętrzny, lekki, owocny, po przebytych goryczach kosztował słodyczy wewnętrznéj, i pełen łaski, pełen światła i siły chrześcijańskiéj, idąc po drodze twojéj, spełnił, do czegoś wezwany wolą najwyższą: a potém abyś wyjednał sobie, aby wszystkie krzyże życia twojego znalazły wagę na szali sądów bożych i *policzone były jako odpłata Bogu za niesienie niedostateczne*, ile to z rachunku okaże się, *krzyża naznaczonego tobie*, krzyża Chrystusowego, krzyża ofiary chrześciańskiéj.

W kilka miesięcy po tym „pocieszającym" liście nastąpiła wyprawa do Konstantynopola i śmierć poety.

W całym stosunku Towiańskiego do Mickiewicza niepodobna nie uznać złudzenia ze strony poety; ale też niepodobna równocześnie nie widzieć, że było z liczby najszlachetniejszych, o jakich tylko pomyśléć można, gdyż wypływało z głębokiéj wiary w lepszą stronę serca ludzkiego. Mickiewicz uwierzył we wszechmocną potęgę ducha zarówno nad ciałem własném jak i nad wszystkimi ludźmi, nad wszystkiemi przedmiotami, nad wszystkiemi wypadkami; uwierzył

w możność rychłego, natychmiastowego przewrotu zarówno w naturze jak i w społeczeństwie, w jego myślach i przyzwyczajeniach. Żadne niepowodzenie, żadna porażka nie mogły w nim wiary téj zachwiać; prędzéj oskarżył siebie samego o niedostąteczne przygotowanie własnego ducha; prędzéj przypuścił brak „łaski“ w sobie, aniżeli niemożność zastosowania w praktyce maksymy o sile wiary prawdziwéj. Zdawało mu się, że on w życiu rzeczywistém potrafi dokonać to, czego, Konrad nie mógł spełnić w świecie wyobraźni; a zdawało mu się tak dla tego, że Konrad występował przeciw Bogu a on sądził się być w zjednoczeniu z Bogiem. Wszystkie cuda, o których opowiadają legendy, wydawały mu się najzupełniéj prawdziwemi a przynajmniéj prawdopodobnemi, możliwemi, o tyle naturalnie, o ile ten, co cuda takie miał sprawić, miał wiarę szczerą, prostą a głęboką. Gdyby wiara taka pozostała tylko jako pojęcie, jako właściwość jego umysłu, to dawałaby dosyć niekorzystne wyobrażenie o zdolnościach analitycznych jego ducha; ale wiara ta nie będąc wynikiem nieznajomości dowodów przeczących jéj, lecz opanowaniem tych dowodów, zbiciem ich za pośrednictwem natchnień, które za wyższą od rozumowania potęgę poeta poczytywał, przeszła nie tylko w treść umysłu, ale wcieliła się w czyny, w postępowanie całe i musi w nas wzbudzić wzruszenie tragiczne. Byle jaka pusta głowa mogła nie popaść w te błędy, jakie niejednokrotnie popełniał wielki poeta; mogła nawet szydzić z naiwności wiary jego, ale tylko dla tego, że na taką naiwność nigdy zdobyćby się nie potrafiła.

Nie znaczy to bynajmniéj, żebym tu występował w obronie mistyki, a w szczególności towiańszczyzny, która wykazała swoję bezsilność zbyt jawnie, ażeby można jéj rokować jakiś wpływ na znaczniejszą liczbę jednostek. Uboga w idee, zaplątana w sieć mglistych fantastycznych obsłonek, mogła jedynie pod tchnieniem tak potężnego umysłu, tak pamiętnego serca, jakie posiadał Mickiewicz, nabrać cokolwiek życia i przywiązać do siebie kilkudziesięciu ludzi. Do odrodzenia ludzkości czy choćby jednego plemienia nie posiadała warunków; a przez lekceważenie nauki, rozumu rozbiorowego naraziła się na zupełną bezpłodność. Obrana z owych fantastycznych obsłonek, zawierała przecież myśl wprawdzie nie nową, ale nie mniéj przeto ważną: chciała, ażeby zniknął rozdział pomiędzy moralnością, prywatną a publiczną, rozdział, którego nie wstydzili się głosić wówczas, jak i nie wstydzą się dziś jeszcze zarówno z katedry jak z łamów dziennikarskich. Myśl ta ma przed sobą przyszłość, ale nie na téj drodze, na jakiéj spodziewali się ją urzeczywistnić towiańczycy. Wiemy dziś napewno, że w świecie zarówno fizycznym jak i duchownym

istnieje rozwój powolny, a nie jakieś wstrząśnienia nagłe i natychmiastowe. Odrodzenie też narodów nie może się dokonać za jednym zamachem, jakiémś „drgnięciem“ lub „tonem“; lecz musi się odbywać zwolna za pośrednictwem wszystkich środków, któremi rozporządza ludzkość: a więc nie zapośrednictwem sercowych jedynie i fantazyjnych, ale także i rozumowych i materyalnych. Czyż można jednak potępiać szlachetne złudzenie, że ludzie odrazu w aniołów przemienić się dadzą?...

P. Chmielowski.

POLSKA W OBEC WYBUCHU

WOJEN HUSYCKICH,

NAPISAŁ

Stanisław Smolka.

(„Dr. Antoni Prochaska. Polska a Czechy w czasach husyckich aż do odwołania Korybuta z Czech. Studyum z historyi polsko-czeskiéj." Rozprawy i sprawozdania z posiedzenia wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności. Tom VII. Kraków 1877, str. 147—283, Tom. VIII. Kraków 1878 str. 11—193.

I.

Prace z zakresu dziejów polskich XV wieku.—Rozprawa p. Prochaski.—Reakcya przeciw poglądom p. Caro.—Charakterystyka stanowiska p. Caro, zwłaszcza w obec kwestyi polsko-husyckiéj. — Tło stosunków wewnętrznych.—Partya kancelaryjna i Teutonofile.—Charakterystyka zapatrywań p. Prochaski.—Cel niniejszéj rozprawy.

Na żadném polu piśmiennictwa naszego nie możemy się pocieszać tak ożywionym ruchem i tak znacznym postępem w ciągu kilku lat ostatnich, jak w dziedzinie historyi. Ustępują wprawdzie ciągle i prawie już zupełnie ustąpili z pola starzy, wysłużeni wodzowie, do niedawna jedyni u nas prawie reprezentanci ruchu dziejopisarskiego, którzy tém cięższe mieli w trudniejszych okolicznościach do spełnienia zadanie, że byli wodzami bez żołnierza, że w ciągu całego zawodu brak im było pomocy sił młodszych. U schyłku dni swoich z zadowoleniem patrzéć mogli na liczny a skrzętnie ruszający się zastęp nowych pracowników, którzy, w innych warunkach rozpoczy-

nając zawód, z innéj doń gleby czerpiąc soki żywotne, nie szczędzą trudu, by pracę nad dziejami naszemi postawić na równi z tém, co zagranicą na polu historyi zdziałano już lub obecnie się działa. Jeślibyśmy przejrzeli nasze publikacye historyczne i wydawnictwa źródłowe z kilku lat ostatnich, to spostrzeglibyśmy, że najobfitsza może grupa odnosi się do dziejów wieku XV; nie od rzeczy byłoby nawet, rozpatrzéć się bliżéj w téj grupie, ocenić postęp, który historya nasza XV wieku téj wiązance nowych prac zawdzięcza i zdać sobie sprawę zarazem, co dla dokładniejszego zgłębienia téj epoki uczynić jeszcze wypada. To żywe zajęcie się wiekiem XV uważać zaś możemy również za objaw pocieszający, za objaw widoczny, że historya przestaje być u nas zamiłowaniem w starożytnościach narodowych bez głębszego celu, ale wznosi się na godny jéj piedestał nauki, któréj ostatecznym celem rozwiązać bez uprzedzeń uczuciowych to najżywotniejsze dla nas zagadnienie: czém byliśmy istotnie i co nas przywiodło do tego, czém dziś jesteśmy.

Wiek XV był dla całéj Europy chwilą przełomu ze stosunków średniowiecznych, zużytych i przez to naturalnym biegiem rzeczy na zagładę przeznaczonych, ku nowemu, przebojem torującemu sobie drogę porządkowi rzeczy. I dla Polski była to chwila stanowcza, w któréj się miało rozstrzygnąć, czy równie jak jéj starsze rodzeństwo w rodzinie państw europejskich zdoła przekształcić się w państwo nowożytne, posiadające w swym ustroju odpowiednie warunki do spełniania zadań państwa na wewnątrz i na zewnątrz. Inne były w Polsce niż na zachodzie podstawy ustroju społecznego i państwowego, z innymi czynnikami miała tu do czynienia idea państwowa, by wywalczyć sobie zwycięstwo, ale tę samę próbę ogniową musiała przejść Polska, co i inne narody w téj epoce. Uległ téż ustrój wewnętrzny Polski zasadniczemu przeobrażeniu; był to wynik procesu dziejowego, który długo w XVI wiek się przeciągnął i już wówczas naprzód rozstrzygnął o losach państwa i narodu. Mało kto zaprzeczyłby dzisiaj, że to właśnie wadliwość tego ustroju przywiodła Polskę do upadku; poznać zatém jak najdokładniéj przebieg tego przeobrażenia wewnętrznego w XV i XVI wieku, zdać sobie jasno sprawę z czynników, które nie dozwoliły Polsce rozwiązać pomyślniéj tego ciężkiego zadania, to bez wątpienia pierwsze i najważniejsze u nas zadanie pracy historycznéj.

Do rzędu ważniejszych zadań z tego zakresu należy bez wątpienia sprawa stanowiska Polski w obec husytyzmu. Nie to stanowi o ważności téj sprawy, że przez lat kilkanaście kwestya husytyzmu jest osią główną dziejów zewnętrznéj polityki środkowéj i wschodniéj Europy i przez cały ten czas również na zewnętrzną politykę Polski

przeważny wpływ wywiera. W husytyzmie tkwi tyle pełnych znaczenia pierwiastków religijnéj, politycznéj i społecznéj natury, że stanowisko, jakie Polska, będąc wówczas właśnie zaledwie u progu wewnętrznego przeobrażenia, w obec sprawy husytyzmu, zajmowała, nie mogła pozostać bez wpływu na jego kierunek i koleje. Właśnie unia z Litwą, w saméj jeszcze kolébce, wprowadzała Polskę na widownię ciężkich zadań dziejowych, których brzemię stało się jéj głównym hamulcem w pracach wewnętrznych, wytworzyła ów trudny, niepewny jeszcze i wątpliwy stosunek do pobratymczych, słowiańskich, lecz obcych kierunkiem cywilizacyi i wyznaniem żywiołów; husytyzm zaś podniósł wysoko sztandar słowiański i w imię uczuć słowiańskich podawał Polsce rękę, odzywając się do uczuć bratnich, które mącił znów ton fałszywy, wydobywający sie z kwestyi religijnéj. Źródłem husytyzmu, hasłem jego była wojna, wypowiedziana ówczesnym stosunkom kościelnym, a w Polsce, jak we wszystkich państwach, w których owo przeobrażenie wewnętrzne dokonać się miało, na czele spełnić się mających zadań stało uregulowanie stosunku między kościołem i państwem. Jakież wreszcie teorye polityczne, od najskrajniejszych do najbardziéj zachowawczych walczyły w łonie samego husytyzmu, dotykając blizko wszystkich tych żywotnych kwestyj, które z przeobrażeniem średniowiecznego państwa w nowożytne jak najściśléj się łączyły.

Historya husytyzmu w ostatnich dopiéro czasach doczekała się dokładniejszego wyjaśnienia. Po obszernéj pracy Palackiego, która, na nieznanych po największéj części źródłach oparta, po raz pierwszy ten ważny dziejów czeskich epizod w właściwém przedstawiła świetle, wyszły niebawem na jaw ukryte dotychczas źródła, które dozwalają samodzielnie zgłębić dzieje husytyzmu i wyniki badań, lub niektóre zapatrywania czeskiego historyka sprostować. Ostra polemika Palackiego z Höflerem nie mało przyczyniła się, jak każde rozważanie ważnéj kwestyi z sprzecznych stanowisk, do ustalenia sądu historycznego o husytyzmie a kilka cennych monografij podało w ostatnich latach ważne przyczynki do dokładniejszego w szczegółach poznania sprawy husyckiéj (1). Czas więc był, żeby na tle wy-

---

(1) Już po ukończeniu téj rozprawy otrzymałem najnowsze francuskie dzieło o Husytyzmie, E. Denis: Huss et la guerre des Hussites. Paris 1878, mogłem jednak jeszcze w kilku miejscach z niego korzystać. Jestto najobszerniejsza i najcenniejsza praca z dzieł traktujących w całości o sprawie husyckiéj; co do stosunku Husytyzmu z Polską, to nic dziwnego, że autor nie mógł do tego stopnia posunąć się w samodzielnych studyach, żeby się wyzwolić z pod wpływu D-ra Caro, chociaż gdzieniegdzie jakby intuicyą dostrzega niektóre ważne momenta, których Caro nie zaznaczył,

jaśnionych wszechstronnie dziejów husytyzmu rozpatrzéć się w roli, jaką w obec niego odegrała Polska.

Zadania tego podjął się p. Prochaska, autor kilku pomniejszych prac, które wszystkie odnoszą się do początków Jagiellońskiéj epoki. Obszerna praca jego, umieszczona w dwóch ostatnich tomach Rozpraw Akademii zajmuje się tą sprawą w pierwszym jéj okresie, t. j. do odwołania synowca Witoldowego z Czech. Wszelkie uznanie należy się autorowi, że przystąpił do pracy tak ważnéj i trudnéj zarazem, nie kusząc się, jak to niejeden czyni, o przedmiot ponętny, który bez wielkiego trudu sporą książkę zapełni, ale do głębszego zrozumienia naszych dziejów niczém przyczynić się nie zdoła. Poprzednie już, pomniejsze rozprawy p. Prochaski i szkoła, z któréj wyszedł, dawały pewną rękojmię, że i ta nowa praca, tak poważnie pojęta, pod względem sumiennego wyzyskania obfitych źródeł i literatury w niczém nie ustąpi cennym monografiom o husytyzmie, które w ostatnich latach niemiecka literatura wydała. Faktyczną stronę rokowań o czeską koronę z Gedyminowicami i stosunków dyplomatycznych Polski z Zygmuntem i zakonem przedstawia autor dokładnie, a treściwém szkicowaniem czeskich stosunków i przebiegu wypadków w Czechach jasno motywuje każdy krok Czechów względem Polski, odrębne stanowisko każdego stronnictwa husyckiego w obec myśli łączności z Gedyminowicami. Z tém wszystkiém nie możemy się zgodzić na ogólny wynik pracy p. Prochaski a różniąc się z nim stanowczo w pojmowaniu stanowiska polityki polskiéj w obec husytyzmu, poczuwamy się do obowiązku odmienne zapatrywanie pokrótce wyłuszczyć i uzasadnić.

Zapatrywania p. Prochaski na politykę polską w obec Czech, charakterystyka stanowiska głównych osób działających w téj sprawie są zupełnie oryginalne, różnią się znacznie od zapatrywań wszystkich niemal pisarzy, którzy w dziełach o epoce husytyzmu stosunków polskich dotykali, przedewszystkiém jednak w zasadniczéj są sprzeczności z poglądem niemieckiego historyka, który niedawno w III tomie owéj historyi polskiéj stosunek Polski do husytyzmu opracował, znanego i u nas w szerszych kołach Jakóba Caro.

Wiele mówiono u nas i pisano o tendencyjności tego autora, o widocznéj nieprzychylności, z jaką dzieje polskie traktuje, a jeśli w tych głosach było nie mało urażonéj miłości własnéj narodowéj, jeśli ich ton, chcąc być sprawiedliwym, należałoby sprowadzić do właściwszéj miary, to w każdym razie nawet najobojętniejszy a bezstronny sędzia przyznać musi, że Caro z niemieckiego stanowiska z głęboką niechęcią na wszystko patrzy, co polskie. Gorycz tego usposobienia podsyca w nim przedmiot znacznéj części téj epoki,

którą dotychczas opracowywał, walka, i to walka zwycięska, Polski z Zakonem Niemieckim. Nadto Szajnocha, który mu (w II (1) i III tomie jego historyi) służył za przewodnika, barwném, jaskrawém, lecz niekiedy do namiętności poświęcającém się traktowaniem przedmiotu ze stanowiska polskiego, wywoływał w nim naturalną reakcyą. Każde zwycięstwo Polski, moralne czy orężem odniesione, każdą chwilę prawdziwie podniosłą w jéj dziejach przedstawia Caro z mrożącym chłodem, z nietajoną niechęcią, z pewną nawet boleścią wewnętrzną; w każdą stronę ujemną, gdzie się tylko odkryje, godzi z całą amunicyą swéj dosadnéj, korzennéj dykcyi, z werwą, która obojętnemu nawet zupełnie sędziemu może nieraz wydać się zbyteczną. Jeśli zaś przyjdzie mu zdać sprawę o czém, co bezwzględnie uznania i hołdu wymaga, stara się to przypisać wyłącznie zasłudze wyjątkowéj jakiéjś, z pod ogólnéj klątwy wyjętéj postaci, byle tylko stąd blask nie padł na społeczeństwo, byle chluba nie stała się udziałem narodu. Przyznać należy, że ten zawistny sposób traktowania przedmiotu najbardziéj razi w tomie II, pierwszéj pracy obszerniejszéj D-ra Caro, najmniéj zaś w ostatnim IV, który z całego dzieła niezawodnie najwięcéj celuje znamionami niepospolitego talentu. Tom III, w którym się między innemi mieści opracowanie stosunku Polski do husytyzmu, zajmuje pod obydwoma względami pomiędzy pierwszym a ostatnim pośrednie stanowisko.

Owa głęboka niechęć ku wszystkiemu, co polskie, jaskrawo występuje także w przedstawieniu stosunków Polski z husytyzmem. Z niemieckiego stanowiska nie sympatyzuje Caro w ogóle z husytyzmem, strona jego narodowa, słowiańska, nie może w nim wzbudzać entuzyazmu; Husytyzm jest jednak najwybitniejszym w średnich wiekach objawem walki swobody myśli „z pętami, które jéj kościół nakładał,“ jest rewolucyą przeciw kościołowi i hierarchii, a Caro zbyt znów gorącą żywi niechęć ku katolicyzmowi, by w obec tego nie uważać Husytyzmu za dążność, któréj zaszczytu nawet w skromnéj dozie Polsce ówczesnéj przyznać nie należy. Dziwnym trafem schodzi się zatém w tym punkcie tendencya niemieckiego historyka z tendencyą Długosza, nad którą Caro w ogóle tak ścisłą rozciąga kontrolę. Długosz bowiem, najzawziętszą zawiścią pałając ku Husytyzmowi, wszelkie zbliżenie się do heretyków uważając za hańbę, radby usunąć najmniejszy nawet cień téj plamy z imienia polskiego, a winę jakiéjkolwiek myśli o łączności z Czechami zwalą wyłącznie na obce barki.

---

(1) I tom (z r. 1840) jest jak wiadomo pióra Roepella.

Według Długosza jest zatém Polska w całym tym okresie jak najściślej prawowierną, zaraza husytyzmu do niéj się nie wdziera, jawni zwolennicy husytyzmu, jak Melsztyński lub Zbącki, o których zamilczéć niepodobna, są tylko wyjątkami, wzbudzającemi ogólną odrazę w opinii publicznéj; jeśli polityka polska przyjaźnie ku Czechom się skłania, to tylko jest zręczny manewr dla przestraszenia Zygmunta, a zresztą jeśli kto z nimi kokietuje, to tylko Witold. Caro uważa poziom umysłowy społeczeństwa polskiego za tak niski, że reformatorskie dążności Husytyzmu nie mogły go opanować, w uniwersytecie krakowskim widzi godne politowania narzędzie hierarchii i nie dziwi się, że akademia Jagiellońska nie podniosła sztandaru walki z kościołem, mając to tylko dla niéj usprawiedliwienie, że była jeszcze na to za młodą; Witold jest według niego również jedyną dźwignią wszelkich przyjaznych względem Czechów kroków, a co więcéj już od samego początku polskie stronnictwo wśród Husytów nie o Jagielle myśli, lecz wszystkich oczy wyłącznie są wytężone ku temu „słowiańskiemu herosowi Litwy."

Co do stanowiska Witolda, to właśnie ocenienie jego będzie jednym z głównych celów niniejszych uwag. Tu tylko tyle nadmienić wypada, że Caro, uważając Kiejstutowica za jedyną sprężynę przyjaznéj husytyzmowi polityki a w Polsce, w jéj sferach decydujących widząc zaporę, o którą rozbił się program polityczny Witolda, w ocenieniu czynników, które w téj sprawie w łonie społeczeństwa polskiego główną odgrywały rolę, do dziwnych dochodzi niekonsekwencyj. Rządząca w Polsce partya, przeciwna Witoldowi, grupuje się około kancelaryi królewskiéj. Duszą tego stronnictwa jest Zbigniew Oleśnicki, w czasach zaś, kiedy Zbigniew nie wywiera jeszcze wybitniejszego wpływu na sprawy publiczne, upatruje Caro przywódcę tego stronnictwa w urzędowym naczelniku kancelaryi, w kanclerzu Wojciechu Jastrzębcu, nie usiłując bynajmniéj wytłómaczyć, dla czego Jastrzębiec na dalszy plan się usuwa, odkąd Oleśnicki wypływa na szerszą widownię. Zbigniew nie był nigdy kanclerzem ani podkanclerzym, w młodych latach tylko piastował urząd sekretarza i protonotaryusza kancelaryi królewskiéj, w braku urzędowego stanowiska stwierdza zatém Caro tylko przeważny moralny wpływ jego na kancelaryą, w czém mu dopomaga jeden źle zrozumiany ustęp z listu Długosza (1). Oleśnicki i cała partya kancelaryjna odznaczają się przedewszystkiém dwiema cechami charakterystycznemi: zacichłym patryotyzmem polskim a więc zarazem

(1) Obacz o tém Maurer: Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły str. 36.

zawiścią ku Niemcom i ultramontanizmem. W myśl dzisiejszéj ulubionéj w Niemczech teoryi politycznéj, identyfikującéj te dwa pojęcia, stwarza Caro w Oleśnickim typ takiego Polaka, ultramontana wieku XV i skierowuje na niego wszystkie pociski wyjątkowéj zawiści. Pod wpływem tego usposobienia, w przesadnéj gorliwości, by na Zbigniewie i całéj „kancelaryi" uczciwéj nitki nie zostawić, niezrównanéj śmiałości kombinacyą wynajduje nową cechę charakteryzującą to całe grono: brak głównych podstaw zdrowia moralnego. Jednym z węzłów sympatycznych, który wiąże tych ludzi i pociąga ku nim zmysłową naturę starego króla, jest lubieżność, zgnilizna moralna, kryjąca się w sukience duchownéj, pod płaszczem świętobliwego a patryotycznego namaszczenia (1).

Odpierając stanowczo w interesie prawdy tę fikcyą, która mąci tylko zdrowy sąd o charakterze i stanowisku tak potężnéj, jak Oleśnicki, postaci, zaznaczamy tu tylko pytania, na które w dalszym ciągu tych uwag przyjdzie nam odpowiedzieć, a które starczą za probierz całéj teoryi niemieckiego historyka. Nasuwa się mianowicie pytanie, stanowiące oś główną całéj teoryi „kancelaryjnéj" czy można identyfikować stanowisko polityczne Jastrzębca i Oleśnickiego, czy przenoszenie pojęcia ultramontanizmu w stosunki polskie XV wieku nie jest anachronizmem a wreszcie, jeśli można w owéj epoce mówić o dążnościach analogicznych kierunkowi ultramontańskiemu, czy Oleśnicki istotnie tym dążnościom hołdował?

Jakakolwiek na te pytania wypadnie odpowiedź, to pewna, że w czasie, kiedy kwestya husycka zaczęła wchodzić w zakres spraw politycznych Polski, Oleśnicki reprezentował już pewien wybitny program polityczny i wznosił się na stanowisko przywódcy potężnego stronnictwa. I to pewna, że obraz ówczesnych dziejów Polski, pióra Długosza, sekretarza Oleśnickiego, z którego przeważnie czerpać musimy wiadomości, jest pismem tendencyjném, ze stanowiska tego stronnictwa skreśloném.

Z zupełną słusznością twierdzi Caro, że Długosz w całym okresie wpływowego znaczenia Oleśnickiego stronnictwo jego identyfikuje z narodem; opozycyą, wszelkie zapatrywanie przeciwne o ile

(1) Caro, Gesch. Polens. III 257—259. Dość przeczytać ten ustęp i porównać tekst z adnotacyami, żeby się dowodnie przekonać, jaka jest wartość historyczna tego romansu D-ra Caro. Jestto ciekawy okaz patologiczny, wskazujący, dokąd zawiść namiętna ku pewnym postaciom historycznym w połączeniu z chorobliwą fantazyą może doprowadzić poważnego nawet pisarza.

możności ignoruje, a w chwilach niedającego się już ignorować wybuchu opozycyjnych dążności, piętnuje tego rodzaju wybuchy jako objawy złéj woli, jeśli nie szaleństwa jednostek. Ktokolwiek głębiéj wpatrzy się w tę epokę, przyzna niezawodnie, że obraz skreślony przez Długosza jest jednostronny, że partya, któréj Oleśnicki przywodził, nie obejmowała całego narodu, że opozycya przeciw programowi Oleśnickiego istniała i, co najwięcéj, brakowało jéj téj karności i organizacyi, co w obozie przeciwnym, brakowało jéj ludzi téj miary, co Oleśnicki. Z tém wszystkiém Caro szukając tego stronnictwa, którego w Długoszu nie można wygrzebać, wpada na kombinacye zupełnie dowolne i wikła się w sprzecznościach, których w żaden sposób niepodobna pogodzić. Uważając bowiem niezupełnie słusznie zawiść ku Niemcom, ku „teutonizmowi“ za główny sztandar programu Oleśnickiego, sądzi, że hasłem partyi przeciwnéj musiała być przychylność względem niemieczczyzny i Krzyżaków, a urojone to stronnictwo zwie teutonofilskiém (*die Teutonisierenden*). Za wskazówkę ku temu starczy mu stanowisko książąt mazowieckich, którzy, będąc w każdym razie po za obrębem społeczeństwa polskiego we właściwém tego słowa znaczeniu, w myśl polityki dbałéj o niezależność od korony polskiéj, kokietują niekiedy z Krzyżakami. Również i pewne przychylne dla Saksonii kroki królowéj Elżbiety, nieznaczne zresztą wcale, nie mogą uchodzić za objaw „teutonofilstwa“ w społeczeństwie polskiém, tém bardziéj, że ta królowa, narajona Jagielle przez siostrę, Annę Mazowiecką, spełnia właśnie misyą agentki mazowieckiego dworu. Trudno zaś pojąć racyą bytu tego teutonofilskiego usposobienia, które Caro w znaczną część polskiego społeczeństwa wmawia. Platoniczne uczucia względem teutonizmu nie były zupełnie zgodne z duchem czasu, a jeśli szło o Zakon Niemiecki, tę przednią straż niemieckiego świata, z którą Polska w politycznych stosunkach prawie wyłącznie miała do czynienia, to pewnie w żadnym punkcie uczucia całego narodu nie były tak zgodne, jak w nienawiści ku Krzyżakom, w gorącém pragnieniu odzyskania ziem polskich, przez Zakon zabranych. Otwarte, śmiałe wystąpienie w tym kierunku było przecież wypróbowanym środkiem, by podnieść się w opinii publicznéj, pozyskać poparcie ogólne i popularność w całym narodzie. Mogła tylko panować różnica zdań co do polityki względem Zakonu w danéj chwili, wojna lub odwlekanie wojny na razie, to były jedyne hasła, o które można było się spierać w drugim i trzecim dziesiątku XV wieku: Nawet pomiędzy luźnemi jednostkami nie możemy się dopatrzéć prawdziwych Teutonofilów, a jeśli jeszcze za życia Jagiełły nie brak było takich, którzyby chcieli byli ujrzeć na tronie Piasta z książąt mazowieckich, to z pewnością nie

dla wspólnych uczuć teutonofilskich, nie z przyjaźni dla Zakonu. Skoro jednak opozycya składa się z Teutonofilów a przyjaciele Husytyzmu, których Caro ze społeczeństwa polskiego w każdym razie zupełnie usunąć nie może, w obec „ultramontańskich dążności i wrogiéj Husytom polityki Oleśnickiego, także do opozycyi należéć muszą, łatwo pojąć, jak dziwna w skutek téj teoryi w obozie opozycyjnym powstaje mięszanina. Gdy więc cały świat "niemiecki przez lat kilkanaście krwawe zapasy stacza z Husytami, gdy jedyną pobudką łączności Czechów z Polską mogła być myśl wspólnéj walki z „teutonizmem“ jako wrogiem Słowiańszczyzny, w Polsce każe Caro Teutonifilom i Husytofilom w przykładnéj zgodzie wspólnemi siłami z Oleśnickim wojnę prowadzić. Tyle o Teutonofilach, którzy również mącić mogą sąd o stanowisku społeczeństwa polskiego w obec Husytyzmu, których zatém najprzód wypadało nam z drogi uprzątnąć.

Wszystkie te teorye, na tak sztucznych kombinacyach oparte, skrzywiają tylko skreślony przez p. Caro obraz stosunku Polski do Czech w czasach husyckich, w niejednym ważnym punkcie zbliżający się, zdaniem naszém, do prawdy. Musieliśmy go tu naszkicować w najogólniejszych zarysach wraz z tłem, na którém jest nakreślony, gdyż przeciw niemu to, jak wspomniano, zwraca się stanowczo główny wynik pracy p. Prochaski. Mimo to autor nasz prawie nigdzie nie dotyka tego tła, któremu Caro tyle pracy w swém dziele poświęcił, odpierając tylko ogólnie to twierdzenie, jakoby społeczeństwu polskiemu XV wieku można cechę ultramontańską przyznawać. Kwestyi stronnictw, podziału na obozy nie poruszył wcale p. Prochaska, co zresztą w ścisłym jest związku z jednym z głównych pracy jego niedostatków. Trudno bowiem wiedzieć czy autor usiłował nawet zdać sobie sprawę z wewnętrznych stosunków Polski owego czasu. Nie widzimy tu zgoła osób wpływających na kierunek polityki, nie rozpoznajemy sprzecznych interesów, które w obec tak ważnéj, o przyszłości państwa stanowiącéj sprawy ścierać się musiały; król wraz z Witoldem prowadzą politykę wyłącznie z własnéj inicyatywy, zasięgając wskazówek moralnych w zgodném i jednolitém usposobieniu ludności, a do ogólnéj harmonii dostraja się chór uchwał sejmu, tego nieokreślonego niczém zgromadzenia parlamentarnego, z którego składu z istoty i kompetencyi autor również sprawy sobie nie zdaje. Nie potrzeba nawet znać głębiéj wewnętrznego Polski ówczesnéj ustroju, by z uzasadnionéem niedowierzaniem spoglądać na tak bezkrwisty obraz idealnéj, lecz abstrakcyjnéj harmonii, a łatwy stąd wniosek, że rozpoznanie wewnętrznych czynników, które na zewnętrzną politykę Polski wpływały, na téj podstawie oparte, w nie-

jednym ważnym względzie zaprowadzić musiało autora na manowce.

W jednym tylko, bez wątpienia bardzo ważnym punkcie stara się p. Prochaska z uznania godną skrzętnością zbadać usposobienie polskiego społeczeństwa, gromadząc i zestawiając wszystko, co na sympatyą Polaków do pobratymczych sąsiadów, do nauki ich reformatora jakiekolwiek światło może rzucić. W tym celu wyzyskuje zwłaszcza stanowisko Husa jako rektora kolegium polskiego w Pradze, którego doniosłości dotychczas należycie nie oceniono; stosunki Jagiełły z Husem i Hieronimem, postępowanie posłów polskich na soborze konstancyjskim i wdzięczność, którą im Hus za to okazywał; wreszcie świadectwo Abrahama z Goszczyc o powszechnéj sympatyi, jakiéj sprawa czeska w Polsce w r. 1421 doznawała. Rozróżniając w roli dziejowéj Husa i w całym Husytyzmie dwa odrębne pierwiastki, narodowy (raczéj plemienny) i religijny, sądzi autor, że pierwszy tylko pierwiastek obudził w Polsce ogólnie echo głębokiéj sympatyi, drugi natomiast zupełnie gruntu odpowiedniego nie znalazł. Nie zaprzeczając bynajmniéj, że wspólny antagonizm ku niemieczczyznie był istotnie silnym czynnikiem w nawiązaniu sympatycznych węzłów pomiędzy obydwoma narodami słowiańskiemi, zaznaczamy tu tylko, co poniżéj będziemy się starali uzasadnić, iż zdaniem naszém p. Prochaska przecenia potęgę pierwiastku plemiennego w jego oddziaływaniu na społeczeństwo polskie a za mało wpływu religijnemu pierwiastkowi przyznaje.

Skoro zdaniem autora powszechna sympatya ku Czechom tak głęboko tkwiła w społeczeństwie polskiém, polityka przyjazna Husytyzmowi, którą Jagiełło i Witold podejmują, zasługuje w ścisłéj konsekwencyi na nazwę „polityki narodowéj.“ Autor zwie ją nadto kilkakrotnie z naciskiem polityką humanitarną, uważając za drugi jéj główny motyw ogólnie ludzką, uczuciową pobudkę wspomagania sąsiedniego, ze wszech stron zagładą zagrożonego narodu: przypomina to cokolwiek tę tak ulubioną do niedawna teoryą, szukającą w każdym kroku polityki polskiéj, w każdym jéj jaskrawym błędzie znamion nieznanéj w dyplomacyi, uczuciowéj wyższości moralnéj. „Jakież podziwienie,“ mówi autor, „wzbudza ona w badaczu, jak dziwnie i pięknie odbija od ducha polityki Zachodu, od groźnych burz, wiszących nad Słowian narodem, nad Czechami? Zaiste w zdumienie wprawi nas porównanie téj humanitarnéj polityki Polski z drapieżną i nieludzką polityką niemieczczyzny i zachodu!“

Zgodnie zatém z uczuciami narodu podnoszą Jagiełło i Witold sztandar téj „narodowéj i humanitarnéj polityki;“ w obec pierwszych poselstw czeskich, ofiarujących Jagielle koronę, temporyzują tylko

dla tego, żeby się przekonać, czy głos ten jest głosem ogólnym w Czechach, czy stronnictwo polskie będzie miało dość siły do przeprowadzenia swych zamysłów, a następnie, jakkolwiek stosunki czeskie nie wyjaśniają się tak bardzo na korzyść polskiéj kandydatury, obmyślają „zawikłaną intrygę polityczną,“ pod któréj zasłoną ma dopiéro nastąpić czynna interwencya. Pomysł téj intrygi dyktuje im „głęboka rozwaga,“ „ostrożność“ w obec rozwścieklonego na Czechów świata niemieckiego, w obec dotkniętéj srodze religijną stroną rewolucyi czeskiéj papiestwa. Pozornie zrzeka się Jagiełło ofiarowanéj korony, ale na to tylko, żeby przyjął ją Witold, mniéj potrzebując się oglądać na Niemcy i papieża; cały zachód miał być w ten sposób oszukany a Polska, wolna od podejrzeń o sprzyjanie Husytom, miała pokryjomu tém skuteczniéj wspierać Witolda w interwencyi na korzyść Czechów. Nie może autor stwierdzić, iż ta „zawiła intryga“ dopięła celu, gdyż niebawem w całym świecie oskarżają Polskę o sprzyjanie kacerzom. To zniewala Jagiełłę i Witolda do jeszcze większéj ostrożności; przygotowując wysłanie Korybuta z posiłkami do Czech w celu wspierania Husytów przeciw Niemcom a zarazem nawrócenia do katolicyzmu, uciekają się zarazem do negocyacyj dyplomatycznych z Zygmuntem i papieżem, żeby odwrócić od pobratymczego narodu oręż wypraw krzyżowych i misyą Korybuta katolickim jéj celem usprawiedliwić. Religijna bowiem strona rewolucyi czeskiéj nie tylko w społeczeństwie polskiém nie znalazła, według p. Prochaski, odpowiedniego gruntu, ale i obydwaj Gedyminowice zajmowali względem niéj odporne stanowisko, tylko w takim razie gotowi los swych państw z losem Czech połączyć, jeśli Czesi powrócą na łono kościoła.

Charakteryzując w ten sposób stanowisko Jagiełły i Witolda, nie widzi autor w niém zasadniczego błędu politycznego, nie wytyka im wcale, że jeśli w obec wybuchu rewolucyi czeskiéj żądali od Husytów, żeby przestali być Husytami, wymagali rzeczy niemożliwych i, w zasadniczym punkcie, oddawali się zgubnym w polityce złudzeniom. P. Prochaska jeden ma tylko wyrzut dla Jagiełły, „a z nim“ i dla narodu: „Polska nie działa z Czechami otwarcie.“ „Zważywszy atoli,“ dodaje, „że Polska wiedziała, iż jedno tylko stronnictwo czeskie zbliżało się do niéj ze szczerém sercem, że wiele stronnictw było albo wcale obojętnych, albo też wrogo przeciw Polsce usposobionych, że inni znowu napowrót do Zygmunta Luksemburczyka przystępowali; zważywszy daléj, jakiém okiem patrzałby cały Zachód Europy, gdyby Polska z odkrytą przyłbicą wystąpiła za sprawę czeską a przeciw Zygmuntowi, na jakie niebezpieczeństwa narazićby się mo-

gła, starając się ład i porządek tam zaprowadzić, gdzie największy nieład i anarchia panowały; gdy te i inne okoliczności, w pośród jakich Polska zostawała uwzględnimy, musimy przynajmniéj usprawiedliwić, jeśli niezupełnie z zarzutów oczyścić tę tajną politykę Polski i jéj króla. „Niegodzi się bowiem zapominać, że Polska sama była podówczas zagrożoną, i to co chwila, od teutońskiego zakonu Krzyżaków.“

Jeśli więc tylko ten jeden, tak niewinny, zresztą, zarzut można zrobić polityce Jagiełły i Witolda, w ten sposób przez p. Prochaskę pojętéj, to obaczmyż, jakie jéj rezultaty? Oto Korybut, wysłany do Czech z nieliczną siłą zbrojną, nie tylko, że nie nawraca Husytów do katolicyzmu, nie dokonywa pacyfikacyi kraju, ale pomimo znacznych ustępstw w rzeczach wiary, mając za sobą tylko najumiarkowańszéj frakcyi poparcie, upada po kilku miesiącach mimo energii i niezaprzeczonych zdolności, a tém samém interwencyą polską w obec świata i w obec Czechów kompromituje. P. Prochaska tłómaczy to wojną z Zakonem, która (w tymże r. 1422), odciągając w inną stronę wszelkie siły zbrojne Polski i Litwy, nie pozwoliła Gedyminowicom użyczyć Korybutowi dostatecznego poparcia. Równie jednak zawikłanie się Polski w sprawę czeską stało się główną zaporą w pomyślném rozprawieniu się z Krzyżakami, a tak owa „narodowa i humanitarna polityka“ przyniosła Polsce w Czechach moralną porażkę, w stosunku z Zakonem pozbawiła ją niewątpliwych korzyści, słowem, skończyła się zupełném fiasco, zmuszając Jagiełłę i Witolda do odwrotu. To samo wystarczyłoby do wytłómaczenia, dla czego tutaj kończy się husytofilska polityka, dla czego odtąd nastaje w Polsce reakcya; p. Prochaska uzasadnia to jeszcze stosunkami dyplomatycznemi z końca 1422 i początku 1423 r., mianowicie awanturniczym projektem podziału Polski, który Gedyminowice odwrócili postrachem o sojuszu z Turkami i Tatarami, poczém Zygmunt, porzuciwszy zbyt śmiałe projekta, zawarł z nimi sojusz w Kezmarku.

Taki sąd wydalibyśmy o polityce polskiéj w obec Husytyzmu, gdybyśmy jéj istotę i przebieg wydarzeń zgodnie z pracą p. Prochaski pojmowali, a zmysł polityczny obydwu Gedyminowiców w bardzo niekorzystnym przedstawiłby nam się świetle. Mimowolnie jednak nasuwa się pytanie, czy rzeczywiście Witold i Jagiełło są „jedną duszą we dwóch ciałach“, jak to p. Prochaska kilkakrotnie z naciskiem powtarza. Tak mniéj więcéj mówi papież w swych listach, na które się p. Prochaska kilkakrotnie powołuje, ale nam to za dowód jeszcze nie starczy. Zaznaczyć tu musimy jako drugi, zdaniem naszém, błąd kardynalny téj tak cennéj zresztą pracy, że autor nie

zdaje sobie należycie sprawy z tak odrębnych indywidualności Jagiełły i Witolda, nie uznaje tego zgoła, że, jeśli Jagiełło działał zgodnie we wszystkiém z Witoldem, to był przez niego zupełnie zawojowany. Ktoby tę książkę przeczytał, mógłby sądzić, że to byli idealni bracia, widziałby w obydwóch uosobiony wyskok zacności i uczuć szlachetnych, ale nie dostrzegłby nawet cienia wyższości Kiejstutowica nad Jagiełłą. Taka niwelacya intelektualna tych dwóch postaci jest pomysłem w każdym razie nowym, jest może reakcyą przeciw poglądowi, który Caro w swém dziele tak silnie wycieniował, ale reakcyą, śmiało rzec możem, zupełnie nieszczęśliwą, która również przyczyniła się głównie do skrzywienia całego obrazu, tak pracowicie przez p. Prochaskę skreślonego.

Na tém kończymy krytyczne uwagi. Zaznaczywszy główne, według naszego zdania, niedostatki téj pracy, postaramy się z jéj pomocą tęż samę rzecz w ogólnym szkicu tak przedstawić, jak nam ją też same źródła odsłaniają.

II

Stosunek społeczeństwa polskiego do dwóch głównych pierwiastków Husytyzmu: plemiennego i religijnego.—Polska a Czechy.—Język.—Odrębność indywidualna obu narodów jako wynik ich dziejowego rozwoju od XI do XV w. — Walka pierwiastku słowiańskiego i niemieckiego w Czechach—reakcya słowiańska.—Poczucie współplemienności słowiańskiéj w Polsce.—Pierwiastek dogmatyczny i kościelno-polityczny w Husytyzmie.—Stosunek Polski do pierwszego pierwiastku.—Stanowisko kościoła polskiego na początku XV wieku.—Opozycya szlachty przeciw dążnościom kościoła.—Kwestye sporne: dziesięciny, jurysdykcya kościelna, cytacye przed sąd papieski, zatargi w życiu codziennem.—Próby organizacyi szlachty przeciw duchowieństwu. – Bogactwo duchowieństwa a ubóstwo szlachty.—Wpływ Husytyzmu na szlachtę—na panów—na króla.

Pierwszém zadaniem naszém będzie rozpoznać dokładnie, o ile dwa odrębne pierwiastki Husytyzmu, rasowy i religijny, mogły interes Polski związać ze sprawą narodu czeskiego w rozpaczliwéj jego walce o wiarę i narodowość. Pierwiastek socyalny bowiem, który w ciągu wojen husyckich tak ważną rolę odegrał, nie tkwił w zasadniczéj podstawie Husytyzmu, lecz przymięszał się doń jako nieuniknione wykwit rewolucyi.

W każdém zbliżeniu się Husytów do Polski obydwie strony kładą wyraźnie nacisk na poczucie współplemienności, na wspólny język słowiański, *linguagium slavonicum*. Język czeski był wówczas

bez wątpienia o wiele więcéj niż dzisiaj zbliżony do polskiego, a jeśli i dziś Polak łatwiéj nierównie rozumié Czecha niż chłop bawarski Meklemburczyka, to w wieku XV pod względem językowym również o wiele snadniéj mogli Husyci pobratymców z nad Wisły i Warty uważać za rodaków, niż Niemiec osiadły na stokach alpejskich, Niemca z nizin nadreńskich. Czeski język, nierównie wykształceńszy w owéj epoce i zdawna już nad polską mową wyższością rozwijającego się piśmiennictwa narodowego górujący, miał nad polskim językiem stanowczą przewagę i w każdém bliższém zetknięciu się wywierał nań wpływ niezaprzeczony; w XVI nawet wieku było to, jak wiadomo, w Polsce rzeczą dobrego tonu, choćby jak łamaną mówić czeszczyzną.

Z tém wszystkiém, kiedy w r. 1410 Wacław czeski miał wydać wyrok w sporze Polski z Zakonem, Polacy nie chcieli go słuchać ani w niemieckim, ani w czeskim tekście, odpowiadając, że po czesku nie rozumieją. „Więc król Wacław rzecze: Oba te języki podobne są do siebie i Polak Czecha snadno zrozumié. Na co oni: nie są wcale podobne, Miłościwy królu, wszak w czeskim języku siedlak znaczy rolnika i wiejskiego osadnika, w polskim zaś znaczy mistrza siodlarstwa, to jest tego, który siodła robi.“ Przytaczamy dosłownie tę anegdotę z Długosza (1), na świeżéj jeszcze tradycyi polegającą, jako ciekawą wskazówkę, że pomimo tyrad o „linguagium slavonicum“, któremi w razie potrzeby tak hojnie szafowano, pomimo podobieństwa obu języków, miano w Polsce jasne poczucie ich odrębności. Język był tu zresztą uboczną rzeczą, ale posłowie polscy, którym szło o honor narodowy, zdawali sobie w téj chwili jasno sprawę z odrębności indywidualnéj polskiego i czeskiego narodu.

Mimo różnic językowych, mimo śmiesznych nieporozumień, o jakich przytoczona anegdota wspomina, łatwiéj było Polakom oswoić się z brzmieniem czeskiego języka, niźli z wybitnie odrębną indywidualnością narodu czeskiego. Dzisiaj ta kwestya zupełnie inaczéj się przedstawia i dla tego należy się nad nią głębiéj zastanowić, by ją dokładnie zrozumiéć. Język dopóki nie otrzymał namaszczenia kapłańskiego w piśmiennictwie, dopóki był takim, jak w Polsce XV wieku prostakiem, nie wzniósł się jeszcze do znaczenia tego najdroższego skarbu narodowego, jakim jest dzisiaj, a różnice językowe tego rodzaju, jakie Czechy od Polski dzieliły, nie mogły być tak silną zaporą w połączeniu się obydwu narodów, jak byłyby

---

(1) Hist. Pol. IV 4.

nią późniéj; język czeski byłby musiał wziąć przewagę nad polskim, zniżyć go do poziomu ludowego narzecza a wznieść się do znaczenia języka piśmiennego. Tém samém jednak język nie mógł być dość silnym czynnikiem, by wypełnić przepaść niezmierzoną, która istniała między odrębną indywidualnością narodową Czech i Polski. Czechy bowiem, pomimo owego „*linguagium slavonicum*“, były w wieku XV indywidualnością narodową stokroć bardziéj pokrewne wrogiemu sobie światowi niemieckiemu i całéj zachodniéj Europie, niżeli Polsce i Sławiańszczyźnie.

Długo opierał się słowiański duch narodu czeskiego przywdzianiu téj obcéj szaty, kilka razy zrywał się, by ją stargać, lecz nieubłagana logika faktów dziejowych zakuła go w tę średniowieczną, feudalną zbroję tak silnie, że przyległa do narodu czeskiego zupełnie. Cała pierwsza doba dziejów czeskich jest nieustanną walką pomiędzy kierunkiem słowiańskim a ugięciem się przed potęgą niemieckiego świata. W walce téj jeden tylko widzimy pewnik, że jeśli kierunek słowiański miał zwyciężyć, mogło to dokonać się tylko w połączeniu Polski z Czechami, które o tyle łatwiéj niż w czasach późniejszych urzeczywistnić się mogło na wspólnym gruncie słowiańskim w dobie dziecięcéj obydwu narodów. Dążył do tego geniusz naszego Chrobrego, podbojem Polski pragnął myśl tę wcielić czeski Brzetysław, za późno już porwał się do tego dyplomatycznemi środkami syn jego. A kiedykolwiek myśl ta zabłyśnie, zawsze w ślad za nią idą usiłowania ku rozbudzeniu pozostałych z ruiny morawskiego państwa resztek obrządku i kościoła słowiańskiego, które pomimo tylu burz i przeciwności tak długo jeszcze tleją pod narzuconym popiołem, świadcząc o niespożytéj swéj żywotności, domagając się napróżno, by ich za dźwignię bytu narodowego użyto. W walce z tym kierunkiem świat niemiecki pragnie zagłady Czech, pragnie zgotować im ten los, jakiego Słowiańskie księstwo Korutanów doznało, wcielone w budowę państwa niemieckiego. Już wszystko skłania się ku temu za Jaromira i Oldrzycha czasów, ale reakcya słowiańska Brzetysława, pomimo doznanéj klęski, wywalcza Czechom w łonie państwa niemieckiego takie przynajmniéj stanowisko, które je od losu Korutanów na zawsze zabezpiecza. Czechy pozostają słowiańskim organizmem państwowym, ale stają się zarazem ogniwem w feudalnym łańcuchu państwa niemieckiego; władcy Czech, żegnając się na zawsze z marzeniami Brzetysława, muszą poprzestać na stanowisku książąt niemieckich, lecz jako najprzedniejsi w całéj ich rzeszy.

Tym kompromisem kończy się w XI wieku walka kierunku słowiańskiego z dążnościami Niemiec. Wyjątkowe zupełnie w całym

świecie słowiańskim stanowisko Czech w państwie niemieckiém wytyka odrębny zupełnie kierunek całemu rozwojowi indywidualności narodowéj. Czuje to dobrze nasz mistrz Wincenty, który pała taką zawiścią ku Czechom; czytając jego kronikę, widzi się jasno, że to już dwa wieki mijały od czasów Chrobrego, że pomiędzy indywidualnością polskiego a czeskiego narodu rozwarła się przepaść szeroka. A dwa wieki następne miały tę przepaść jeszcze znacznie zagłębić i rozszerzyć. Wiek XIII bowiem wyciąga dopiéro w całéj pełni konsekwencye z tego stosunku, jaki między Czechami a państwem niemieckiém ustalił się był u schyłku dni Brzetysława, epoka luksemburska tego dzieła dopełnia. Jeśli tylko między książętami czeskimi zdarzył się umysł wyższy, zdolny do pracy nad przyszłością państwa, to mógł budować tylko na tym gruncie, na którym założone były fundamenta państwa czeskiego, musiał dążyć do podniesienia stanowiska swego w państwie niemieckiém, a tém samém ścieśniał tylko węzły, które Czechy z niém łączyły. Tę rolę dziejową odgrywają w wieku XIII Ottokarowie. Wywalczają państwu czeskiemu godność królestwa, przeważny wpływ wywierają na cały tok wewnętrznych dziejów niemieckiego państwa i młodą koronę czeską nieznanym jéj dotychczas otaczają blaskiem; ale zawikławszy się tak głęboko w sprawy niemieckie, nie tylko sami się niemczą, ale zawsze gotowemu do zalewu słowiańszczyzny żywiołowi niemieckiemu otwiérają na oścież swego państwa wrota. Co więcéj nie tylko z niezrównaną troskliwością pielęgnują w Czechach wzrost żywiołu niemieckiego, ale pragnąc zrównać Czechy z Niemcami systematycznie, z góry obmyślanym planem obalają stare instytucye słowiańskie, podkopują w podstawach słowiański ustrój społeczny i polityczny. Niebawem w gruzach już leży dawny ustrój żupowy, sądownictwo i przewód sądowy, ten pełen wpływu na charakter narodu czynnik, na niemiecką przekształca się modłę, a z wyginięciem narodowéj dynastyi, pod rządami niemieckiego rodu, który i w Niemczech królewskie dzierzy berło, duch niemiecki coraz głębiéj przenika całą istotę czeskiego państwa i społeczeństwa. Feudalizm, do którego już zdawna garnęło się rycerstwo, zwycięża teraz ostatecznie i zrównywa społeczne stosunki Czech z Niemcami, z całym Zachodem, słowiańska podstawa ustroju społecznego do reszty znika. Coraz więcéj przybywa Niemców, którzy w przeobrażonych po niemiecku Czechach zupełnie czują się jak w domu; niemiecki język wdziera się do rodzin czeskich, kraj cały przybiéra zwolna postać okazu etnograficznego o mięszanéj ludności. Nad Wisłą zaś wówczas brzmi rzewna piosnka o owym niemieckim wójcie z Krakowa, który się przeciw królowi Łokietkowi zbuntował, a w jéj

zwrotkach boleją Polacy nad losem pobratymczych Czechów, których Niemcy oszukali i z ojcowizny wypierają.

Ale i w Czechach obudza się, choć niewcześnie, reakcya słowiańska, niedość świadoma swych celów, by bronić od upadku zacierającą się słowiańską cechę ustroju państwa i społeczeństwa, ale dość silna, by w podrażnionéj miłości własnéj narodu miotać się na wszystko, co niemieckie. Pierwszy odgłos tych namiętnych, wrogich niemieczczyźnie pogróżek dochodzi nas z Dalemilowéj kroniki, w pierwszéj połowie XVI wieku spisanéj, z łona szlachty czeskiéj. Późniéj, w ożywionéj na polu handlu i przemysłu atmosferze za rządów Karola IV rozpoczyna się walka ekonomiczna o byt; narodowe mieszczaństwo współzawodniczy z potężnym, jak u siebie rozwielmożnionym żywiołem napływowym, antagonizm rasowy się wzmaga, a pod jego wpływem coraz żywszy ruch obudza się w pielęgnowaniu narodowego języka, w usiłowaniach literackich na gruncie narodowym, które opierają się i o uniwersytet świéżo założony, o tak kosmopolityczną z natury instytucyą. Z dawna nagromadzony materyał palny musiał rychléj czy późniéj przywieść do wybuchu, potrzeba było tylko iskry zapalnéj, która nasunęła się w kwestyi religijnéj. Hus roztlił tę iskrę, wypowiadając zarazem niemieczczyźnie i kościołowi wojnę. Ziarno nowatorstwa religijnego, na obcym uszczkniętego gruncie, przyjmuje się w okresie wielkiéj ochrony, wśród ogólnego niezadowolenia z ówczesnych stosunków kościelnych tém łatwiéj, ponieważ je zasiewa ta ręka, która, odważnie sztandar narodowy podniósłszy, z tryumfem „niemieckie nacye“ z uniwersytetu praskiego wyparła. Pierwiastek narodowy i religijny zespalają się i przenikają wzajemnie; nigdy nowatorstwo religijne nie byłoby zdołało w XV w. tak szybko cały naród ogarnąć, gdyby z niém nie łączyło się hasło reakcyi słowiańskiéj, nigdy ruch narodowy nie byłby doszedł do téj potęgi, gdyby go nie podsycał fanatyzm religijnego namaszczenia. Czego wreszcie jeszcze nie dopięła propaganda Husa, tego dopełnia śmierć jego na stosie; aureola męczeńska bohatéra narodowego nastraja fanatyzm religijny i sponiewierane uczucie miłości własnéj narodu do najwyższego tonu, rzuca całe Czechy przeciw ostatniemu Luksemburczykowi, który ich apostoła na stos wyprawił, który akt wstąpienia na tron czeski łuną nowego stosu oświecił. Gdy go stronnicy staréj dynastyi na tron śmiercią brata opróżniony powoływali, powiedział Zygmunt z urąganiem, żeby Prażanie na jego przyjęcie wyłom w murach miasta uczynili; te słowa szyderskie, rzucone w oczy poselstwu, stanęły na zawsze murem między nim a narodem i najumiarkowańszém nawet, z wyjątkiem zagorzałych katolików, stronnictwem. Zygmunta Czesi na tron przyjąć nie

mogli a stanąwszy przed tą ostatecznością, że z królem niemieckim rozpaczliwy bój mieli stoczyć, sądzą, że nadeszła chwila, w którój stargają węzły, łączące ich z państwem niemieckiém i słowiańską zbudują sobie przyszłość.

Cały świat niemiecki, w którego żelaznym uścisku dotąd spoczywali, porywa się na nich z ogniem i żelazem, a głos papiéża całe chrześciaństwo zachodnie powołuje do walki z czeskiém kacerstwem. Ktokolwiek w Czechach trzeźwiéj na świat spogląda, pojmuje to dobrze, że czeski naród sam téj walce nie podoła, że jeśli nie ma opuścić sztandaru słowiańskiego i ze światem niemieckim zamknąć ma obrachunek, musi oprzéć się na narodzie sąsiednim, narodzie słowiańskim, tym samym, z którym przed czterema wiekami trzeba mu było się zespolić, by nie zaplątać się w sidłach niemieckiego świata. Tylko że Polska w ciągu tego czasu, który Czechy w łonie niemieckiego państwa przepędziły, po tylu burzach i zmiennych kolejach była teraz najpotężniejszém na wschodzie Europy państwem, i jak u Czechów pragnących tego zespolenia, tą właśnie potęgą tém większe wzbudzała nadzieje, tak też sama dla siebie nie potrzebowała już łączności z Czechami. Już sam Hus i druh jego Hieronim ku Polsce tęskne zwracają oczy, w chwili wybuchu rewolucyi czeskiéj wszystkie żywioły, około dodatniéj jakiéjś myśli politycznej się grupujące, ku niéj wyciągają błagalne ramiona i wołają o pomoc. Wszystko zawisło od tego, czy Polska w imię uczuć słowiańskich tego głosu usłucha.

Powracamy zatém do pytania, czy mogła groza położenia czeskiego narodu obudzić w Polsce w imię uczuć słowiańskich zapał tak ogólny tak gorący, jak tego była potrzeba, by podać Czechom w uniesieniu zapału pomocną rękę w rozpaczliwéj walce. Język, jego podobne brzmienie, nie wystarczały do tego, a pomiędzy indywidualnością narodową Czech i Polski istniała przepaść głęboka: Czechy feudalne, z ustrojem niemieckim, takie, jakiemi je trzywiekowy stosunek polityczny do Niemiec uczynił, musiały być dla społeczeństwa polskiego obcemi. Na indywidualność polskiego narodu, jakim był w wieku XV, złożyło się także skrzyżowanie pierwiastku rodzimego, słowiańskiego, z czynnikami cywilizacyjnemi, płynącemi z Zachodu. Lecz Polska nie zakuta w tę zbroję obcą, do któréj Czechy wrosły, w ciągu czterech wieków rozwinęła samodzielnie indywidualność narodową, oryginalną zupełnie i odrębną od feudalnego świata zachodniego, którego Czechy były ogniwem. Nikt może, lub mało kto zdawał sobie z tego sprawę w wieku XV, ale każdy Polak *czuł* to dobrze, że Czechy są dla niego mimo podobieństwa języka obcym narodem. Jeśli zatem w imię słowiańskich uczuć

do niego przemawiano, było to dla polskiego ucha brzmieniem niezrozumiałém.

To pewna bowiem, że nie tak łatwo się obudzi żywe poczucie współplemienności, któreby ciepłem i siłą przekonania parto do czynu. Mogą do niego wznieść się wyższe jednostki, które ze stanowiska głębokiéj rachuby politycznéj podejmą myśl łączności pobratymczych narodów, lecz trzeba czasu, trzeba propagandy, trzeba wreszcie wspólnego interesu politycznego, któryby się domagał téj łączności, żeby uczucia pobratymczéj sympatyi przeszły w krew i soki narodu i zdołały w nim zapał obudzić. Nieraz wprawdzie mówiono, iż tu właśnie był wspólny interes polityczny łącznikiem między Polską a Czechami, że wspólny antagonizm ku Niemcom mógł obydwa narody najsilniéj zespolić. Zważmyż jednak, jak różne było w tym względzie położenie Czech i Polski, jak różny tam i tutaj stopień tego antagonizmu. W Polsce nie nawidzono Niemców jako Krzyżaków, każdemu serce biło goręcéj na myśl odwetu krzywd dwuwiekowych, na myśl odzyskania ziem zagarniętych. Zakon krzyżacki groźnym jednak nie był dla Polski od czasu bitwy grunwaldskiéj, walka z nim nie była jak w Czechach wojna z Niemcami walką o byt, a z saméj zawiści ku Krzyżakom, choćby jak najgłębszéj, trudno było, biorąc Czechy pod płaszcz swéj opieki, z całym światem niemieckim do boju występować. Nienawiść ku Niemcom, jako owoc wojen krzyżackich, mogła wzbudzać w Polsce pewne sympatye ku Czechom, również z Niemcami walczącym, mogła być pewnym punktem stycznym pomiędzy obydwoma narodami; ale nie zdołała rozdmuchać tego zapału dla sprawy pobratymców, tego gorącego poczucia współplemienności, któreby się czynem pragnęło objawić. Z tém wszystkiém nic dziwnego, że skoro Czesi odzywają się w imię uczuć słowiańskich, i dyplomacya polska, w chwilach zbliżenia się do nich, odpowiadając na te odezwy w ten sam ton uderza; że w danéj chwili, pod wpływem rożnych, które w téj sprawie działały czynników niejeden odzywa się głos w Polsce za „unią z braćmi Czechami." Sięgnijmy głębiéj a łatwo się przekonamy, że jeśli sprawa czeska doznawała w Polsce pewnych sympatyj, to nie sam wzgląd na *linguagium slavonicum*," który na to nie wystarczał, był tego przyczyną.

To wiedzie nas wprost do rozbioru drugiego pytania, jakiego przyjęcia mogła w Polsce doznać religijna strona Husytyzmu.

Nieobojętną będzie rzeczą, posłuchać w tym względzie głosu jednego z najwyższych dostojników ówczesnego kościoła polskiego. W chwili, kiedy Husytyzm zaledwie zaczął być uznawanym ogólnie

za jawną herezyą, w r. 1413 zapewniał Wojciech Jastrzębiec, późniejszy prymas, wówczas biskup krakowski, że w Polsce nie znajdzie nauka czeskiego reformatora odpowiedniego gruntu (1). Jastrzębiec nie mylił się istotnie, jeśli myślał o dogmatycznéj stronie téj nauki. W Husytyzmie bowiem i Wiklefizmie, jak w każdém niemal odszczepieństwie, odróżniać należy pierwiastek dogmatyczny i kościelno-polityczny. Pierwszy pierwiastek oddziaływa zrazu na szczupłe tylko kółko wybranych, zamyka się w sferze rozpraw i dysput akademickich, dopóki wraz z drugim, przezeń drogę sobie torując, nie wnika do społeczeństwa i nie porwie go za sobą. Otóż pierwiastek dogmatyczny rzeczywiście nie mógł w Polsce zdobyć sobie wpływu. Uniwersytet krakowski, jedyne ognisko, które dogmatyczna strona Husytyzmu mogła bliżéj obchodzić, zachował w obec niéj ściśle odporne stanowisko, a jeśli stąd Caro na uniwersytecie i społeczeństwie polskiém dopatruje się piętna godnéj politowania niższości umysłowéj, to zarzut ten spotkać powinien wszystkie uniwersytety współczesne i cały Zachód europejski. Nigdzie bowiem nie rozwija się wówczas ruch reformacyjny téj miary co Husytyzm, a właśnie Czechy i tylko Czechy były ku temu odpowiednim gruntem.

Czechy miały w końcu XIV i w początku XV wieku stolicę w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, stolicę ze wszystkiemi cechami jéj centralizacyjnego znaczenia, jaką może nie był nawet jeszcze wówczas Paryż dla Francyi, jakiéj żaden inny kraj nie posiadał. Dzięki usiłowaniom Karola IV około podniesienia ulubionéj rezydencyi, Praga stała się tak potężném ogniskiem wszelkich politycznych, materyalnych i intelektualnych interesów całego państwa czeskiego a zwłaszcza Czech właściwych, że każdy ruch, który Pragę ogarnął, opanowywał zarazem całe Czechy. Klejnotem zaś, którym się Praga przed całym światem szczyciła, był uniwersytet, ta sławna szkoła, która tak olbrzymi napływ uczniów ze wszech stron ściągała i w bezpośredniém zetknięciu z ludnością tak potężny wywierała wpływ na nią a przez nią na naród cały. Kilkanaście tysięcy scholarów osiadłych wśród ludności miejskiéj obudzało w niéj żywy udział dla tych kwestyj spornych, któremi się uniwersytet zajmował, tém bardziéj, że pomiędzy scholarami było wiele osób, praktycznemu życiu oddanych, które dla obfitych przywilejów akademii zaciągały się do szeregów uczniów uniwersyteckich. Gdy do tego dołączyła się jeszcze bezpośrednia działalność Husa z kazalnicy, szybko zasady religijne Husytyzmu przyjęły się na przygotowanym już do

---

(1) Palacky: Documenta Mag. Joannis Hus vitam illustrantia, 506.

tego gruncie ludności stołecznéj, a przez rozgałęzione jéj stosunki z całém społeczeństwem czeskiém, lotem błyskawicy wniknęły we wszystkie jego warstwy. Jeżeli wolno użyć tego porównania, to istotnie jak rewolucyi francuskiéj bez Paryża, tak Husytyzmu bez Pragi niepodobna sobie wyobrazić.

Polska nie posiadała stolicy, Kraków miał znaczenie głównego miasta, ale jako miasto w ustroju społecznym Polski był najmniéj wpływowym czynnikiem. Decentralizacya była właśnie wybitną cechą ustroju politycznego Polski, każda ziemia stanowiła odrębną całość; a w braku centralnego ogniska, którego wpływ rozciągałby się na cały naród, działalność dogmatycznego czynnika w każdym ruchu reformacyjnym nie miała utartéj do rozpościerania się drogi (1). Jednostki mogły się przejmować dogmatyczną stroną nauki czeskiego reformatora, ale téż wpływ jéj kończył się na pozyskiwaniu jednostek.

Jeśli jednak Jastrzębiec mniemał, że Husytyzm jako rewolucya przeciw ówczesnemu ustrojowi kościoła i materyalnéj potędze duchowieństwa nie znajdzie w Polsce „odpowiedniego“ gruntu, to zdanie takie dowodziłoby co najmniéj nie dość czujnéj żarliwości krakowskiego biskupa o dobro kościoła. Poszukajmyż odpowiedzi na to pytanie w stanowisku ówczesnego kościoła polskiego, w usposobieniu, jakie w społeczeństwie polskiém względem niego panowało.

Początek wieku XV był dla kościoła polskiego okresem stanowczéj przewagi. Potęga jego nie doszła była jeszcze do szczytu, ale tém samém nie dosięgała tego punktu, po za którym musiała nastąpić reakcya. Jeszcze nie chwycił był kościół stanowczo steru państwa, ale wpływał potężnie na jego rządy; nie był jeszcze rządem, ale miał w nim udział przeważny, związawszy ściśle z swym interesem większość możnowładztwa, w którego ręku rząd spoczywał. W dalszém następstwie tego stanowiska, nieuniknioném było starcie się kościoła z państwem, jeśli ustrój Polski nie miał przybrać cechy stanowczo teokratycznéj. W czasie wybuchu wojen husyckich była jeszcze ta chwila daleką, wprzód miał wyjść z łona kościoła polskiego potężny przywódca, który jeszcze wyżéj podniósł jego znaczenie i na czas pewien istotnie w imię interesów kościoła państwem zawładnął. Zanim jednak zaświtała ta chwila najwyższéj kościoła polskie-

(1) Z tego samego powodu reformacya wystąpiła w Polsce jako kalejdoskop tak różnorodnego sekciarstwa.

go potęgi, zanim przyszło do tego, że państwo musiało przeciw niéj *veto* założyć, oddawna w społeczeństwie szlacheckiém nurtowały przeciwne téj przewadze kościoła dążności, które zbyt ważną w obec naszéj kwestyi odgrywają rolę, byśmy im nie mieli głębszéj uwagi poświęcić. Dążności te nie wznoszą się zrazu do stanowiska programu politycznego, do znaczenia głębiéj pojętéj teoryi o stosunku państwa do kościoła; na to było jeszcze ówczesne społeczeństwo szlacheckie zbyt młode i niedojrzałe. Stać je było jednak na tyle prostego rozumu i zmysłu praktycznego, by w obec dążności duchowieństwa, skierowanych ku naruszeniu materyalnych szlachty interesów, w codziennném życiu najbliżéj ją obchodzących, zająć obronne stanowisko i upierać się przy niém wszelkiemi siłami.

Do punktów spornych należały przedewszystkiém dziesięciny. Płacenie dziesięcin, „które,“ jak mówią statuta kościelne, „Bóg rozkazał składać sobie na znak najwyższego panowania nad światem i na pomnożenie swéj chwały, lub utrzymanie swych sług przeznaczył,“ uważane było ogólnie za obowiązek powszechny, z którego nikt wyłamywać się nie mógł. Szlachta jednak używała w Polsce od czasów niepamiętnych przywileju „dziesięciny swobodnéj.“ Wolno było mianowicie każdemu szlachcicowi przeznaczać dowolnie dziesięcinę dla tego kościoła, który mu się podobał, przez co danina obowiązkowa traciła poniekąd wstrętny zawsze dla szlachty polskiéj charakter przymusu a równała się niejako dobrowolnéj, pobożnéj ofierze, któréj wysokość tylko nie ulegała dowolności. Również nie potrzebował szlachcic odwozić dziesięciny kościołowi, dla którego ją przeznaczał, jak do tego chłopi byli obowiązani, lecz sam właściciel dziesięciny musiał się po nią zgłosić. Nie można zaprzeczyć, że oba te przywileje, a szczególnie pierwszy, były dla kościoła bardzo niedogodne. Dowolność w składaniu tak ważnéj pozycyi w dochodach duchowieństwa, jak dziesięciny z posiadłości szlacheckich, utrudniała stałe uregulowanie stosunków majątkowych hierarchii kościelnéj, które przecież stanowiły jednę z głównych podstaw jéj stanowiska społecznego (1). Zniesienie dziesięciny swobodnéj, zrównanie obowiązków szlachty z obowiązkami chłopów i mieszczaństwa, to zatém cel, do którego kościół polski wszystkiemi dąży siłami, to pierwsze źródło jego zatargów ze szlachtą. Jakoż w zasadzie uważa kościół dziesięcinę swobodną za rzecz anormalną, na którą w danéj chwili jeszcze zezwala, domaga się jednak głośno jéj zniesienia a niebawem ogłosi

---

(1) Porównaj Helcla: Badania w przedmiocie dziesięcin kościelnych w Polsce: Biblioteka Warszawska r. 1863, tom III. str. 1—55.

upieranie się przy niéj za grzech śmiertelny. Tymczasem zwolna stara się zachwiać podstawą przywileju szlacheckiego. Jeśli szlachcic na swéj roli kmieci na czynszu osadzi, odmawia mu kościół prawa dziesięciny swobodnéj, gdyż kmieć powinien tam płacić dziesięciny, gdzie mu władza kościelna wskaże. Jeśli jednak szlachcic kmiecia z jego gospodarstwa wyruguje i przyłączy je do swego folwarku, musi z ról pierwotnie kmiecych temu opłacać dziesięcinę, komu ją przedtém kmiecie składali. A był to właśnie czas, w którym szlachta rugowaniem kmieci zakładała dopiéro większe folwarczne gospodarstwa, łatwo się więc zdarzać mogło, że większa część szlacheckiego folwarku składała się z takich ról, kmiecego pochodzenia. Z oburzeniem patrzyła szlachta na to prastarych swych przywilejów naruszenie; „gdy według prawa natury,“ mawiała, „szlachectwo ma źródło w wolności, to nawzajem i wolność z szlachectwa wynika.“ Na zjazdach szlacheckich postanawiano: „żeby każdy szlachcic królestwa polskiego dziesięciny z ról własnych, właśném ziarnem zasianych, tam składał, gdzie mu się podoba. Jeśli go zaś o to jaka duchowna osoba, jakiéjkolwiekby była godności, przed sąd powoła, to on nie inném prawem, jak prawem ziemskiém i to na wielkim wiecu sądowym bronić się będzie. Jeśli zaś dostojnik duchowny, niezadowolony wyrokiem sądu ziemskiego, postara się o to, żeby na szlachcica klątwę rzucono, wtedy szlachcic ma przed sąd ziemski zapozwać sędziego duchownego, który nań klątwę rzucił, i prawem ziemskiém zaskarzyć go o zgwałcenie naszych praw i statutów. A jeśli go sąd skarze, to pokrzywdzony na jego dobrach lub tego, kto go sędzią ustanowił, drogą prawną dochodzić będzie krzywd swoich“ (1).

Takie postanowienia szlachty, uchwalane na zjazdach prywatnych ku wspólnéj przeciw dążnościom duchowieństwa obronie, były w zasadniczéj sprzeczności z kardynalnemi pojęciami prawa kanonicznego o kompetencyi sądownictwa świeckiego. Kościół zabraniał bowiem stanowczo sądom świeckim wkraczać we wszelkie sprawy osobiste duchownych, pociągając je wyłącznie przed forum kościelne. Ktokolwiek z osób świeckich powołał duchownego przed sąd ziemski, równie jak sędzia, który wytoczoną w ten sposób sprawę przyjął, tém samém ściągał na siebie klątwę. Szlachta nie zaprzeczała w ogóle duchowieństwu prawa odpowiadania przed swoim sądem, a uznając, „iż słuszna to i z rozsądkiem rzecz zgodna, by każdy

(1) Bobrzyński: Uchwały zjazdu piotrkowskiego z r. 1406 oraz takiegoż zjazdu z r. 1407, w tomie I Rozpraw i Sprawozdań wydz. fil. hist. Akademii Umiejętności str. 111.

swego właściwego prawa używał," zgadzała się na to, „żeby każdy, świecki w jakichkolwiek sprawach o długi i wszelkie umowy pozywał duchownego nie przed inny sąd jak duchowny, z wyjątkiem spraw o dziedzictwo, które do naszego prawa ziemskiego należą" (1). Natomiast jednak domagała się szlachta, „żeby duchowni w wszelakich sprawach, wielkich czy małych, nie pozywali szlachcica przed forum duchowne, ale tylko przed sąd ziemski, któremu jest podległy;" tylko sprawy małżeńskie, zabójstwo, okaleczenie lub pobicie duchownego, miały należéć bezwzględnie do kompetencyi sądów duchownych. Szlachta przekraczała zatém sama określoną przez się kompetencyą sądu ziemskiego, jeżeli do niego pociągała skargi w sprawach o dziesięciny, a duchowieństwo, zaprzeczając sądom ziemskim prawa mięszania się w sprawy duchownych, uciekało się w sporach ze szlachtą ku tém większemu jéj rozdrażnieniu do swoich sądów.

I tu często przedmiotem sporów były dziesięciny. Przypatrzmyż się przykładowi, który nam rzecz całą dokładniéj objaśni. We wsi Jurczycach szeroko rozrodziło się gniazdo dziedzica, na początku XV wieku siedziało na niéj aż siedmiu drobnéj szlachty, Benia, Franek, Rafał, Andrzej, Jacuś, Kusz i Wacław. Oni i ich przodkowie zdawna płacili dziesięcinę klasztorowi tynieckiemu, opat twierdził, że dawniéj niż od sześćdziesięciu lat, słowem, od czasu, jakiego nikt nie zapamięta. W r. 1404 zmówili się jednak wszyscy i odmówili klasztorowi dziesięciny, a czy ją oddali innemu kościołowi, jak im to według przywileju szlacheckiego było wolno, o tém już trudno się dowiedzieć. Mścisław, opat tyniecki, zanadto dbał o dochody klasztoru, żeby im to miał płazem puścić, a z tradycyi był konwent jego do prawowania się tak skory, że nawet w sądzie kuryi papieskiéj stosy papiéru w jego sprawach zapisano. Wniósł więc opat skargę przed sąd duchowny oficyała krakowskiego, żądając, żeby mu prócz prawa do dziesięcin z ról szlacheckich w Jurczycach, prócz 14 grzywien za dziesięciny z roku poprzedniego i prócz kosztu procesu jeszcze 100 grzywien kary za tak „jawną krzywdę" przyznano. Otóż z wyjątkiem tego ostatniego żądania, które samemu sądowi oficyalskiemu wydało się niedość uzasadnioném, otrzymał opat wyrok zupełnie pomyślny, zniewalający szlachtę jurczycką wbrew starym przywilejom do płacenia dziesięcin klasztorowi tynieckiemu (2).

(1) Tamże str. 114.

(2) Kętrzyński i Smolka: Kodex dyplomatyczny klasztoru tynieckiego, 195.

Sprawy takie, jeśli w nich o ważniejszą rzecz chodziło, wytaczano przed kuryą rzymską. Dość przypomnieć sobie, jakim był dwór papieski za czasów wielkiéj schizmy zachodniéj, by pojąć, z jaką skwapliwością jęły się ówczesne sądy papieskie rozsądzania takich spraw spornych w obec wysokich opłat sądowych. Sprawa dostawała się komukolwiek z licznych audytoryów kuryi; był to zwykle Włoch, późniéj, kiedy schizma ustała, często Hiszpan lub Francuz, w każdym razie człowiek, który zaledwie coś słyszał o istnieniu Polski a o stosunkach polskich zgoła nie miał wyobrażenia. Audytor wystosowywał cytacyą, którą posyłano do Polski, dla doręczenia pozwanemu lub ogłoszenia w kościele (1). Najczęściéj trzeba było poprzestać na tym drugim środku, gdyż szlachcic, któremu cytacyą przed sąd duchowny doręczano, nierzadko porywał się do pięści, jeśli nie korda. Statuta kościelne boleją nad tém, że są tak „okrutni i niegodni ludzie,“ którzy wysłańców sądu duchownego nie tylko shańbią zelżywemi słowami, ale i batami osmagają, do więzienia wtrącą lub, ze wszystkiego obdarłszy, do domu puszczają; „są i tacy,“ mówią statuta, „do których dla znanéj srogości nie ma przystępu, albo téż, skoro w zamkach mieszkają, w żaden sposób doręczyć im cytacyi nie można,“ w takim zatém wypadku ogłaszano ją w parafialnym kościele pozwanego, jeśli do niego bezpiecznie było się dostać, jeśli nie, to w dwóch pobliskich kościołach i w katedrze (2). Bądź co bądź, w jakikolwiek sposób cytacya obwieszczoną została, czy ją pozwany szlachcic do rąk otrzymał i zwiastuna niemiłéj wieści guzem obdarzył, czy też o niéj skądinąd się dowiedział, w każdym razie nie pomyślał nawet o tém, żeby w sześćdziesiątym dniu, jak tego cytacya wymagała, stawić się w Rzymie „lub gdziekolwiek wówczas papież bawić będzie“ i sprawę swoję przed wyznaczonym w tym celu bronić audytorem. Odbył się zatém termin bez niego, stanął na nim tylko zastępca sądowy strony duchownéj, który wytoczywszy proces przebywał u dworu papieskiego, zapadła kontumacya, a audytor papieski wydał wyrok na korzyść powoda. Chodziło już tylko o egzekucyą. Nic zapewne nie było dla kościoła tak pożądaném, jak zapewnienia wyrokom sądów duchownych u władz świeckich egzekucyą,

---

(1) Przykłady kilku takich procesów zawiera przytoczony powyżéj Kodeks tyniecki. Szczególnie na uwagę zasługuje głośny proces klasztoru tynieckiego z kilkoma znamienitymi obywatelami ziemi krakowskiéj i sandomierskiéj o rozmaite wsie w okolicy Brzostka. Rzecz ta musiała zakończyć się ostatecznie jakimś kompromisem, skoro niektóre z tych wsi spornych, jak to widać z Liber beneficiorum Długosza, były w drugiéj połowie XV w. własnością klasztoru, inne zaś do niego już nie należały.

(2) Starodawne prawa polskiego pomniki tom IV. ed. Heyzmann str. 200.

dążyło do tego téż polskie duchowieństwo, ale zdołało cel ten osiągnąć dopiéro późniéj, choć więcéj na papiérze niż w praktyce. Tymczasem jednak klątwa kościelna spełniała swoje zadanie. Klątwa audytora papieskiego spadała na szlachcica, który w ten sposób przegrał sprawę, klątwa, którą on sam tylko lub papież mógł zdjąć z wyklętego, jeśli żądaniom pozywającéj strony duchownéj zadość uczyni; całe duchowieństwo dyecezyi obowiązane było we wszystkich kościołach klątwę ogłosić. Cóż miał uczynić wyklęty? Nikomu pod karą klątwy nie wolno było mieć z nim stosunków, gdziekolwiek przebywał, gdzie się pojawił, na to miejsce tém samém zapadał interdykt, ustawała służba boża. Zużył się był już wprawdzie cokolwiek ten środek i z całą ścisłością trudno było przestrzegać przepisów kanonicznych co do postępowania z wyklętymi i zachowywania interdyktu. W każdym razie zależało to jednak od sprężystości i żarliwości duchowieństwa, a bądź co bądź, ostrze klątwy kościelnéj nie stępiało jeszcze do tego stopnia, by nie zmusić dotkniętego nią do upokorzenia się, lub co najmniéj do zawarcia ugody, którąby się stronie duchochownéj korzystną wydała.

Łatwo pojąć, jak zżymała się szlachta na takie prowadzenie procesów. „Wielkie szkody i krzywdy“, wołano na zjazdach szlacheckich, „spadają na mieszkańców królestwa z częstych a licznych cytacyj, które ich przed trybunał kuryi rzymskiéj lub z jéj polecenia po za granice państwa pozywają. Chcąc temu złemu zapobiedz, postanawiamy, żeby nikt z obywateli królestwa polskiego, świecki czy duchowny, jakąkolwiekby godność piastował, nie poważał się ani szlachty, ani osób duchownych po za granicami państwa pozywać. Kto to uczyni, jeśli jest posesyonatem, wszelkie posiadłości jego, duchowne czyli téż dziedziczne, bez zwłoki mu zabierzemy i oddamy je pozwanemu. Jeśliby zaś nie był posesyonatem, ma być z państwa wygnany. Gdyby go zaś ten, kogo on pozwał, lub ktokolwiek inny zdołał pojmać, może go uwięzić i jak długo zechce trzymać w więzieniu, lub uczynić z nim, co mu się podoba. Jeśli wreszcie jaki prałat królestwa lub sędzia przezeń delegowany, albo jakiéjkolwiek godności osoba duchowna, w skutek takiéj cytacyi lub komisyi papieskiéj, rzuci klątwę na kogo, mają mu być zabrane dobra kościelne: dziedziczne na rzecz skarbu królewskiego“ (1).

Tak radziła uciśniona sądami audytorów papieskich szlachta na swych zjazdach, ale nie mając odpowiedniego, powołanego do tego organu, któryby jéj wolę zdołał w czyn zamienić, nie mogła

(1) Bobrzyński: Uchwały zjazdu piotrkowskiego l. c. 115.

dla tych uchwał wyjednać sankcyi ustawodawczéj. Uchwały takie są tylko ciekawym objawem jéj usposobienia, dowodzą jasno, do jakiego stopnia dochodzić musiało rozdrażnienie, jeśli, dla wywarcia tém większego nacisku na duchowieństwo, domagano się konfiskaty posiadłości kościelnych, należących do beneficyum téj osoby duchownéj, któraby sprawę sporną przed trybunał kuryi zaniosła. Cytacye takie zaś nie ustawały, skoro się na nie ciągle użalają, a na skargi szlachty odpowiada duchowieństwo tylko: „biskup nie wydaje nigdy cytacyj pozywających za granice królestwa, ani nawet za granice dyecezyi, czyni to tylko papież, którego władzy my ukrócić nie możemy.“ (1)

Nie na każdego spadały swém brzemieniem cytacye kuryi papieskiéj, ale jeśli kto miał w rodzie choćby dalekiego krewniaka, którego takie nieszczęście spotkało, to pewnie uczuł ztąd głęboką do duchowieństwa urazę, któréj sam do śmierci nie zapomniał, którą dzieciom w spuściźnie zostawił; w społeczeństwie szlacheckiém, związaném silnym węzłem wspólności rodowéj, każda krzywda wyrządzona szlachcicowi rozlegała się donośném echem w szerokich kołach. Wszyscy jednak niemal w drobnych sprawach codziennego życia mieli jakiś powód do zatargów z duchowieństwem, jedni tylko, potulniejsi, łatwiéj ustępowali, drudzy, bardziéj rogatego ducha, nikomu, choćby księdzu biskupowi nawet, nie puszczali płazem urazy. Chociaż kto nawet w sprawie dziesięcin nie zdawał sobie jasno sprawy z groźnych przywilejom szlacheckim dążności kościoła, to w corocznéj praktyce, przy wybiéraniu dziesięcin, łatwo mogł zadrzéć z „osobą duchowną.“ Co rok, wśród żniw i po żniwach przyjeżdżali tak zwani „decymatorowie,“ włodarze prałatów i innych osób duchownych, którym się we wsi dziesięciny należały, dla odebrania ich od szlachty, dla wyłączenia dziesięciny snopowéj na polach kmiecych. Rzecz jasna, że nie mogło się obejść przy tém bez różnych nadużyć i szykan, sam szlachcic łatwiéj sobie jeszcze dał radę, ale kmiecie oddani byli na łaskę i niełaskę włódarzy, a krzywda wyrządzona kmieciom spadała w części także i na pana. Nieraz nie zadawalniali się włodarze wytyczeniem dziesiątego snopa na każdym łanie zosobna, ale wybiérali cały komput z ról lepszych, które dorodniéj zrodziły, zabiérając jednym większą część plonu a zostawiając innym dobytek nietknięty. To znów przybywali nie w czasie, tymczasem kmiecie zbiérać z pola nie mogli, nadeszły słoty, zboże na pniu zrosło i wraz z dziesiątym snopem cały plon roczny zmarniał;

(1) Starodawne prawa polskiego pomniki IV. 97.

nie miał wtedy i ksiądz wielkiéj pociechy z takiéj dziesięciny, ale biedni kmiecie na głód byli skazani, a pan nie miał skąd ściągnąć należnych danin. Ale nie same dziesięciny były w codziennném życiu tém jabłkiem niezgody, najspokojniejszy ziemianin, nie szukający zaczepki z kościołem, wchodził z nim często niechcący w zatargi. Jeśli miał bowiem proces z sąsiadem i wygrał go w sądzie ziemskim, nieraz zły sąsiad poszukał w familii lub między przyjaciołmi księdza i odstąpił mu sprawę, a ten ją jako ksiądz powlókł przed forum duchowne, gdzie wytaczał się proces na nowo, grożący szlachcicowi, który go już był wygrał, jeśli nie obaleniem wyroku sądu ziemskiego, to w każdym razie nowemi kłopotami (1). Słuszne gniewy szlachty wzmagały się jeszcze bardziéj, jeśli sądownictwo duchowne, które jéj tyle dokuczało, nie dawało im dostatecznego zadośćuczynienia za jawne krzywdy, przez duchownych zrządzone. Nieraz zdarzyło się, że szlachcic przychwycił księdza na gorącym uczynku, na cudzołostwie, kradzieży lub innéj zbrodni: nie mógł sam sobie sprawiedliwości wymierzyć, gdyż nie wolno mu było targnąć się na osobę duchowną, nie mógł księdza zaskarzyć przed sąd grodzki, lecz musiał udać się do sądu duchownego, gdzie często winnego, bez przesłuchania poszkodowanego, natychmiast, lub po trzech dniach na wolność wypuszczano. W gniewie odgrażała się szlachta, że w takich razach będzie szukać odwetu na posiadłościach sędziów duchownych (2).

Nic jéj nie pomagały projekta statutów, na zjazdach prywatnych uchwalane, które pozostały projektami i, jako takie, utonęły w zapomnieniu. Kościół posiadał znakomitą organizacyą, która jego siłę stanowiła; szlachta w rozproszeniu, w braku jakiegokolwiek silniejszego punktu oparcia, projektami statutów lub odosobnionym oporem pokrzywdzonéj jednostki nic przeciw niemu zdziałać nie mogła. Pojmowała jednak szlachta, że i jéj potrzeba organizacyi, że tylko solidarność i wzajemne wspieranie się może nadużyciom duchowieństwa tamę położyć i zachwianą na korzyść kościoła równowagę społeczną przywrócić. „Zważywszy zatém,“ mówi akt zjazdu szlacheckiego, „jak wielki i niesłychany ucisk my i ludzie nasi i wszyscy królestwa polskiego mieszkańcy od osób duchownych znosimy“, zebrała się szlachta wielkopolska 16 Października r. 1407 w Piotrko-

---

(1) Wszystko to oparte na statutach kościelnych, ogłoszonych w IV tomie Starodawnych prawa polskiego pomników.

(2) Bobrzyński: Uchwały zjazdu piotrkowskiego l. c. 114, Starod. pr. pol. pomn. IV. 100.

wie i zawiązała rodzaj konfederacyi ku wspólnéj obronie, którą w kołach duchownych nazwano „konspiracyą panów świeckich przeciw duchowieństwu.“ Rozumiała szlachta, że to właśnie zmienne koleje kilku ostatnich dziesiątek lat zachwiały stanowczo równowagą stanów, którą jeszcze „przesławny, świętéj pamięci“ król Kazimierz umiał utrzymać, postanowiono zatém zachować ten stan rzeczy, jaki utworzyły układy Kazimierza Wielkiego z arcybiskupem Jarosławem i biskupem krakowskim Bodzantą. „Gdyby kto jednak,“ zobowiązano się pod przysięgą, „chciał nam krzywdę czynić i gwałcić prawa nasze, bronić ich będziemy życiem i mieniem, jak nam cześć i wiara miła. Ku straży tych starych praw, przywilejów i zwyczajów, każda ziemia ma wybrać czterech z swego grona, do których wszyscy przez duchowieństwo pokrzywdzeni będą się uciekać i za radą tych czterech panów bronić się będą przeciw krzywdom i uciskowi duchowieństwa. Ktoby zaś z nami się łączyć i wspierać nas nie chciał, tego ze społeczności królestwa wypchniemy i opustoszymy mu dobra“ (1). Był to zatém dokładnie obmyślany projekt organizacyi szlachty przeciw duchowieństwu; czy go wykonano, czy przyszło do ustanowienia tych trybunów szlacheckich, trudno wykazać; choćby to jednak był tylko projekt, na który się powszechnie zgadzano, to w każdym razie jest ciekawą ilustracyą ówczesnego usposobienia szlachty.

Zważmyż jednę rzecz jeszcze. Duchowieństwo, które szlachtę uciska i, dla uregulowania swoich dochodów, przywileje jéj łamie, posiada największe w kraju dobra, opływa w dostatki, bogaceniem swych krewniaków wytwarza nowe, potężne rody magnackie. Szlachta zaledwie wyżyć może z roli ojcowskiéj, która jéj niedawno jeszcze wystarczała. Kilka ostatnich lat dziesiątek wzmogło niesłychanie potrzeby społeczeństwa szlacheckiego, téj zwłaszcza warstwy jego pośredniéj, któréj daleko było do bogactwa magnatów, a która jednak górowała nad drobną, ubogą szlachtą. Coraz więcéj rozszerzał się wśród niéj polor rycerskiego zachodu. Niejeden wyjeżdżał z kraju i w stronach dalekich, na świetnych dworach królewskich i książęcych, rycerskie zbiérał wawrzyny, niejeden z niespokojnym królem Zygmuntem po całym włóczył się świecie lub nawet pod gorącém niebem hiszpańskiém z Maurami ścierał kopie; kiedy przybył do kraju, wszyscy bracia i swaty pragnęli mu dorównać w polorze, w świetności strojów i rynsztunku, i jakże zresztą nie mieli dbać

---

(1) Bobrzyński l. c. 121: „Literae conspirationis dominorum secularium adversus spirituales.

o to, kiedy i na zamku krakowskim coraz częściej herold królewski otrębywał turnieje, na których trzeba było zabłyszczéć i, zmierzywszy się z jakim rycerzem z nad Renu lub Dunaju, nie tylko siłą ramienia z siodła go wysadzić, ale i bogactwem rynsztunku przewyższyć. Nie starczył na to dochód z ojcowskiego dziedzictwa, ale byli w Krakowie lub Poznaniu żydkowie usłużni, u których zawsze potrzebny grosz się znalazł; o oddaniu trudno pomyśléć, lichwa zjadała majątek, a kiedy do boju z Krzyżakami zabrzmiała trąba wojenna, trzeba było jednak wyruszyć dostatnio, by się Niemiec z polskiego rycerza nie naśmiewał. Wielkie wyprawy wojenne zajmowały do reszty szlachtę, niszczyły do szczętu i tę drobną brać szlachecką, która zanadto była ubogą, by ją mógł zbytek zrujnować. Cóż dziwnego, że szlachta, służbą wojenną wyniszczona, długami nękana, pretensyami duchowieństwa uciśniona i drażniona nieustannie, zawistném okiem spoglądała na jego dostatki i bogactwo (1).

Wśród takich w Polsce stosunków, występuje w sąsiednich Czechach Hus z swoją nauką. Kiedy szlachta w konfederacyach szuka obrony swych materyalnych interesów przeciw uroszczeniom duchowieństwa, głosi Hus jawnie i otwarcie, że kościół wrócić winien do pierwotnych urządzeń, duchowieństwo do apostolskiego ubóstwa; za pierwszém gwałtowniejszém podniesieniem się fal Husytyzmu wcielają się te zasady w czyn, a bogate dobra kościelne padają ich ofiarą. Kiedy szlachta wyrokami audytorów papieskich nękana surowemi ustawami pragnie sądownictwu kuryi tamę położyć, odzywa się w Pradze reformator czeski, że nigdy Piotr św. nie był głową kościoła, a więc i następca jego nią nie jest, że papież to „patron Antychrysta.“ Czyż nie mógł w obec tego Husytyzm, mimo obojętności dla dogmatycznéj jego strony w usposobieniu szlachty polskiéj, znaléść przyjaznego echa? Dla wielu wprawdzie, którzy z duchowieństwem żyli w zatargach, był tradycyjny duch pobożności obronną tarczą przeciw wrogim kościołowi zasadom. Ale w znacznéj części społeczeństwa szlacheckiego był niezawodnie w chwilach roznamiętnienia dobrze przygotowany przychylny grunt dla posiewu zasad husyckich; już podczas soboru konstancyjskiego głośno było o tém w świecie, że nauka Husa zjednała sobie w Polsce liczne grono tajnych zwolenników (2). Trzeba było wytężonéj czujności duchowieństwa, którąby silnym kordonem Polskę od Czech oddzieliła,

(1) Charakterystycznych przyczynków do ilustracyi tych stosunków dostarczają zapiski sądowe, Helcel: Starod. pr. pol. pomn. II.

(2) Palacky: Documenta Mag. Joannis Hus vitam illustratia, 315.

żeby ten zasiew nie padł na grunt przygotowany i nie ogarnął przychylnie usposobionéj szlachty.

Jakiekolwiek jednak przypisywalibyśmy znaczenie temu usposobieniu szlachty, nie był to w obec polityki, którą Polska względem Husytyzmu podejmie, czynnik decydujący. Nie w jéj ręku rząd się znajdował, społeczność szlachecka wywierała nań jeszcze wpływ bardzo podrzędny, dzierżyła go silna dłoń możnowładztwa duchownego i świeckiego. Pierwsze zaś, z natury rzeczy Husytyzmowi wrogie, umiało interes kościoła zespolić z interesem przeważnéj części panów świeckich. Wprawdzie dążności kościoła, zwrócone przeciw materyalnym interesom i przywilejom szlachty, dotykały zarazem i panów świeckich, ale polityka duchowieństwa oszczędzała te sfery magnackie, na których poparciu jego stanowisko w państwie polegało. Z tych sfer rekrutował się zastęp kościelnych dygnitarzy, a jeśli ich szeregi pomnożyły się jakim przybytkiem z warstw niższych, to prałat, który z drobnéj wyszedł szlachty, uposażeniem swéj rodziny niebawem ją wyniósł do rzędu rodów magnackich, a tém samém w pierwszéj przynajmniéj generacyi tém silniéj związał parweniuszów z interesem duchowieństwa. Stąd zatém, z tych sfer własnym interesem zespolonych z kościołem wychodzili i świeccy państwa dygnitarze, którzy w radzie królewskiéj o losach jego rozstrzygali. Wprawdzie i wśród możnowładztwa świeckiego zabłąkał się niekiedy objaw opozycyi przeciw kościołowi, ale kto się w ten sposób zamanifestował, tego skrzętnie odsuwano jako owcę parszywą od dostojeństw i udziału w rządzie; wszak ci Melsztyńscy i Zbąscy, którzy późniéj jawnie sztandar Husytyzmu podnieśli, to byli właśnie „patrycyuszowskich rodów potomkowie, którzy ojcowskich nie dosięgli dostojeństw“ (1). W saméj radzie koronnéj, w samém dygnitarskiém kole zdarzali się panowie, którzy w obronie materyalnych interesów stanu szlacheckiego łączyli się z pokrzywdzoną szlachtą przeciw duchowieństwu; już w owym akcie zjazdu piotrkowskiego czytamy o „wojewodach, kasztelanach i dygnitarzach.“ Na ich to właśnie synach mściła się ręka rządzącego systemu, a jeśli ich samych z rządu wyprzéć nie mogła, to w każdym razie miała jeszcze dość siły, by wpływ ich w radzie koronnéj neutralizować.

Jakże wreszcie miał zachować się ten, około którego zbierała się ta rada koronna. Jagiełło, przed wstąpieniem na tron polski z duszy poganin, zewnętrznie na wpół wschodniéj wiary wyznawca, czuł to dobrze, że w gronie monarchów europejskich i we własném

(1) Długosz, Hist. Pol. IV. 544.

państwie, którego korona tak niespodziewanie na głowę mu spadła, był parweniuszem. Był to istotnie parweniusz w całém tego wyrazu znaczeniu, a małżeństwem z dziedziczką arystokratycznego rodu wszedł w sfery towarzyskie, do których się nie urodził. Nie miał dość uzdolnienia i energii ducha, by ze sfery, z któréj wyszedł, wnieść na nowe stanowisko pewien zasób właściwego jéj, zdrowego a oryginalnego pierwiastku, lecz dał się zupełnie opanować przez krzywiącą się nieustannie na mezalians żonę, która, usiłując go nastroić do tonu w jéj sferze panującego, każdy poryw ku samodzielności, nieuniknioną przymieszką naturalnéj rubaszności trącący, karciła surowo jako wstrętne jéj przywyknienie z obmierzłego, dawnego stanu małżonka. Rolę téj żony kapryśnéj odgrywała z początku rzeczywista małżonka Jagiełły, Jadwiga, z nią zaś i po jéj śmierci, przez cały czas rządów Olgierdowica, to ściśle zespolone możnowładztwo polskie, duchowne i świeckie, które go na tron powołało. Neofita, katechizowany gorliwie przez Jadwigę i polskich prałatów, przejął się głęboką czcią dla nowéj wiary, a pogańskie przesądy, wzbudzające w prostym umyśle dziecinną trwogę przed straszliwym gniewem bożym, były w ręku duchowieństwa wybornym biczem ujeżdżonego, lecz narowiącego się czasami konia, wypróbowanym środkiem, po którego użyciu tém większa następowała pokora. Nie mogło jednak obejść się bez objawów „takiego znarowienia“, litewska natura Olgierdowica porywała się niekiedy do zrzucenia tego jarzma, którego ciężar zawsze mu dolegał, choć je zwykle cierpliwie znosił. W r. 1427 pisze o nim rocznikarz franciszkański, wystawiwszy mu wprzód pochlebne świadectwo uczciwości i „trzeźwości.“ „W tém jedném ten król ciężko błądził, że naruszał przywileje kościoła, wymagając od arcybiskupa, biskupów i opatów utrzymania dworu w czasie przejażdżek po kraju, niejednemu klasztorowi kazał sobie przez trzy albo cztery dni a biskupom przez tydzień lub nieraz nawet przez dwa tygodnie dostarczać wszelkich potrzebnych żywności a zwykł był mieć w swym orszaku do dwóch tysięcy koni i jeźdzców, przez co mnóstwo siana i owsa klasztorom wydzierał i na ogromne je narażał wydatki, a nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Prałaci zaś w obawie, żeby król nie popadł w herezyą Husytów, znosili tę krzywdę i dostarczali mu żywności w czasie przejazdu, a król, jeszcze i tém niezadowolony, zostawiał nieraz klasztorom po dziesięć lub dwanaście koni z dwoma parobkami do wyżywienia, surowo nakazując pod utratą łaski monarszéj, żeby je należycie owsem i sianem wypasano. Wielki to ucisk i niewola kościoła a przeciw temu przecież w prawie kanonicznem zastrzeżono, żeby żaden książę świecki nawet kłoska jednego nie poważył się

żądać od klasztoru, a co samemu Bogu poświęcone, nie ma powracać ludziom na użytek. Król Władysław zaś mawiał zawsze opatom: Jeśli mi nie dasz tego, co mieć pożądam, zabiorę ci wszystkie dobra twojego klasztoru; tak jak gdyby mówił: moje są wszystkie dobra klasztorne i kościelne w mojém państwie a nie wasze" (1).

Tak gwarzył w celi klasztornéj mnich franciszkański, niepomny tego, że za każde takie słowo surowo króla odważni biskupi karcili. Wiedzieli jednak ci panowie duchowni, że król w porywie gniewu, długiém znoszeniem jarzma znękany, mógł zasmakować w naukach, które w Czechach głoszono. I on o dogmatycznéj stronie Husytyzmu nie mógł mieć wyobrażenia, sporów o predestynacyą i transsubstacyacyą pewno nie pojmował, ale na wiadomość o tém, co się w Czechach działo z tymi prałatami, którzy go na każdym kroku strofowali, nieraz mu także przychodził fałszywy apetyt. Nie dziw więc, że gdy Hus wystosował do niego memoryał o nadużyciach duchowieństwa, mogło to zabrzmieć mile w uchu Jagiełły, że gdy Hieronim z Pragi przybył na dwór krakowski, i to jak rycerz buńczucznie to znów jak apostoł w księżéj szacie występował, po kilku dniach pobytu takiego narobił zamięszania, „że póki pamięci ludzkiéj o czémś podobném nie słyszano" (2). Bardzo to zatém możliwe, że gdy posłowie polscy na sobór konstancyjski wyjeżdżali, Jagiełło świeckim przynajmniéj członkom poselstwa dał tajną jakąś wskazówkę, żeby nie zanadto ostro z czeskim reformatorem postępowali (3). I tu więc był grunt dla posiewu Husytyzmu nie zupełnie nie przygotowany, i tu potrzeba było wytężonéj czujności duchowieństwa, energicznego używania wypróbowanego bicza, którym „narowy" Jagiełły poskramiano.

Nie król jednak miał w ręku rządy, nie sami magnaci nawą państwa kierowali, Polskę łączył świeży węzeł z Litwą, a tam władał Witold, którego stanowisko w obec każdéj sprawy ważniejszéj nieobojętny wywierało wpływ na kierunek polityki polskiéj. Zaczekajmyż zatém, aż nadejdzie z Czech pierwsza ku wspólnemu z Polską działaniu odezwa, a przekonamy się, co powiedzą na to panowie rady koronnéj, co powié Witold i co król będzie musiał uczynić. Tutaj mieliśmy się tylko przekonać, jaki grunt mógł w téj chwili stanowczéj znaléść w Polsce Husytyzm. Przekonaliśmy się, że strona jego plemienna nie zdołała obudzić w społeczeństwie polskiém dość sil-

(1) Bielowski, Monumenta Poloniae hist. II. 863.
(2) Palacky: Documenta Mag. Joannis Hus vitam illustratia 3o, 5o6.
(3) Przypuszcza to Prochaska l. c. VII. 176.

nego echa, by wzniecić w imię uczuć słowiańskich zapał ogólny, któryby sam parł do czynu, że co najwięcéj mogły się obudzić pewne sympatye, które dopiéro przy współdziałaniu innych, silniejszych czynników byłyby może zdołały pewną rolę odegrać. Widzieliśmy, że dogmatyczny pierwiastek husyckiéj nauki nie miał dobrego przewodnika, któryby go w społeczeństwie polskiém rozprowadził, a ztąd szybkie rozszerzenie się husytyzmu, gdyby nawet grunt był ku temu przysposobiony, było rzeczą tak trudną. Ale stwierdziliśmy zarazem, że stosunki między społecznością szlachecką a duchowieństwem grunt ten oddawna dobrze przysposobiły i że odgłos trąby bojowéj, wzywający z Czech do walki z duchowieństwem, rozległ się w społeczności szlacheckiéj donośném echem, stłumione już brzmienie obudził wśród możnowładztwa a w sercu królewskiém odezwał się dźwiękiem przychylnym.

HERBERT SPENCER [1]

II.

Pierwsze zasady.

Stało się to już pewnikiem u wielu tak przeciwników, jak i zwolenników pozytywizmu, że pozytywny kierunek myślenia i metafizyka są tak dalece sobie przeciwne pod względem zasad i dążności, że wzajemnie się znoszą i wykluczają. A jeżeli jedni uważają tę właściwość pozytywizmu za wadę, to drudzy podnoszą ją, jako największą zaletę, zapewniającą mu na przyszłość powszechne uznanie. Którzy z nich mają słuszność, czy zwolennicy, czy przeciwnicy metafizyki? Jak na teraz mało to nas obchodzi. Przychylenie się do jednego lub drugiego zdania kwestyi nie rozstrzyga, a właśnie najważniejszą tu kwestyą jest pytanie, czy i o ile pozytywizm przeciwnym jest metafizyce i z nią pod żadnym względem zgodzić się nie może? Pytanie to ważnem jest nie tylko dla tego, że zakreśla stanowisko, z którego można będzie ocenić, czy ów rozbrat z metafizyką jest wadą, czy zaletą pozytywizmu; ale jeszcze i dla tego, że posądzanie pozytywizmu o zerwanie z metafizyką nastręcza pewne i to nie małéj wagi wątpliwości. Pomijając inne, dość przytoczyć przekonanie pod tym względem J. St. Mill'a, który nie tylko przeczy, by między pozytywizmem a metafizyką był tak głęboki antagonizm, że o jego zniesieniu nawet myśléć nie można, ale co więcéj, broni na-

---

(1) Patrz „Ateneum" za r. 1878 zeszyt IX.

wet Comte'a od zarzutu, że on bezwarunkowo potępił całą w ogóle metafizykę.

Chcąc rozstrzygnąć powyższą kwestyą w sposób, niepozostawiający żadnéj wątpliwości, wypada przedewszystkiém zastanowić się, co rozumiemy przez metafizykę, jak pojmujemy jéj zadanie. Podług Arystotelesa metafizyka jest nauką o istocie rzeczy, podług Kanta, który, jak wiadomo, nie przyznaje rozumowi ludzkiemu zdolności przeniknięcia w istotę rzeczy, jedyném zadaniem metafizyki jest usystematyzowanie zasad *a priori* tak wiedzy ludzkiéj jak i życia praktycznego. Rzecz naturalna, że pozytywizm, którego punktem wyjścia jest zasada względności poznania, odrzuca wraz z Kantem metafizykę w znaczeniu Arystotelesowym; ale z drugiéj strony odrzuca ją także w tém znaczeniu, jakie jéj nadać usiłował Kant dla tego, że przyznając wiedzy ludzkiéj jedno tylko źródło, nie przyjmuje hipotezy Kantowskiéj o wrodzonych ideach i kategoryach rozumu. Gdyby więc metafizyka nie mogła być czém inném, tylko tém, czém ją mieć chcieli Arystoteles i Kant, natenczas twierdzenie, że pozytywizm przeciwnym jest metafizyce i z nią w żaden sposób pogodzić się nie da, byłoby zupełnie słusznem. Tak jednakże nie jest. Metafizykę w inny jeszcze sposób można pojmować, a że można, dowodzą tego dzieła J. St. Mill'a, Spencer'a a nawet Lewes'a, jednego z nagorliwszych zwolenników Au. Comte'a, którzy, nie przestając być pozywistami, wznoszą siłę indukcyjnego rozumowania do najwyższych sfer myślenia, docierają do prawd, z doświadczenia wprawdzie wyprowadzonych, ale przez doświadczenie niedających się dowieść. Nowa ta, czysto pozytywna metafizyka różni się od dawniejszéj tém głównie, że wznosząc się nad rzeczywistość, z nią nie zrywa, że wzlatując po nad ziemię, nie goni za obłokami, których nikłe kształty bierze za idealną rzeczywistość, ale zatrzymuje się na właściwéj wysokości, by z niéj można było lepiéj rozpatrzéć się w stosunku pojedyńczych części do całości. Ma zaś z dawniejszą to wspólnego, że do tego samego zmierza celu i téj saméj używa metody. Zadaniem jéj jest usystematyzowanie najwyższych prawd wiedzy ludzkiéj—acz prawd zdobytych w drodze doświadczenia; wykrycie i poznanie pierwiastków bytu i jego praw— acz bytu nie abstrakcyjnego, pozbawionego wszelkich cech rzeczywistości, ale bytu pełnego treści, jakim się przedstawia w swym fenomenalnym objawie. Metoda jéj tak samo jak i metafizyki idealnéj polega jeżeli nie wyłącznie, to przynajmniéj przeważnie na rozumowaniu *a priori*. Nie potrzeba bowiem zapominać, że ten rodzaj rozumowania nie wymaga koniecznie, by prawdy, które mu służą za premisy, były prawdami à priori: mogą niemi być

także i prawdy a posteryori, prawdy, z doświadczenia wyprowadzone.

Wzorem pojętéj w ten sposób metafizyki jest przed wszystkiemi innemi dzieło Herberta Spencera: *Pierwsze Zasady* (First Principles).

Pierwsze Zasady, stanowiące pierwszy tom syntetycznéj filozofii Herberta Spencera, dzielą się na dwie części: *Rzecz niepoznawalna* (Unknowable) i *Rzecz poznawalna* (Knowable). Co autor rozumié przez jednę i drugą postaramy się to wyjaśnić, podając całą naukę jego w streszczeniu, o ile można dokładném.

Rzecz niepoznawalna. Są prawdy, o których w praktyce najczęściéj zapominamy, jakkolwiek w teoryi przyznajemy im zupełną słuszność. Do takich należy: że nie masz fałszu, w którymby nie było cząstki prawdy, że nie masz złego, w któremby nie było czegoś dobrego. Prawda ta wynika konsekwentnie z saméj natury życia, które jest możliwém tylko pod warunkiem pewnéj zgodności, odpowiedniości między przekonaniami wewnętrznemi a zewnętrznemi okolicznościami. Dla tego téż każdy przesąd chociażby najbardziéj sprzeciwiał się rzeczywistości, każda wiara i opinia, chociażby najbłędniejsze i najniższe pod względem rozwoju, opierają się zwykle na jakimś fakcie rzeczywistym, są jego tłómaczeniem ze stanowiska pewnéj umysłowości, są słowem, wyrazem pewnéj, chociażby najdalszéj odpowiedniości między wewnętrzném przekonaniem a zewnętrznemi okolicznościami. Najsprzeczniejsze przekonania, opinie na pozór zupełnie fałszywe, ale do tego samego rodzaju należące, mają to wspólnego, że stwierdzają pewną prawdę, która, będąc wyższą od nich, stanowi ich duszę, utrzymującą je przy życiu. Cała więc trudność w ocenianiu sprzecznych mniemań tego samego rodzaju polega na wykryciu owéj prawdy, stanowiącéj ich siłę żywotną. Trudność ta atoli usuwa się za pomocą następującéj metody. Porównywają się z sobą sprzeczne mniemania i wierzenia tego samego rodzaju, usuwają się na stronę wszystkie ich sprzeczności, dla pozostałéj zaś reszty, będącéj wspólną ich wszystkich własnością, wynajduje się ogólne, abstrakcyjne wyrażenie, które, pozostając prawdziwém we wszystkich odmiennościach, jest tém samém ową prawdą szukaną.

Nie masz może większego antagonizmu od tego, jaki panuje między religią a nauką. Zacząwszy się z pierwszém doświadczeniem, które, wyzwalając umysł z przesądu, pozwoliło mu wystąpić przeciwko grubemu fetyszyzmowi, trwa on do dnia dzisiejszego, dzieląc ludzkość

na dwa nieprzyjazne obozy. Czynione dotąd usiłowania pogodzenia z sobą dwóch tych obozów spełzły na niczém, czemu się dziwić nie można, wiedząc, że owe usiłowania opierały zgodę na ustępstwach. Zgoda ta musi się oprzéć na prawdzie, którą zarówno religia i nauka uznają. Cóż jest tą prawdą? Zanim będziemy mogli odpowiedziéć na to pytanie, musimy się wprzód zastanowić, czém jest religia i nauka.

Utrzymywać, że religia, która jest faktem tak powszechnym i trwałym, nie ma żadnéj podstawy w rzeczywistości, byłoby to zbyt poniżać naturę ludzką. Taki zaś zarzut jak ten, że są ludy, które nie mają żadnych pojęć religijnych, że pojęcia te dopiéro wtedy powstają, gdy ludy dojdą do pewnego stopnia cywilizacyi, właściwie zarzutem nie jest. Gdyż w takim nawet razie religia jest koniecznym wypadkiem umysłowego rozwoju. Nie większéj wagi jest także zarzut, że religia jest objawem religijnego uczucia. Skąd bowiem pochodzi to uczucie? Jest ono składowym pierwiastkiem człowieka, albo stworzonym bezpośrednio, albo powstałym w drodze rozwoju pod wpływem zewnętrznych okoliczności. Otóż jak w jednym tak i w drugim razie zasługuje ono na szacunek i poważanie.

Pamiętajmy nareszcie, że nauka chociażby najbardziéj posunięta, nigdy nie zdoła zaspokoić badawczego umysłu. Pozostanie zawsze pytanie: cóż daléj? Po nad wszystkiemi dowodami, wygłaszanemi przez naukę, pozostawać będzie zawsze rzecz niedowiedziona. Jeżeli więc nauka nie może zmonopolizować całego umysłu, jeżeli, umysł będzie mógł zawsze zwracać uwagę na to, co przechodzi wiedzę; w takim razie religia trwać będzie zawsze. Religia bowiem bez względu na formy, w jakich występuje, tém się różni od innych wierzeń, że za przedmiot swój ma to, co przechodzi zakres doświadczenia.

Jeżeli religia potrzebuje obrony, to nie mniéj potrzebuje jéj także i nauka. Komuż nie są znane napaści, z jakiemi występują przeciwko nauce zwolennicy téj lub innéj religii, zatrwożeni jéj postępem, który zwolna podkopuje drogie ich sercu przekonania?!..

Czém jest nauka? Nie jest ona czém innném, jak rozwojem wyższego stopnia zwyczajnéj wiedzy, usystematyzowaniem zbiorowego całéj ludzkości doświadczenia. Ktoby ją chciał odrzucić, musiałby odrzucić wszelkie poznanie w ogóle, wszelkie doświadczenie. Innéj alternatywy nie ma. Albo musimy przyjąć naszę umysłowość w całości, albo odrzucić nawet te jéj zaczątki, które są nam wspólne ze zwierzętami.

Jeżeli więc religia i nauka opierają się na rzeczywistości, musi między niemi być zasadnicza harmonia. Inaczéj należałoby chyba przypuścić dwa porządki prawd, zostających z sobą w ciągłéj i bezwzględnéj opozycyi. Na dnie ich musi być wspólny pierwiastek, który, raz wydobyty na jaw i poznany, posłuży za podstawę zupełnego ich pogodzenia. Tym pierwiastkiem, który je łączy i spaja w jednę harmonijną całość, nie może być co innego, tylko prawda najbardziéj abstrakcyjna religii i prawda najbardziéj abstrakcyjna nauki.

Postarajmyż się najprzód zbadać, jaka to jest prawda najogólniejsza, najbardziej abstrakcyjna, leżąca w podstawie wszystkich w ogóle religij.

Pierwszemi pytaniami, które nastręczają się każdemu człowiekowi bez względu na stopień oświaty, są: czém jest świat? jaki jest jego początek. Zaniepokojone temi pytaniami myślenie, chwyta pierwszą lepszą odpowiedź, która, dzięki skłonności człowieka do przyjęcia pierwszego, jakie mu się nawinie, tłómaczenia, zapuszcza głęboko korzenie w jego sercu i zdaje mu się tłómaczyć zagadkę. Bliższe atoli rozpatrzenie się przekonywa nas, że żadna z przyjętych hipotez nie wytrzymuje krytyki, co więcéj, że zgoła żadnego pod tym względem przypuszczenia robić nie możemy. Wszystkie bowiem hipotezy i przypuszczenia, mające rozwiązać zagadkę pochodzenia świata, nie są czém innén, jak pojęciami symbolicznemi, t. j. takiemi, którym w rzeczywistości nic nie odpowiada, które są sztucznem skojarzeniem pierwiastków, niedających się połączyć w jednym akcie myślenia.

Trzy są hipotezy, tłómaczące pochodzenie świata. Można utrzymywać, że świat istnieje sam przez się, albo że się sam stwarza, albo że jest stworzonym przez zewnętrzną mu potęgę. Otóż żadna z tych hipotez nie da się pojąć i zrozumieć we właściwém tych słów znaczeniu. Jak bowiem nie możemy pojąć istnienia, któreby nie miało początku, tak również nie możemy pojąć istnienia, któreby się samo stwarzało, któreby wprzód, zanim się stało rzeczywistém, było potencyonalném. Takie bowiem potencyonalne istnienie, jako różne od rzeczywistego, musielibyśmy przedstawiać sobie w myśli albo jako *coś*, albo jako *nic*. W pierwszym razie byłoby to istnienie rzeczywiste, w drugim—znaczyłoby to nadawać negacyi znaczenie pozytywne, przedstawiać *nic*, jako coś, albo przypuszczać, że pewne *nic* różni się od innych *nic* posiadaną możnością stawania się czémś. Są to jak widzimy sprzeczności, z których wyjścia nie masz. Pozostaje trzecia hipoteza, powszechnie przyjęta przez wszystkie religie

i filozofie. Jestto hipoteza stworzenia. Otóż pomimo całéj swéj popularności, nastręcza ona te same trudności i tak samo jest niezrozumiałą, jak i poprzednie. Powiada ona, że zewnętrzna potęga stworzyła świat widomy. Lecz z czego stworzyła? Wyprowadzenie materyi z nicości, o to zagadka, któréj żadném wysileniem rozumu pojąć nie możemy. Zresztą, gdybyśmy nawet potrafili pojąć stworzenie świata przez zewnętrzną potęgę, pozostałoby jeszcze pytanie, skąd pochodzi ta zewnętrzna potęga? I tu znowu musielibyśmy uciekać się do trzech powyższych hipotez, z których żadna nie jest do przyjęcia.

Jeżeli, porzuciwszy kwestyą pochodzenia świata, zechcemy poznać jego naturę, też same występują trudności, acz w odmiennéj formie. Zastanawiając się nad znaczeniem naszych wrażeń zmysłowych, zmuszeni jesteśmy widzieć w nich skutek jakiéjś przyczyny. A jakkolwiek będziemy ją pojmować, musimy ją zawsze przedstawiać sobie, jako przyczynę pierwszą. Na tém nie koniec. Czy pierwsza przyczyna jest skończoną, czy nieskończoną?

Przyjmując ją za skończoną, przypuszczamy, że po za nią jest sfera istnienia, niepodlegająca zasadzie przyczynowości, a tém samém przeczymy zasadzie przyczynowości. Pierwszą więc przyczynę nie możemy inaczéj pojmować, tylko jako nieskończoną. Również musimy ją pojmować, jako niezależną, w przeciwnym bowiem razie nie ona byłaby pierwszą przyczyną, lecz ta, od któréj ona zależy. Będąc całkiem niezależną, nie tylko zostaje ona po za obrębem koniecznych stosunków z innemi formami istnienia, ale w saméj sobie nie może ona zawierać nic takiego, coby ją zmuszało do jakich zmian, lub takowym przeszkadzało. Słowem, musi ona być absolutną. Otóż trzy te pojęcia: przyczyna, nieskończoność, bezwzględność, uważane jako atrybuty jednego bytu, zawierają w stosunku do siebie tyle sprzeczności, że pogodzić ich z sobą niepodobna. Przyczyna nie może być bezwzględną, gdyż jest przyczyną skutku, zostaje zatém w stosunku do niego. Nieskończoność nie może być przyczyną, pojąć bowiem niepodobna, w jaki sposób nieskończoność może się stać tém, czém nie była przedtém.

Jakaż jest doniosłość rezultatów, do którycheśmy doszli? Rozebraliśmy zasadnicze pojęcia religii w celu wykrycia w nich podstawowéj prawdy; tymczasem okazało się, że wszystkie te pojęcia, wszystkie jéj hipotezy, ateistyczna, panteistyczna i teistyczna, są niedostępne naszemu rozumowi. Idźmy wszakże dalej, zastosujmy do wszystkich w ogóle religij metodę, któréj charakterystykę zamieściliśmy na początku niniejszego rozdziału. W tym celu pomijamy stronę moralną religii, a bierzemy pod rozwagę same tylko do-

gmata. Oto wszystkie te dogmata, bez względu na ich różnice, stwierdzają dwie rzeczy: najprzód, że jest coś do wytłómaczenia, powtóre, że tłómaczeniem tém jest to lub owo. To znaczy, że wszystkie w ogóle religie uznają zgodnie, że świat z tém wszystkiém, co go otacza i co w nim się zawiera, jest tajemnicą, wymagającą wyjaśnienia. I to jest właśnie szukana przez nas podstawowa prawda religij. Jest ona najtrwalszą, gdyż pozostaje niezmienną wśród wszelkich przewrotów w łonie religii i staje się tém wyraźniejszą, im religia wyższego dostępuje rozwoju. Co więcéj, jest ona najogólniejszą, najabstrakcyjniejszą z prawd, stanowiących wspólną własność wszystkich religij. Jeżeli więc zgoda między nauką i religią jest możliwa, to tylko na podstawie téj prawdy, że *potęga, któréj świat jest objawem, jest dla nas całkiem niedostępną.*

Zastanówmyż się teraz po kolei nad zasadniczemi pojęciami nauki.

Czém jest przestrzeń? Czém jest czas? Dwie są odpowiedzi na te pytania. Podług jednych są one zewnątrz nas, niezależne od nas, podług drugich znajdują się tylko w naszym umyśle. Jeżeli przestrzeń i czas istnieją zewnątrz nas, natenczas są one bytami. Lecz każdy byt musi posiadać jakieś własności, za pomocą których możemy je sobie przedstawić. Jakaż jest własność przestrzeni? Możnaby powiedzieć, że rozciągłość, ale rozciągłość i przestrzeń są pojęciami równoznacznemi. Również nie możemy oznaczyć, co może być atrybutem czasu. Przestrzeni więc, ani czasu nie możemy pojąć, jako oddzielne byty. Nie możemy ich także pojmować, jako niebyty, gdyż byłoby to przypuszczać dwa rodzaje niebytów, dwa różniące się od siebie *nic*, co jest niedorzecznością.

Nie pozostaje więc, jak chyba przyjąć hipotezę Kanta, podług którego przestrzeń i czas są formami naszego umysłu i zewnątrz naszego *ja* nie istnieją. Lecz ta hipoteza również jest niezrozumiałą dla nas, a co więcéj zostaje w sprzeczności z faktem, na którym się opiera, a mianowicie, że świadomości przestrzeni i czasu w żaden sposób nie możemy się pozbyć. Otóż świadomość nasza czasu i przestrzeni bezpośrednio świadczy, że czas i przestrzeń nie są wewnątrz naszego *ja*, lecz zewnątrz. Obie więc hipotezy są niedostępne naszemu pojęciu.

Przejdźmy do innéj kwestyi. Czy podzielność materyi jest skończona, czy nieskończona? Podzielności nieskończonéj wyobrazić sobie nie możemy, wymagałoby to bowiem śledzenia myślą podzielności w nieskończoność, do czego potrzebaby nieskończonego czasu. Utrzymywać zaś, że podzielność jest skończona, jestto przypuszczać, że materya składa się z cząstek stałych, w których daje

się odróżnić powierzchnia górna i dolna, strona prawa i lewa. Otóż niepodobna wyobrazić sobie, ażeby powierzchnie tych składowych cząstek były tak bardzo zbliżone do siebie, by między niemi nie można było przeprowadzić płaszczyzny cięcia.

Pozostawmy tę kwestyą na stronie i zapytajmy się, czy materya jest rzeczywiście tak ciągłą i niepodzielną, jak się nam z pozoru wydaje? Gdyby materya była ciągłą, niepodzielną, nie byłaby ściśliwą, będąc zaś ściśliwą, musi być podzielną. Hipoteza więc Newtona jest jedyną, którą przyjąć możemy. Podług niéj, materya składa się z atomów stałych, rozciągłych, niebędących w zetknięciu, lecz działających na siebie za pomocą sił przyciągania i odpychania, których natężenie zmienia się z odległością. Hipoteza ta jednak nie usuwa bynajmniéj trudności. Jeżeli bowiem atomy są jednostkami rozciągłemi, to z konieczności musimy je wyobrażać sobie jako cząstki materyi, a wtedy nastręcza się znowu pytanie: jaka jest ich wewnętrzna budowa? Czy są one podzielne, czy niepodzielne? Dla zaradzenia tym trudnościom Boscowic wystąpił z nową teoryą, utrzymując, że składowemi częściami materyi nie są rozciągłe atomy, lecz środki działania sił, matematyczne punkta bez rozciągłości, wzajemnie przyciągające się i odpychające w ten sposób, że gatunkowa ich odległość pozostaje stałą i niezmienną. Pomimo wszystkich zalet, jakie potrzeba przyznać téj teoryi, ma ona tę wielką wadę, że jest zgoła dla nas niezrozumiałą. Materya więc, co do wewnętrznéj swéj natury, jest tak samo niezrozumiała dla nas, jak przestrzeń i czas.

Do podobnychże rezultatów prowadzi nas rozbiór takich pojęć, jak ruch i siła. Na pytanie: czy jest ruch absolutny? zmuszeni jesteśmy odpowiedziéć twierdząco, jakkolwiek absolutnego ruchu w żaden sposób pojąć nie możemy. Jak wytłómaczymy sobie własność, mocą któréj ciało poruszające się udziela pewnego ruchu ciału, zostającemu w spoczynku? Ciało to jest tém samém podczas ruchu, czém było przed ruchem. Czémże się dzieje, że w jednym stanie nie miało ono żadnéj dążności do zmiany miejsca, w drugim zaś zmuszoném jest co chwila zmieniać swe położenie. Co w niém jest co je zmusza do ruchu? co mu zakomunikowaném zostało przez ciało uderzające? Również niezrozumiałém jest dla nas przejście ruchu w spoczynek. Śledząc myślą coraz bardziéj zmniejszającą się szybkość, przekonywamy się, że pozostaje zawsze jakaś, chociażby najmniejsza szybkość, która zerem nie jest i która od zera oddziela przepaść dla myśli nieprzekraczalna.

Każdy się zgodzi, że wyobrażać sobie siłę, w ogóle na podobieństwo siły, jaką czujemy w sobie, jestto grzeszyć przeciwko zdrowéj

logice; tymczasem inaczéj nie możemy jéj pojmować, jeżeli chcemy ją sobie przedstawić w myśli. Co więcéj, nie możemy pojąć związku siły z materyą.

Materyą znamy tylko, jako objaw siły. Dowodem istnienia materyi jest jéj zdolność oporu. Znieśmy opór, cóż pozostanie? Oto próżna rozciągłość. Z drugiéj atoli strony opór, oddzielony od materyi, od rzeczy rozciągłéj, jest dla nas niezrozumiałym. Jest jeszcze i inna kwestya. W teoryi tak Newtona, jak i Boscowic'a przypuszcza się działanie jednéj rzeczy na drugą przez przestrzeń bezwzględnie próżną. Otóż przypuszczenie to jest niedostępném naszemu pojęciu. Trudności téj nie zaradza hipoteza eteru, którego cząstki również działają na siebie w próżni z pewnéj odległości.

Weźmy teraz pod rozwagę stany naszego umysłu. Nie ulega wątpliwości, że stany te następują kolejno, tworząc nieprzerwany łańcuch podmiotowych zmian. Czy łańcuch stanów naszéj świadomości jest skończonym, czy nieskończonym? Nie możemy powiedzićć, że jest nieskończony, gdyż wiemy *pośrednio*, że miał swój początek. Ale również nie możemy powiedzićć, że jest skończony, gdyż *bezpośrednio* nie znamy ani jego początku, ani końca.

Może szczęśliwsi jesteśmy w rozwiązaniu pytania, co to jest, co myśli i czuje? Utrzymują powszechnie, że to, co myśli i czuje, jest jakimś bytem oddzielnym, dodając, że dowodem istnienia tego bytu jest świadomość swego *ja*, jaką każdy człowiek posiada. Otóż dowód ten nie wytrzymuje krytyki. Człowiek nie może mieć świadomości swego *ja*, jako substancyi prawdziwéj siebie świadomości, a to dla tego, że sprzeciwia się to saméj naturze myślenia. Głównym warunkiem świadomości jest antyteza przedmiotu i podmiotu. Jeżeli przedmiotem spostrzeganym w świadomości jest *ja*, to czém jest podmiot spostrzegający? Prawdziwa znajomość siebie wymagałaby stanu świadomości, w którymby podmiot i przedmiot stały się jedném, stożsamiły się z sobą, ale wtedy ustałaby właśnie antyteza przedmiotu i podmiotu, która jest głównym warunkiem świadomości. Wypada więc chyba zgodzić się ze sceptycyzmem, twierdzącym, że jedyną rzeczą, którą znamy i która istnieje, są nasze wrażenia, pojęcia i t. d., że *ja*, jako byt, jako podścielisko tych wrażeń, jest czystém urojeniem. Twierdzenie to nie tylko jest dla nas niezrozumiałém dla tego, że myśląc o wrażeniu, musimy zarazem myśléć o czémś, co wrażenia tego doznaje, ale nadto jest błędném, gdyż w świadomości swéj człowiek znajduje nie same tylko wrażenia, ale obok nich jeszcze zeznanie, że te wrażenia są jego wrażeniami.

Przekonywamy się w ten sposób, że zasadnicze idee nauki są symboliczném przedstawieniem niedostępnéj naszemu poznaniu rze-

czywistości, że istota i początek tak rzeczy przedmiotowych, jak i podmiotowych pozostaną dla nas nazawsze tajemnicą, któréj nie zdołamy przeniknąć żadném wysileniem rozumu. Nauka zarówno jak i religia przekonywają nas, że umysł ludzki nie jest zdolnym do bezwzględnego poznania. Przekonanie to, w miarę postępu cywilizacyi, staje się coraz powszechniejszém.

Względność naszego poznania, wykazana empirycznie, może być udowodnioną za pomocą dedukcyi, wyprowadzonéj z natury naszego umysłu. Dwie drogi wiodą do téj dedukcyi. Jedną jest rozbiór wypadków, do jakich myśleniem dochodzimy, drugą—rozbiór samegoż myślenia.

Pragnąc wytłómaczyć sobie fakta szczególne, konkretne, odnosimy je zazwyczaj do faktów bardziéj ogólnych, których tamte są tylko częściowym objawem. Postępując tak ciągle w górę, wznosząc się do grupy fenomenów coraz ogólniejszych, dochodzimy do wyjaśnień, które wydają się nam tém głębszemi, im daléj w tym kierunku posuwamy swe badania. Czy te badania mają jaką granicę, czy mogą być prowadzone do nieskończoności? Że badania te mają pewną granicę, zbytecznem byłoby dowodzić. Z ograniczoności zaś tych badań co wynika? Oto, że ponieważ naukowe uogólnienia nie są czém inném, jak kolejném sprowadzaniem prawd szczególnych do coraz ogólniejszych, zatém prawda najogólniejsza, do jakiéj tą drogą dochodzimy, nie mogąc być sprowadzoną do jeszcze ogólniejszéj, musi pozostać bez wytłómaczenia. Innemi słowy: prawda najogólniejsza pojętą przez nas i zrozumianą być nie może.

Do takiegoż wyniku prowadzi nas rozbiór samegoż myślenia, warunków poznania.

Wszelki akt świadomości, a zatém i poznania, wymaga odróżnienia przedmiotu od podmiotu. Ażebym mógł być świadomym siebie, potrzebuję być świadomym czegoś, ale to coś może być wtedy tylko poznaném, gdy jest odróżnioném od tego, co niém nie jest, i porównaném z tém, co do niego jest podobném. Lecz wszelkie odróżnianie i upodobnianie jest ograniczeniem. Rzecz więc prosta, że nieskończoność, nie mogąc być ograniczoną, nie może się stać przedmiotem naszego poznania. Tak samo ma się rzecz i z bezwzględnością. Poznanie nasze ogranicza się do poznania stosunku przedmiotu do podmiotu. Tymczasem dla poznania bezwzględności potrzebaby, ażebyśmy mogli poznać, że przedmiot dany w stosunku do naszéj świadomości jest identycznym z przedmiotem, który w wewnętrznéj swéj naturze istnieje po za obrębem wszelkich stosunków.

Zastanówmy się nad tą kwestyą z innego jeszcze punktu widzenia. Życie nie jest czém inném, jak ciągłém przystosowywaniem się

stosunków wewnętrznych do zewnętrznych. Postęp umysłowy polega na ustaleniu się przystosowań coraz rozmaitszych, bardziéj złożonych i zupełniejszych, a to w ten sposób, żeby umysłowe stosunki współbytności i następstwa odpowiadały jak najściśléj pewnym stosunkom współbytności i następstwa istniejącym w świecie zewnętrznym. To, co nazywamy prawdą, nie jest czém inném, jak dokładną odpowiedniością między stosunkami podmiotowemi a przedmiotowemi, i przeciwnie wszelki brak téj dokładnéj odpowiedniości nazywamy błędem, fałszem.

Skoro więc akt poznania jest wytworzeniem w świadomości pewnego stosunku, który jest równoległym ze stosunkiem, zewnątrz znajdującym się, przeto o bezwzględném poznaniu mowy być nie może.

Tak więc drogą indukcyi i dedukcyi dochodzimy do przekonania, że wiedza nasza jest względną, że poznaniu naszemu dostępném jest to tylko, co jest zjawiskowém. Cóż mamy powiedziéć o tém, co przechodzi zakrés naszego poznania? Mamyż poprzestać na tém tylko, co jest fenomenalném, względném, i wygnać z myśli wszystko co niém nie jest, co jest bezwzględném, istotném?

Ze stanowiska logicznego musielibyśmy odpowiedziéć na to pytanie, że nie mamy żadnego prawa utrzymywać, jakoby po za światem zmysłowych zjawisk mogło istniéć coś, co zmysłom naszym jest niedostępném. Inaczéj się atoli rzecz przedstawia, gdy będziemy rozstrzygać tę kwestyą ze stanowiska psychologicznego. Psychologia nas uczy, że oprócz świadomości wyraźnéj, dającéj się określić za pomocą praw logicznych, jest jeszcze świadomość niewyraźna, któréj sformułować niepodobna, ale która nie mniéj jak i tamta jest rzeczywistą i prawidłową. Jakoż zważmy, że utrzymując, iż nie możemy poznać absolutu, przypuszczamy tém samém, że absolut istnieje, że myślimy o nim nie jako o czystéj negacyi, ale jako o czémś pozytywném. Inaczéj nawet być nie może. Gdybyśmy nie mogli pomyśléć o absolucie, jako o czémś dodatniém, nie moglibyśmy również pojąć saméj względności, tak jak nie moglibyśmy pojąć równości, nie pojmując nierówności, części—nie pojmując całości. Taki jest główny warunek naszego poznania. Niezawodnie, że pojęcie nasze o absolucie pozostanie nazawsze nieokreśloném, niedającém się ująć w żadną formę, z tém wszystkiém jest ono jednym z pierwiastków naszego myślenia, którego żadne rozumowanie pozbawić nas nie może. I tu właśnie leży niezachwiana podstawa naszéj wiary w rzeczywistość świata, w istnienie czegoś, co, będąc zewnątrz naszego ja, jest przyczyną naszych wrażeń. W jakiż sposób zdołamy przedstawić sobie w myśli, utworzyć sobie wyobrażenie o tém, co, nie pod-

legając żadnym ograniczeniom, nie może być ujętém w żadną formę? We wszystkich naszych pojęciach jest pewien pierwiastek, który bez względu na formy pozostaje stałym i niezmiennym. Z powodu téj jego stałości łatwo go odróżnić od jego form, od warunków; stanowi on coś oddzielnego, coś samodzielnego, ogólne tło naszych pojęć. I z niego to wytwarzamy sobie pojęcie o ogólném istnieniu, o bycie bezwzględnym.

Wytworzenie tego pojęcia nie jest wypadkiem pojedyńczego aktu myślenia; powstaje ono powoli przez kolejne łączenie w jednę całość naszych pojęć, ogałacanych ze swych granic i warunków. Jestto, słowem, abstrakcya wszystkich naszych pojęć, jestto byt ogólny, będący wszystkiém, co jest, ale niebędący niczém w szczególności.

Tak tedy naukowe badania prowadzą nas do przekonania, że lubo jedynym przedmiotem naszego poznania może być świat zjawiskowy, byt względny, nie mniéj wszakże wiara w istnienie czegoś bezwzględnego, jakiéjś nieznanéj wszechobecnéj potęgi, stanowi konieczny pierwiastek naszéj świadomości. Jak wiemy, pojęcie takiéj nieznanéj, wszechobecnéj potęgi stanowi podstawę religii. Jestto więc punkt wzajemnego zetknięcia się nauki i religii, punkt, w którym zgadzają się na jedno, i na podstawie którego może nastąpić między niemi stałe pojednanie. Wiekowy bowiem antagonizm nauki i religii pochodził stąd głównie, że obie nawzajem wkraczały w sfery całkiem sobie obce. Religia, nauczając o potędze niedostępnéj naszemu rozumowi, chciała ją przecież przedstawiać w widomych formach i utrzymywała, że jest w posiadaniu całéj tajemnicy. Ze swéj strony nauka, któréj zadaniem jest badanie tego, co jest fenomenalném i względném, podając za przyczynę zjawisk jakieś byty metafizyczne, jakieś prawdy bezwzględne, uchybiała swemu zadaniu i stawała w kolizyi z religią. Dla tego też ostateczne pojednanie się religii z nauką nastąpi wtedy dopiéro, gdy nauka przekona się, że wszystkie jéj wyjaśnienia mogą mieć względną tylko wartość; gdy religia uzna, że tajemnica, stanowiąca treść jéj nauki, jest bezwzględną i wytłómaczoną w żaden sposób być nie może. Wszelki antagonizm wtedy dopiéro ustanie, gdy nauka będzie zajęta rozszerzaniem wiedzy, poznania tego, co jest względném; gdy religia, pozbywszy się form zmysłowych, uzna za jedyne swe zadanie wznoszenie umysłu ponad doczesność i względność, skierowywanie myśli i uczuć naszych ku bezwzględności. Do zajęcia takiego stanowiska będą one zmuszone przez wzajemne na się oddziaływanie; żeby zaś to oddziaływanie dokonywać się mogło z całą swobodą, potrzebną jest tolerancya, ten główny warunek wszelkiego postępu, ale tolerancya obustronna.

Pamiętajmy bowiem, że jakkolwiek dana religia może się nam wydawać niedoskonałą w porównaniu z tém, jaką być powinna; ze względu wszakże na umysłowy stan pewnego narodu jest ona koniecznym objawem dziejowego rozwoju, odpowiada jego potrzebom i dla tego jest względnie dobrą i szanowaną być powinna. To atoli nikogo nie powinno powstrzymywać od wypowiadania swych przekonań, chociażby one były jak najbardziéj przeciwne danéj religii. Jeżeli bowiem religia jest jednym z czynników dziejowego życia, nie mniéj takimże czynnikiem jest indywidualne każdego przekonanie. Jest ono objawem wszechobecnéj potęgi, absolutu tak samo, jak zbiorowa wiara, jak każdy objaw dziejowego życia.

Rzecz poznawalna.

Przedmiotem nauki jest świat zmysłowych zjawisk, to, co jest względném i warunkowém. Cóż jest przedmiotem filozofii? Jakie jest jéj zadanie i zakres?

Ażeby odpowiedziéć na te pytania, musimy się uciec do znanéj nam już metody porównywania z sobą odmiennych zapatrywań się tego samego rodzaju i wykluczenia różnic. Jakoż zastanawiając się nad tém, jak pojmowano w różnych czasach filozofią i jéj zadanie i odrzucając wszystkie pod tym względem sprzeczne mniemania, dochodzimy do przekonania, że przez filozofią rozumiano po wsze czasy taką gałęź wiedzy ludzkiéj, która za przedmiot swój ma prawdy powszechne, najogólniejsze, do jakich można sprowadzić prawdy, stanowiące założenia specyalnych nauk. Jestto nauka najwyższa, stojąca nad wszystkiemi innemi, będąca usystematyzowaniem prawd, do których wykrycia prowadzą pojedyńcze gałęzie wiedzy ludzkiéj, będąca syntezą wiedzy ludzkiéj.

Dwa są gatunki filozofii: ogólna i szczególna. Zadaniem pierwszéj jest usystematyzowanie prawd powszechnych; drugiéj—wytłómaczenie prawd szczególnych za pomocą powszechnych. Przedmiotem niniejszego rozdziału jest filozofia ogólna.

Zastanówmyż się, jakie są dane ogólnéj filozofii?

Umysł ludzki w swéj dojrzałości jest zbiorem ustalonych pojęć i przekonań, skojarzonych z sobą w ten sposób, że stanowią organiczną całość, w któréj jedno pojęcie każe się domyślać drugiego, w któréj wykluczenie jednéj prawdy sprowadza zamęt powszechny Filozofia, któréj zadaniem jest usystematyzowanie tych pojęć, musi zdać sobie z nich sprawę, musi ocenić każdego z nich wartość. Dla tego musi się oprzéć na jakimś pewniku, na jakiéjś pierwszéj prawdzie, którаby, nie potrzebując dowodu, służyła za dowód innym. Jak wykryć tę prawdę? Cechą jéj ma być największa żywotność, ma być

ta jéj właściwość, że odrzucenie jéj pociąga za sobą zburzenie całego systemu naszych myśli, że bez niéj samo myślenie staje się niepodobném. Taką prawdą jest właśnie pierwotny fakt naszéj świadomości, jest zdolność naszego umyslu postrzegania podobieństw i różnic między swemi stanami. Jestto prawda, któréj dowieść nie można, ale któréj téż nie można i zaprzeczyć. Zmuszeni jesteśmy wierzyć, że skoro umysł nasz stwierdza różnicę, lub podobieństwo, zgodność, lub niezgodność, takowe istniéć muszą niezawodnie.

Filozofia atoli nie może na tym jednym fakcie poprzestać, nie może ona ograniczyć się na samém uznaniu, że jest pewna zasadnicza działalność umysłu, która nie podlega zaprzeczeniu. Potrzebuje ona nadto mieć coś konkretnego, coś, co będąc owocem téj działalności, byłoby tak samo jak i ona, niezaprzeczalném. Że tém czémś konkretném musi być jakaś prawda, któraby się stosowała nie do pewnéj jakiéjś grupy doświadczenia, ale do jego całości, zbytecznem byłoby dowodzić. Otóż taką prawdą pierwszą a konkretną jest stwierdzenie pewnego podobieństwa i różnicy, ale takich, do których wszystkie podobieństwa i wszystkie różnice dałyby się sprowadzić.

Wiadomo nam, że cały świat zjawisk, dostępnych dla naszego poznania, jest objawem rzeczy niepoznawalnéj. Pomijając wszystkie przypuszczenia co do tego, co się ukrywa po za zjawiskami, a zastanawiając się nad niemi tylko, jako nad objawami czegoś nam nieznanego, możemy je podzielić na dwie wielkie grupy: na objawy *żywe* albo *mocne* i na objawy *słabe*. Pierwsze oznaczają *wrażenia*, drugie— *myśli* i *uczucia*. Z tą zasadniczą różnicą, na któréj opiéra się podział wszystkich objawów, łączą się następujące:

a) Objawy żywe poprzedzają słabe, czyli że myśli nasze i uczucia są tylko słabém i niedokładném powtórzeniem wrażeń.

b) Oba rodzaje objawów tworzą dwa równolegle do siebie bieżące prądy, z których to jeden, to drugi pokolei wzbiera, grożąc sąsiadowi wyparciem ze wspólnego łożyska. W stanie umysłu czynnym przeważają objawy żywe.

c) Oba te prądy, posiadając spójność podłużną, która utrzymuje je w nieprzerwanéj ciągłości, mają jeszcze spójność poprzeczną, łączącą objawy żywe z żywemi, słabe ze słabemi w oddzielne grupy na zasadzie współbytności, albo następstwa.

d) Grupy objawów żywych są bardziéj złożone i mają spójność niedającą się zniszczyć; grupy słabe są mniéj złożone i posiadają spójność słabą, dozwalającą odrywać ich części i układać je w nowe grupy.

e) Oba te prądy, płynąc jeden obok drugiego, w różnym stopniu oddziaływają na siebie i od siebie zależą. Prąd objawów żywych jest całkiem niezależny od słabego; ten zaś lubo zawsze podlega wpływowi tamtego, może jednakże prawie zupełnie od niego się wyzwolić, co ma np. miejsce w marzeniu.

f) Poprzedniki objawów żywych znajdują się między żywemi, słabych między słabemi; ale kiedy warunki powstawania objawów słabych dają się oznaczyć, to warunki objawów żywych nie zawsze mogą być poznane i w ogóle od naszéj woli są całkiem niezależne.

Dwa te szeregi objawów, posiadających wykazane powyżéj różnice, stanowią *przedmiot* i *podmiot*, *ja* i *nie ja*. Innemi mówiąc słowy, każdy z tych szeregów objawów każe się domyślać jakiéjś siły, która się objawia.

Przekonywamy się tedy, że powyższe pojęcia mają swe źródło nie w sferze tajemniczéj i niedostępnéj dla naszego rozumu, lecz są koniecznym wynikiem zasadniczego prawa naszego umysłu. Są one rezultatem ustawnego postrzegania podobieństw i różnic, znajdujących się w objawach, ciągłego odnoszenia objawów do téj lub innéj klasy, stosownie do posiadanych wspólnie własności. To łączenie objawów we dwie oddzielne klasy jest aktem naszego umysłu mimowolnym, poprzedzającym wszelką rozwagę, i temu to właśnie zawdzięczają te grupy swą indywidualność, któréj zniszczyć późniejsza rozwaga nie może, którą filozofia musi uznać za fakt, będący skutkiem pierwiastkowéj zdolności umysłu.

Tak tedy danemi filozofii są następujące postulaty: siła niepoznawalna, istnienie poznawalnych podobieństw i różnic między objawami owéj siły i następnie rozdział tych objawów na dwie klasy, na objawy należące do podmiotu i na objawy należące do przedmiotu.

Moglibyśmy teraz przystąpić do właściwego zadania filozofii, jakiém jest usystematyzowanie wiedzy ludzkiéj. Musimy atoli przedtém zająć się jeszcze jedną kwestyą. Objawy rzeczy niepoznawalnéj rozdzielone na dwa działy, na podmiot i przedmiot, mogą się układać w pewne, ogólne formy, których rzeczywistość przyjmuje zarówno nauka jak i zdrowy rozsądek. Takiemi formami są: *przestrzeń*, *czas*, *materya*, *ruch* i *siła*.

Jedną z prawd, które dzisiaj najmniéj podlegają zaprzeczeniu, jest względność naszego poznania. Rzecz jakąś możemy poznać o tyle tylko, o ile jest podobną do innéj i różną od niéj. Słowem, znamy tylko stosunki rzeczy. Cała wiedza nasza polega na poznaniu stosunków. Dwa są rodzaje stosunków: stosunki następstwa

i współbytności, tamte pierwotne, te pochodne. Stosunek następstwa jest bezpośredniém danem naszego umysłu, zachodzi on we wszystkich jego zmianach, które objawiać się mogą tylko kolejno. Stosunek współbytności wytwarza się z tamtego wtedy dopiéro, gdy terminy pewnych stosunków następstwa przedstawiają sie umysłowi z równąż łatwością tak w jednym porządku, jak i w odwrotnym. Ciągłe doświadczanie obu tych stosnnków ustala ich różnicę i prowadzi do abstrakcyjnego ich pojmowania. Abstrakcyjne pojęcie następstwa jest *czasem*; abstrakcyjne pojęcie współbytności jest *przestrzenią*. Pojęcia więc czasu i przestrzeni nie są pierwotnemi formami naszego umysłu; są one rezultatem doświadczenia. Jakoż, być świadomym przestrzeni, nie co innego znaczy, jak być świadomym współistniejących położeń. W doświadczeniu, za pomocą którego dochodzimy do pojęcia przestrzeni, dwa są czynniki: opór ciała dotykanego i natężenie mięśniowe. Gdy wchodzą w grę oba te czynniki, powstaje pojęcie przestrzeni zapełnionéj, czyli materyi, gdy zaś czynném jest tylko natężenie mięśniowe, które nie napotyka żadnego oporu, wtedy powstaje pojęcie przestrzeni próżne, czyli właściwe. Że doświadczenie to jest doświadczeniem *siły*, zbyteczném byłoby rozwodzić się. Pozostaje nam tylko zapytać się jeszcze, jaka jest przyczyna przestrzeni? Czy jest przestrzeń absolutna, któréjby przestrzeń względna była objawem? Odpowiedzi na te pytania dać niepodobna. Co najwięcéj możemy utrzymywać, że przestrzeń jest rzeczywistoscią względną, że same pojmowanie przez nas tej rzeczywistości zmusza nas do przyjęcia rzeczywistości absolutnéj, do przypuszczenia, że nasze pojęcie przestrzeni spowodowane jest w pewien sposób przez rzecz niepoznawalną.

Do podobnychże wniosków prowadzą nas rozumowania o czasie względnym i bezwzględnym.

Materyą pojmujemy, jako współistniejące położenia, które stawią opór; jestto więc przestrzeń zapełniona. W wytworzeniu pojęcia materyi biorą udział, jak wiemy, dwa czynniki: opór i natężenie mięśniowe; dla tegotéż i w samém pojęciu materyi znajdują się dwa pierwiastki: *opór*, który jest pierwotnym, i *rozściągłość*, pochodnym. To nas przekonywa, że pojęcie materyi jest również rezultatem doświadczenia siły. Jeżeli takie jest pojęcie materyi względnéj, to cóż powiemy o materyi bezwzględnéj? Oto, że materya względna, przedstawiająca się umysłowi naszemu w stosunkach trwałych, jest rzeczywistością względną, jest pewnym objawem rzeczy niepoznawalnéj.

Pojęcie ruchu zawiera w sobie pojęcia czasu, przestrzeni i materyi. Pierwiastkami tego pojęcia są mianowicie: rzecz jakaś, która

się porusza, szereg położeń zajmowanych po kolei, połączony w myśli z grupą położeń współistniejących. Ruch tak samo, jak i składowe jego pojęcia, sprowadza się do doświadczenia siły, a to tém słuszniéj, że zasadniczym jego pierwiastkiem jest czucie mięśniowego natężenia. Że ruch, jako rzeczywistość względna, odpowiada rzeczywistości absolutnéj, każdy łatwo się domyśli.

Przystępujemy teraz do siły, która jest zasadą czasu, przestrzeni, materyi i ruchu. Wszystkie te pojęcia powstały drogą doświadczenia siły. Materya i ruch są objawami siły różnie uwarunkowanemi, czas zaś i przestrzeń, objawiające się jednocześnie z materyą i ruchem, są warunkami objawiania się siły. Słowem, wszystkie powyższe pojęcia zbudowane są z materyału, dostarczonego przez doświadczenia siły. Lecz doświadczenie siły skąd pochodzi? Odpowiedzi na to nie ma. Siła, będąc najwyższą zasadą wszystkich zasad, ostatecznėm tłómaczeniem wszystkich naszych pojęć, sama wytłómaczoną być nie może. Możemy o niéj to jedno powiedzieć, że jest pewnym, uwarunkowanym skutkiem bezwarunkowéj przyczyny, że jest rzeczywistością względną, wskazującą na rzeczywistość bezwzględną, któréj jest objawem. Przechodzimy teraz do prawd, będących postulatami naszéj wiedzy.

Czy materya jest zniszczalną? Do niedawna jeszcze uważano powszechnie za dogmat, że materya, będąc stworzoną z niczego, może téż i obróconą być w nic, czyli, że jest zniszczalną. Teologia do dziś dnia jeszcze uważa to za pewnik. Od chwili atoli, w któréj chemia ilościowa oznaczyła z największą ścisłością stosunek ciał, wchodzących w skład wszystkich kombinacyj, przekonano się, że to, co dawniéj uważano za zniszczenie materyi, nie jest czém innėm, jak zmianą jéj stanów, że bez względu na te zmiany ilość materyi nie zmienia się nigdy. Prawda ta stała się dziś aksyomatem dla chemika, fizyka i fizyologa, którzy przeciwnego jéj twierdzenia pojąć nawet nie mogą. Prawda ta atoli, będąc rezultatem doświadczenia, potrzebuje jeszcze potwierdzenia ze strony myślenia, które przyzna jéj wartość bezwględną, gdy zostanie dowiedzionėm, że zniszczalność materyi jest niedostępną naszemu pojęciu. Myślenie jest ustanawianiem stosunku. Otóż ustanawianie stosunku, a więc myślenie, staje się niepodobném, gdy się zatraca jeden z terminów owego stosunku. Jak nie możemy pojąć, by *nic* mogło się stać *czémś*; tak również pojąć nie możemy, by *coś* mogło stać się *niczém*. Zniszczenie materyi zarówno jak i stworzenie jéj jest dla nas niepojętém. W ostatecznym rezultacie dowód niezniszczalności materyi zawiera się w niezniszczalności siły, a mianowicie w tym fakcie, że siła wykonywana przez daną ilość materyi pozostaje zawsze tą samą.

Z niezniszczalnością materyi łączy się ściśle *ciągłość ruchu*. Jestto prawda, której odrzucenie czyni niepodobnemi wszelką naukę, wszelkie usiłowania filozofii. Prawda ta da się wyrazić w ten sposób: że ruch utracony przez jakąś cząstkę materyi przechodzi w drugą jéj część, zmieniając przytém często formę swego objawienia się. Że prawda ta jest nie tylko indukcyjną, ale nadto jest koniecznością dla myśli, wynika to już z tego, cośmy powiedzieli pod tym względem o materyi. Dodać w końcu wypada, że tak ciągłość ruchu, jak i niezniszczalność materyi znaną nam jest za pośrednictwem siły. Pewien objaw siły pozostaje zawsze ten sam bez zmniejszenia się. Jeżeli czego nie możemy się pozbyć z myśli to właśnie siły, której każe domyślać się wszelki ruch.

Jeżeli materya i ruch są niezniszczalne, tém bardziéj niezniszczalną być musi siła. *Trwałość siły*, wyrażająca się formułą, że ilość siły pozostaje zawsze ta sama, jest pojęciem zasadniczém, na którém się opiéra niezniszczalność materyi i ciągłość ruchu. Prawda ta atoli, będąc najwyższą prawdą, do któréj wszystkie inne sprowadzają się, i od któréj wyższéj nie ma, nie może być dowiedzioną. Jest ona bezpośredniém danem naszego umysłu, jest postulatem wszystkich nauk i całéj filozofii. Z jéj odrzuceniem ustaćby musiały wszelkie badania tak fizyka i chemika, jak astronoma, którzy za podstawę swych wyliczeń przyjmują, że jednostka siły nie zmienia się, że działanie równém jest oddziaływaniu. Otóż te przypuszczenia nie są czém inném, jak stwierdzeniem zasady trwałości siły, która nic innego nie znaczy tylko, że nie masz odosobnionéj siły, któraby powstała z niczego i w nic się obróciła, że każda siła objawiająca się każe się domyślać innéj poprzedzającéj ją i równéj, od któréj pochodzi i na którą oddziaływa i że następnie, żadna siła bez skutku zniknąć nie może, lecz musi się objawić w jakikolwiekbądź sposób.

Mówiąc atoli o trwałości siły, mówimy nie o sile, którą czujemy w sobie, ani o sile, którą przypuszczamy zewnątrz siebie, ale o sile bezwzględnéj, któréj tamte są tylko objawami. Objawy, które występują w nas i zewnątrz nas, nie trwają, trwa tylko nieznana przyczyna tych objawów.

Koniecznėm następstwem trwałości siły, jest *trwałość stosunków* między siłami. Znaczy to, że jeżeli siły współczynne w jednym wypadku są równe takimże siłom w drugim, tak pod względem położenia jak i natężenia każdéj w szczególności, to i rezultaty połączonego ich działania muszą być sobie równe i podobne w obu wypadkach. Jestto prawo *jednostajności* przyrody.

Dalszém następstwem trwałości siły jest jeszcze *przemiana sił* i ich *równoważność*. Licznemi stwierdzono doświadczeniami, że każ-

da siła zdolną jest przemienić się w inną bądź wprost, bądź pośrednio, i że siła jedna przemienia się w drugą zawsze w stałym stosunku. Stało się to już dziś zasadniczą prawdą w nauce, że we wszechświecie wszystkie zmiany są skutkiem zmian, które je poprzedziły, i zarazem przyczyną zmian, które po nich nastąpią, i że siły, objawiające się w tych zmianach, występują w ściśle oznaczonéj ilości. Pierwotną przyczyną ruchu w systemacie słonecznym, a więc i wszystkich sił, które są szczególnemi objawami ruchu, jest ciążenie składowych cześci jego. Ciążenie, wywoławszy ruch materyi, spowodowało jéj skupienie, a w następstwie tego przemianę ruchu w ciepło i światło, których głównym źródłem w obecnéj chwili jest słońce. Wszystkie zmiany, wszystkie zjawiska tak geologiczne, jak biologiczne, mają swą przyczynę w słońcu, które, będąc głównym rezerwoarem ruchu, nagromadzonego w formie ciepła, jest jedyném źródłem sił czynnych w zakresie naszego systemu.

Prawo zależności sił i ich równoważności nie ogranicza się tylko do zjawisk fizycznych, ma ono swą moc i nad zjawiskami umysłowemi. Że zjawiska umysłowe zależne są od fizycznych, dowodzi tego fakt, że nie tylko między wrażeniem a zjawiskiem fizyczném, które to wrażenie wywołało, zachodzi stosunek ilościowy, ale nadto tenże sam stosunek wykrywa się między wrażeniem a czynnością naszego ciała, będącą następstwem wrażenia. Najszczytniejsze nasze myśli, najgłębsze uczucia ulegają temu prawu na równi ze zmysłowém wrażeniem, jakkolwiek pośrednikiem między temi myślami i uczuciami z jednéj strony, a fizycznemi zjawiskami z drugiéj—są siły życiowe fizyologiczne i warunki danego organizmu.

Że prawo przemienności i równoważności sił panuje także nad zjawiskami socyologicznemi, zbyteczném byłoby wykazywać.

Nie ulega wątpliwości, że prawa tego indukcyjnie dowieść nie podobna: nie mniéj wszakże jest ono konieczném, jako bezpośrednie następstwo zasady trwałości siły, będącéj, jak wiadomo, bezpośredniém danem umysłu i dla tego pewnikiem, niemogącym być zaprzeczonym.

Wiemy już, że przyczyną zmian, jakie zachodzą we wszechświecie, jest ruch, nastręcza się więc pytanie, co jest przyczyną ruchu? Na to pytanie nie możemy zadawalającéj dać odpowiedzi i zmuszeni jesteśmy wyznać, że bezwględna przyczyna ruchu jest dla nas niezrozumiałą. Mimo to jednakże musimy wyobrażać sobie materyą, jako objawiającą naraz siłę przyciągania i odpychania, dzięki zapewne codziennemu doświadczeniu, którego elementarną formę stanowi antagonizm między mięśniami wyprostnemi i zginaczami. W każdym razie dwie te współistniejące, przeciwne sobie siły, które

przyznajemy w ogóle materyi, nie powinny być brane za rzeczywiste; nie są one czém innén, jak symbolami, pojęciami, za pomocą których przedstawiamy sobie rzeczywistość, tłómaczymy sobie działanie rzeczy niepoznawalnéj.

Powszechne współistnienie przyciągania i odpychania pociąga za sobą konieczność pewnych praw, jakim ruch ulega pod względem swego kierunku. Jeżeli czynnemi są tylko siły przyciągające, natenczas ruch odbywa się w kierunku ich wypadkowéj, którą też można nazwać linią najsilniejszego przyciągania; jeżeli zaś czynnemi są tylko siły odpychające, ruch odbywa się w kierunku ich wypadkowéj, którą można nazwać linią najsłabszego oporu, jeżeli nareszcie czynnemi będą zarówno tak siły przyciągające, jak i odpychające, to ruch odbywać się będzie w kierunku ich wypadkowéj. Właściwie mówiąc to ostatnie prawo jest jedyném, gdyż obie te siły przypuszczają się jako wszędzie współistniejące; zdarza się wszakże bardzo często, że jedna z tych sił tak dalece przeważa nad drugą, że można śmiało pominąć skutki téj ostatniéj.

Ruch, odbywający się w pewnym kierunku, staje się przyczyną nowego ruchu w tymże kierunku, który nie jest czém innén, jak nadwyżką siły w tym kierunku. Potrzeba atoli pamiętać, że kierunek ruchu rzadko bywa prostym, a nawet wątpić można, czy bywa kiedy zupełnie prostym, a to dla tego, że siły przyciągające i odpychające musiałyby symetrycznie być rozłożone wzdłuż jego drogi, co jest rzeczą bardzo problematyczną.

Takie są ogólne prawa ruchu, dające się wykryć z łatwością we wszystkich zmianach nie tylko kosmicznych i geologicznych, ale nawet biologicznych. Posłuszną mu jest roślina w swym wzroście, posłusznemi mu są żywotne sprawy zwierzęcego organizmu. Na tém nie koniec. Podlegają mu w swych objawach tak myśli i uczucia pojedyńczych ludzi, jako też wszelkie zmiany społecznego organizmu.

Jaki jest ostateczny dowód tego prawa? Czy jest ono prostém tylko uogólnieniem doświadczenia, czy opiera się na jakiéj wyższéj, niezaprzeczalnéj zasadzie? Jakkolwiek prawo to wyprowadzoném jest z doświadczenia, nie zbywa mu przecież i na rozumowéj podstawie; jest ono bezpośredniém następstwem trwałości siły.

Główną właściwością wszelkiego ruchu jest rytmiczność, która pochodzi stąd, że ruch odbywa się zwykle pod działaniem sił, niezdolnych utrzymać się w równowadze z sobą. Rytmiczność ta atoli nigdy nie jest zupełną, doskonałą, siły bowiem przeciwne, oddziaływające na ruch, bodaj czy się znajdują kiedy na téj saméj linii. Rytmiczność, będąc konieczną własnością wszelkiego ruchu, stanowi

główny charakter wszystkich w ogóle zmian, bez względu na to, czy są one fizycznemi, czy umysłowemi lub społecznemi. Rytmiczność, jako konieczna własność ruchu, jest także prostém następstwem trwałości siły.

Takie są rezultaty, do jakich dochodzimy drogą ścisłéj analizy. Czy wszystkie te zasady, powyżéj wyłożone, zdolne są wytworzyć całość poznania rzeczy? Że stanowią one jeden z głównych przedmiotów filozofii, nie podpada najmniejszéj wątpliwości, są to bowiem prawdy najogólniejsze, najpowszechniejsze, które obejmują wszystkie konkretne zjawiska, do wszystkich działów natury należące. Z tém wszystkiém filozofii one same nie stanowią. Sąto prawdy czysto analityczne, które nie zdolne są utworzyć syntezy poznania, będącéj główném zadaniem filozofii. Nie dość jest poznać prawa pojedyńczych czynników rzeczy, potrzeba jeszcze poznać prawo wspólnego tych czynników działania, potrzeba wykryć formułę, któraby wyrażała złożony rezultat tego działania. Łatwo się domyśléć, że formuła ta powinna oznaczyć przebieg zmian, jakim podlega na raz materya i ruch, powinna wyrazić prawo, podług którego odbywa się rozdział materyi i ruchu, dynamiczną zasadę, którąby zdolna była wytłómaczyć powszechną metamorfozę tak w jéj całości, jak i w szczegółach. Formułą taką jest prawo rozwoju (evolution). Przystępujemy do jéj zbadania.

Teorya rozwoju (evolution).

Wiedza nasza nie może się nazwać zupełną, jeżeli się ogranicza na poznaniu rzeczy w ich konkretnéj formie, z pominięciem ich przeszłości i przyszłości. Poznanie zupełne rzeczy ma być ich historyą, zawierającą w sobie wszystkie ich zmiany, zacząwszy od chwili, w któréj stały się dostrzegalnemi, aż do chwili, w któréj staną się niedostrzegalnemi. Filozofia więc, mająca za przedmiot zupełne rzeczy poznanie, powinna dać nam formułę, którąby właśnie wyrażała, tłómaczyła owo przejście rzeczy ze stanu niedostrzegalnego do konkretnego i napowrót z konkretnego do niedostrzegalnego. Formułą taką będzie prawo rozdziału materyi i ruchu.

Nauka, badając dzieje wszystkich rzeczy, wykrywa, że składowe ich pierwiastki były niegdyś w stanie rozproszonym i że do tegoż stanu znowu kiedyś powrócą. Słowem, cała historya rzeczy zawiera się w skupieniu ich pierwiastków i następnie w ich rozproszeniu. Otóż przejście ze stanu rozproszonego do skupionego nie jest czém innem, jak ześrodkowaniem materyi, a utratą, rozproszeniem

ruchu, i odwrotnie przejście ze stanu skupionego do rozproszonego jest powiększeniem się ruchu a rozproszeniem materyi. Jak bowiem stopniowe skupianie się materyi każe się domyślać jednoczesnego zmniejszania się cząsteczkowego ruchu, tak z drugiéj strony, powiększenie się cząsteczkowego ruchu pociąga za sobą rozkład materyi i jéj rozpraszanie się. Sąto dwa kierunki, w których się odbywają wszystkie w ogóle zmiany, jakim tylko ulegają istniejące rzeczy. Nie trzeba wszakże zapominać, że lubo każda zmiana odbywa się w jednym z tych dwóch kierunków, kierunki te przecież nie zawsze są niezależne od siebie. Każde ciało, będące niczém inném, jak skupieniem cząstek, w tym samym czasie nabywa ruchu i traci go, nabywa, przéz pochłanianie ciepła, wysyłanego przez inne ciała, traci zaś przez wysyłanie ciepła do tychże ciał.

Takie jest powszechne prawo podziału materyi i ruchu, podziału, odbywającego się w dwóch przeciwnych sobie kierunkach. Skupianie się materyi i jednoczesne rozpraszanie się, zmniejszanie się ruchu nazywamy *rozwojem*; *rozkładem* zaś, zanikaniem, nazywamy powiększanie się ruchu i jednoczesne rozpraszanie się materyi.

Rozwój bywa prosty i złożony.

Jeżeli jedynemi silami czynnemi są te, które dążą wprost do wywołania bądź to skupienia, bądź rozproszenia, natenczas w masie ciała odbywają się jedynie te tylko ruchy, które zbliżają składowe jéj części do wspólnego środka, albo téż je od niego oddalają. Będzie to rozwój prosty, który zachodzi albo wtedy, gdy siły, zbliżające składowe części masy ciała do wspólnego środka, znacznie przewyższają inne, przypadkowe; albo téż wtedy, gdy skupianie się masy ciała, bądź z powodu małéj objętości, bądź dla tego, że ruch, który otrzymuje zewnątrz, jest zbyt małym w porównaniu do tego, który traci, dokonywa się zbyt szybko.

Przeciwnie zaś, jeżeli skupianie się dokonywa powoli, bądź dla tego, że wewnętrzny ruch masy ciała jest zbyt wielki; bądź dla tego, że wielka objętość téj masy przeszkadza wewnętrznemu jéj ruchowi, chociażby małemu, rozpraszać się swobodnie; bądź nareszcie dla tego, że masa ciała więcéj nabywa ruchu, niż go traci; natenczas siły przypadkowe znaczny mogą wywrzéć wpływ na masę ciała, spowodowując w niéj drugorzędne ugrupowanie się składowych jéj cząstek obok głównego, skierowanego ku środkowi masy. Będzie to właśnie rozwój złożony.

Właściwości obu tych gatunków rozwoju są bezpośredniém następstwem tego fizycznego prawa, że jeżeli jakieś ciało odbywa ruch swobodny w przestrzeni, to każda siła na nie działająca zdoła spro-

wadzić pewną zmianę w jego ruchu; przeciwnie zaś, jeżeli to ciało połączoném jest w jakikolwiekbądź sposób z innemi ciałami, jeżeli zostaje pod wpływem siły ciążenia, albo spójności; natenczas siły przypadkowe muszą mieć dość znaczne natężenie, by mogły w jego ruchu wywołać znaczne zmiany. Otóż prawo to stosuje się nie do samych tylko mas ciała, ale i do ich części tak dostrzegalnych, jak i niewidomych, jakiemi są molekuły, Im cząstki masy bardziéj są rozproszone, tém są swobodniejsze w swych ruchach, tém mniéj ulegają ciążeniu i spójności i dla tego tém łatwiéj podlegają działaniu sił przypadkowych. Rzecz się zaś ma przeciwnie, gdy masa ciała jest skupiona, gdy molekuły jéj, z powodu zbliżenia się do siebie, uległszy znacznemu wpływowi ciążenia i spójności, utraciły pierwotną swobodę ruchu. To nas uczy, że przy tych samych warunkach ilość drugorzędnych zmian w ugrupowaniu cząstek ciała, towarzyszących zmianie główném, pierwotnéj, jest proporcyonalna tak do posiadanego przez to ciało wewnętrznego ruchu, jak i do czasu, w ciągu którego ten ruch się w niém zachowuje.

Jeżeli ciała są lotne, albo płynne, drugorzędne ugrupowanie się, odbywające się szybko i na znaczną skalę z powodu wielkiéj ruchliwości molekuł nie pozostawia żadnego po sobie śladu; dzieje się zaś inaczéj w ciałach tak zwanych plastycznych, zajmujących środek między płynnemi a stałemi. W nich ugrupowanie się odbywa z mniejszą łatwością, ale właśnie dla tego, że ruchliwość molekularna jest w nich znacznie mniejsza, drugorzędne ugrupowanie się nabiera pewnéj trwałości, która zresztą wtedy dopiéro staje się zupełną, gdy z powodu nowego skupiania się cząstek ciało przejdzie w stan stały i w ten sposób uniemożliwi nowe ugrupowywanie się swych części. Przykład ten nas poucza, że oprócz powyżéj wymienionych warunków, umożliwiających powstanie rozwoju złożonego, potrzebnym jest jeszcze jeden, mniéj ogólnego znaczenia, ale również ważny z tego względu, że wyjaśnia nam właściwość rozwoju istot organicznych. Warunek ten jest następujący: ażeby mogło zajść w pewném ciele drugorzędne ugrupowanie się, potrzeba, by to ciało posiadało wielką ilość wewnętrznego ruchu; ale z drugiéj znów strony, ażeby drugorzędne ugrupowanie się mogło stać się trwałém, potrzeba, by ruch wewnętrzny stał się słabym. Temu warunkowi na pozór tak sprzecznemu czyni zadość organiczna materya żyjąca, która na raz posiada ogromną ilość wewnętrznego ruchu i znaczny stopień spójności, nadającéj drugorzędnym ugrupowaniom pewną stałość na przeciąg pewnego czasu.

Taką jest teorya rozwoju w swém najogólniejszém sformułowaniu. Przystępujemy teraz do sprawdzenia za pomocą indukcyi praw

rozwoju, któreśmy właśnie wyprowadzili dedukcyjnie. Dla tego potrzeba rozpatrzéć się w faktach, jakich nam dostarczają astronomia, geologia, oraz biologia, psychologia i socyologia. One dopiéro mogą nam dostarczyć dowodów, że powyższe prawa są panującemi w całym świecie bez wyjątku.

Hipoteza Laplace'a, jeżeli jest prawdziwą, stwierdza najzupełniéj teoryą rozwoju. System słoneczny nie inaczéj mógł się wytworzyć z mgławicy jak przez skupianie się materyi i jednoczesną utratę ruchu. W tym samym czasie, gdy się dokonywało stopniowe ześrodkowanie się całego systemu słonecznego, w oddzielnych jego częściach odbywało się osobne ześrodkowywanie się składowych ich pierwiastków.

Przejdźmy teraz do geologii. Dzieje ziemi, o ile je poznać możemy z budowy ziemskiéj skorupy, mówią nam, że była ona w stanie gazowym. Ze stanu gazowego, mogła ona przejść w płynny, a następnie w stały w zewnętrznéj swéj powłoce w ten tylko sposób, że w miarę jak traciła wewnętrzny ruch, masa jéj coraz bardziéj skupiała się. Obok tego skupiania się ogólnego, dokonywały się jeszcze drugorzędne. Najprzód powierzchnia ziemi przedstawiała tylko małe wyspy i niewielkie zbiorowiska wód—następnie, gdy skorupa ziemska, stawszy się grubszą, nabrała większéj trwałości, potworzyły się obszerne lądy i morza. To samo działo się i z górami. Z razu małe, późniéj dopiéro stały się wysokiemi, w miarę, jak skorupa ziemska stawała się grubszą i twardszą.

W roślinach i zwierzętach drugorzędne skupiania się, towarzyszące pierwszorzędnemu, nabierają szczególnéj wagi. W nich ześrodkowywanie się materyi w formie oddzielnych części dokonywa się jednocześnie z coraz większém i ściślejszém łączeniem się z sobą tychże części. Pomijając liczne przykłady, dość będzie przytoczyć dla wyjaśnienia, że w dzieciństwie u człowieka tkanka kostna powstaje przez zlanie się z sobą części téj saméj kości, w starości zaś przez spajanie się z sobą kości pierwotnie odrębnych.

Cóż innego widzimy w społecznym ustroju? Rodziny łączą się w plemiona, plemiona silniejsze podbijają słabsze i w ten sposób tworzą coraz większe skupienia, w których obok naczelników oddzielnych plemion występuje wódz naczelny. Ale na tém nie koniec. Oprócz tego łączenia się oddzielnych grup z sobą, w samychże grupach dokonywają się jednocześnie pewne połączenia, skupienia się. W miarę coraz większego postępu wytwarzają się w społecznym ustroju różne klasy narodu, które możnaby sprowadzić do dwóch: do klasy panującéj i pracującéj. Nietrudno się przekonać, że nawet

pojedyńcze sprawy społecznego ustroju ulegają temu prawu i stwierdzają je każdym szczegółem swego rozwoju. Dowodzi tego lingwistyka, historya nauk, sztuk i przemysłu.

Powyższe przykłady wskazały nam, że tak w ciałach nieorganicznych, jak i organicznych, jednocześnie, gdy się dokonywa skupienie całości, podobnež skupienie odbywa się i w częściach, owę całość składających. W jakiż sposób całość ta dzieli się na części? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w samém określeniu rozwoju złożonego. Utrzymywać, że ugrupowaniu się pierwotnemu towarzyszą ugrupowywania się drugorzędne, znaczy to samo, co mówić, że obok zmian, następujących w ciele skutkiem przejścia jego ze stanu gazowego do stałego, zachodzą w nim jeszcze inne zmiany, które są następstwem przechodzenia jego ze stanu jednorodnego w stan różnorodny. Słowem składniki masy ciała jednocześnie skupiają się i różnicują. Przykład wyjaśni to nam lepiéj.

Astronomia nas uczy, że w zakresie słonecznego systemu panuje jak największa rozmaitość. Rozmaitość ta ustaliła się podczas ześrodkowywania się masy słonecznego systemu. Gazowy sferoid téj masy w miarę jak się skupiał, ulegał coraz większemu różnicowaniu w skutek wewnętrznego ruchu oraz coraz większéj różnicy, zachodzącéj między jéj wnętrzem i zewnętrzną stroną pod względem gęstości i temperatury, a w końcu przez odrywanie się substancyi, z któréj powstawały w przestrzeni pierścienie materyi. Różnicowanie to odbywało się tak długo, aż się uorganizował i ustalił cały system, składający się ze słońca, planet i ich satelitów.

Geologowie zgadzają się powszechnie na to, że ziemia była niegdyś masą gazowéj materyi i że jéj wewnętrzne części do dziś dnia są płynne i rozżarzone. Pierwotnie więc znajdowała się ona w stanie względnie jednostajnym. W skutek promieniowania nastąpiło stygnięcie, które z czasem pociągnęło za sobą wielką różnicę między jéj masą a powierzchnią. Skorupa ziemi przez wytwarzanie się nowych pokładów, przez działanie rozżarzonego wnętrza ziemi na jéj powłokę, stawała się coraz więcéj różnorodną. Sama powierzchnia ziemi ulegała coraz znaczniejszym zmianom, zrazu pokrywając się małemi wyniosłościami, a następnie dopiéro takiemi górami jak Andy i Himalaya. W tym samym czasie ustalają się różnice pod względem klimatu, które ze swéj strony stają się przyczyną nowych, innego rodzaju różnic i t. d.

Nie inaczéj się dzieje i z ciałami organicznemi. Skład ich chemiczny, zrazu jednostajny, staje się coraz więcéj różnorodnym: z substancyi, która nie przedstawiała z początku żadnych różnic, potwo-

rzyły się różne tkanki. Temuż samemu prawu ulegają zmiany kształtu tak całego organizmu, jak i pojedyńczych jego narządów. Słowem, w każdéj roślinie i w każdém zwierzęciu znaczne ugrupowania drugorzędne towarzyszą zawsze pierwszorzędnym, czyli że każdy organizm w swym rozwoju przechodzi ze stanu jednorodnego do stanu różnorodnego.

Czy życie w ogóle było posłuszném temu prawu? Czy flory i fauny przeszłości mniéj były różnorodne od dzisiejszych? Stanowczéj odpowiedzi na te pytania dać nie można dla braku faktów rozstrzygających. Z tém wszystkiém, chociaż fakta nie pozwalają nam głosować ani za, ani przeciw teoryi postępowego rozwoju żyjących organizmów, są przecież między niemi takie i to najznakomitsze, które zdają się wskazywać, że organizmy i grupy organizmów bardziéj różnorodne są przekształceniem organizmów mniéj różnorodnych. Jeżeli biologiczna historya ziemi nie daje nam na powyższe pytania stanowczéj odpowiedzi, to daje nam ją historya rodzaju ludzkiego. Organizm ludzki, w ciągu okresu, w którym się ziemia zaludniała, stawał się coraz bardziéj różnorodnym z jednéj strony w skutek zmian, jakie ustalały różne stopnie oświaty, z drugiéj przez powstawanie różnych ras. To samo postrzegamy i w ustrojach społecznych. W miarę, jak masa społeczna, pierwotnie jednostajna, różnicuje się, wytwarza się klasa rządzących i rządzonych. W dalszym ciągu rządzący rozdzielają się na świeckich i duchownych, i w ten sposób ustanawia się państwo i kościół, w których z wiekiem powstają coraz większe i liczniejsze różnice. Podobnież różnicowanie dokonywa się i w klasie rządzonych. Przechodząc do utworów ludzkiéj działalności, do języka, nauki, sztuk i przemysłu, wszędzie postrzegamy, że przechodzenie ze stanu jednorodnego do różnorodnego stanowi istotę ich rozwoju.

Możemy więc teraz dodać, że rozwój polega jednocześnie na przechodzeniu ze stanu mniéj skupionego w bardziéj skupiony i ze stanu jednorodnego w różnorodny. Określeniem więc jego będzie: jest on przemianą rozproszonéj jednostajności na skupioną różnorodność, spowodowaną rozproszeniem się ruchu i skupieniem materyi.

Czy takie określenie rozwoju wystarcza? czy nie pomija ono jakiéj charakterystycznéj cechy jego? Zastanówmy się nad tém.

Każda miejscowa choroba przedstawia pewne zmiany, będące przejściem ze stanu mniéj różnorodnego do bardziéj różnorodnego. Czy zmiany te mają być zaliczone również do rozwoju? Każdy wytwór chorobliwy sprowadza przecież nowe różnicowanie w ciele, organizm, jako całość, staje się bardziéj różnorodnym przez dodanie

do niego części, która pod żadnym względem nie jest podobną do innych. Co więcéj, możnaby utrzymywać, że sama śmierć, pociągając za sobą chemiczny rozkład ciała, staje się w pierwszych chwilach przyczyną większéj różnorodności ciała, chociaż w ostatecznym rezultacie prowadzi je do coraz większéj jednostajności, bo do zupełnego rozkładu. To nas przekonywa, że nie każda zmiana, która jest przejściem od jednostajności do różnorodności, ma być poczytywaną za objaw rozwoju, że pomiędzy takiemi zmianami są niektóre, co są właściwie objawem rozkładu, początkiem zaniku. Właściwa więc rozwojowi zmiana, oprócz téj cechy, że prowadzi do rozmaitości, musi posiadać jeszcze inną.

Nie każda różnorodność stanowi istotę rozwoju, gdyż jest pewna różnorodność, od któréj rozkład się zaczyna. Powyższe więc określenie rozwoju nie jest wystarczającém. Różnorodność, która ma stanowić charakterystyczną cechę rozwoju, musi być określoną, uporządkowaną. Rozwojem przeto nie jest samo tylko przejście jednostajności do różnorodności, postępem, idącym od prostoty do złożoności, ale jest jeszcze postępem od chaotyczności do porządku, od układu nieokreślonego do określonego. Wszelki rozwój, bez względu na swój rodzaj, przedstawia nie samo tylko powiększanie się części do siebie niepodobnych, ale nadto potęgowanie się dokładności, z jaką te części od siebie się wyróżniają. I tak, wracając do przykładu, któryśmy powyżéj przytoczyli, co w nim postrzegamy? Oto, że zmiany, stanowiące chorobę, nie mają tego określonego charakteru pod względem miejsca, rozciągłości i kształtu, jakim się odznaczają zmiany, stanowiące istotę rozwoju. Jakkolwiek pewne chorobowe wytwory są właściwsze jednym częściom ciała, jak drugim, nie ograniczają się przecież na nich; zajęte przez nich miejsca nie odgraniczają się wyraźnie. Objętość ich i kształt są rozmaite i nie mają w sobie nic stałego, jak to się dzieje z organicznemi formami. Wewnętrzna ich budowa również jest zawikłana. Słowem, pod wszystkiemi w ogóle względami są one nieoznaczone. To samo ma się rozumieć i w zmianach społecznych, cechujących stan ich anormalny. Powszechne niezadowolenie, od którego się zaczynają wszystkie polityczne rozruchy, każe się domyślać pewnego rozprzężenia węzłów społecznéj hierarchii. Z powiększeniem się agitacyi, tworzą się rewolucyjne zgromadzenia, hierarchiczne stopnie, przedtém zachowujące swą odrębność, teraz mięszają się z sobą. Przepisy, regulujące postępowanie jednostek, nie znajdują posłuchu, zaciera się powoli różnica, oddzielająca dotąd rządzących od rządzonych. Jednocześnie powstrzymanie wszystkich spraw ciągnie za sobą zawieszenie pracy, ustają wszystkie różnice, opierające się na rozmaitości społe-

cznych spraw, całe społeczeństwo przemienia się w nieoznaczoną masę. Niechże wybuchnie rewolucya, natenczas społeczny organizm rozpada się i przechodzi w stan agregatu, składającego się z części, pozbawionych wszelkiéj organizacyi. To samo dzieje się, gdy głód i epidemie sprowadzają nieporządki, dając powód do zmian, które nie są czém innćm, jak przejściem od urządzeń oznaczonych do urządzeń nieoznaczonych.

Jeżeli więc postęp od nieoznaczonego do oznaczonego stanowi istotę rozwoju, to musi on się znajdować we wszystkich tych faktach, w których, jak dotąd, sprawdziliśmy już postęp od jednostajności do różnorodności. Brak nam miejsca na to, byśmy mogli przytaczać dowody, jakich nam dostarczają astronomia, geologia, biologia i socyologia, na potwierdzenie faktu, że wszędzie, gdzie się dokonywa rozwój, tam postęp od jednostajności do różnorodności łączy się jednocześnie z postępem od nieoznaczoności do oznaczoności.

Nie potrzeba atoli zapominać, że ten ostatni postęp nie jest zjawiskiem pierwotném, samodzielném; jest on rezultatem zmian innych, a mianowicie coraz większego skupiania się masy, gęstnienia jéj, coraz większéj spójności między jéj składnikami. Gęstnienie to, nadając trwałość wszystkim zmianom, uwydatnia tém samém powstającą różnorodność, ustala różnice we wszystkich ich szczegółach i wzajemną ich zależność. Dla tego téż w powyższém określeniu rozwoju potrzeba zaprowadzić małą poprawkę. Rozwój jestto postęp od nieokreślonéj, niespójnéj jednorodności do oznaczonéj i zjednoczonéj różnorodności.

Jakkolwiek ta definicya rozwoju jest prawdziwa, nie jest wszakże zupełną. Obejmuje ona cały szereg zjawisk, jakie przedstawia rozwój pod względem skupiania się materyi, ale pomija inne, które jednocześnie zachodzą, a które nie mniéj od tamtych są ważne. Są-to zmiany ruchu.

Wspominaliśmy wprawdzie, że w miarę, jak materya skupia się, ruch się rozprasza, dotąd wszakże nie mówiliśmy nic o ruchu, który pozostaje. Co się z nim dzieje? W miarę, jak rozwój staje się złożonym, jak skupiona masa zatrzymuje w sobie na czas dłuższy znaczną ilość ruchu potrzebnego na to, by mógł się dokonać drugorzędny podział materyi, która tę masę stanowi; staje się także koniecznym jednoczesny podział zatrzymanego ruchu. Między składowemi częściami całości nie mogą się ustalić różnice tak co do ich formy, jako też jakości i objętości, żeby jednocześnie nie ustaliły się także różnice pod względem ilości i kierunku ruchu bądź samych części, bądź ich molekuł. Dla uzupełnienia więc naszego pojęcia o rozwoju musimy go zbadać pod względem dynamicznym, musimy

odpowiedzieć na pytania: jakie jest źródło ruchów i dla czego ich rozmaitość i oznaczoność stają się koniecznemi? Gdy materya przechodzi ze stanu rozproszonego w stan stały, rozproszone jednostki tracą część wewnętrznego, niedostrzegalnego ruchu, a jednocześnie skupione masy tych jednostek nabywają ruchu widomego jedne względem drugich. Skądże się bierze ów ruch widomy? Rzecz prosta, że musiał on uprzednio istnieć, jako ruch niewidomy, jako wewnętrzny ruch rozproszonych jednostek. Jeżeli materya konkretna jest produktem skupiania się materyi rozproszonéj, to i ruch konkretny również jest tylko produktem skupiania się ruchu rozproszonego. Powstanie ruchu mas wymaga ustania ruchu molekularnego, tamtemu równoważnego.

Tym porządkiem rozwój, ze stanowiska dynamicznego rozważany, może być nazwanym zmniejszaniem się względnego ruchu części i jednoczesném powiększaniem się względnego ruchu całości. Postęp tu dokonywa się w ten sposób: ruch molekuł prostych zamienia się na ruch molekuł złożonych, w dalszym ciągu na ruch mas małych a następnie na ruch mas coraz większych. W miarę, jak powstaje większa rozmaitość w zatrzymanym ruchu, powiększa się także rozmaitość rytmu, który, jak wiemy, jest konieczną własnością ruchu. Szerokość rytmu i jego stosunek zależnym jest od stopnia i sposobu skupiania się mas oraz od stosunku tych mas do sił w nich zawartych. W miarę, jak pewna cząstka całości, znajdującéj się w stanie rozwoju oddziela się i skupia, a przez to traci względną ruchliwość swych składników, ruch jéj, jako całostki, musi się stawać bardziéj oznaczonym.

Takiém jest pojęcie rozwoju pod względem dynamicznym. Uzupełniając niém pojęcie jego materyalne, możemy go określić w sposób następujący: rozwój jest skupianiem się materyi, któremu towarzyszy rozpraszanie się ruchu i podczas którego materya zarówno, jak i ruch przez nią zatrzymany, przechodzą ze stanu nieokreślonéj, niespójnéj jednorodności do stanu określonéj, zjednoczonéj różnorodności.

Prawo rozwoju jest powszechném, ale czy jest ono ostateczném, czy nie pochodzi ono od jakiéjś wyższéj zasady? Tak, jak się przedstawia w powyższém sformułowaniu, nie jest ono czém inném, jak empiryczném uogólnieniem, którego składniki nie łączą się z sobą żadnym węzłem wzajemnéj zależności. Widoczna więc, że te składniki muszą być konsekwencyami jakiéjś zasady, i że ta zasada dopiéro zdoła je połączyć w syntetyczną jedność. Wiadomo nam z poprzedzającego, że najwyższą zasadą, będącą podstawą całéj wiedzy naszéj, jest zasada trwałości siły. Na niéj opierają się najwyższe uogólnienia myśli, na niéj téż oprzeć się musi prawo rozwoju. Musimy więc wyka-

zać, że rzeczywiście zasada trwałości siły tłómaczy powszechny charakter rozwoju, że wszystkie przemiany, jakim podlega materya i ruch, są koniecznemi jéj następstwami.

Zauważmyż najprzód, że wszelkie ciało jednorodne znajduje się w warunkach niestałéj równowagi. Niestałość ta pochodzi stąd, że różne części jednorodnéj masy podlegają zwykle działaniu sił, różnych tak pod względem ilości jak i jakości. Masa ta bowiem ma stronę wewnętrzną i zewnętrzną; otóż obie te strony, znajdując się w różnéj odległości od źródeł sił czynnych, rzecz naturalna, że muszą odbiérać nierówną ilość przypadkowéj siły. Zresztą, potrzeba jeszcze pamiętać, że każda cząstka pewnéj masy ulega jednocześnie działaniu innych sił: powszechnego przyciągania, spójności, molekularnego ruchu i t. d. Skutek więc, wywołany przez nową, przypadkową siłę, musi być wypadkową téj siły i sił, które wraz z nią są czynnemi. Twierdzić więc, że różne części pewnéj masy odbiérają różną ilość przypadkowéj siły, jestto utrzymywać, że części te w różny sposób zostały przez nią zmienione. To znaczy, że jeżeli te części były jednorodne pod względem swych stosunków, to w skutek działania na nie przypadkowéj siły, stały się one różnorodnemi. Ta ich przemiana jest koniecznêm następstwem trwałości siły. Różne bowiem ilości siły, działając na różne części masy, muszą w nich wywołać różne skutki, t. j. zmienić je w różny sposób.

Ponieważ zmiany, od których się poczyna rozwój, są koniecznêm następstwem prawa trwałości siły, zmiany te więc muszą być ciągłemi.

Jednorodność bezwzględna, jeżeli takowa może istniéć, musi stracić swą równowagę, jednorodność względna musi przejść w stan mniéj jednorodny i t. d. Co się dzieje z masą, musi się dziać i z jéj częściami, na jakie się podzieli. Jednorodność tych części musi się zmienić tak samo, jak i całość ich pierwotna, w różnorodność.

Zastanawiając się nad zmianami, jakim ulegają różne części masy, pomijaliśmy dotąd zmiany, jakie jednocześnie zachodzą w różnych częściach przypadkowéj siły. Zmiany te przecież są bardzo ważne i równie jak i tamte stają się przyczyną coraz większéj rozmaitości, coraz szybszego przechodzenia jednorodności w różnorodność.

Ponieważ działanie i oddziaływanie są sobie równe, zatém siła przypadkowa, sprowadzając w częściach masy, na które działa, różnicowanie się, sama w odpowiedni sposób musi się różnicować w skutek oddziaływania, jakie każda z tych części na nie wywiera. Z siły jednorodnéj, staje się ona różnorodną, staje się grupą sił. Oddziaływanie materyi na siłę przemienia ją nie tylko na siły różnego kie-

runku, ale, co więcéj, na siły różnego rodzaju. Następujący przykład wyjaśni to bliżéj.

Jeżeli dwa ciała uderzają o siebie, następuje zmiana położenia i ruchu albo jednego z tych ciał, albo obu naraz. Nie jestto wszakże jedyny skutek tego uderzania. Oprócz niego powstaje dźwięk, w miejscu, gdzie się dwa ciała zetknęły, następuje znaczne skupienie cząstek, ugięcie się punktu zetknięcia; skupieniu temu towarzyszy zwykle wywiązanie się ciepła. Nierzadko powstaje iskra, czyli światło, a może nastąpić nawet związek chemiczny. Widzimy więc, że siła mechaniczna, zużyta w tém uderzeniu się dwóch ciał, staje się przyczyną pięciu naraz odmiennych skutków, przemienia się w pięć różnych rodzajów siły. To nas uczy, że skutek bywa zwykle bardziéj złożony jak jego przyczyna, czyli że wszelka przyczyna wywołuje więcéj, jak jeden skutek.

Łatwo zrozumiéć, jak dalece ta mnogość skutków przyczynia się do postępu rozwoju. Siła przypadkowa, rozłożona przez oddziaływanie na nią masy ciała na grupę sił różnych, staje się przyczyną nowego, drugorzędnego powiększenia się różnorodności ciała. Ciało to ze swéj strony, stając się różnorodniejszém, oddziaływa różnemi swemi częściami na grupę sił i zmusza je do nowego różnicowania się. Rozproszona w ten sposób siła na liczniejsze grupy sił, nie przestając działać rozmaicie na rozmaite części ciała, staje się powodem nowego różnicowania się i t. d. Jeżeli więc jednorodna całość, stawszy się różnorodną pod działaniem przypadkowéj siły, przemienia tę siłę w różnorodną; jeżeli całość, złożona z dwóch różnych części, dzieli siłę przypadkową na dwie grupy różnorodnych sił, jasna więc, że każdy nowy podział musi się stać nowém źródłem, nową przyczyną rozmaitego układania się sił, czynnych w ciele. Słowem, mnożenie się skutków postępuje w stosunku geometrycznym.

Że mnożenie się skutków jest bezpośredniém następstwem trwałości siły, zbyteczném byłoby dowodzić. Żeby atoli nie zostawiać rzeczy w wątpliwości, zwracamy uwagę, że różnemi nazywamy te przedmioty, które w odmienny sposób na nas oddziaływają. Otóż, jeżeli dwa jakieś przedmioty uważamy za różne dla tego, że różny skutek wywołują w naszéj świadomości, to w swém twierdzeniu na jakiéj powadze opieramy się i co rozumiemy przez *różność* pod względem przedmiotowym? Ostateczna powaga, do jakiéj w tym razie odwołujemy się, jest zasada trwałości siły. Jeżeli doznajemy pewnéj zmiany, którą w nas spowodowuje jeden przedmiot, ale któréj drugi przedmiot spowodować nie może, to zmianę tę przypisujemy sile, którą wywiera na nas jeden przedmiot, a któréj nie wywiera drugi. Robimy to dla tego, że inaczéj musielibyśmy chyba utrzymywać, że

może zajść w nas pewna zmiana, która nie ma poprzednika, przyczyny. Lecz to właśnie znaczyłoby zaprzeczać zasady trwałości siły.

Jak wiemy, rozwój jest przejściem jednorodności w różnorodność, ale w różnorodność nie jakąbądź, tylko w różnorodność określoną, ściśle oznaczoną. Dotąd poznaliśmy, że przyczyną różnorodności w ogóle jest niestałość jednorodności i ta własność siły czynnéj, że spowodowuje więcéj niż jednę zmianę. Cóż jest tedy przyczyną przechodzenia chaotycznéj nieoznaczoności w uporządkowaną oznaczoność? Oto stopniowe odłączanie się i układanie podobnych do siebie jednostek w oddzielne, wyraźnie różniące się od siebie grupy. Przykładem takiéj segregacyi jest np. przewiewanie zboża. Ziarna pełne, jako cięższe, padają tuż zaraz, ziarna zaś puste i plewa, jako lekkie, uniesione są przez powiew wiatru nieco daléj i układają się w oddzielną kupę. W jaki sposób możemy sobie ten fakt wytłómaczyć?

Wiadomo nam, że siła działając na masę ciała, wywołuje w różnych jego częściach różne zmiany, spowodowywa przemianę jednorodności w różnorodność. Zmiany te są różnego rodzaju; mogą je stanowić albo zmiany dostrzegalne w położeniu jednostek—dźwięk, albo niedostrzegalne—ciepło, bądź każda z osobna, bądź razem; albo nowy układ molekuł, stanowiący sprawę chemiczną, albo ten rodzaj zmiany położenia, który nazywamy ruchem mechanicznym, także bądź razem, bądź z osobna. Otóż jeżeli pewna część siły czynnéj wywołuje w masie dźwięk, albo ciepło, albo oboje razem, to druga część téjże siły może spowodować w niéj sprawę chemiczną, albo mechaniczną zmianę w położeniu jéj składników. Jeżeli więc mała tylko cząstka téj siły zużyje się dla wywołania sprawy chemicznéj, to większa jéj część, a może nawet cała, jeżeli chemiczna sprawa nie nastąpi, zużyje się na to, by wywołać w składnikach masy mechaniczną zmianę położenia. Jakiego rodzaju będzie ta zmiana? Oto siła czynna, zamieniwszy się na mechaniczny ruch jednostek, wywoła podobne ruchy w podobnych jednostkach i różne ruchy w różnych jednostkach, a to tak pod względem kierunku, jak i natężenia. To znaczy, że jednostki jednego gatunku przeniesione zostaną na jedne miejsce, jednostki zaś drugiego gatunku na drugie, czyli że w masie musi zajść wybór i odłączenie zarazem.

Jeżeli teraz powyższemu wyjaśnieniu nadamy formę bardziéj abstrakcyjną, to przekonamy się, że to odłączanie się i układanie podobnych do siebie jednostek w oddzielne grupy jest koniecznem następstwem trwałości siły. We wszelkiém bowiem działaniu i oddziaływaniu materyi i siły różnica jednego, albo drugiego czynnika

pociąga za sobą odpowiedniąż różnicę w skutkach; jak również podobieństwo obu tych czynników sprowadza skutki podobne.

Wszystkie poznane przez nas zmiany, stanowiące istotę rozwoju, czy mają jaki cel przed sobą? Czy rozwój, jako ciągłe przechodzenie jednostajności w różnorodność, trwać ma do nieskończoności, czy też ma jakiś kres, u którego musi się zatrzymać? Chwila głębszego zastanowienia się prowadzi nas do wniosku, że rozwój ma pewną granicę, której przekroczyć nie zdoła. Granica ta jest równowaga. Gdzie tylko zwrócimy oczy, wszędzie dostrzegamy dążność do równowagi. Kamień, który się toczy, udzielając część swego ruchu napotykanym w swym biegu przedmiotom, zatrzymuje się w końcu i zostaje w spoczynku; przedmiot jakiś rozegrzany traci swe ciepło przez promieniowanie tak długo, aż nie nastąpi równowaga pod względem temperatury między nim a otoczeniem.

Że ostatecznym kresem wszystkich zmian musi być równowaga, wypływa to jeszcze i z tego, że współistnienie sił przeciwnych, działania i oddziaływania, jest powszechném. Każdy ruch, napotykając opór, musi się zmniejszać powoli, aż w końcu ustanie zupełnie. Taka jest zasada w swém najogólniejszém wyrażeniu. W zjawiskach świata przedstawia się ta zasada w kształcie bardziéj złożonym. Ruch każdego prawie ciała jest złożonym i równowaga każdéj ze składowych jego części ustala się samodzielnie, niezależnie od innych części. To, co my nazywamy równowagą, jest właściwie zniknięciem tylko jednego lub kilku ruchów, które ciało posiadało, gdy tymczasem inne ruchy mogą się w niém odbywać tak jak i przedtém. Przykład to najlepiéj wyjaśni. Bąk puszczony, oprócz ruchu około swéj osi, przedstawia jeszcze dwa inne: ruch w kieruku poziomym i oscylacyjny, wynikający z nachylenia się jego osi. Te dwa ruchy jednakże wkrótce się wyczerpują i ustają; pozostaje jego ruch obrotowy, odbywający się tak jednostajnie, że bąk zdaje się pozostawać w spoczynku. Ten ostatni moment stanowi *równowagę ruchomą*, która staje się *zupełną*, gdy bąk po wyczerpaniu swego ruchu zatrzymuje się zupełnie. Przykład ten uczy nas, że najprzód różne ruchy, które ciało posiada, układają się do równowagi oddzielnie. Każdy z osobna: ruchy najsłabsze, albo te, które największy opór napotykają, z osobna lub razem znikają najprzód, zostawiając te, które na większy, albo mniejszy opór napotykają, albo téż które obie te własności na raz posiadają. Powtóre, jeżeli niektóre części ciała w stosunku do innych ożywione są ruchem, który mały tylko opór napotyka zewnątrz, to ciało to może przejść w stan *równowagi ruchoméj*. Po trzecie równowaga ruchoma kończy się zwykle równowagą zupełną.

Najbliższym kresem wszelkiego rozwoju jest właśnie równowaga ruchoma. Powszechną dążnością wszystkich rzeczy jest dojść do téj równowagi i zachować ją mniéj lub więcéj. Widzimy taką równowagę w systemie słonecznym, w którym względny ruch składowych jego części jest ciągle równoważony przez ruch przeciwny, tak że przeciętny stan jego nie doznaje żadnéj zmiany. To samo widzimy we wszystkich zmianach ziemi, w sprawach żywotnych organizmów, w oscylacyach społecznego życia. Jestto bieg rzeczy konieczny, ponieważ nadwyżka siły, jaką ciało posiada w jednym kierunku, musi w końcu zużyć się na pokonanie oporu przeciwko wszelkim zmianom w tym kierunku, nie zostawiając po sobie jak ruchy, które wzajemnie się uzupełniają i układają do równowagi ruchoméj.

Lecz stan równowagi ruchoméj jest tylko przejściowym; ostatecznym kresem rozwoju jest równowaga zupełna, zupełne wyczerpanie się ruchu, bezwzględny spoczynek. Widoczna więc, że wszelki rozwój czyli wszystkie rzeczy, których naturę stanowi rozwój, dążą w sposób nieunikniony do śmierci. Jestto wniosek, do którego prowadzi nas tak obserwacya, jak i rozumowanie.

Wiadomo nam, że wszystkie zjawiska świata muszą być uważane, jako wypadek działania dwóch sił, przyciągania i odpychania, których współistnienie jest powszechne. Obie te siły są tylko wzajemnie uzupełniającemi się kształtami jednéj siły, stanowiącéj bezpośrednie dane naszego umysłu. Ze współistnienia obu tych sił wynika, że koniecznym warunkiem wszelkiego ruchu jest opór, który ruch ten będzie absorbować, zużywać potąd, aż się ustanowi równowaga. Ustalenie się równowagi jest koniecznym rezultatem trwałości siły. Z téj najwyższéj zasady da się wyprowadzić nie tylko owa równowaga bezpośrednia, do któréj cały kosmos wraz ze wszystkiemi szczegółami w nim zawartemi dąży i która ma być kresem ostatnim wszelkiego rozwoju, ale także i owa równowaga, jaka się na nowo ustala w zakłóconéj chwilowo równowadze ruchoméj. Do tego rodzaju równowagi dąży właśnie każdy organizm, ilekroć pod wpływem nieprzyjaznych warunków doznaje zakłócenia w żywotnych swych sprawach. Ta sama zasada służy także do wyjaśnienia owéj zdolności, jaką posiadają jednostki, a więcéj jeszcze gatunki, przystosowywać się do nowych warunków bytu. Otóż zważywszy to wszystko, a szczególniéj ten fakt, że z postępem cywilizacyi coraz ściślejsza ustala się zgodność i harmonia między umysłową stroną człowieka a warunkami jego istnienia, co jest konieczném następstwem zasady trwałości siły, nabywamy przekonania, że kresem powszechnego rozwoju jest ustalenie się największéj doskonałości i najwyższego szczęścia.

Dając najogólniejsze określenie rozwoju, powiedzieliśmy, że jest on przejściem od stanu niedostrzegalnego do dostrzegalnego; a jednocześnie zauważyliśmy, że zmianą odwrotną, rozkładem, zanikaniem, jest przechodzenie od stanu dostrzegalnego do niedostrzegalnego.

Poznawszy wszystkie cechy stanowiące istotę rozwoju, musimy po kolei zastanowić się nad znaczeniem rozkładu, który jest zmianą tak samo powszechną jak i rozwój, i którego konieczność również wynika bezpośrednio z zasady trwałości siły.

Wiemy już, że obie te przeciwne sobie zmiany nie dokonywają się w sposób całkiem od siebie niezależny, że każde ciało, będące w rozwoju, jakkolwiek w ostatecznym rezultacie traci ruch i skupia się, z drugiéj atoli strony nie przestaje otrzymywać w tym lub innym kierunku jakiegoś ruchu, który prowadzi do rozkładu. Skoro ruchy, będące przyczyną skupienia, tracą swą przewagę, natenczas odbieranie ruchu, pomimo ciągłego rozpraszania się, dąży do wywołania rozkładu. Gdy rozwój zakończy swój przebieg, gdy ciało, utraciwszy całą nadwyżkę swego ruchu, będzie tyle tylko odbierać od otoczenia ruchu, ile go samo traci; słowem, gdy dojdzie do téj równowagi, w któréj wszelka zmiana ustaje: natenczas przechodzi ono całkiem pod działanie swego otoczenia, które może powiększyć ilość zawartego w niém ruchu, i które, w ciągu mniéj lub więcéj długiego czasu, udzieli jego częściom nadwyżkę ruchu zdolną spowodować rozkład.

Teraz możemy zapytać: jakiż jest koniec wszechrzeczy? Mamyż go sobie wyobrażać, jako śmierć powszechną, jako bezwzględny spokój, zalegający nieskończoną przestrzeń, w któréj zagasłe słońca skazane są na wieczną nieruchomość?

Na to pytanie, sięgające po za kres wszelkich wniosków, na jakie nam pozwala indukcya, można dać odpowiedź tylko teorytyczną.

Opierając się na faktach, że gwiazdy tak samo jak ciała, należące do naszego układu, poruszają się, że ruchy te odbywają zgodnie z prawem ciążenia, jak to widzimy na ruchach gwiazd podwójnych; musimy się zgodzić, że prawo rozwoju i rozkładu tak samo panuje w układach gwiazdowych, jak i w naszym systemie słonecznym. Otóż, jeżeli skupianie się, które w zakresie słonecznego układu ciągle postępuje, dojdzie do tego stopnia, że nastąpi zupełna równowaga, powstrzymująca wszelkie zmiany; natenczas musi nastąpić skupianie się na daleko większą skalę, skupianie się naszego układu słonecznego z innemi układami. Ale wtedy właśnie ruch mechaniczny, utracony przez masy, zamieni się w ruch molekularny, który

wszystkie te masy doprowadzi do stanu mgławicy. Na tém nie koniec. Ponieważ ilość materyi i ruchu jest stałą, ponieważ zmiany w rozdziale materyi, jakie ruch spowodowuje, napotykają granicę, bez względu czy należą one do rozwoju, czy do rozkładu, wypada więc przyjąć, że ruch niezniszczalny musi w następstwie wywołać nowy rozdział materyi w kierunku odwrotnym. Istniejące powszechnie siły przyciągania i odpychania, nadające system wszystkim częściowym zmianom świata, muszą go nadawać także i zmianom, ogarniającym cały świat, tj. muszą spowodowywać po kolei raz okres, w ciągu którego przeważają siły przyciągające, i dla tego dokonywa się powszechna koncentracya, skupianie się, to znowu okres, podczas którego przeważają siły odpychające i sprawują powszechne rozpraszanie się, słowem, niezmierzone okresy, na przemian po sobie idące, rozwoju i rozkładu. W ten sposób można sobie przedstawić przeszłość, jako niezmierny okres czasu, w którym dokonały się kolejno rozwoje, podobne do tego jaki obecnie odbywa się, i przyszłość, jako również niezmierzony okres czasu, w którym prawdopodobnie takież same po kolei dokonają się rozwoje, takież same co do zasady, ale różne pod względem swych konkretnych rezultatów. Pojmując w ten sposób przeszłość i przyszłość, nie możemy przyznawać widzialnemu stworzeniu ani początku, ani końca. Pojęcie świata ogarnia nie tylko istnienie obecne, konkretne, ale i te, które były przed niém i po niém będą. Siła więc, którą świat objawia, należy do téj saméj kategoryi, co czas i przestrzeń, tj. przedstawia się myśli, jako coś nieograniczonego, nieskończonego, czyli, że jest niedostępną dla naszego pojęcia.

Tak tedy dochodzimy do tego samego wniosku, do jakiego doszliśmy w pierwszéj części, w któréj drogą analizy wykryliśmy, że zasadniczém pojęciem tak religii, jak nauki jest uznanie, że przyczyna wszystkich zmian świata przedmiotowego i podmiotowego jest niedostępna dla naszego poznania, że z tém wszystkiem istnienie jéj jest bezpośredniém danem naszego umysłu. Wniosek ten stanowi właśnie ostateczny cel, do którego dążyły i podążają dotąd nauka, metafizyka i teologia.

Taka jest treść filozofii ogólnéj, w któréj Herbert Spencer, zastanawiając się nad powszechnemi objawami kosmosu, wyprowadza z nich prawa najogólniejsze, obejmujące zarówno tak formy, w jakich zjawiska się przedstawiają, jak i czynniki, które składają się na wytworzenie zjawisk. Pozostaje teraz zbadać prawa wytworów, o ile są oznaczone przez wspólne działanie czynników. Potrzeba

wykazać, w jaki sposób, na zasadzie trwałości siły i pochodzących od niéj praw dynamicznych, dają się wytłómaczyć wszystkie własności świata nieorganicznego, w jaki sposób wytworzyły się liczniejsze i bardziéj złożone cechy, stanowiące charakter bytów organicznych i nadorganicznych (społecznych); w jaki sposób rozwija się organizm, ukształtowuje się umysł ludzki, ustala się postęp społeczny.

Téj potrzebie, w ten sposób sformułowanéj, czynią zadość następujące tomy Syntetycznéj filozofii Herberta Spencera, stanowiące filozofią szczegółową.

Podawszy treść dzieła, o ile można dokładną, w wielu miejscach opowiedzianą własnemi autora wyrazami, uważamy za potrzebne załączyć kilka uwag, dotyczących jak całości dzieła, tak i niektórych szczegółów w niém zawartych.

Powiedzieliśmy na początku, że dzieło Spencera: „Pierwsze Zasady“ nie jest czém inném, jak metafizyką pozytywną. Z przytoczonéj powyżéj treści łatwo się przekonać, że na tę nazwę zasługuje ono zupełnie, lubo roztoczenie téj treści w granicach jednego artykułu może tylko bardzo niedokładne dać pojęcie o metodzie, jakiéj autor używa w swém dziele. Metoda jego polega na jednoczesném posługiwaniu się indukcyą i dedukcyą, na łączeniu z sobą jak najściślejszéj analizy z głęboką i śmiałą syntezą. I to właśnie jest przyczyną, że dzieło to, przy największéj ścisłości, z jaką rozbiera najbardziéj oderwane pojęcia, jest pełném życia; w niém wywody czysto rozumowe łączą się naprzemian z wywodami indukcyjnemi, opartemi na licznych przykładach, jakich pod tym względem dostarczają astronomia, geologia, biologia, psychologia i socyologia.

Co się tyczy treści, to, jak wiemy, stanowią ją dwie teorye, które jakkolwiek autor uważa za uzupełniające się wzajemnie, wypływające jedna z drugiéj i stanowiące razem syntetyczną jedność, krytyka przecież, bacząc na różną ich wartość, uważa je za dwie osobne i mogące się od siebie oddzielić teorye, z których jedna zadość czyni wszystkim wymaganiom nauki, druga zaś nie wytrzymuje próby ścisłego rozbioru. Mówimy tu o jego teoryi rzeczy *niepoznawalnéj* i rzeczy *poznawalnéj*.

Ta ostatnia teorya, zawierająca prawa rozwoju, jakim ulega zarówno wszelki byt pojedyńczy, jak i cały kosmos, musi się uważać za drogocenny nabytek dla ludzkiéj wiedzy i pozostanie prawdziwą tak długo, pokąd nie będzie dowiedzioną fałszywość takich zasad, jak trwałość siły, jak jednostajność praw przyrody, odpowiada ona wszystkim wymaganiom tak dedukcyi, jak i indukcyi. A lubo w szczegółach nie jednemu może się wydać naciąganą, w ogólnym swym charakterze musi być uważaną za prawdziwą przez każdego, kto

pilnie rozważy założenia, na jakich się opiera, i fakta, z których została wyprowadzoną. Teorya rozwoju nie jest dziełem jednorazowego aktu myślenia, nie powstała ona w głowie autora od razu cała i wykończona, jak Minerwa z głowy Jowisza. Urabiała się ona powoli, przybierając w myśli autora odmienne kształty w miarę, jak sama myśl wzbogacała się wiedzą i potężniała. Pierwszym jéj zarysem była obszerna rozprawa pod tytułem: „Postęp,“ w któréj indukcyjnie wyprowadza autor niektóre prawa postępu, w najobszerniejszém znaczeniu pojętego. Jest ona zatém owocem długich i żmudnych badań, powolnéj pracy, stopniowo zdobywającéj prawdę i niezawsze odrazu na nią natrafiającéj. Ślady tego powolnego kroczenia, stopniowego zdobywania prawdy widzimy w jego „Essays,“ zawierających liczne artykuły o najrozmaitszych kwestyach, traktowanych ze stanowiska teoryi rozwoju. To powolne jéj zdobywanie tém większą budzi do niéj ufność, bo daje gwarancyą, że nie bujna fantazya była jéj matką, ale baczna na wszystko rozwaga, ale rozum, spotęgowany długiém zastanawianiem się nad rzeczą i wszechstronną nauką, ogarniającą wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj.

Nie można tego samego powiedzieć o jego teoryi rzeczy niepoznawalnéj. Wiemy, że jest nią absolut. Spencer utrzymuje, że jakkolwiek nie wiemy i wiedzieć nie możemy, czém jest absolut, jaka jest jego natura, możemy przecież wiedzieć i musimy wierzyć, że jest, że istnieje. Istnienie jego przypuszczamy już wtedy, gdy twierdzimy, że go poznać nie możemy; stanowczemi zaś dowodami jego istnienia są: najprzód ten fakt psychologiczny, że mamy w umyśle pewne, ale nieokreślone pojęcie absolutu, którego pozbyć się nie możemy, którego przeczenia pojąć nie możemy; powtóre warunki poznania, podług których każda rzecz może być pojętą li w odniesieniu do rzeczy jéj przeciwnéj. Znaczenie tego ostatniego dowodu jest takie: ponieważ mamy pojęcie względności, więc musimy też mieć pojęcie bezwzględoości, inaczéj bowiem sama względność, jako pozbawiona swéj antytezy, nie mogłaby być pojętą.

Zastanówmy się nad wartością tych dowodów. A najprzód, czy prawda, że mamy, że możemy wytworzyć sobie pojęcie, wprawdzie nieokreślone, absolutu, którego zaprzeczenie w myśli jest dla nas niepodobném? Takiego pojęcia mieć nie możemy dla téj saméj przyczyny, dla jakiéj nie możemy mieć pojęcia o trójkącie ogólnym, o koniu ogólnym itd. To mniemane pojęcie absolutu nie jest czém inném, jak abstrakcyą pewnej własności wspólnéj wielu rzeczom, a mianowicie téj, że są, że istnieją. Dowodzi tego mimo woli sam Spencer, utrzymując, że pojęcie absolutu nie jest dziełem pojedyńczego aktu myślenia, ale złożonego, że dla wytworzenia go myśl po-

trzebuje po kolei przechodzić od jednéj formy bytu do drugiéj, od jednéj rzeczy do drugiéj i, odrzuciwszy wszystkie szczególne formy bytu, wszystkie ograniczenia rzeczy, zatrzymać to, co pozostaje, po odrzuceniu ograniczeń, co wypełnia wszystkie formy bytu. Ten bowiem akt złożony nie jest czém inném, jak abstrahowaniem. Myśl w niém, przechodząc od rzeczy do rzeczy, pomija wszystkie ich własności, któremi się różnią od siebie, a zatrzymuje się nad tą tylko własnością, która, będąc wspólną im wszystkim, robi je podobnemi do siebie. Tą wspólną im wszystkim własnością jest to, że są, że istnieją. *Że* ta własność wydaje się dla abstrahującéj myśli czémś więcéj, jak prostą własnością, że przybiera pozór jakiéjś substancyi, tłómaczy się to tém, że ostatecznym dowodem wszelkiego istnienia jest dla nas uczucie oporu i rozciągłości, że przybiera charakter absolutu, bezwzględności, to dla tego, że jest powszechną, że bezwzględnie należy do każdéj rzeczy; że wykluczyć jéj z myśli nie możemy, że nie możemy pojąć jéj zaprzeczenia, to dla tego, że dotychczasowe doświadczenie nie dało poznać nam rzeczy, któreby jéj nie posiadały, nie dało nam poznać nicości, niebytu, któreby były czémś więcéj, jak gołém przeczeniem; że myśląc, musimy koniecznie myśleć o czémś, jeżeli nie o własności szczególnéj, która myślenie określa, to o własności ogólnéj, powszechnéj, która dla tego właśnie, że jest ogólną, do żadnego wyłącznie przedmiotu nie przywiązaną, lecz właściwą wszystkim, nie pozwala myśli zatrzymać się nad żadnym przedmiotem, ale zmusza ją do szybkiego przebiegania od jednego do drugiego i do pozostawania w stanie nieokreślonym, nieoznaczonym.

Do takiegoż samego rezultatu doprowadza nas zastanowienie się nad drugim dowodem, jakiego Spencerowi mają dostarczać warunki poznania. Istotę naszego poznania stanowi porównywanie, upatrywanie podobieństw i różnic rzeczy. Dla pojęcia jakiéjś rzeczy, potrzeba ją odnieść, porównać z inną, któraby była podobną do niéj pod jednym względem i różną pod innemi. Porównywanie dwóch rzeczy absolutnie różnych od siebie, albo absolutnie podobnych do siebie nie daje żadnego o nich pojęcia. Otóż, ażebym mógł pojąć względność, to muszę ją porównać do czegoś, co jest do niéj podobném i różném zarazem. Czy tém czémś może być absolut, bezwzględność? W żaden sposób. Między absolutem, bezwzględnością a względnością nie masz nic wspólnego, a więc i najmniejszego podobieństwa między niemi być nie może. Absolut przestałby być absolutem, gdyby miał coś wspólnego ze względnością. Między niemi bezwzględna zachodzi różnica. Względność więc, jeżeli ma być pojętą, to musi być porównaną z czémś inném, jak z bezwzględnością. Po-

wiedziałem, jeżeli ma być pojętą, gdyż jak o gołéj bezwzględności, tak i o względności ogólnéj, nieodnoszącéj się do żadnéj rzeczy pojęcia mieć nie możemy. Możemy pojmować dobroć względną, trwałość względną itd., ale saméj oderwanéj względności pojąć nie możemy. Żebym zaś mógł pojąć dobroć względną, tj. konkretną, nie potrzebuję jéj odnosić do absolutu, ale do dobroci pojętéj w bezwzględném znaczeniu, czyli mówiąc zrozumiaiéj, do dobroci teorytycznéj, która nic innego nie oznacza tylko najwyższy stopień pewnéj własności, o ile do niego myślą wznieść się można. Jeżeli więc ten najwyższy stopień pewnéj własności można nazwać absolutem, to chyba względnym, jeżeli dwa te wyrazy dadzą się pogodzić. I taki tylko absolut dostępnym jest dla naszego myślenia. Do takich absolutów należą także materya, siła, czas, przestrzeń itd. jako pojęcia jedyne w swoim rodzaju.

Na zakończenie przytaczam uwagę autora, który, przewidując zarzuty, jakie mu mogą być robione z tego powodu, że wszystkie zmiany kosmosu, wszystkie zjawiska tak świata przedmiotowego, jak i podmiotowego tłómaczy za pomocą takich wyznaczników, jak materya, siła i ruch, powiada: że ktoby go chciał oskarżać o materyalizm ten niech pamięta, że materya, siła i ruch nie mają w nauce tego znaczenia, jakie im nadajemy w praktyce, że wyrazy te są symboliczném oznaczeniem rzeczy, zgoła nam nieznanych co do swéj natury, że nic innego one nie oznaczają, jak trzy czynniki kosmosu, różniące się od siebie pod względem objawu, ale co do swéj istoty będące dla nas nazawsze zagadką.

Władysław Kozłowski.

KRZYŻ NAD OTCHŁANIĄ,

STUDYUM KOBIÉCE

przez

Deotymę.

(Ciąg dalszy).

LIST XXIX.

Pamiętnik Teresy z podróży do Karpat.

W ciągu podróży zdawało mi się, że dosyć będzie opowiedzieć po prostu dziwy tam widziane, aby w drugich przelać moje własne wrażenia. Dziś kiedy się zabiéram do opowiadania, widzę że nie ma nic trudniejszego jak właśnie owo: *po prostu*, i teraz dopiéro zaczynam czuć całą nieudolność ludzkiego słowa.

A najprzód, jakże odtworzyć samo tło, same krajobrazy? Jestże co nudniejszego jak krajobraz *opisywany*? Te cudowne gry kolorów, te wody i skały, które w rzeczywistości są takie różnorodne, takie żyjące, na papiérze robią się jedne do drugich podobne, a wszystkie bez wyrazu jak pośmiertna maska.

Zdawałoby się, że pędzlem łatwo zastąpić, albo przynajmniéj dopełnić niedostatki pióra. Ach i to złudzenie. Czémże są wszystkie malowane góry dla osoby co choć raz widziała prawdziwe? W obec takich wzorów ręce opadają. Tyle tam bogactw, że nie wiadomo co wybrać. Widownia zanadto olbrzymia, aby ją ująć w jakiekolwiek ramy. Gdybym kilka lat z rzędu jeździła w Karpaty, możebym zdołała rozpatrzéć się w tym chaosie, wykroić sobie z niego pomniejsze

obrazki; ale i wtedy jeszcze ileż nieobliczonych trudności! Sama nawet wierność jest niebezpieczną. Tam natura tworzy co chwila cienie i światła takie dziwne, takie *nieprawdopodobne*, że patrząc na nie mówimy: gdyby malarz chciał to wszystko odtworzyć, niktby mu nie uwierzył.

To téż ostatecznie dałam przyrodzie za wygraną i nie myślę ani opisywać, ani malować tamtejszych krajobrazów. Ale nieprędko doszłam do téj filozofii; w podróży nie mało napsułam papiéru, piór i ołówków, czego jednak nie żałuję, kiedy kawałek papiéru sprowadził najciekawsze odkrycie.

W Zakopaném, o ile sobie przypominam, pierwsze tygodnie porządnie mi się dłużyły. Miejsce ładne, ale tylko ładne, a bliskość Tatrów, stojących ciągle przed oczami, drażni ciekawość i czyni nas obojętnemi, nawet niesprawiedliwemi dla dolin przedwstępnych; kto chce oglądać pałac, nie lubi długo zatrzymywać się w sieni, choćby najpiękniejszéj. Gości był huk, ale myśmy chodzili w tym tłumie jak na puszczy; ażeby robić nowe znajomości, trzeba mieć choć trochę dawniejszych; myśmy nie mieli żadnéj. Wujaszek od dawna stracił z oczu te, jak nazywa „nowe pokolenia,“ a długoletnie zerwanie stosunków światowych uczyniło go między ludźmi nieśmiałym. Nieraz widziałam strojne kawalkaty, wyjeżdżające w góry wśród śmiechów i pustot; sama słaba i do niczego niechętna, pytałam z podziwieniem jak się tym ludziom chce śmiać i ruszać?

Powoli jednak i mnie jakoś w myślach zaczęło się rozjaśniać; cudowne tamtejsze powietrze i żentyca przywracały mi jak na zawołanie siły a nawet humor, z czego wyciągam wniosek, że człowiek jest bardzo nędzném stworzeniem, kiedy nastrój nieśmiertelnéj duszy jego zależy od składu atmosfery, albo kilku szklanek serwatki! Boże mój! Jakżeż tu potém sądzić ludzi, ich myśli i postępki? Pierwéjby trzeba wiedziéć w jakim byli wtedy stanie zdrowia, czém oddychali i co jedli?

Po jakich trzech tygodniach, już czułam się taka rzeźwa, że mogliśmy zacząć dalsze wyprawy. Wtedy dopiéro nastały dla nas dni prawdziwie przyjemne; oboje wyraźnie jesteśmy do gór stworzeni. Wujaszek, jako dawny wojskowy, nie zna niebezpieczeństw, po prostu nie domyśla się, aby mogły istniéć. Najstromszemi ścieżkami chodził przewybornie, czasem część drogi przebywał konno, a wtedy był najweselszy, bo mu to przypominało czas wojaczki. Ja także mnóstwo naodbierałam komplementów za moje chodzenie po górach, i to nie tylko od podróżnych, ale, co mi więcéj pochlebiało, od samych górali. Według ich opowiadania, były temu kilka lat w Karpatach „jakieś Angielczyki,“ a z niemi i angielska dama, która aż

na Łomnicę weszła; górale nie mogli nachwalić się jéj zręczności, ale dodawali, wskazując na twoję przyjaciółkę: „Ta panienka nie gorzéj chodzi.“—Istotnie, jeśli się porównam z wielu damami krakowskiemi i warszawskiemi, które po drogach spotykałam, to ze mnie rodzaj zucha. Z niemi podróżować prawdziwa męczarnia; co krzyku, nawet płaczu, gdy trafią na jakie zawrotne przejście! Co namysłów, gdy przyjdzie przeskoczyć jaką wodę po kamieniach! Nieraz brał mię śmiech, a potém i gniew; kiedy tak się boją, lepiéjby w domu siedziały.

Niezmiernie się cieszę, że nie należę do rzędu tych pań, które górale zabawnie nazywają *bójnemi*, bo oprócz zadowolenia miłości własnéj, jest jeszcze jakiś wyższy, nieokreślony urok w tém ciągłém pokonywaniu przeszkód, w tém otrząsaniu się z praw ciężkości, które ciało doprowadza nieledwie do warunków ducha; zdaje się, że jeszcze troszkę, jeszcze troszkę, a uleci się jak na skrzydłach.... To téż już teraz nie dziwie się pasterzom, ani strzelcom, tak namiętnie do gór przywiązanym, nie dziwię się nawet....... akrobatom; muszą oni doznawać rozkoszy nieznanych tym co chodzą sobie zwyczajnie „po ziemskiém kulisku,“ rozkoszy tém silniejszéj, że zaostrzonéj wabikiem niebezpieczeństwa; gawiedź nie wié za co ich podziwia, ale instynktowo ma słuszność: uwielbia zwycięstwo woli nad materyą.

Przy takiém usposobieniu wędrówka szła nam jak z płatka; nie było dla nas ani dróżki za trudnéj, ani szczytu za wysokiego; gdziekolwiek człowiek dojść może, tam i myśmy być musieli, ale zawsze z przewodnikami, bo wyprawy na własną rękę nieraz miewają smutny koniec, i pełno krąży opowiadań o śmiałkach zaskoczonych śnieżną zamiecią, albo zaginionych bez wieści. Wujaszek téż tylko szukał pretekstu, aby się otaczać góralami; jeżeli w salonie jest nieśmiały, za to między prostaczkami jak u siebie; na prowincyi nawykł do obcowania z ludźmi niższéj klasy i przedziwnie umié z nimi rozmawiać, wyciągać ich na zwierzenia, uwagi i koncepta.

Mnie także bardzo zajął lud tutejszy. Autorowie co go opisywali wcale nie przesadzają twierdząc, że to jest lud *poetyczny*, podkreślam wyraz i powtarzam, tak, poetyczny, jakby go kto umyślnie wyuczył rol stosownych do sceny na jakiéj żyje. Nieraz widzowi wydaje się tutaj, że chyba jest w teatrze, gdzie się odgrywa jakaś opera czarodziejska; dekoracye wszędzie gotowe; mieszkania, ubiory, postacie, wszystko teatralne; nawet owo nieprawdopodobne oświecenie krajobrazów zakrawa na bengalski ogień. Wszystko szczera natura a wygląda jak dzieło sztuki.

O ile słyszałam, nie tylko w Karpatach, ale we wszelkich górach, mieszkańcy noszą taką cechę poezyi. Zkąd ta niesłychana różnica od ludności równin? Nikt podobno téj różnicy jeszcze dobrze nie wytłómaczył; mnie przyszło na myśl, czy góral, pod wpływem piękna co go otacza, nie staje się powoli rodzajem niedoszłego, na wpół rozwiniętego artysty? Wszyscy oni, czy chodzą, czy się kłaniają, czy się modlą, każdą czynność tak pełnią jakby malarz ich ustawiał, jakby rzeźbiarz kierował ich ruchami; nieraz nawet wyrażają się z jakimś rodzajem attycyzmu, słowem, jest w nich to co między prostym gminem nigdy się nie znajduje, to co i między wykształconymi ludźmi rzadko się spotyka: zmysł estetyczny.

Jakże też ciężko, jakże śmiesznie wyglądają przy nich opasłe mieszczuchy! Nieraz łączyły się z nami gromady podróżnych, a wtedy brał mię śmiech pusty, widząc jak nasi surdutowi, cylindrowi panowie, w swoich ciężkich buciskach, dźwigali się niby niedźwiedzie, zadyszani, karmazynowi od zmęczenia, podczas kiedy smukły góral, w swojém klasycznêm obuwiu, w swoim średniowiecznym stroju, szedł obok nich lekko i swobodnie jakby go powietrze niosło.

A jednak..... cała ta poezya niestety, nie na długo czaruje, bo jest czysto zewnętrzna. Górale są jak owoce dziko w lesie rosnące, które zdaleka łudzą najpowabniejszym pozorem, ale kto w głąb' zajrzy, znajdzie pierwotną cierpkość. Można uwielbić ich prostotę, wysłuchać z ciekawością ich legend, ale długo żyć między nimi ani sposób, zwłaszcza dla kobiéty; po dłuższéj gawędce, zawsze się w nich odnajdzie grunt gburowatości, brak wiekowéj uprawy, to co między ludźmi rzuca najgłębszą przepaść: brak wychowania.

Chcąc zamienić myśli, na prawdę porozumiéć się i porozmawiać, trzeba zawsze wrócić do owych figur surdutowych, które są jak owoce pielęgnowane w sadzie, na oko niepozorne, ale w smaku pełne słodyczy i wykwintności. Darmo, cywilizacya ma niezaprzeczoną wyższość, kiedy ten, co raz jéj zakosztował, już bez niéj długo obejść się nie umié.

Gdyby to jednak można tym naszym salonowcom zachować ich rozum, ich jedwabną obyczajność, a przebrać ich po góralsku, nadać im góralską poetyczność i bohatérskość, i takim narodem zaludnić cudne Karpaty! Nieprawdaż Anielko, że wtedy wszyscybyśmy się tam przenieśli, i tysiąc lat by tam żyć warto?

Powiész mi: Pensyonarskie marzenia!

A ja ci odpowiém jak dawniéj: tyle naszego co marzymy — Dziś nawet dodam: powinniśmy jak najwięcéj i jak najzuchwaléj marzyć, bo czasem.... czasem, niebo łaskawe, jak ów sułtan z bajki, bawi się w spełnianie marzeń biednych ludzi.

(—Miałam pisać Pamiętnik ogólnikowy, chłodny, wystosowany do téj bezosobistéj alegoryi co się nazywa *szanownym czytelnikiem*, tymczasem, jak widzę, po staremu wpadam w poufny tok listu. Nie wiém nawet czy Anielka będzie kiedy czytała te kartki, a jednak myśl moja zawsze do niéj się zwraca. Niech te zwroty zostaną, choćby tylko jako jeden rys więcéj do mego własnego wizerunku).

— Pierwsza nasza dłuższa wyprawa zwróciła się na lewo, w Pieniny, gdzieśmy tydzień przepracowali, studiując Czorsztyn, Krościenko, Szczawnicę i różne inne śliczności. Po odpocznieniu w Zakopaném, druga wycieczka, na prawo, do Kościeliskiéj doliny, którą przedeptaliśmy ze trzy razy tam i napowrót, rysując każdą dziwaczniejszą skałę, pnąc się do najwyższych szałasów, co przychodziło nam bez trudu, bo zwiedzenie téj doliny łatwiejsze od wielu innych.

Po kilku mniejszych przejażdżkach, przyszła koléj na Morskie Oko. Tam nie można się w jeden dzień dostać. Jadąc do Zakopanego, podróżni zwykle stają na noc w wiosce zwanéj Bukowiną, zkąd nazajutrz jeszcze około siedmiu godzin drogi ich czeka. W téj Bukowinie zaskoczyła nas niespodziewana przygoda, z którą też zmienił się i kierunek naszéj wędrówki.

Po nocy przespanéj wprawdzie w chałupie, ale bardzo smaczno, bo z wielkiém znużeniem i na świeżém sianie, wybiegłam rano co prędzéj, aby się przekonać czy nie ułowię co do mojego albumu? Byłam jeszcze wtedy w największym ferworze rysowania, dziesięć szkiców na dzień się zaczynało, i wierzyłam naiwnie, że za powrotem, dość mi będzie w myśli wywołać wspomnienia, aby te niezgrabne próby poprzemieniać w najcudowniejsze akwarele.

Stanąwszy przed chatą, ucieszyłam się niezmiernie, w przekonaniu, że trzymam nową zdobycz. Wprawdzie wioska nie jest malownicza, leży na wierzchołku góry obdartéj całkiem z lasu, domostwa stoją na pustkowiu, poodwracane jedne od drugich i ponure, ale z téj nagiéj góry oczy ogarniają calutki łańcuch Tatrów, które sterczą na niebie jak zębata piła, z dwóch stron doskonale zakończona i odcięta od reszty świata. Dziś po rozmyśle widzę, że taki krajobraz na nic się malarzowi nie przyda, bo jest za daleki, za wiele w sobie ogarnia; ale w pierwszéj chwili zdawało mi się, że skarb znalazłam i chciałam koniecznie ten profil gór uwięzić na papiérze.

Biegnę do mojéj teczki, o rozpaczy! Ani jednéj białéj kartki nie znajduję; wszystkie się zabazgrały w Kościelisku, a przejeżdżając przez Zakopane zapomniałam odnowić mój zasób papiéru. Idę do wuja po ratunek, wuj niczém nie może mi pomódz, nie ma z sobą żadnego papiéru oprócz staréj gazety, którą owija tytuń. Ogarnęła mię

artystyczna desperacya. Nie mogłam sobie darować takiego zapomnienia. Zdawało mi się, że cała wyprawa do Morskiego Oka chybiona, kiedy nie mam na czém jéj szkicować.

Człowiek, dotknięty przekorném wydarzeniem, szuka zwykle ulgi w głośnych utyskiwaniach; i ja wyszedłszy przed chatę wzdychałam: co to za dzień feralny! co za kraj gdzie i kawałka papiéru dostać nie można!

Przed progiem bawiły się dzieci gospodarza; kilkoro małych, a między niemi jeden chłopczyk dużo większy, może jedenastoletni, z figlarnemi, mądremi oczami. Górale są w ogóle nadzwyczajnie uczynni; po części pochodzi to z chciwości, a raczéj z niezmiernego ubóstwa, które im się każe chwytać najdrobniejszych środków zarobku; po części jednak można tę uczynność położyć także na karb wrodzonéj uprzejmości, powiedziałabym nawet *rycerskości*, jakiéj nigdzie indziéj u prostego chłopstwa nie znalazłam.

Temi zapewnie pobudkami pchnięty, chłopczyk słysząc moje skargi, skoczył do chałupy i za chwilę przyniósł mi kartkę małą, maluteczką, ale welinową, nawet ze złoconemi brzegami. Nie mogła mi się na wiele przydać, zastanowiła mię jednak swoją wykwintnością. Pytam chłopca zkąd ma taki ładny papiér? A ten w drugiém ręku pokazuje mi pugilaresik, mówiąc „że mu go jeden pan darował.“ Sprzęcik był już mocno zniszczony, ale czarna, mięciuchna skórka i srebrzyste okucie świadczyły o pańskiém pochodzeniu; wewnątrz śliczny ołówek spinał morową książeczkę do notysek, na pierwszych kartkach stały jakieś wyrazy już zatarte; po jednéj stronie była kieszonka na pieniądze, pusta; po drugiéj znów kieszonka, zapewne na wizytowe bilety, bo jeden z nich zapomniany, czy omylnie wsunięty, jeszcze tkwił między skórą a jedwabną podszewką. Zaciekawiona białym brzeżkiem, wyjęłam zmięty bilet i przebiegłam go obojętnym wzrokiem. Nagle zastanowił mię napis; myślałam, że mi się w oczach dwoi? Ale nie, patrzę powtórnie, widzę najwyraźniéj wylitografowane imię i nazwisko: *Adam Sęp.*

Biegnę do chaty z okrzykiem: „Wujaszku, co za odkrycie! Ten pan, którego wuj szuka, jest tu gdzieś niedaleko, a przynajmniéj był niedawno!“

Wuj, spojrzawszy na bilet, wypuścił go z ręki i aż zbladł ze wzruszenia. Daléj więc wołać chłopca, ciągnąć z niego śledztwo. Ale chłopiec zaczął nam się plątać; raz mówił, że ten pan dał mu pugilaresik, drugi raz, że go zapomniał, zostawił. Nakoniec oświadczył, że nic nam nie może powiedzieć, „gdyżby się tatulo okrutnie gniewał.“

Szukamy zatém tatuli. Byłto sam gospodarz chaty, człowiek stateczny i ostrożny; chłopca wyfukał, po co pokazuje takie rzeczy? Z nami zaś, zaciął się w milczeniu, które jest jedną z najzwyklejszych a najsilniejszych broni jakich prości ludzie używają. Kiedy jednak wuj na niego natarł z wymową prawdziwéj serdeczności, kiedy mu wyłożył w języku dla niego zrozumiałym, że z ojcem tego pana był „jak brat z bratem,“ że mu ów ojciec polecił w testamencie opiekę nad synem, że tego syna dawno szukamy po świecie, że religia każe, aby nam pomagano w takiém uczciwém przedsięwzięciu, góral się zawahał. Wuj uderzył jeszcze z innéj strony: rzucił myśl czy ów podróżny nie został obdarty przez rozbójników, kiedy tułają się po nim rzeczy, których pochodzenia nikt nie chce wytłómaczyć? Jak tylko rozmowa dotknęła rozbojów, o które każdy góral jest łatwo posądzany, zaraz gospodarz zmieszał się i na swoje uniewinnienie opowiedział nam część historyi. Według niego, przed trzema laty, posiadacz pugilaresiku, *pan* bardzo przystojny i pięknie ubrany, przybył do Bukowiny i oświadczywszy, że chce osiedlić się w Tatrach, kupił od naszego gospodarza całe ubranie góralskie a swoje miejskie zostawił, z pozwoleniem, aby je sprzedano, co téż gospodarz powoli uskutecznił, tylko książeczkę zostawił dzieciom, jako śliczne i w chacie niewidziane cacko.

Mówił jeszcze, że proboszcz z niedalekiéj wioski znał się dobrze z tym panem i zalecił góralom, ażeby w zgodzie żyli ze swoim nowym towarzyszem,—„co téż“ dodał „i nie trudno, bo to człek cichy, jak gdyby zaklęty, poszedł daleko w góry, wybudował sobie domek tam gdzieby nikt inny nie chciał mieszkać, żyje z myślistwa, i rzadko, bardzo rzadko żywą duszę widzi.“

Przypomniał mi się ustęp twego listu. gdzie mówisz, że od dawnego czasu ów dziwny człowiek przepadł „jak kamień w wodę.“ Spytałam górala czy wié nazwisko podróżnego? Nazwiska nie wiedział, ale z imienia, powiadał, każe się nazywać *Jadam*. Coraz mniéj miałam wątpliwości.

Wujaszek jednak uważał całą powieść za nieprawdopodobną i ciągle wracał do swoich podejrzeń.

Zażądał, aby nas zaprowadzono do mieszkania zaklętego górala. Gospodarz stanowczo odmówił. Zaprzysiągł się *Jadamowi*, że nikomu na świecie nie pokaże do niego drogi.

Chcieliśmy udać się do owego proboszcza. Ten jak na przekorę umarł w przeszłym roku.

Wuj, który umié w ważnych chwilach okazać energią, uderzył na gospodarza z góry, oświadczył, że musi wyświecić tę sprawkę zbójecką, choćby miał przyzwać władze, że przechowywanie rzeczy

po człowieku zamordowanym pociągnąć może ciężką odpowiedzialność, że wszystko to źle wygląda, kiedy nawet jedynego człowieka coby mógł nas objaśnić, każą nam szukać gdzieś na tamtym świecie.

Widząc, że strach nie pomaga, zaczął wuj z innego tonu, obiecywał wynadgrodzenie, sute, coraz sutsze, aż doszedł do trzydziestu reńskich, na co oniemiałam z podziwu, bo taki wyskok hojności to u wuja cud istny. Góral widocznie zaczął mięknąć, chcąc może uciec od pokusy, zszedł nam z oczu i więcéj się nie pokazał.

Spróbowałam znów namawiać chłopca. Ten nie odpowiadał, ale co chwila wylatywał, zapewnie do ojca. Musieli się naradzać i zrobić jakiś układ z sumieniem, bo za trzecim powrotem odezwał się:

„Ha! Ja tam nie przysięgałem, a jeżeli jeszcze jak paniusia mówi, ma to być miłosierny uczynek, to pokażę dróżkę, chociaż okrutnie się boję, aby nas Jadam wszystkich za to nie wytracił.“

Wuj go uspokoił, biorąc na siebie całą odpowiedzialność, dał mu pięć reńskich zaliczki, a że była dopiéro dziewiąta z rana, zamiast puścić się do Morskiego Oka, puściliśmy się do pustelni zaklętego górala.

Pacholę szło przed nami, niosąc torbę zamykającą nasze rzeczy i trochę prowiantów. Myśmy za niém stąpali wesoło. Wuj był ożywiony jak nigdy, przypominał sobie po raz tysiączny wszystkie szczegóły pożycia z przyjacielem, dziękował niebiosom, że mu nakoniec pozwalają spełnić jego ostatnią wolę, łamał sobie głowę co mogło tu sprowadzić owego młodzieńca? A zawsze kończył słowami: „Zobaczysz: w tém wszystkiém siedzi jakaś tragiczna historya.... Bóg mię tu może umyślnie przysyła.“

Ja byłam także w usposobieniu zupełnie dla mnie nowém, pierwszy raz mi się trafiało coś podobnego do *przygody*; to téż nie szłam, ale wpół leciałam, niesiona ciekawością i niespokojnością, od których aż mi serce biło.

Wszystko zresztą nastrajało nas do pogody i do nadziei. Dzień był przepyszny, szliśmy długo po ścieżkach wygodnych, przez doliny zieloniuchne, zasypane kwieciem, pełne owiec i krów z dzwonkami, przy których pieszo i konno harcowali pasterze. Stach, nasz przewodnik, witając ich po drodze, zamieniał z niemi węzłowate rozmowy. Raz usłyszałam jak mały pastuszek zapytał go:

„A gdzie to tak idą?“

Ten odpowiedział: „Do króla Tatrowego.“

Mówił prędko i półgłosem, ale słyszałam wyraźnie, a kiedy pastuszek otworzył wielkie oczy, pokazując na nas z podziwieniem, Stach położył palec na ustach i podwoił kroku.

Po kilku chwilach zaczepiam go:

„Coście to mówili? Prowadzicie nas do jakiegoś króla?“

Chłopczyna się zaczerwienił i odpowiedział z kłopotem:

— „E, to dzieci Podhalańskie takie mu dały przezwisko, bo to iście panicz do korony, a przytém ludzie różnie mówią....“

— „Cóż naprzykład mówią?“ Nalegałam.

— „A no, że to królewicz, co swoje królestwo rozdał między ubogie ludzie, a sam tu przyszedł spróbować biedy, aby sobie królestwo niebieskie wysłużyć.“

Zachwyciła mnie ta odpowiedź i podziwiałam z jaką szybkością tworzą się między prostym ludem legendy.

Niedługo Stach dał mi się nacieszyć tą niewinną powieścią, po chwili dodał:

— „Ale i co innego ludzie mówią.....“

Chcieliśmy wiedzieć co też to *innego* mówią? Długo dał się na słówka wyciągać, aż nakoniec wyznał, że mniemany pan Adam, to nikt inny tylko *Janosik*.

A wiész ty Anielko co to jest Janosik? To dla górali ideał męztwa, poezyi, bohatérstwa, to najsławniejszy na Karpatach rozbójnik, co odbiérał bogatym, aby dawać ubogim, rozbrajał potężnych a wspierał maluczkich, straszny i litościwy, okrutny i rycerski, prawdziwy król zbójników.

Wujaszek, który lubi zimną wodą wszystko oblewać, zrobił Stachowi uwagę, że Janosika przed pięćdziesięciu laty gdzieś w Węgrzech schwytano i uroczyście na rynku powieszono: tysiąc ludzi na to patrzyło.

Chłopiec się uśmiechnął misternie i szepnął:

— „Niech panoczek nie wierzy. Inny zbójnik dał się za niego powiesić, a Janosik jak żył tak żyje, tylko nie wolno mówić o tém, bo znowu by go huzarowie do lochu wsadzili.“ Potém dodał, jakby chcąc osłabić zbyt wielkie wrażenie: „Ja bo tam nie wiém czy to szczery Janosik, tylko stary kobziarz tak u nas w chałupie gadał.“

Gawędząc, doszliśmy do lasu, który piął się na ogromną górę; tamtędy wypadała nam droga, pierw jednak wypoczęliśmy pod skałą z której prześliczne źródełko biło prątkiem kręcącym się równo, jakby go tokarz obrobił; rozłożyliśmy na trawie nasze śniadanko i, podstawiwszy kubek pod krynicę, pili chciwie tę wodę górską, która jest jakaś taka rzeźwiąca jakby zelektryzowana, doprawdy przypomina szampańskie wino.

Droga przez las wypadła nam w porę, bo na samo południe; pod cieniem ogromnych jodeł i świerków nie wiele nam dokuczył upał,

który bez téj ochrony byłby tém uciążliwszym, że ścieżki stawały się coraz trudniejsze. Pełno pniaków i korzeni zawalało przejście, gąszcz nie dozwalał widzieć gdzie się stąpa, ale za to jakie zapachy ziół leśnych, jakie mrugania światła między gałęziami! Czułam wyraźnie, że idę w kraj zaklęty, na zdobycie jakiejś tajemnicy.

Wśród rozmyślań nad celem naszéj wędrówki, zastanowiła mię uwaga, jakim sposobem inni podróżni jeszcze nie odkryli owego samotnika? Przecież teraz te góry są już na wylot znane? Tysiące gości rok w rok je wydeptują? Sam ów doktór co mię tu przysłał i który podobno wszystkich pacyentów tu przysyła jest w Tatrach jak w domu, do każdego szałasu wchodzi jak do siebie, każdego niemal górala wita po imieniu?

Stach objaśnił moję wątpliwość w bardzo prosty sposób: istotnie wiele pań i panów odwiedza chatkę Adama, ale ten zawsze umié zręcznie się wywinąć; albo zemknie drugą stroną góry, albo tak wybornie udaje rodowitego górala, że nikt z *państwa* nie domyślił się jeszcze jego pochodzenia. Inni też górale nie mają ochoty go zdradzać, bo go się ogromnie boją.

To ostatnie wyrażenie zadziwiło nas bardzo. Dla czego się boją? Czy im kiedy co złego zrobił?

Chłopiec długo się drożył z odpowiedzią, aż dał poznać, że całe Podhale uważa go za *czarownika*. Powody tego przypuszczenia osobliwsze: oto, ile razy ktoś na górach lub w dolinach zachoruje, Adam zjawia się w chacie, służy choremu jakby syn rodzony, daje mu łykać małe kulki, i często, najczęściéj wyleczy. Pierwsze zaczarowanie. Drugie jeszcze bardziéj przekonywające: ile razy w okolicy biéda nadto komuś doskwiérzy, bydło wyginie, albo nieurodzaj ogłodzi, Adam zjawia się w chacie, przypędza owce, albo krowę, przynosi zwierzynę, albo sztukę płótna, czasem jakieś jeszcze ładniejsze podarki, niekiedy nawet piéniądze. Z początku szczególniéj dużo dawał, teraz już coraz rzadziéj i coraz mniéj świadczy, a przyczyna tego umniejszenia hojności także wedle Stacha bardzo prosta: ludzie chcieli podpatrzéć z jakiéj on jaskini bierze skarby, szpiegowali go na każdym kroku, aż Jadam się rozgniewał, czy też duchy strzegące skarbów rozgniewały się za tę ciekawość, i złote źródło bić przestało.

Chcąc czegoś jeszcze się dowiedziéć, mówiłam do Stacha: „To mię dziwi, że nie mieliście więcéj ciekawości? Trudno uwierzyć, aby żaden z was nie wypytał się tego człowieka o jego przeszłe życie?“

Pacholę spojrzało się poważnie mówiąc:

— „Nie można. Jeszcze łońskiego roku ksiądz proboszcz ostrzegał, aby go się nigdy o nic nie pytać, bo to grzech smucić człowie-

ka, a on zaraz smutnieje i wynosi się, jak go kto męczy o to co kiedyś było.“

Więcéj się już nie mogłam wywiedzieć, ale i tak czyż to nie dosyć? Ileż barw cudownych wyobraźnia ludu nagromadziła w około téj wybranéj głowy! Królewicz, rozbójnik, czarownik, pan zaklętych skarbów, a przytém sługa chorych i biednych! Otoczony czcią i podejrzeniem, wdzięcznością i postrachem! A to wszystko pod kluczem tajemnicy, spowodowanéj czém? Czy niesłychaną skromnością, czy niesłychaną dumą?

W każdym razie, przyznaj Anielo, że w naszym wieku dziewiętnastym, wieku giełd i prozy, fraków i lokomotyw, spotkać się z taką żyjącą, chodzącą legendą, jest czego stracić głowę, jeżeli nie serce.

Po jakich znowu dwóch godzinach drogi, drzewa zaczęły rzedniéć i karłowaciéć, aż wyszliśmy na pustkowia skaliste, pełne przerażających rumowisk. Dochodziła druga z południa, na dole musiało być bardzo gorąco, nam jednak chłód ciągły towarzyszył, bośmy wchodzili w strefę coraz zimniejszą, tam, gdzie się kończy roślinność a zaczynają się chmury. Co chwila trzeba nam było wstępować w tuman mgły gęstéj, gdzie człowiek widzi ledwo o trzy kroki przed sobą; przeziębli i przemoknięci szliśmy prawie na oślep, aż o kilkanaście kroków daléj widnokrąg znów się otwiérał a cała ta mgła przebyta wisiała pod naszemi stopami w kształcie już tylko niebieskawéj chmurki. Czasem zerwał się wiatr zimny, prawie mroźny, wszystkie tumany od razu porozmiatał, a wtedy ukazywały się wiszary najfantastyczniéj poszarpane, potoki ryczące w rozdołach tak głębokich, że tylko szum od nich dochodził.

Mnie coraz bardziéj unosiła szczytność tych widoków, ale wuj był coraz posępniejszy, co chwila pytał się chłopca czy jeszcze daleko? Ten zawsze odpowiadał, że już.... już.... tylko co nie widać.

Jedną razą wuj stanął jakiś pomieszany. Myślałam, że się zmęczył, wcale nie.... odciągnął mię na bok i, chwyciwszy za rękę, mówił:

„Zrobiliśmy wielkie głupstwo, to jest ja zrobiłem, biorąc cię tu z sobą, moja biédna Tereniu.... Może ten chłopiec jest w zmowie ze złymi ludźmi i prowadzi nas do jakiéj zasadzki? A może téż tam po prostu spotkamy jakiego waryata? Byłoby najroztropniéj, gdybym cię, nie czekając, do Bukowiny odprowadził, a jutro sam tu powrócił.“

Zamiar wuja okropnie mię zmartwił. Porwana awanturniczością naszéj wyprawy, upojona niebezpieczeństwem jakiego pierwszy raz na prawdę kosztowałam, czułam się dumna jak żeglarz co nie-

znane lądy odkrywa. I, tak blisko celu, miałabym się wrócić? Ach, za nic w świecie. To téż uderzyłam na wuja całym arsenałem prośb, przedstawień, nakoniec śmiechu, aż udało mi się tyle dodać mu ochoty, że poszedł daléj, chociaż dosyć niechętnie.

Niedługo stanęliśmy w miejscu, które się zdawało bez wyjścia. Było to wydrążenie głębokie, jakby studnia, albo wygasły krater; do koła niebotyczne ściany; w jedném tylko miejscu szczelina między dwiema skałami szła w górę prawie prostopadle. Przewodnik wskazał na nią, mówiąc: „Tędy.“

Przez chwilę i ja się zawahałam na widok podobnéj drogi. Szczelina była tak wązka, że jedna tylko osoba mogła się w niéj zmieścić, a cień obu skał czynił ją dosłownie czarną. Widząc jednak jak chłopiec łatwo się wdziéra, i ja poszłam za nim, a wuj za mną, i przekonałam się, że ścieżka nie tak straszna jak sądziłam, niewiele gorsza od schodów na jaką starą wieżę. Po kilku minutach pochodu, droga załamywała się nagłym zwrotem, i niespodzianie stanął przed nami widok, którego póki życia nie zapomnę.

Ze stoku góry występowała niewielka, półkolista przestrzeń, zawieszona jak nadpowietrzny przylądek nad niezmierną otchłanią. W głębi, wodospad wązki, ale bardzo wysoki, spadał ze skał na skały i ginął w przepaściach; woda rozbita na samę pianę od szybkości rozpędu, wydawała się nieruchoma; gdyby nie huk nieustanny, możnaby ją wziąć za wstęgę śniegu. Na samym brzegu otchłani, stał, wbity w skałę, krzyż czarny, drewniany, nieco już pochylony wiekiem czy wichrami. Urwiska i obłoki, wiszące do koła, zasklepiały całą tę przestrzeń rodzajem kopuły pomrocznéj, tylko jeden promień słońca, przekradłszy się między dwiema górami, padał prosto na wodospad, tworząc w pianie kilka tęcz drobnych, które krążyły wkoło krzyża.

Chłopiec zawołał: „Dziwno, że go nie widać, on zwykle tu przesiaduje.“

— „Ale gdzież ta chata?“ Pytał wuj ciągle podejrzliwy.

— „Zaraz tu, o piętnaście kroków wyżéj, za skałą.“

Wuj rzekł do mnie stanowczo:—„Zostaniesz tu, a ja pójdę zobaczyć czy tam jest istotnie jaka chata i kto się w niéj znajduje.“

Zostałam, bo są chwile, w których wuj nie znosi oporu, a przytém, przyznam się, tchu mi już brakowało, niezdolna byłam ujść nawet owych piętnastu kroków. Kiedy obaj znikli za odłamem skały, siadłam na kamieniu, zdjęłam kapelusz i wypoczywałam, rozglądając się w obrazie, a chwilami zazdroszcząc troszkę wujowi, że pierwszy zobaczy wymarzonego bohatéra.

Tymczasem, przeciwnie stać się miało.

— Promień słońca, posuwając się zwolna, wszedł i na urwisko. Zziębnięta, spragniona ciepła, podeszłam ku brzegowi, stanęłam w pasie światła i, oparłszy się o słup krzyża, myślałam.... sama nie wiém o czém, może o niczém? Huk wody i groza otoczenia zagłuszały wszelką myśl wyraźną.

Rozbudził mię szelest czyichś kroków. Stąpanie było śmiałe i bliskie. Podniosłam głowę, ale nie mogłam nikogo dojrzéć, bo w téj stronie wisiał ciemny, fioletowy obłok. Zaciekawiona i trochę zalękniona, nie przestawałam patrzéć, aż przedemną, nad wodospadem, jakiś cień mgłę rozkroił, i nagle, z obłoku wyszedł król Tatrowy.

Chociaż był ubrany jak wszyscy górale, poznałam go od razu. Piękny jak Achilles, żałosny jak Cyd, tajemniczy jak Manfred.

Nie widząc nic i nikogo, szedł ze wzrokiem wbitym przed siebie, ze strzelbą przerzuconą przez ramię. Wstąpił na kładkę drgającą nad wodospadem, z lekkością ducha przesunął się przez promień światła i zaczął zwolna schodzić steczką prowadzącą do urwiska na którém stałam.

Wpół drogi spostrzegł mnie, strzelba mu z rąk wypadła, złożył ręce i stanął nie tylko zdziwiony, ale przerażony.

Nie mogłam zrozumiéć czém go mój widok zpiorunował? Jednak wielkość tego wrażenia wielce mi pochlebiła.....

Nie wiem czy dla usunięcia się z pod wzroku co mię zaczynał mieszać, czy z owéj próżności, która w górach kazała mi się ciągle popisywać z odwagą, postąpiłam dwa kroki naprzód, stanęłam na samiutkim brzegu otchłani i, nieco nad nią schylona, bawiłam się wirem zawrotnym co mię już nieznacznie pociągał do bezdeni.

Ale on krzyknął, skoczył ku mnie, objął mię gwałtownie i odrzucił na głaz pod krzyżem, wołając:

— „Jakto? Znowu? Znowu?... Zawsze tam wracasz?“

Przestraszona, a troszkę i urażona, siedziałam przed nim, drżąc, nie wiedząc czy mam się gniewać, czy dziękować?

On tymczasem wpatrzył się we mnie uważniéj i, jakby dopiéro wtedy wracała mu przytomność, zaczerwienił się mocno.

— „Przepraszam panią“—wyrzekł składając ręce, „przepraszam stokrotnie za pomoc może niegrzeczną..... ale jakżeż można tak się narażać? Czyż pani nie wiesz na jaką straszną pamiątkę ten krzyż postawiono? Tu, na tém samém miejscu, w téj saméj przepaści zginęła osoba..... młoda jak ty pani, piękna jak ty pani.“

Przepraszam cię Anielko za dosłowne powtórzenie ostatniego przymiotnika; skromność kazałaby go może ominąć, ale *spowiedź* musi zawierać wszystko, a ten wyraz powinien być zostawiony tém bardziéj, że wielkie, może za wielkie sprawił na mnie wrażenie......

Dotąd nikt, oprócz ciebie Anielo, nie powiedział mi, że jestem *piękną*. Tobie, przyznam się, nic a nic nie wierzyłam, kładąc twoje pocieszające słówka na karb dobroci i serdecznych złudzeń. W owéj chwili usłyszałam po raz pierwszy z ust obcych, z ust mężczyzny, (i to jakiego!) pochwałę, która może dla innych byłaby rzeczą powszednią, ale mnie zdumiała, i szczerze powiem—upoiła.

Zdaje mi się, że to nie był tak zwany *komplement*? Po cóżby człowiek co mię pierwszy raz widzi, co nie wié kim jestem, silił się na pochlebstwo czcze a nawet niezręczne, bo według praw towarzyskich, nie mówi się kobiécie w oczy, że jest piękną? W chwili pomieszania, to słowo mu się jak to mówią *wyrwało*, i dla tego mię właśnie ucieszyło. Widziałam jak go się zaraz powstydził.

Chcąc zakończyć nasze zakłopotanie, odpowiedziałam już śmieléj:

„Owszem, dziękuję panu bardzo za to..... ostrzeżenie. Istotnie byłam nieostrożna...... nie wiedziałam co się tu już stało.“

Nazywałam go *panem*, chociaż miał gunię i kozik za pasem, bo człowieka ukształconego poznaje się po wszystkiém, po ruchach, po doborze wyrażeń, nawet po głosie, który u niego także jest już *ukształcony*.

W téj chwili téż wuj wyszedł z po za skały, wołając: „Chata jest, ale jego ani na oczy, musiał pójść w góry.“

Ja wtedy odezwałam się: „Wujaszku! Pan Adam tu jest, i nawet“ dodałam ze śmiechem, „miał czas już troszkę uratować mi życie.“

Wuj skoczył do nieznajomego, zajrzał mu w oczy, rozkrzyżował ręce i, ściskając go z całéj siły, wołał: „Adasiu mój! Adasiu!“

Tamten cofnął się nieco chłodno.

„Kto państwo jesteście?“ Pytał. „Co to wszystko znaczy?“

— Kiedy się dowiedział z kim mówi, wzruszenie wystąpiło na twarz jego. Uścisnął ręce wuja, powtarzając kilka razy:

— „Więc to pan jesteś? Pan, co ocaliłeś mego ojca..... i mnie? Tak, prawda.... pan się nawet mało zmieniłeś od owéj pamiętnéj chwili, kiedy małym chłopcem byłem ostatni raz w twoim domu..... Ach, jakże często z ojcem wspominaliśmy ten dzień, to niebezpieczeństwo, to poświęcenie! Ojciec wielokrotnie mi zalecał, abym pana kiedyś odszukał, ja długo się zbierałem, cieszyłem się tą myślą, po

tém..... zaszły zmiany, już nie mogłem. Ale jakimże cudem wy państwo, znaleźliście moję pustelnię? Jakiż zdrajca wydał moje incognito?"

Wytłómaczyliśmy całą przygodę, uniewinniając na wszelkie sposoby gospodarza z Bukowiny i Stacha.

Jednak nasz pustelnik zachmurzył się. „Gdzież jest ów chłopiec?" Zapytał ponuro.

Szukamy chłopca, nigdzie go nie ma. Dopiéro po długich nawoływaniach, znajdujemy go ukrytego za jakąś skałą i trzęsącego się od strachu. Pan Adam przystąpił spłoniony, groźny, przybił go wzrokiem, pod którym chłopię skamieniało, i powiedział:

— „Na ten pierwszy i ostatni raz ci przebaczam, ale gdybyś jeszcze kiedy powiedział komukolwiek na świecie kto jestem, wtedy i ty i wszystkie twoje krewniaki i cała wasza wioska, zginęliście. Pamiętaj."

Jak żyję nie widziałam gniewu tak spokojnego a strasznego.

Ledwie odszedł, chłopiec pokłonił mi się czapką do kolan, mówiąc:—„Chyba paniusia go zaczarowała, że obszedł się ze mną tak łaskawie."

A ja sobie pomyślałam;—„Na miłość boską, czémże musi być jego gniew prawdziwy, jeżeli dzisiejszy zwie się łaskawością?"

Przystąpiłam do pana Adama i starałam się pół żartami jeszcze go ułagodzić. Wtedy zawołał z oburzeniem:

— „Ach, nie dziw mi się pani..... Ja dla tych ludzi byłem dobroczyńcą, opatrznością. O co prosili Boga, to ja im dawałem. Nie mogli nic zamarzyć, abym natychmiast nie spełnił ich marzenia. Za to wszystko żądałem jednéj tylko, jedynéj rzeczy, dochowania mojéj tajemnicy,—i téj nie umieli utrzymać!"

— „Więc pan miałbyś żałować żeśmy tu przyszli?" Spytałam nieco draśnięta.

A on odpowiedział: „Może!"

Odpowiedź była nie bardzo uprzejma, jednak towarzyszyło jéj spojrzenie takie dziwne, tyle dające do myślenia, że długo nad nią się zastanawiałam.

Była to pierwsza, ale nie ostatnia zagadka jaką mi ten sfinx rzucił. Odtąd, przez dwa tygodnie, prawie co godzina zachodziłam w głowę, tracilam spokój nad ciągłemi hieroglifami jego myśli i mowy,—bo wystaw sobie, całe dwa tygodnie przebyliśmy z nim razem, a rzeczy złożyły się w następny sposób:

Po pierwszych przywitaniach, prosił, abyśmy zechcieli posilić

się i odpocząć w jego mieszkanku. Ach, jakżeż on mieszka! Istna scena z Ossjana! Okrążywszy skałę, ujrzałam chatkę zawieszoną jakby orle gniazdo; uboga ona, niezmiernie uboga, ale schludna, urocza, nawet estetyczna. Schodki z brył kamiennych, półkolisto prowadzące do niéj, u wejścia lekki ganeczek z sękatemi słupkami, ściany obłożone korą, jakaś niezwykła zgodność linij, zdradzają w budowniczym artystę, który mimo gonienia za prostotą, wraca zawsze do poczucia sztuki.

Wewnątrz, wszystko surowe jak przystało na pustelnika. Stół i ławy z gruba ociosane; łoże prawdziwie myśliwskie, niska skrzynia napełniona mchem i przykryta skórą niedźwiedzią. Dwa tylko znalazłam przedmioty troszkę zbytkowniejsze: nad stołem, na desce przybitéj nakształt półki, stoi ze trzydzieści książek, wszystkie oprawne w czarne płótno;—nad łóżkiem wisi fotografia w okrągłych czarnych ramkach i, co dziwniejsza, zakryta kawałkiem czarnéj krepy. Łatwo zgadniesz jak ten zakwefiony portret mię intrygował.

Trafiła się chwila w któréj nie było nikogo oprócz mnie w izdebce, nie mogłam wytrzymać, zajrzałam pod krepę; znalazłam wizerunek jakiéjś młodéj osoby; fotografia niekolorowana, trudno więc dobrze osądzić oryginał; zdaje się jednak, że musiała być blondynka; rysy wesołe i figlarne. Ta wesołość dziwnie wygląda, a nawet prawdę mówiąc, razi w takiém posępném otoczeniu.

Ale dajmy pokój portretowi. Wracam do chatki. Krajobraz co ją otacza nie jest taki groźny jak urwisko pod krzyżem; trochę tam nawet mniéj zimno; skały z trzech stron ją zasłaniają od wichrów; z czwartéj strony oko ogarnia ze sto szczytów górskich, natłoczonych jak dachy olbrzymiego miasta. Jest przy chacie i obórka, a w niéj konik i krowa. Jest nieco niżéj źródło jak szkło czyste, jest nawet na pochyłości łączka zieloniuteńka, prawie za zielona dla oka przywykłego do mdłych barw równiny.

Drugi tu jeszcze przedmiot bije w oczy nadzwyczaj mocnym kolorytem: kamienie *czerwone*, i to bardzo pięknéj czerwoności, zupełnie jak purpura królewska; za dotknięciem przekonałam się, że to mech drobniuchny; uczeni nazywają go podobno *Bisiorkiem fiołkowym*, nie od koloru, ale od zapachu, bo ten cudowny meszek ma jeszcze i zapach; za potarciem wydaje woń zupełnie podobną do fiołków. Późniéj widzieliśmy nieraz w Tatrach takie czerwone kamienie, jednak nigdy już tyle mię nie uderzyły, bo tu je pierwszy raz napotykałam. Pełno ich rozsianych wokoło pustelni, i pomimo swojéj świątecznéj barwy, wiele miejscu temu dodają ponurości; możnaby myśléć, że to wszystko krew.

Po śniadaniu czysto góralskiém, ze słodkiego i kwaśnego mleka, żętycy, serków owczych i przewybornych poziomek, wuj prosił pana Adama, aby nas w Zakopaném odwiedził, a sam zaczął się zabierać do odwrotu, bo istotnie, jeśli mieliśmy na noc stanąć w Bukowinie, chwili nie było do tracenia.

Ale pan Adam ani chciał słuchać o rozstaniu.

— „Jakto?“ Mówił. ,,Tyle razy ofiarowałem nocleg osobom obcym, które tu zaszły przypadkiem, a miałbym puścić państwa, coście tu umyślnie przyszli i tyle sobie trudu dla mnie zadali?“

Ostatecznie stanęło na tém, że nam ustąpi swojéj chatki, a sam przenocuje w jaskini tuż leżącéj, gdzie mieszkał, zanim sobie domek wybudował. Wuj chciał i przewodnika zatrzymać, ale Stach oświadczył bez ogródki, że ani myśli zostać; a kiedy zapytywałam go ze śmiechem czy się boi zbójników, odpowiedział bardzo poważnie, że wcale nie zbójników, ale strachów, „bo“ dodał, ,,żaden uczciwy człowiek nie może spokojnie nocować przy krzyżu nad *uroczną wodą.*“

Pan Adam zagodził trudność, ofiarując się sam za przewodnika. Obiecał, że jutro przeprowadzi nas do Bukowiny dłuższą, ale wygodniejszą drogą. Ucieszony chłopak wziął od wuja zapłatę i zemknął jakby go upiór gonił.

Nowy nasz gospodarz oprowadzał nas po swojém skalistém państewku, wskazywał widoki godniejsze uwagi, rozpowiadał dziwy o przewrotach geologicznych, o roślinach Tatrzańskich, bardzo uczenie a jednak nie nudno; o czémkolwiek on mówi, to świetnie, porywająco, jakby snuł najbarwistszą powieść.

Pytaliśmy go z podziwieniem, czy nie boi się złoczyńców, żyjąc w tak okropném pustkowiu?

— „Cóżby mi zabrali?“ Odpowiedział. „Na kilka moich książek się nie złakomią, a zresztą nie posiadam nic więcéj od innych górali. Czasem wprawdzie przychodzą do mnie całe bandy rozbójników, ależ to są po większéj części biedni ludzie, których w góry zagnała nędza, albo jakieś drobne przekroczenie, albo po prostu wrodzona chęć swobody, chcąca się wyłamać z pod nieznośnych praw ludzkich; ach, jak ja ich rozumiem. Najczęściéj cały rozbój zasadza się na wyłudzeniu pieczeni baraniéj, bo dla górali mięso jest rzadkością, festynem, na który trzeba czasem pół roku czekać, a czasem i zbrojno się wyprawiać. To téż robię tak jak robią tu wszyscy mieszkańcy; na widok podobnych gości, zarzynam barana, stół zastawiam obficie, nakarmię ich, napoję, najczęściéj obdarzę jeszcze jaką bronią, albo tytuniem, i odchodzą, głosząc moje pochwały. ,,Zresztą“,

dodał, „mam ja tajemne sposoby obrony; choć nikogo tu nie skrzywdziłem, całe Podhale drży przedemną.“

Wtedy mu powtórzyłam legendy, jakie o nim krążą.

— „Dobrze,“ odpowiedział—„tego właśnie chciałem. Poufałość pospólstwa bywa niebezpieczną, łatwo przechodzi w zuchwalstwo. Aby zdobyć uszanowanie tłumów ciemnych, najlepiéj odgrodzić się murem władzy *nadludzkiéj*, która“, dodał z uśmiechem, „czasem bywa urojoną, a czasem i nie.....“

Gorąco zaciekawiona, chciałam go więcéj wybadać, próżne usiłowania! Dawał mi odpowiedzi, które mogły być równie żartami jak prawdą. Nigdy nie można wiedziéć co ten człowiek rzeczywiście myśli? Ulubioném jego wyrażeniem jest owo fatalne: *Może*... po którém słuchacz zostaje w większéj niepewności niż pierwéj.

Gdy słońce zaszło za górami, nasz gospodarz rozpalił ogień na kuchence zbudowanéj bardzo pierwotnie w przybocznéj izdebce i, jak bohaterowie Homera, sam zajął się przyrządzeniem zwierzyny, którą przed dwoma dniami ubił; znalazło się i masełko; pomagałam jak mogłam; obracaliśmy ptaszki na drewnianych rożenkach, i pieczyste, choć nie naszpikowane, wydało nam się przedziwném. Mieliśmy téż w torbie flaszeczkę wina, czém wuj się pokrzepił i rozochocił. Ale niestety..... wesołość rozwiązała mu usta; zaczął dawać rady i napomnienia, w stylu staroświeckim, głosem pedagoga co strofuje żaka. Mówił naprzykład takie rzeczy:

„Powiedz mi mój Adasiu, po co ta cała maskarada? Szkoda twojéj pięknéj edukacyi na takie cudactwa. Po co ci tu z chłopstwem i hultajstwem bawić się w jakieś gusła? Bardzo pięknie, jeżeli, jak słyszę, służysz chorym i obdarzasz biednych, ale po co wszystkie te komedye? Wróć lepiéj do miasta, ubierz się jak porządny człowiek i służ współobywatelom.“

Ja słuchając, myślałam sobie: Mój Boże! I bądź tu niezwyczajnym człowiekiem! Wyrwij się z utartych formułek, wyleć orłem po nad tłum pełzający, a pierwszy lepszy mieszkaniec padołu przyjdzie sądzić o twoim locie, kręcić głową i przyganiać po co masz skrzydła, kiedy nie mają ich inni?

A wśród tych myśli, truchlałam nie pomału; bo czułam dobrze jak podobne uwagi muszą ranić dumnego pustelnika. Istotnie, mienił się, brwi marszczył, usta przygryzał, drżałam, aby nie wybuchnął tym gniewem, którego próbki krew ścinają w żyłach.

Musiała ta trwoga bardzo mocno malować się na mojéj twarzy i, Bóg łaskaw, jakoś go rozbroiła. Spotkawszy kilka razy moje błagalne wejrzenia, ochłonął, złagodniał, zbył wuja ogólnikowém wyznaniem, że przeszedł wielkie nieszczęścia, że mu obrzydli ludzie

i fałszywa ich cywilizacya, że zresztą nie może go potępiać ten, kto nie zna przygód jego życia. Potém, bardzo zręcznie zwrócił rozmowę na wspomnienia po ojcu; wtedy i wuj zapomniał o wszystkiém, i cały wieczór obaj się rozrzewniali nad pamięcią pana Bonawentury. I mnie łzy w oczach stawały, serce mi się krajało, jakbym po raz pierwszy słyszała tę historyą; ach, bo ją słyszałam z ust syna, pełną ognia, dramatyczności i niewysłowionego żalu.

Około dziewiątéj, gospodarz nas pożegnał; wujowi odstąpił swoich mchów i niedźwiedziéj skóry; dla mnie w malutkim alkierzyku znalazło się posłanie z traw świeżo skoszonych.

Wuj spał jak zabity. Ja pomimo znużenia i aromatów siana, które tak wybornie usypiają, miałam noc ciężką, pełną niepokojów i przywidzeń. Huk wodospadu, chociaż ścianą skalną oddzielony, w cichości nocnéj przybierał zatrważające rozmiary; zdawało mi się, że katarakty niebieskie na głowę mi runą. Słowa Stacha snuły się w pamięci ... sąsiedztwo krzyża, postawionego na jakowąś opłakaną pamiątkę, nasuwało czarne obrazy. Odgłosy podobne do jęków ciągnęły się wkoło chaty; co to było? Może wicher dął w szczeliny skalne? Może psy się przez sen skarżyły? Nakoniec usnęłam. W środku nocy obudził mię postrach niewytłumaczony; przez maleńkie okienko wpadał promień księżyca, a przy mnie stał jakiś mdły zarys, jak gdyby biała figura..... powoli znikła, ale choć już nic nie widziałam, długo czułam jeszcze, że coś wkoło mnie krąży, coś niepochwytnego a niezaprzeczonego. Do dziś dnia nie jestem pewna czy to były złudzenia wyobraźni rozkołysanéj tylu wrażeniami? Odbicie księżyca na białéj ścianie? Czy téż istotnie zetknięcie się z innym światem?

Ranek rozproszył przykre myśli. Wyszedłszy przed chatę, ucieszyłam się szczerze do słońca; jeszcze go nie było widać w téj kotlinie, ale wierzchołki gór już pływały w złocistém świetle.

Pan Adam, przynosząc mi „dzień dobry," przepraszał za niewygody noclegu.

— „O niewygody mniejsza," odpowiedziałam, „to jeden z uroków podróży, ale czy pan wié, że w pańskim domu coś, jak to mówią, straszy?"

Zagadnęłam go umyślnie, ażeby z jego odpowiedzi wywnioskować, czy mam dowierzać, czy nie, moim nocnym postrachom?

Dziwna rzecz! W pierwszéj chwili poczerwieniał, zmieszał się i, bystro na mnie spojrzawszy, zawołał:

— „A! Więc i pani tego doświadczyłaś?"

Ale zaraz się pomiarkował i dodał innym, już salonowym głosem:

— „To dowód, że pani masz organizacyą wyjątkową, czułą na wrażenia, które są niedostępne dla ludzi o grubych nerwach.“

Wuj nadszedł i nie mogłam nic więcéj wyciągnąć.

— Przy śniadaniu pan Adam dowiedziawszy się, żeśmy wszystkie wycieczki odłożyli dla odkrycia jego pustelni, podjął się przewodniczyć nam do Morskiego Oka.

Cały więc ten dzień zeszedł na pielgrzymce do owéj miejscowości, równie pysznéj jak strasznéj. Nocowaliśmy w szałasie nad Morskiém Okiem. Nazajutrz namówił nas na obejrzenie Pięciu Stawów, potém na wycieczkę do Czarnego Stawu, potém do jakiéjś góry, znów do jakiéjś doliny; dzień po dniu wynajdywał nowe cele, obiecywał nowe zjawiska, szliśmy z zachwytu w zachwyt, zaszli aż na Spiż, do Łomnicy; potém ciągnął się powrót przez inne szczyty, przez inne wąwozy, i tak upłynęło dwa tygodnie.

Dwa tygodnie,—jakże to na pozór mało, jakże one szybko przeleciały, a jednak ileż miejsca zajmują w moich wspomnieniach! Wydają mi się dłuższe niż cała reszta mego życia. Ze dwudziestu lat i dziesięciu miesięcy, jakie dotąd na świecie przebyłam, nie wiem czyby się kilkadziesiąt kartek pamiętnika dało złożyć, takie te lata były jałowe, jedne do drugich podobne,—a o tych kilkunastu dniach mogłabym dziesięć tomów napisać i jeszczebym nie wyczerpała przedmiotu. Ogrom wrażeń je przepełnia, rozpiera, aż pamięć pęka i gubi swoje skarby jak wór nadto nadziany złotem.

Wszystko téż zdawało się w owéj szczęśliwéj epoce służyć na moje skinienie; pogoda przez piętnaście dni trwała bez przerwy; przebywaliśmy wprawdzie nieraz chmury, zadrżeli nieraz w mgle kroplistéj, ale ani razu nie zabrało się na przeciągłą słotę Wujaszek, oczarowany podróżą i podbity urokiem, jaki pan Adam wywiera na wszystko co go otacza, powoli przestał go, jak powiada, *molestować*, a że te dwa umysły nadto są rozstrychnięte, aby mogły wzajem się przeniknąć, więc powoli rozeszły się bez walki; wuj wrócił do swojéj zwykłéj małomówności, a pan Adam głównie do mnie zwracał rozmowę, prawie ciągle mną się zajmował.

Często, kiedy jechałam na wózku, on szedł obok i podpierał wasążek od strony przepaści; truchlałam, widząc go stąpającego nad próżnią, nieraz wysiadłam, aby mu oszczędzić téj grożącéj pracy. Wtedy szliśmy obok siebie; przez każde trudniejsze miejsce przeprowadzał mię z niesłychaną troskliwością; nie uwierzysz jaką ta pieczołowitość nadawała mi siłę; były przeprawy rzeczywiście straszne, przez które dawniéj nie byłabym przeszła chyba z pomocą kilku ludzi; teraz, na jego tylko ramieniu oparta, biegłam ze ślepą odwagą;

zdawało mi się, że dość, aby na mnie patrzył, a przejdę i piekielną bezdeń.

Ale nie..... prawda.... tak było tylko z początku, w ostatnich dniach działo się przeciwnie...... wrażenie doszło do rozmiarów zanadto potężnych,—samo dotknięcie jego ręki czyniło mię drżącą i strwożoną,—wówczas byłabym nieraz chciała uniknąć podobnych wzruszeń, a nie śmiałam unikać w obawie, aby ich się nie domyślił.

Wiadomo, że nic tak ludzi nie zbliża jak podróż. To zetknięcie się w każdéj prawie chwili, te krocie drobnych posług i przysług, te zwłaszcza wspólnie przebywane niebezpieczeństwa, plączą się w całą siatkę wrażeń i wspomnień, w których potém już trudno odróżnić co czyje? Razem z podróżnymi uczucia ich idą przyśpieszonym biegiem, atmosfera codzień nowa działa na duszę jak cieplarnia i wyradza nagle niewinną, ale niemożebną gdzieindziéj poufałość. Po kilku dniach, ja i pan Adam rozumieliśmy się tysiącem półsłówek i aluzij, których znaczenia wkoło nas nikt nie umiał pochwycić; w tém porozumieniu się, nie było żadnéj tajemnicy, żadnéj zmowy, tylkośmy po prostu zrobili odkrycie, że w téjże saméj chwili toż samo czujemy i myślimy.

Zdaje mi się, że gdybym pana Adama przez dwa lata spotykała w tak zwanym *świecie*, nie mogłabym go lepiéj poznać jak przez te dwa tygodnie.

Poznać! Zuchwałe słowo. Któż pod słońcem zdoła pochlubić się, że istotnie poznał tę zadziwiającą duszę? To cała kopalnia wiedzy, cały świat ciągłych przeobrażeń. Powiadam ci Anielko, przez te dni kilkanaście, codzień, ale to dosłownie *codzień* był inny. Nieraz żegnając się z nim wieczór, myślałam sobie:

Już chyba jutro nie potrafi wynaléźć dla mnie nowéj zagadki? Będzie może takim jakim był wczoraj? Albo onegdaj? Albo temu tydzień?

Gdzie tam! Nazajutrz. przedstawiał mi się w postaci zupełnie mi nieznanéj. Istny kameleon!

— Już to gruntem jego usposobienia jest smutek, okropny smutek. Nie wiem czy leży już w jego charakterze, czy tylko nieszczęśliwe okoliczności mu go z wiekiem nadały? To pewna, że dusza jego jest przywalona kamieniem grobowym.... czasem ten kamień da się zachwiać, podważyć, ale zawsze napowrót opada. Jeszcze niczyja ręka nie potrafiła go odwalić.

Jednego dnia naprzykład jest melancholiczny, wdzięczny za każde słowo pociechy, rozrzewniony i rozrzewniający.

Drugiego dnia zjawia się z ironią na ustach, wyśmiewa też same słowa co wczoraj mu do serca trafiały, wyszydza świat, prawa, uczucia, największe świętości, a to wszystko z wymową błyszczącą i krającą, na którą nie wiedziéć jaką znaléźć odpowiedź, bo każdą przenicuje, w każdéj fałsz dopatrzy.

Innego znów dnia jest ponury, milczący; mówi o znikomości tego życia z pogardą filozofa, ze skruchą anachorety; maluje zachwyty i przepychy tamtego świata z porywającém przekonaniem, zupełnie jakby ztamtąd wracał. Słuchając go, wydaje się, że nic nie mamy lepszego do zrobienia jak co prędzéj w grób się zakopać i pójść na te światy, gdzie wszystko lepiéj urządzone.

Ale zaraz nazajutrz sam rozpędza te myśli; rozpowiada najpoważniéj takie cudactwa, takie dziwolągi, jakby (mówiąc stylem wuja) „drwinki sobie stroił ze słuchaczy;" naśladuje obecnych z komicznością wytrawnego aktora i, choć sam nigdy się nie śmieje, wszystkich pobudza do śmiechu niemal chorobliwego. Wprawdzie to wesołość bardzo gorzka, jakby rozpaczą podniecona, ale tém cenniejsza, że niespodziana i taka niestety krótkotrwała!

O ile zauważyłam nawet, po każdym wybuchu podobnéj wesołości, staje się na parę dni ponurszy i drażliwszy niżeli kiedykolwiek, jakby sobie wymawiał tę godzinę wytchnienia.

Co jeszcze smutniejszego dostrzegłam: po każdym dniu, w którym okazał więcéj serdeczności, wylania, można być pewną, że nazajutrz przedstawi się lodowaty, nieznośnie sardoniczny, jakby chciał okrutnik zatrzéć tę chwilkę czułości.

A jednak takie chwile były! On sam nie śmiałby ich zaprzeczyć.

Rozmaitość otoczenia także wywołuje w nim nowe metamorfozy.

Nieraz otaczali nas górale; wtedy pozbywał się zupełnie towarzyskiego wykwintu; z nimi przybiérał ton łaskawy, ale rozkazujący, istotnie jakby król okryty przejrzystém incognito, co niby nie chce być poznany, a co chwila zdradza się z nawyknieniami do władzy. Wyrażał się językiem przystępnym dla nich, ale pełnym tajemniczych przypowieści i niedopowiedzianych dziwów, jak czarodziéj co więcéj wié niż mówi. Nieraz przy noclegowych ogniskach opowiadał o niezmiernych pieniądzach i składach broni, które jeszcze za wojen z poganami ludzie poukrywali w jaskiniach Tatrzańskich, o wężach skamieniałych, które ludziom *rozumiejącym* tłómaczą co się przed tysiącami lat działo na ziemi, o Chochlikach i Dziwożonach co dobrych ludzi straszą a złym pomagają; mówiąc, nieraz dawał do poznania, że sam to wszystko widział, przez to wszystko przecho-

dził, ale najczęściéj powieści nie dokończał, albo cofał zdanie, jak człowiek co się zanadto wygadał.

Wuj twierdził, że on sobie z nas wszystkich żartuje. Nazajutrz rano i mnie się zwykle tak zdawało, ale wieczór, przy ognisku, nie mogłam się oprzéć wymowie opowiadacza, słuchałam z równą ciekawością i prawie z równą wiarą jak górale. Ach, tacy słuchacze to aż miło! Oczy im świeciły, gniew, chciwość, radość, osłupienie, malowały się na ich twarzach wedle woli czarnoksiężnika. Jak oni zręcznie się podpytywali o ścieżki do owych jaskiń, o słowo, którém się wywołuje usłużnego ducha! Rozchodzili się zadumani, z głową nabitą cudnemi rojeniami, a ja już nie dziwiłam się legendom, jakie krążą wkoło pustelnika.

Zresztą, sądząc po różnych rzeczach jakich się późniéj dowiedziałam, nie ręczyłabym jeszcze dzisiaj, czy pan Adam nie wié czegoś więcéj niżeli my wszyscy? Czy nie zajrzał w świat nadprzyrodzony?

— Czasem przyłączały się téż do nas całe szeregi podróżnych, bo w górach weseléj i bezpieczniéj podróżować gromadnie. Ja nielubiłam tych połączeń, truchlałam zawsze, aby kto nie podpatrzył tajemnicy będącéj dotąd naszą wyłączną własnością. Ale pan Adam umiał po mistrzowsku ciekawość omylać. Ledwie zobaczył paltoty i parasoliki, zmieniał postać jak istny Chochlik; stawał się z niego najzwyczajniejszy góral, rubaszny, prostak, czasem nawet porządnie gapiowaty. Co ja się pod woalką nadusiłam od śmiechu! Wuja także bardzo bawiła ta komedyjka, na którą wszyscy się łapali, zwłaszcza mężczyźni. Traktując go z góry, ani się domyślali z kim mówią. Kobiéty nie zdawały mi się równie łatwe do oszukania: raz pamiętam, w dolinie Strążyskiéj, zadrżałam, kiedy pewna pani, któréj nazwiska nie wiém, szepnęła mi do ucha: „To jakiś bardzo dziwny góral!“ Chwała Bogu, we dwie godziny późniéj, poszła ze swojém towarzystwem w inną stronę, i dotąd jak sądzę, goście Zakopiańscy ani wiedzą jakiego mają sąsiada.

Wujaszek zwykle jechał za nami konno, niekiedy i wózkiem. Spoglądał na nas z dobrotliwym uśmiechem, niekiedy ukradkiem kręcił głową, albo groził mi palcem, ale nie chciał się wyraźniéj tłómaczyć.

Zachęcona jego łaskawością, używałam po raz pierwszy całéj pełni życia, mego pierwszego tryumfu, który téż będzie i ostatnim, bo po takiém zwycięstwie, o żadne inne dobijać się nie warto.

Tak Anielko, to olbrzymi tryumf! Ja co szczerze miałam się za niełądną, niezgrabną, mało umiejącą, nikomu niepotrzebną, spotykam pierwszy raz w życiu znakomitego człowieka, i ten człowiek

zwraca na mnie wyłączną uwagę, podnosi każde moje słowo! dobija się o moje uznanie, słucha mojego skinienia!

Bo tak było rzeczywiście. Po kilku dniach już czułam, że wedle mojéj woli, wedle mego kaprysu, rządzę poruszeniami jego duszy. Nieraz kiedy już zaczynał się płonić owemi gniewami co go czynią podobnym do *Orlando furioso*, jedno moje spojrzenie uspokajało go doprawdy jakby cudem.

Co za chluba prowadzić lwa na jedwabnéj nitce! Wiedziéć, że dość mi będzie rękę wyciągnąć i nakryć nią wulkan, aby zatrzymać jego wybuch!

Nie mogłam jednak tych tryumfów używać z zupełną swobodą; zmienne jego usposobienie trzymało mię w ciągłych niepokojach. Każdą godzinę słodką musiałam okupywać godzinami trwogi i niepewności. Ileż razy wydawało mi się, że już go na wskroś zrozumiałam, że już mogę wierzyć w jego życzliwość, tymczasem jedno słowo burzyło te złudzenia, jedno słowo nas poróżniało. Bo jaki téż on drażliwy! Musi być w jego duszy wiele blizn źle zagojonych; nieraz wyrażenie najniewinniéj użyte, któreby nikogo nie dotknęło, jego raniło najboleśniéj. Ciągle musiałam sobie głowę łamać o co się obraził, albo czém się ucieszył, bo i rozradowania jego były dla mnie często niepojęte.

W chwilach gniewu, trafiało się, że przez pół godziny i godzinę nie przemówiliśmy słowa! Udawaliśmy oziębłych, a w duszy truli się gwałtowną zgryzotą, nie chcieliśmy niby na siebie spojrzéć, a z pod oka studyowali się ze drżeniem, aż znów jakieś słowo szczęśliwe, jakieś dobre natchnienie wracało dawną harmonią.

Tak ciągle miotani między burzą a słońcem, żyliśmy w nieustannéj gorączce; nie dziw, że przez te dni kilkanaście przeżyłam całe lata!

Ale wewnętrzne kataklizmy były zawsze okryte wszelkiemi pozorami spokoju. Nie sądź Anielko, aby się trafiło między nami choćby jedno wyrażenie mocniejsze, jedno spojrzenie za wiele znaczące. Ja byłam strwożona, onieśmielona bardziéj niż kiedykolwiek. On także zdawał się czegoś lękać i, nawet w oznakach najprostszéj uprzejmości, był oszczędnym.... doprawdy..... do przesady.

Raz tylko, nie, mylę się, dwa razy, dał mi wyraźniéj poznać że..... dba o moję przyjaźń.

Pierwszy raz, było to nad jakiémś jeziorem, zeszło się ze dwudziestu górali, rozpaliliśmy ognisko na skale, kobziarz długo przygrywał, potém pasterze i myśliwi opowiadali różne osobliwsze przygody, pełne zabobonów i strachów. Pan Adam odezwał się ostatni:

— „No, ja wam teraz opowiem historyą dziwniejszą niż to wszystko. Może mi nie uwierzycie, ale panienka,“ dodał zwracając się do mnie, „panienka co ma duszę niewinną i miłosierną, nie zwątpi, że prawdę mówię. Niedawno, tu w tych górach, spotkałem pielgrzyma, który wracał...... z czyśca.“

Na to zaczęcie, ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk podziwienia. Opowiadający, po wrażeniowéj przerwie, ciągnął daléj:

— „Pielgrzym przyznał mi się, że chodził w życiu po bardzo złych drogach. Psuł sobie duszę, brnął coraz daléj w obrazie boskiéj, coraz daléj, aż nagle.... znalazł się w piekle.“

(Tu słuchacze wydali jęk stłumiony).

— „A wiécie téż wy jak piekło wygląda? To jest otchłań okropna, ze wszystkich stron otoczona skałami, a taka głęboka, taka głęboka, że na żaden żywy sposób nie można dojrzéć jéj końca. W skałach były tam wyżłobione jakieś niby ścieżki, po których pielgrzym czepiał się, ażeby nie spaść ostatecznie; ale straszno mu było tak ciągle wisiéć z duszą na ramieniu. Sto razy spuszczał się na dół, ażeby dno otchłani znaléść, i raz już, choćby w piekle odpocząć, ale nigdy nie mógł dna dopatrzéć i zawsze musiał wracać do góry, do brzegów, po których także nie mógł się wydostać, bo wszystkie brzegi były prościutkie jak ściany, a w jednéni, jedyném miejscu, gdzie przejście było jako tako możebne, stał nad otchłanią krzyż. Pielgrzym bał się tego krzyża jeszcze więcéj niżeli otchłani. Dla dobrych ludzi krzyż jest znakiem pociechy, dodaje im odwagi, przypominając, że i Pan Bóg cierpiał. Ale źli ludzie nie lubią cierpienia, zresztą, prawdę mówiąc, tyle już z własnéj winy cierpią, że im się nie chce jeszcze Pańskiego krzyża brać na barki. Wolą od niego uciekać i tym sposobem sami oddalają się od ratunku.—Pielgrzym jednak nie zapomniał jeszcze zupełnie pacierza; nieraz po całych dniach patrzył na krzyż zdaleka, ale przejść koło niego nie śmiał. Aż oto, pewnego dnia, słońce prześlicznie w górze zaświeciło, on spojrzał się.... a tu pod krzyżem stoi anioł przecudowny. Skrzydeł jego nie było widać, bo je zwinął od smutku, kiedy patrzył na taką straszną otchłań. Ale że to był anioł, pielgrzym zaraz poznał po tęczach co wkoło niego krążyły, i po promieniach co z jego oczów biły. Anioł nic mu nie powiedział o niebie, nic mu nie obiecał, pielgrzym jednak rozradował się tak niesłychanie jak gdyby zmartwychwstał; a dla czego? Bo zrozumiał, że nie jest w piekle, ale w czyścu. Rzecz prosta: w czyścu dusze mogą jeszcze widziéć aniołów, a w piekle już nie; choćby się tam anioł i pokazał, dusza go nie zobaczy, gdyż jest całkiem ślepa na wszystko co niebieskie. A cóż, czy nie dziwna historya?“

— Słuchacze zdumieni nagłém urwaniem powieści, spoglądali po sobie w milczeniu. On znowu do mnie się zwrócił:

— „Nieprawdaż pani“

Pomieszana jego spojrzeniami, które mówiły jeszcze więcéj niż słowa, także milczałam i, po długiéj dopiéro chwili, zdobyłam się na pytanie:

„Więc pielgrzym został wyprowadzony z otchłani?“

— Pan Adam na to:

„Ha! Tego mi nie powiedział. Na teraz dość mi wiedziéć, że nie ma przed śmiercią wiecznego potępienia.“

Górale zaczęli się rozchodzić, wujaszek zrobił uwagę: „Czego też ten pocieszny chłopiec nie wymyśli!“ I na tém wszystko się skończyło.

Drugi raz, szliśmy drogą bardzo piękną i dosyć wesołą. Na stoku góry, między kamieniami rosły gromadnie te ogromne gwoździki Tatrzańskie, co zdają się z białego aksamitu wycięte. Pochwaliłam je; pan Adam zerwał kilkanaście, uwiązał je w bukiecik i podał mi mówiąc:

„Chciéj pani zachować te kwiatki na pamiątkę gór i ich mieszkańców.... Nieraz obiecywałem sobie, że już nigdy nie będę ofiarowywał kwiatów, bo zdaje mi się, że z mojéj ręki nie mogą przynieść szczęścia. Ale są chwile, w których się zapomina wszelkich postanowień. Te gwoździki nie mają ani barwy, ani zapachu; może to wada, a może zaleta? Nic w nich nie może się zmienić. Jakie są dziś, takie będą za rok, takie będą *zawsze*.“

Ten ostatni wyraz był jakby podkreślony w głosie. Nie umiałam znaléść odpowiedzi na słowa co mogły znaczyć wiele, a może nic wcale? Kwiaty długo nosiłam przy sobie, teraz w obawie, aby się nie rozkruszyły, włożyłam je w książkę do nabożeństwa. Miał słuszność pan Adam, nic się w nich nie odmienia, chyba to, że się spłaszczyły pomiędzy kartkami. Ale aby nie miały zapachu, to nieprawda; rozchodzi się od nich woń leciuchna, dzika a cierpkawa, która więcéj niż wszystkie opowiadania przypomina mi Tatry.

Zbliżał się koniec wędrówki. Niestety, wszystko się kończy, a najprędzéj to, co dobre. Czternastego dnia, znaleźliśmy się znowu, (nie wiém czy umyślnie czy przypadkiem?) około jego pustelni. Tego dnia był nadzwyczaj ponury i nieswój. Weszliśmy do chaty; wuj odpoczywał z fajeczką, ja przeglądałam książki, nie wiedząc czém się zająć, bo tą razą gospodarz ani nas przyjmował, ani bawił, roztargniony, znikał ciągle, a przez okienko widziałam jak chodził samotnie pomiędzy skałami.

Wybór książek niezwykły; z Pisma Świętego znalazłam jedynie księgi Joba. Przy nich stały jakieś dramata indyjskie w tłómaczeniu angielskiém. Z pisarzy włoskich Machiawel i Aretyn, poeta, którego wcale nie znam. Daléj po niemiecku Faust Göthego. Z polskich widziałam tylko Dziady. W kącie leżała jeszcze bardzo stara księga łacińska, na któréj wyczytałam nazwę Nostradamusa; były w niéj dziwaczne obrazki i figury.

Po milczącéj wieczerzy, wyszliśmy dla odetchnienia. Dzień był rzadkiéj skwarności; nawet w téj zimniejszéj strefie powietrze tak się rozgrzało, że mogliśmy wieczór przebyć pod otwartém niebem. Pan Adam, nakrążywszy się z nami po ścieżkach, sprowadził nas na urwisko pod wodospadem, prosił, abyśmy siedli na kamieniach, a sam, stanąwszy pod krzyżem, wahał się i namyślał jak człowiek co walczy z samym sobą. Księżyc wszedł, oświecił wodospad, krzyż i jego żałosną postać. Na niebie wisiały chmury wązkie, porozdziérane; było coś niezmiernie smutnego w całéj téj scenie. Smutnym téż głosem odezwał się pan Adam:

— „Teraz, kiedy niedługo mamy się rozstać, chciałbym państwu podziękować za łaskawość, na którą nie wiém czém zasłużyłem. Szanowny pan, dobrodziéj mego ojca, szukałeś mię po tych pustyniach, nie szczędziłeś mi rad, za które jestem szczerze wdzięczny, chociaż nie mogę się do nich zastosować. Pani dzieliłaś z wujem trudy podjęte dla mnie. To wszystko powinnoby mię wzruszać i cieszyć, tymczasem dzieje się przeciwnie: to wszystko boli mię i ciąży mi na sercu, jakby skarb nieprawnie nabyty, podstępem wykradziony, bo gdybyście znali moję przeszłość, możebyście cofnęli przyjaźń.... Muszę więc zrobić wyznanie! Dotąd pewnie uważaliście mnie za prostego dziwaka. Otóż wiedźcie, że mój sposób życia nie jest żadną fantazyą, lecz... *pokutą*.“

Osłupieliśmy oboje. Wuj chwycił go za rękę, wołając:

— „Ach mój Adasiu, cóżeś ty takiego popełnił?“

A on:

— „Nic złego w oczach ludzi, ale w oczach Boga i własnego sumienia, jestem..... zabójcą.“

Na ten raz, chociaż dobitnie wymówił ostatnie słowo, zachowaliśmy milczenie i spojrzeli po sobie niedowierzająco.

Widząc, że czekamy na objaśnienia, odetchnął i ciągnął daléj:

— „Wyznałem już najtrudniejsze, oskarżyłem się może nad miarę, teraz muszę opowiedzieć okoliczności, które nieco umniejszają winę:

Już to mojém największém nieszczęściem była gwałtowność, którą z sobą na świat przyniosłem, a któréj nie próbowałem przezwyciężyć za młodu. Dziś widzę, że przez pracę nad samym sobą można w wysokim stopniu zmienić swój charakter, spotykam pełno ludzi z natury popędliwych, co w sobie wyrobili cudowną spokojność. Ale na to trzeba od dzieciństwa łamać się z samym sobą. Rady, namowy, kary, nic nie pomogą, jeżeli własna wola nie wykona przynajmniéj połowy dzieła. Mnie także nie brakło przestróg, ani napominań. Ojciec dwadzieścia kilka lat męczył się nademną. Z moich nauk, z mego serca był zadowolony, tylko téj nieszczęsnéj zapalczywości nie mógł we mnie ukrócić. Ja kochałem ojca nadzwyczajnie, wierzyłem w jego słowa zawsze, oprócz wtedy, kiedy mówił, że trzeba mi się zmienić. Ja miałbym się zmieniać? Po co? Mój charakter wydawał mi się właśnie takim, jakim być powinien u prawdziwego mężczyzny. Wszelkie nagany starszych uważałem za ubliżenie mojéj dzieciakowéj dumie, niecierpliwość w znoszeniu jakiegokolwiek jarzma nazywałem świętą miłością wolności, a to była po prostu miłość swawoli, nasz język doskonale ją nazwał: *swéj—woli.*

Dopóki nikt mi się nie sprzeciwiał, byłem najlepszy z ludzi, gotów oddać ostatnią koszulę. Ale niech mi kto zaprzeczył, albo nie ustąpił, wszystko we mnie kipiało, byłbym świat zburzył, byle postawić na swojém. I miałem się za dobrego.... za bardzo dobrego, niepomny, że i Neron bywał słodziuchny, póki wszystko szło po jego woli.

Mój ojciec jednak tak umiał rozumnie radzić sobie ze mną, że za jego życia nigdy moja natura nie wybuchnęła w całéj swojéj sile. Stratę ojca odczułem strasznie. Ogarnął mię żal do nieba, żal buntowniczy, za co na mnie, właśnie *na mnie* spada takie nieszczęście? Jakbym ja jeden miał być wolny od cierpień całéj ludzkości? I w tym żalu jeszcze była pycha!

Matkę straciłem w kolébce. Aby zapełnić opustoszałe życie, postanowiłem wejść w związki małżeńskie. Mogłem wybiérać. Bogaty i dobrze w świecie widziany, nigdzie prawie nie lękałem się odmowy. Ale o wyborze już nie czas było myśléć; od kilku lat oczy moje zwracały się ku młodéj osobie, wdowie dwudziestokilkoletniéj, któréj wdzięk niezwyczajny pociągał mię i odstraszał na przemian, pociągał jednak coraz mocniéj.

Iza (na imię jéj było Iza) słynęła z dowcipu godnego egipskiéj Kleopatry; kto z nią rozmawiał godzinę, nie mógł już rozmawiać z innemi. Drobna, wcięta, lekka jak sylfida, nie była klasyczną

pięknością, a więcéj nią się zachwycano niż najpiękniejszemi. Twarzyczkę miała przezroczystą z prześlicznemi dołkami, włosy jakieś zawsze roztrzepane jak to malują u Amorków, oczy szafirowe rozkoszne i złośliwe, uśmiech przekorny, zalotny.... Tak, była zalotną, w niewinném znaczeniu tego słowa, *honny soit qui mal y pense!* Nie chcę broń Boże jéj oskarżać, nie chcę siebie usprawiedliwiać, nic na świecie mię nie usprawiedliwi, chciałbym tylko po części wytłómaczyć co mię doprowadziło....

Taż to właśnie czarodziejska zalotność mię podbiła, ale niestety podbijała i drugich, a ja trułem się, zieleniałem od zazdrości. Nie mogłem nic zarzucić jéj postępowaniu, mieszkała z matką, przyjmowała wszystkich z równym uśmiechem i wabnością, wszystkich! To właśnie bodło moję dumę. Przyrzekłem sobie, że wszystkich pokonam, że zawładnę tą istotą niepochwytną, i stanęło na mojém: zaręczyłem się z panią Izą.

Myślałem, że od téj godziny zmieni się zupełnie. Na wielką moję zgrozę nic a nic się nie odmieniła. Zawsze wesoła, rozbywana, zawracająca głowy z wiedzą czy bez wiedzy, na moje skargi ruszała ramionami, mówiła, że ani myśli się zakopać, że nie chce znudnieć ani zbrzydnąć, bo wtedy i jabym nie patrzył na nią.

Sam sobie byłem winien. Wybiérając taki charakter kobiécy, narażałem się na tysiąc zawodów, a przynajmniéj na długą i trudną pracę; z dziś na jutro nie można nikogo przerobić. Wówczas tego nie rozumiałem, byłem zdziwiony i sto razy na dzień obrażony.

Zaręczyliśmy się w Maju, ślub miał się odbyć w zimie. Tymczasem Iza pojechała z matką do Szczawnicy; ja ma się rozumiéć eskortowałem te panie. W Szczawnicy zaraz się znalazła gromadka wielbicieli, którzy otoczyli moję narzeczoną. Innemu by to może pochlebiało, mnie doprowadzało do wściekłości. Byłem zły o wszystko, o podanie filiżanki kawy jednemu, o dłuższą rozmowę z innym, nawet o pocałunki co chwila sypane matce.“

— Tu pamiętam, przerwałam panu Adamowi uwagą, że przecież to były tylko dowody głębokiego przywiązania?

A on mi odpowiedział:

— „Nie pani, to nie była miłość, ale miłość własna, i to tak z jednéj jak z drugiéj strony. Prawdziwe przywiązanie jest inne. Gdyby Iza istotnie mię kochała, byłaby odgadła co mię rani i jak boleśnie rani. Ja także..... byłbym więcéj miał zaufania, wiary, a ja by-

łem podejrzliwy jak człowiek jeszcze niepewny wygranéj. Podobaliśmy się sobie wzajemnie, chlubiliśmy się wzajemnie z tryumfu, bo i ja uchodziłem za niełatwego do podbicia, ale rzeczywista miłość jeszcze nas nie łączyła. Ja byłem dla niéj tylko najpierwszym z niewolników, ona była dla mnie najpożądańszą ze zdobyczy. I jaka to dziwna nielogiczność! Dobijałem się o nią, bo inni się dobijali, a kiedy się dobijali, za grzech jéj to poczytywałem.

Po skończonéj kuracyi, zawsze spragniona ruchu, szukająca zabawy i nowości, namówiła matkę na wycieczkę tu w góry. Zaraz też pociągnęła za nami cała karawana pań i panów. Bardzo mi się ten orszak nie podobał. Szczególniéj był jakiś młody kuzynek, z pretensyonalném imieniem pan Hyacynt, którego znosić nie mogłem. Jako wielki niby amator nauk, wiecznie zbiérał kamyki i muszelki, o których plótł damom niestworzone rzeczy, a że miał włosy w kędziorach i mdlejące oczy, słuchały go jak wyroczni.

Mówiłem sobie ciągle: Po ślubie odłączę ją od całego świata i otoczę takiém szczęściem, że przy mnie o wszystkiém zapomni.

Tymczasem, dręczyłem ją codzień.

Ach, bo też i ona dręczyła mię niemiłosiernie. Biédne, nieostrożne dziecko, drażniło się z moim gniewem, bawiło się memi scenami, nie widząc, nie chcąc widziéć, że u mnie namiętność przeradza się już w coś strasznego.... I ona pewnie obiecywała sobie, że kiedyś to wszystko mi nagrodzi.... Rachowała na przyszłość.... Nieszczęśliwa! Jak to nigdy nie trzeba nic dobrego na przyszłość odkładać!

Kilka razy już chciałem zerwać; wstrzymała mię uporna chęć postawienia na swojém, a przytém, zawsze mię zatrzymywał jéj urok.... bo urocza była.... zanadto! Ach, gdyby nie ta przeklęta podróż, gdyby nie te okropne skały, wszystkoby się może z czasem ułożyło.... i ona i ja, szczęśliwi.... spokojni.... Mój Boże, czyż to już było przeznaczone?

Raz, chodziliśmy po téj tu okolicy. Matka zmęczona została ze starszemi w dolinie. Iza, ja i kilku młodszych, puściliśmy się na te skały. Jeszcze ją widzę, biegnącą swawolnie! Ciekawa jak ptaszek, chciała wszędzie zajrzéć, wszystko na miejscu sprawdzić.

Nie rozmawiała ze mną.... Jakżeż co prawda miała rozmawiać, kiedy ja nie chciałem ust otworzyć? Tego dnia byłem w humorze

gorszym niż kiedykolwiek. Zdawało mi się, że już zupełnie wypadłem z jéj łaski. Może tak téż i było.

Nie mówiła nic do mnie, ale z innemi szczebiotała bardzo wesoło.....

W jakiéjś chwili, w któréj ci inni rozbiegli się po spadzistościach, wziąłem ją nagle pod rękę i zaciągnąłem na tę ścieżkę, którąście państwo tu przyszli.

Znaleźliśmy się na tém urwisku.

Jeszcze tego krzyża tu nie było....

Stanąłem przed nią, założyłem ręce, tak, na piersiach, i zacząłem robić jéj wyrzuty: że dla mnie jest niedobra, że dla drugich za dobra, że dłużéj tak rzeczy iść nie mogą.

Spojrzała na mnie oczami zdziwionemi i zalęknionemi. Ale po chwili wróciła jéj zwykła pustota, dygnęła przedemną i zaczęła mię przepraszać z pokorą przesadzoną, przeplataną żarcikami, czém dobiła mnie. W tych przeprosinach widziałem krwawe szyderstwo.

Nagle, po drugiéj stronie wodospadu, tam oto na skale, pokazał się pan Hyacynt.

Iza pobiegła na sam brzeg urwiska, podniosła rękę i kilka razy skinęła.

Skoczyłem do niéj, chwyciłem ją za rękę, pytając:

— „Czy pani go wołasz? Po co pani go wołasz?...“

Chciała rękę wyrwać, nie mogła. Urażona, odpowiedział z przekąsem:

— „Tak, niech tu przyjdzie. Wolę, żeby on mię prowadził, niż pan co mi ciągle dokuczasz.“

Krew się we mnie zagotowała. Czerwona mgła zasunęła mi oczy.

Odtrąciłem Izę mówiąc:

— „Idź sobie do niego.“

Wszystko to działo się na samym brzegu....... Trącona, zachwiała się, straciła równowagę, krzyknęła i znikła mi z oczów.

Pan Adam umilkł. Jakiś rodzaj łkania głos mu zatamował. Ja i wuj zawołaliśmy:

— „Jakto? Spadła ze skały? Tu, w przepaść?“

On wstał z pod krzyża, chodził po urwisku, mówiąc:

— „Tu w przepaść, spadła.... a ja nie mogłem jéj powstrzymać, nawet brzegu jéj sukni chwycić, wszystko trwało tyle co bły-

skawica. Zresztą, w pierwszéj chwili nie rozumiałem co zaszło, po prostu nie rozumiałem. Gdzie byłem, nie wiém, ale z pewnością tu nie byłem obecny. Szumiało mi w głowie, kręciło się w oczach. Dla czego i ja nie spadłem? Ha! Właśnie téż piekło pozwoliłoby na takie łatwe zakończenie! Coś mię przykuło do skały.

Bardzo krótko jednak musiało trwać moje odurzenie, bo nim inni spostrzegli się i nadbiegli, już wynosiłem jéj zwłoki.

Tu znów przerwał.

(*c. d. n.*).

Z DZIEJÓW JĘZYKA POLSKIEGO.

Objaśnienia do rozprawy W. W. Makuszewa p. t. **„Ślady wpływu ruskiego na piśmiennictwo staropolskie,“** wydrukowanéj w czasopiśmie rosyjskim „Słowianskij sbornik“ (tom 3),

napisał Ad. Ant. Kryński.

I.

Wstęp. Znany wpływ piśmiennictwa staroczeskiego na staropolskie. Mniemania pisarzów spółczesnych co do wpływu ruskiego. Kraszewski. Przyborowski.

Jedną z najważniejszych zdobyczy, jakie lingwistyka naszego stulecia dla wiedzy ludzkiéj przyniosła, jest wykrycie i udowodnienie wzajemnego pokrewieństwa i wspólnego początku wszystkich aryo-europejskich narodów. Wiadomo, że do liczby narodów, wyszłych niegdyś z Azyi, z jednego, w przeddziejowéj epoce żyjącego szczepu, i przesiedlonych na grunt europejski, należą także słowianie. Plemię to, po przybyciu do Europy, a następnie rozejściu się w różnych kierunkach po wschodnich jéj obszarach, w długim szeregu stuleci, pod wpływem odmiennéj przyrody miejsc przez się zajmowanych, tudzież w skutek odmiennych potrzeb życiowych, wyrobiło z pierwotnéj, plemiennie jednolitéj swéj masy, oddzielne grupy, wzajemnie wyróżniające się, przedewszystkiém odrębnemi znamionami mowy.

Tą drogą z jednéj wspólnéj mowy, którą prasłowiańską nazwiemy, powstały przed wiekami liczne mowy pojedyńcze, do dziś dnia żyjące, zwane językami słowiańskiemi. Wszystkie one, rozpoczynając odrębne, samodzielne swe życie, stanowiły, rzec można, jednaki, ze wspólnemi cechami, bez późniejszych wybitnych różnic, materyał

językowy, jako jedno mienie umysłowe, przy równym podziale wspólnéj ojcowizny odziedziczone. Utrzymanie nadal tych cech wspólnych, lub zatracenie ich, oraz nabywanie i wytwarzanie nowych stanowi właściwości samodzielnego, indywidualnego rozwoju każdego pojedyńczego języka. Téj historycznéj a zarazem psychologicznéj konieczności ulegał każdy język od chwili wyosobnienia się aż do najpóźniejszéj doby swojego istnienia.

Rozważanie wszechstronne tych procesów stopniowych przeobrażeń językowych oraz dochodzenie praw i zasad ogólnych, podług których przeobrażenia te dokonywają się w języku, wchodzi w zakres językoznawstwa.

Piérwotnéj mowy prasłowiańskiéj, jakiéj używali słowianie przed rozdzieleniem się na pojedyńcze plemiona, nie znamy; nie zostało bowiem żadnych śladów, żadnych zabytków piśmiennych z tak odległéj, przedhistorycznéj epoki. Znane nam są tylko zabytki późniejszych języków słowiańskich, które się z tego piérwotnego, prasłowiańskiego utworzyły. Jest rzeczą językoznawstwa odtwarzanie i rozpoznawanie stanu przeszłego danego języka na zasadzie tych piśmiennych pomników, jakie się do naszych czasów przechowały.

Z zabytków słowiańskich najstarsze dają nam poznać język słowian panońskich i język Bułgarów XI-go wieku, zwany dla tego językiem starobułgarskim, albo starosłowiańskim, niekiedy także cerkiewno-słowiańskim.

Język ten zarówno dla badań w obrębie słowiańszczyzny, jak i dla lingwistyki porównawczéj w ogóle, przedstawia wartość nieocenioną; jako bowiem najstarszy ze znanych narzeczy słowiańskich jest on najgodniejszym przedstawicielem zgasłego swego rodzica, jakby zastępcą w nieobecności téj nieznanéj nam piérwotnéj mowy prasłowiańskiéj, z któréj koleją wieków wszystkie inne słowiańskie się rozwinęły.

Pomniki języka polskiego znacznie późniejszéj sięgają epoki. Najdawniejsze bowiem zabytki staropolszczyzny pochodzą z wieku XIII i to w formie pojedyńczych wyrazów; obfitsze a, co ważniejsza, obszerniejsze, odnoszą się do wieku XIV (Psałtérz floryjański). Dopiéro wiek XV w rękopiśmiennych pomnikach nierównie pokaźniéj występuje. Zabytki z wieku XIV-go treści są religijnéj; są to pieśni lub modlitwy, oryginalne lub tłómaczone, albo też przekłady psalmów dawidowych, dokonane na wzór, a nawet przy pomocy znanych takichże przekładów czeskich.

Wpływ piśmiennictwa staroczeskiego na piśmiennictwo staropolskie, jakkolwiek zanadto przez nieświadomych rzeczy przecenia-

ny, był jednak istotny i niezaprzeczony. Najprzód bowiem, od czasu przyjęcia z zachodu chrześciaństwa, za pośrednictwem księży czeskich, którzy byli pierwszymi w Polsce nauczycielami nowej wiary, weszły do mowy polskiéj pewne wyrazy czeskie (przyswojone przeważnie z łacińskiego), terminologii kościelnéj dotyczące, jak *papież*, (papež), *biskup*, *żak* (uczeń), *kościół* (kostel), *ołtarz* (oltář), *klasztor* (klášter), *msza* (mše), *paciérz* (páteř) itd.

Późniejsze wzajemne stosunki polityczne Czech i Polski, począwszy od końca XIII w. aż po wiek XVI, mogły tylko wpłynąć, na ustalenie się wyrazów już przyjętych i liczbę ich nieco powiększyły. Zakres i rozmiary rzeczywiste wpływu czeskiego na nasz język wykazuje naukowo prof. Nehring w szacownych swych pracach nad tym przedmiotem, pod nagłówkiem. „Ueber den Einfluss der altčechischen Literatur auf diealtpolnische,“ pomieszczonych w czasopiśmie *Archiv für slavische Philologie* (1), tudzież w dziełku, poprzednio przed kilkoma laty wydaném „Iter florianense: O psałterzu floryjańskim itd.“ (Poznań. 1871).

Oprócz wpływu czeskiego, a także starosłowiańskiego w bardzo ograniczonym zakresie leksykalnym, na język polski, znany jest również późniejszy bezpośredni wpływ języka łacińskiego na piśmienny język polski, w szczupłym jednak obrębie leksykalnym i syntaktycznym.

O wpływie języka rosyjskiego i rusińskiego lub ruskiego na piśmiennictwo staropolskie w jego najdawniejszéj epoce, nie mieliśmy dotąd żadnych wiadomości ani wskazówek pewnych. Obecnie pan Makuszew „przy studyowaniu pomników staropolskich,“ natrafił na pewne ślady, jak sądzi, wpływu ruskiego, i zajął się przedstawieniem tego wpływu w osobnéj specyalnéj pracy, pod powyższym nagłówkiem ogłoszonéj. Ponieważ wykrycie wpływu podobnego nie byłoby dla nauki rzeczą obojętną, praca więc, odsłaniająca nowe strony w dziejach języka polskiego, uwagi naszéj ujść nie powinna, i dla tego postanowiliśmy rozpatrzéć szczegółowo dowody, na których pan Makuszew mniemanie swoje opiéra.

Autor wskazuje najprzód na Kraszewskiego, który wpływ ruski na język polski zaznaczył w rozprawie swéj „Rys dziejów języka polskiego,“ napisanéj w r. 1842 (Nowe studya literackie, tom I). Praca ta, jedna z pierwszych i najsłabsza z naukowych Kraszewskie-

---

(1) Część 1-sza: „Einleitung und das altpolnische Marienlied Bogarodzica.“ w tomie I, str. 60—81 (1875 r.). Część 2-ga: „Der St.—Florianer Psalter“, w tomie II, str. 409—436 (r. 1877).

go, w ogólnych poglądach na epokę dziejów języka naszego po złączeniu Litwy i Rusi z Polską, zawiéra bez zaprzeczenia niektóre myśli trafne i prawdziwe; obok nich jednak napotykamy tam wiele gołosłownych orzeczeń i mniemań, które przy głębszém rozważeniu okazują się z prawdą niezgodnemi; a do takich właśnie zda się przywiązywać pan Makuszew szczególną wagę, skoro, przywodząc w swym artykule ustęp z Kraszewskiego, odmiennym je pismem odznaczył.

Zdanie mianowicie Kraszewskiego, że „panowanie (Aleksandra Jagielończyka), stosunki i wojny z Rusią *przytrzymały czas jakiś język* (*polski*) *w formach więcéj słowiańskich*, mieszając go często z dyalektem pobratymczéj, a mniéj zdenaturalizowanéj kulturą zachodnią Rusi,“ czyż można uważać za co innego, jak za czczy frazes, z dziejami rzeczywistemi języka naszego sprzeczny? Czyż bowiem język narodu całego, żywa mowa kilkomilionowéj ludności, może być tak dalece zależny od 5-cio-letniego panowania króla (1501—1506), od znanych stosunków zewnętrznych, lub od jakichś wojen, by przez nie rozwój *form* tego języka można było *przytrzymać?* Albo, czy formy języka polskiego za Kaźmiérza Jagielończyka i Jana Alberta, i w ogóle przed r. 1501, były pod jakimkolwiek względem *mniéj słowiańskie*, niż od owéj daty?

Czyż wreszcie kultura łacińska zachodu lub wynarodowieni książęta szląscy wpłynęli choćby w najsłabszy sposób na formy języka polskiego pozostałych prowincyj Polski? Bez zaprzeczenia nie. Język polski, przyswoiwszy sobie za pośrednictwem Czechów garść nowych wyrazów obcych, przeważnie łacińskich, z zakresu terminologii chrześciańskiéj (podobnie jak Ruś z Bizancyum), nie doznał od kultury zachodniéj wpływu wynaradawiającego, ale pozostał, jak i był przedtém, samodzielnym, słowiańskim, na wskróś narodowym.

Bardziéj jeszcze nietrafnie p. Makuszew postąpił, chcąc domniemania swoje popiérać powagą prof. Przyborowskiego. Ponieważ autor nie przytacza ani słów, ani nawet miejsca, któremu tyle ważne znaczenie przypisuje, zmusza nas przeto, byśmy go w tym razie wyręczyli. Jakoż, w rozprawie o języku Kochanowskiego, prof. Przyborowski wskazuje słusznie na ważność jęz. starosłowiańskiego dla badań nad językiem polskim (str. 186), mówi o wpływie starosłowiańskiego na jęz. staropolski, tudzież o wpływie greczyzny i łaciny na język Kochanowskiego pod względem syntaktycznym (str. 205). Co się zaś tyczy wpływu ruskiego, pr. Przyborowski, rozbiérając niektóre formy staropolszczyzny, dziś zatracone, orzeka wyraźnie, że „*niesłusznie* jednakże uznalibyśmy formy przywiedzione z Kochanow-

skiego za rusycyzmy..." Daléj zaś (str. 209) mówi: „Czeskiego i ruskiego zarywa Kochanowski na kilku miejscach w *tonie żartobliwym*." mianowicie we „fraszkach." Oto i wszystko. Czyż słowa te zechce p. Makuszew uważać za świadectwo uznania wpływu ruskiego na piśmiennictwo polskie?

II.

Rusycyzmy rzekome u pisarzów wieku XVI. Orzechowski Stanisław i jego „Dyjalog."—Herburt z Dobromila i jego „Herkules."—Sielanki Zimorowiczów.—Klonowicza „Worek judaszów," „Flis" i „Roxolania"—Rej.—Zbylitowski.

W dalszym ciągu mamy już samodzielne nad staropolszczyzną spostrzeżenia autora. Rozpoczyna je pan M. od tych pisarzów polskich, w pismach których mają być złożone dowody wpływu ruskiego. Na czele wymienia p. Makuszew *Stanisława Orzechowskiego*, dodając z naciskiem, że pisarz ten miłował swą narodowość i „nazywał siebie zwykle ruskim (Roxolanus)". Wiadomo, że Stanisł. Orzechowski, syn Stanisława, pisarza ziemskiego, był rodem z Rusi Czerwonéj, z ziemi Przemyskiéj (ur. 1513); nic téż bardziéj naturalnego jak to, że, urodzony w ziemi, którą połacinie nazywano „Roxolania," mianował się Roxolanus,—podobnie jak dzisiejszym mieszkańcom Galicyi przysłuża zupełne prawo nazywać się Galicyanami. Dla dokładności wszakże dodać należy, że Orzechowski na dziełach swoich pisał się „gente Roxolanus, natione Polonus" (Literat. pols. Kuliczkowskiego str. 137), zgodnie z tém, co wiemy o jego rodzie. Przodkowie bowiem naszego Stanisława, herbu Oksza, przenieśli się z Korony na Ruś i tam w dyecezyji Przemyskiéj posiedli dziedzictwem wieś Orzechowo, od któréj Orzechowskiemi nazwani.

Z dzieła tedy naszego pisarza pod nagłów. „Dyjalog albo rozmowa około egzequucyey Korony polskiéj" przywodzi p. Makuszew wyraz małoruski *sorom*, użyty w znaczeniu polskiego *srom*, wstyd. Użycie to spotyka się raz jeden wyjątkowo i nie bez dość ważnego, jak sądzimy, powodu. Rzeczownik *srom* w wieku XVI nie różnił się brzmieniem od formy słownéj czasu teraźn., gdyż końcowe *ám* dla pochylonego czyli ścieśnionego *á* było prawie jednodźwięczne z *om*. Powód więc uniknięcia w stylu poważnym wyrazu *srom* i użycia zamiast niego małoruskiego *sorom* był w wieku XVI, ten sam, dla którego do dziś dnia Rosyanie w swoim wyrazie *stram* wtrącają spółgłoskę *t*. Sądzimy przeto, że Orzechowski użył go zupełnie świado-

mie, tém bardziéj, gdy przy potrzebie użycia wyrazu *sromota*, utworzonego od tegoż pierwiastku, ale już z innym sufiksem, (przy którego więc wymawianiu ustaje obawa potrącania o sferę innych wyobrażeń), pisarz nasz nie posiłkuje się już formą małoruską, ale używa polskiéj. I tak, zaraz nieco niżéj w „Dyjalogu wtórym" czytamy: „za dziada mego po łacinie umiéć szlachcicowi sromota w Polsce była" (st. 22 wyd. Turows.). Zresztą, jakikolwiek byłby powód użycia wyrazu małorus. *sorom*, pojedyńczy ten wyraz nie może być dowodem, wystarczającym dla osnucia twierdzenia o wpływie ruskim na język Orzechowskiego. Czuł to snać dobrze i pan Makuszew, skoro oprócz tego wyrazu wypisuje z Orzechowskiego jeszcze jedno wyrażenie w języku rusińskim. Przywodzi je jednak niedokładnie, wyjmując z ciągu opowiadania frazes bez żadnego bliższego objaśnienia, bez którego i zarzut sam przedstawia się w świetle nieprawdziwym. Dla tego téż objaśnienie to uważamy za potrzebne dodać. Orzechowski w dyjalogu pomiędzy „papieżnikiem" i „ewangielikiem" przez usta papieżnika opowiada anegdotę o Władysławie Jagielle. Czytamy tam, „iż czasu jednego zacne książę gościem do króla Władysława, pradziada dzisiejszego pana naszego (Zygm. Augusta) było przyjechało... Książę młode i nazbyt biesiadne.... a gdy już noc była, prosił, aby z nim król szedł na dół na towarzyską biesiadę. zawiesiwszy na zamku królestwo na kołku. Król tym poruszony, *zruska* jemu tak odpowiedział: „*Knyasche wyd, na koly pietuch den y nosc pojet woschechda korol*" (str. 49—50 wyd. Turow.). Zacytowane tu przez Orzechowskiego słowa, a przywiedzione przez pana M. jako rusycyzm, należą, jak widzimy, do Wład. Jagiełły, na którego dworze, jeszcze jako władcy Litwy i Rusi, język małoruski był, jak wiadomo, panującym. Wyrażenie Orzechowskiego nie pozostawia tu żadnéj dwuznaczności, skoro mówi wyraźnie: „król *zruska* odpowiedział". Podobnie jak to i w innéni miejscu w témże dziele czytamy, słowa papieżnika: „Chceszli tedy co skrytego, a tobie pożytecznego wiedziéć i rozumiéć, pytaj i ucz się od kapłana, a jako *Rusin* mówi: popa pytaj" (Dyjal. wtóry str. 25). Jak w tych razach zdania w języku rusińskim, tak w wielu innych w témże samém dziele przywodzi Orzechowski połacinie, np. ustawę „neminem captivabimus, nemini bona adimemus etc." lub przysięgę „Ego Sigismundus.... juro, spondeo, promitto etc.", lub cytuje słowa Chrystusa, Pawła ś., Izajasza, Johela proroków i wiele innych w tymże jęz. łacińskim, lub téż Demostenesa w greckim; mimo to jednak nie odważymy się oskarżać go o poddawanie się wpływom łacińskim lub helleńskim. Co innego bowiem jest przywodzenie rozmyślne ob-

cych słów w ich oryginalnym języku, co innego zaś uleganie, w skutek niedołęstwa, lub nagannego nałogu, wpływom obcym i łatanie niemi mowy ojczystéj.

Postąpił więc pan M. w tym razie co najmniéj niebacznie, skoro na zasadzie jednego frazesu, napotkanego w dziele Orzechowskiego, nie rozważywszy jego związku z całością opowiadania, zarzuca językowi tego pisarza „rusycyzmy"; gdy przeciwnie: czytając bez żadnéj uprzedniéj myśli pisma tego niepospolitych zdolności i nauki pisarza, każdy przyznać czuje się zmuszonym, że język Orzechowskiego, zarówno pod względem form gramatycznych, jako i toku wysłowienia jest czysto rodzimym, polskim i, podobnie jak wiele innych dzieł epoki zygmuntowskiéj, przedstawia pomnik polszczyzny jędrnéj, szczéréj, bynajmniéj rusycyzmami nieskażonéj.

Z równą zupełnie niesłusznością pomawia pan Makuszew *Herburta* z *Dobromila* o rusycyzmy w jego „Herkulesie." Herburt w dziełku swém, napisaném w formie dyalogu pomiędzy Herkulesem, a Fortuną, gdzie pod postacią Herkulesa ukrywa swą własną osobę, przedstawia w jedném miejscu Fortunę, przemawiającą do Herkulesa temi słowy: „mogę ja tobie rzec, jako zmarły król mawiał: *Ty na mene hramotu, a ja na tebe szabloju.*" I tu pan M. nie zatrzymał uwagi swéj na wyrazach: „jako zmarły król mawiał", które dostatecznie objaśniają, iż przywiedziony rusycyzm nie należy do Herburta, lecz do „zmarłego króla." Tymczasem królem zmarłym jest znowu Władysław Jagiełło a wyrażenie powyższe znane jest z odpowiedzi króla na list od wielkiego mistrza krzyżackiego Ulryka v. Jungingen (1), przysłany Jagielle z wypowiedzeniem wojny 1410 r., która, jak wiadomo, zakończyła się śmiercią samego mistrza i klęską krzyżaków pod Dąbrową (Grünwaldem).

W témże dziełku Herburta przywiedziona piosnka małoruska, złożona z 15-tu sześciozgłoskowych wierszyków, nie może również służyć za dowód, że język pisarza ulegał, jak sądził pan M., wpływowi ruskiemu. Herburt, jako mieszkaniec Dobromila w Rusi Czerwonéj, bez wątpienia znający dobrze i język rusiński, umieścił w oryginale piosnkę ludową, podobnie jak przywiódł powyższe słowa Jagiełły, podobnie jak przyjętym od wieków zwyczajem pisarskim przytaczają się po dziś dzień maksymy, przysłowia, pieśni i pojedyńcze w oryginalném ich brzmieniu wyrazy, a mimo to język tekstu nie

---

(1) Patrz *Naruszewicza* Przekład dzieł Tacyta. IV. Germania. 1783. str. 47—8. Przypis do rozdz. XIX lit. s.

ściąga na siebie zarzutu skażenia się wpływem obcym. Język też Herburta w powyższém jego dziele nie potrzebuje obrony od podobnych podejrzeń: czytając je, nie napotykamy tam żadnego skażenia form gramatycznych, żadnego obcego naśladownictwa, żaden obcy wstręt nie zakłóca w nim właściwego staropolszczyźnie wysłowienia, i powtórzyć tylko musimy z Wiszniewskim, że dziełko Herburta napisane jest „dziwnie pięknym stylem i nadobną polszczyzną“ (Lit. VII, 117).

Jak więc niesłusznie powyższe wyrażenia rusińskie przypisał p. Makuszew Orzechowskiemu i Herburtowi, tak oparty na nich wniosek o wpływie ruskim na polszczyznę tych autorów okazuje się bezzasadnym i z prawdą niezgodnym.

Z kolei zatrzymuje p. M. uwagę swą nad sielankami Bartłomieja i Szymona *Zimorowiczów*. Wiadomo, że obaj ci pisarze w utworach swoich kreślili przeważnie obrazki z życia ludu rusińskiego, jak to już wskazują same nagłówki sielanek: Kozaczyzna, Burda ruska, Roxolanki to jest panny ruskie, itp. Obaj więc, przedstawiając postaci ludowe wśród zajęć i przygód życia wiejskiego, nadają im bądź imiona rusińskie, jak: Ostafi, Dorosz, Olena itd., bądź też przy opisach i wśród dyalogów, prowadzonych pomiędzy przedstawionemi tam osobami, używają często wyrazów rusińskich, jak: sołowij, trużenicy, mołojcy, czołowik itp. Wyrazy te, w utworach, polskim językiem pisanych, mogłyby stanowić rzeczywistą podstawę do oparcia na niéj wniosków pana M., gdyby im znaczenia tego nie odejmowały inne ważne względy; a mianowicie, że obaj Zimorowicze używali powyższych wyrazów rusińskich z zupełną świadomością w celu bardziéj obrazowego uwydatnienia miejscowego kolorytu, dla dosadniejszego oddania charakterystyki miejsc i osób, branych przez tych poetów za przedmiot do ich sielanek. Podobnie, z takąż samą świadomością posiłkują się wyrazami rusińskiemi i nowocześni piérwszorzędni nasi poeci i dzisiejsi powieściopisarze, ilekroć chodzi im o nadanie większéj wyrazistości opisywanym szczegółom z życia ludu rusińskiego w Galicyi, na Wołyniu lub tp.

Takież samo znaczenie posiadają wyrazy napotkane przez p. M. w „Worku judaszowym“ *Klonowicza*. Dodać tylko należy, że pomiędzy przywiedzionemi przykładami „rusycyzmów“ znajdują się i czysto polskie, jak: *kupiec*, *wołki* (wołek, zdrobn. od *wół*), *dumał*, *fifałki* (wymawianie ludowe zam. fiołki),—wyrazy na całym etnograficznym obszarze Polski znane i używane. Znajduje także pan M. u Klonowicza przysłowie rusińskie: „jeden idzie k lesu .. drugi czesze k biesu,“ przytoczone przez Klonowicza z wyraźnem ostrzeżeniem: „właśnie jako Ruś mówi,“ na które to słowa autora „Wor-

ka judaszowego" pan M. uznał za stosowne nie zwrócić wcale uwagi.

Wyrazy znalezione we „Flisie," a jest ich wszystkiego dwa: *odzieża* i *łąk* zamiast łąka, są również czysto polskie. W wyrazie piérwszym *odzieża*, końcówka *a*, w dzisiejszym języku, podobnie jak w wielu innych takiéjże formacyi rzeczownikach nieistniejąca, znaną jest w staropolskim jako stała ich cecha np. pieczenia, łodzia, straża, głębia itp. (1).

Drugi wyraz *łąg*, już przez swe brzmienie nosowe (*ą*, *ę*) powininien był dostatecznie ostrzedz pana M. o swém czystopolskiém pochodzeniu. Kto zaś ośmiela się odnosić początek polskiego wyrazu z brzmieniem nosowém do źródeł i wpływów ruskich, ten albo stroi sobie żarty z dobrodusznego czytelnika, albo téż dopuszcza się winy przeciw elementarnym zasadom językoznawstwa słowiańskiego. Jest bowiem rzeczą powszechnie znaną, że język rosyjski wraz z innemi narzeczami, jeszcze przed epoką piśmiennictwa, piérwotne swe dźwięki nosowe utracił; jak również wiadomo, że dźwięki nosowe, oprócz nieżyjącego języka starobułgarskiego, utrzymały się dotąd w całéj pełni tylko w języku polskim i narzeczu kaszubskim.

Jak dalece autor unosić się daje swéj z góry powziętéj myśli i apryorystycznemu mniemaniu, widziéć możemy z tego, że pomiędzy dowodami, mającemi świadczyć o wpływie ruskim na nasze piśmiennictwo, umieszcza i ten fakt, że Klonowicz w łacińskim swym poemacie p. t. Roxolania „opisuje Ruś Czerwoną i jéj mieszkańców." Postępując tą drogą rozumowania, nie tylko stworzylibyśmy szereg zabawnych twierdzeń, ale brodzilibyśmy bez końca w chaosie kłopotliwych, iście scholastycznych zagadek. Podług téj doktryny, na języku np. Torquata Tassa w jego ‚Gerusalemme liberata" powinien się był uwidocznić wpływ hebrajski lub turecki! Herodot uledz musiał wpływowi narodowości Scytów, skoro nam zostawił opis ich krainy; Tacyt poddał się wpływowi germańskiemu, gdyż daje nam opis Germanii i jéj mieszkańców. Nie byle zaś kto podjąłby się rozstrzygać, jaka narodowość skłoniła Strabona, Pliniusza i setki innych przy pisaniu ich dzieł historycznych i geograficznych. Wcale téż nie do rozwiązania byłoby zadanie odkryć, jakiéj narodowości wpływ podziałał na Starowolskiego, w którego dziele „Polonia sive status regni Poloniae descriptio" opisana jest nie tylko Major-i Minor-Polonia, ale kolejno: Lituania, Russia Rubra, Russia

(1) Patrz: Słownik Lindego III, 509; Gramatykę Fr. Malinowskiego str. 384; Gram. Małeckiego str. 85; lub inne.

Alba, Masovia i inne ziemie dawnéj Polski? Jaki znowu wpływ przypisywać autorom, którzy nam Turcyą opisują? Co sądzić o dzisiejszych podróżnikach, którzy w dziełach swoich opowiadają nam o mieszkańcach Japonii lub Mozambiku? Czy na każdym z tych pisarzów wycisnąć się musiało piętno nieuniknionego wpływu opisywanego narodu lub kraju?

Pomijamy napomknienia pana M. o rusycyzmach u Mikołaja Reja i Andrzeja Zbylitowskiego, niepoparte ani jednym przykładem, uważając to raczéj za skutek wesołego rozmachu pióra autora, aniżeli za zdanie poważne, na faktach oparte.

(*c. d. n.*)

KRYTYKA.

Joachima Lelewela zasługi na polu geografii. Przez *Stanisława Warnkę.* Poznań, nakładem księgarni Żupańskiego, 8-o, str. 192.

O wielostronnéj i płodnéj działalności Lelewela nie mamy dotychczas studyum żadnego i zdaje się, że nie prędko będziemy takowe posiadać. W ogóle do krytycznych, a nawet do sprawozdawczych robót nad pisarzami mało czujemy pochopu; wytworom najdzielniejszych głów naszych w zwojach staréj bibuły pozwalamy spoczywać spokojnie, nic więc dziwnego, że najznakomitszy z nowoczesnych historyków Polski, pomimo tego, że lat ośmnaście dobiega jak się położył do grobu, nie ma i niełatwo się oceny swych prac głębokich lub sprawozdania w całości trudów doczeka. Pod tym względem Lelewel jest nieszczęśliwszym od innych; pisał dużo i wielostronnie, żmudnéj potrzeba pracy na przewertowanie dzieł wszystkich i wielostronne wykształcenie mieć trzeba, żeby je w świetle przedstawić krytyczném. Zdaje się nawet, że na studyum o Lelewelu musi się złożyć głów tyle, ile specyalności genialny badacz posiadał. Szczegółowe oceny prac jego nad numizmatyką, heraldyką, historyą powszechną i polską, geografią, bibliografią i prawem polskiém, poprzedzić powinny studyum ogólne; tylko przy odpowiednim podziale pracy całkowita działalność wielkiego pisarza wyczerpująco okazaną być może. I tuszyć sobie należy, że, lubo nieszparko, na sposób wskazany wyżéj robota się sunie; owszem, dobry tego widzimy początek, gdy ogłaszana przez p. Żupańskiego korespondencya materyału biograficzno-naukowego dostarcza dużo, gdy

p. Stanisław Warnka ku wyświetleniu zasług Lelewela na polu geografii, pierwszy z monografią wystąpił.

Przyrodzonemu usposobieniu hołdując, w geografii szukał Lelewel historyi i za cel sobie postawił odtworzyć pojęcia, jakie mieli uczeni starożytności i wieków średnich o kształcie ziemi i krajów. W r. 1818 ogłosił „Pisma pomniejse geograficzno-historyczne,“ w cztéry lata późniéj „Badania starożytności we względzie geografii; w r. 1819 „Geografię indyjską z ksiąg świętych i pierwotną na wschodzie ziemi znajomość,“ w dwa lata potém „Odkrycia Kartagów i Greków na oceanie atlantyckim.“

W powyższych dziełach i w pięknym atlasie, w którym na dziewiętnastu tablicach odtworzył kilkadziesiąt krajobrazów według Herodota, Arystotelesa, Pyteasza, aż do Marina z Tyru i Ptolomeusza,—przedstawił Lelewel dzieje geografii w starożytności z właściwą sobie erudycyą, gruntownością w badaniu i bystrością poglądów. Historya geografii starożytnéj w lelewelowskim wykładzie jest genetyczną i wykończoną przedstawia całość; w jasnych zarysach okazuje autor pierwotne pojęcia starożytnych o ziemi; zaznacza okoliczności zewnętrzne i wpływ uczonych na wzrost wiedzy lub jéj upadek; tłómaczy zależność pojęć o kształcie ziemi i kartografii od znajomości krajów, astronomii i matematyki. Pod względem układu i trafności poglądów stanął Lelewel wyżéj nie tylko od poprzedników, jak: Gosselin, Blair, Voss, Malte—Brun, Mannert, ale i od późniejszych, jak: Ukert i sławny Peschel,—jedynie dzieło Vivien de St. Martin'a lelewelowską robotę bogactwem szczegółów prześciga. Kiedy najnowsi nawet pisarze, gromadząc fakty, mało baczą na istniejący pomiędzy niemi wewnętrzny związek; Lelewel, podobnie jak Vivien de St. Martin, genetyczność ciągle mając na względzie, w rozroście geograficznych poglądów spostrzega rozwój, widzi w nich potężniejącą nieustannie myśl ludzką, olbrzymiejący rozum.

Obok ściśle umiejętnego traktowania historyi geografii, Lelewel i w szczegółach po za czasy swoje wybiega naprzód,—wiele takich rzuca poglądów, któremi najnowsi badacze szczycą się dzisiaj, nie wiedząc, że przed sześćdziesięciu laty śród piasków mazowieckich Polski uczony też same wygłaszał prawdy. Lelewel wyjaśnił, że merkantylna polityka Kartagów wpłynęła na upadek wiedzy geograficznéj u Greków po r. 500; pierwszy przez podniesienie działalności Cezara, Augusta i Agryppy uwydatnił zasługi geograficzne Rzymian; ocenił Pyteasza, przyznał Eudoksowi z Knidu znakomite miejsce w astronomii i geodezyi; wykazał najpierwszy, jako ptolomeuszowe: Gir i Niger nie są to rzeki Sudanu, lecz odpowiadają Zir i Ger

(Wadi Dżedi i Wadi Gir) na południu Marokku będącym, czego Vivien de St Martin i Duveyrier dowiedli dokładnie. Słowem, mnóstwo w nauce Lelewel uczynił odkryć, które świadczą o zadziwiającéj wiedzy i krytycznym geniuszu naszego badacza.

Po ogłoszeniu najważniejszych do historyi geografii starożytnéj „Badań", skutkiem różnych okoliczności, zmienił Lelewel kierunek prac swoich i, poświęciwszy się badaniom historycznym, dopiéro w Brukselli, po kilkonastoletniéj przerwie do studyów geograficznych powrócił. W r. 1836 wydał „Pythéas de Marseille et la géographie de son temps", a w r. 1851—7 „Géographie du moyen âge" w pięciu obszernych tomach, dzieło w rezultaty naukowe bogate bardzo. Właściwie przedstawił tu Lelewel historyą kartografii w średnich wiekach, krótko bowiem zbywa podróże i odkrycia nieznanych krajów; pobieżnie tylko dotyka średniowiecznych pojęć o ziemi, jedynie rozwój matematyczno-geograficznych wyobrażeń Arabów wykłada obszernie. Wprawdzie w przedstawieniu historyi kartografii chrześciańskiéj, geografii matematycznéj nie uwzględnił, a zasługi Arabów przecenił, jednakże dzieło jego posiada dotychczas wartość olbrzymią. Zestawił najdokładniejszy katalog kartografów i ich utworów, każdy atlas najdokładniéj opisał, wielkie mnóstwo z krytyczną ścisłością i benedyktyńską pracowitością nagromadził naukowych drobiazgów. „Géographie du moyen âge" jest w stosunku odwrotnym do „Badań": kiedy wartość ostatnich polega na umiejętném genetycznem przedstawieniu przedmiotu, pierwsza, złożona z niepołączonych ściśle epizodów, imponuje jedynie mnogością szczegółów. Lubo niesystematyczne w układzie i bez myśli przewodniéj, nie przestarzało się dotychczas to dzieło, każdemu badaczowi średniowiecznéj geografii będzie nieodbicie potrzebném, każdy w niém znajdzie krytycznie podanych wiadomości zasób olbrzymi.

Już w pierwszéj epoce działalności doczekał się Lelewel należytego zagranicą uznania. Aleksander Humboldt, maleńką historyą geografii, pomieszczoną w „Pismach pomniejszych", nazwał „Gelehrte Geschichte der Geographie"; Ritter, zobaczywszy atlas do „Badań", tak był nim zachwycony, że robił starania, iżby dzieła geograficzne Lelewela przełożyć na język niemiecki. Jakoż Karol Neu w r. 1831 wydał w Berlinie „O odkryciach Kartagów i Greków," w pięć lat późniéj „Pisma pomniejsze", na „Badania" zaś nie znalazł nakładcy. Wuttke, Sédillot, Richthofen i Vivien de St. Martin zasługi Lelewela cenią wysoko; z materyałów, zawartych w „Géographie du moyen âge", w swéj „Geschichte der Erdkunde" Oskar Peschel korzystał obficie, chociaż skutkiem obrażonéj dumy narodo-

wéj z wielką się dla naszego ziomka odzywa niechęcią. Przewodnią ideą Lelewela jest przekonanie, że Arabowie, oparci na dokładnych obserwacyach astronomicznych, podobnie jak narody romańskie, doszli samodzielnie do wysokiéj ścisłości w kartografii; że dopiéro poznany w XV wieku Ptolomeusz, wyrugowawszy dobre mapy nautyczne, swoje bałamutne poglądy na kształt mórz i lądów narzucił, przez co niepowetowaną nauce uczynił szkodę. Surowy sąd o Ptolomeuszu i lekceważenie geografów niemieckich Peschla ubodło, więc w swéj „Geschichte der Erdkunde“ podnosi na każdym kroku zasługi Niemców i przycinków Lelewelowi nie szczędzi.

Pomimo uznania uczonych, główne dzieło naszego badacza, „Géographie du moyen âge“ w pyle bibliotecznych półek spoczywa, i, chociaż po francusku pisane, nawet u obcych czytelników liczy niewielu. Zdaniem p. Warnki, przyczyniają się do niepoczytności najprzód pewne uprzedzenia naukowe, jakim Lelewel ulegał, np. wygórowane lekceważenie Ptolomeusza, powtóre, niedoskonałość formy, nad wykończeniem któréj znakomity nasz pisarz mozolić się nie chciał. W dziele Lelewela panuje zamęt, brak w niém jasności i ładu, z powodu tego wykształcony nawet czytelnik tak ciężką lekturę musi pomijać.

Jako niespecyaliście, nie wypada mi rozprawy pana Warnki oceniać krytycznie; zaznaczyć tylko muszę, że autor z erudycyą i zamiłowaniem badał swój przedmiot i rezultaty, do jakich doszedł, wyłożył jasno i pięknie. Monografia p. Warnki jest na wpół sprawozdaniem, na wpół pracą krytyczną, oznajmia z materyałem, zawartym w pismach geograficznych Lelewela i materyał ten, z niektórych stron przynajmniéj, ze stanowiska nauki ówczesnéj i dzisiejszéj ocenia. W tego rodzaju studyach przedewszystkiém zwracać należy uwagę na stan nauki opracowywanemu autorowi współczesny; zyskuje się przez to sprawiedliwą ku ocenieniu zasług pisarza miarę, zdobywa się dla charakterystyki jego podstawę pewną. Wzniesienie się pisarza nad panujący w nauce poziom stanowi trwałą jego zasługę; trzymanie się pojęć utartych czasową pożyteczność zapewnia; zapadnięcie się pod poziom współczesny szkodę wyrządza, lub w najlepszym razie nie przynosi tylko pożytku.

Wł. Smoleński.

Poezye Goethego (wybrane), tłómaczył *Hugo Zathey*. Kraków, 1879 r.

Z obawą wielką, jak widać z przedmowy, wypuścił tłómacz ten tomik Getego; a jeżeli kto, to my, świadomi nieco zażycia się z wielkimi mistrzami poezyi, rozumiemy tę obawę i niepewność towarzyszącą umysłom rozumiejącym wielkość. I uczuwa to samo zapewne każdy malarz, prawdziwy artysta, w obec wielkiego oryginału, który zamierza skopiować. W poezyi, może u nas jeden tylko Mickiewicz nie czuł się przelęknionym w obec „Giaura“ Bajronowego i spolszczał go, bawiąc się; dla wszystkich innych tłómaczenie arcydzieł musi być pracą, jeżeli zwłaszcza strona techniczna roboty wymaga subtelności językowych.

Znać też pracę na przekładach p. Zatheya, i takie wrażenie otrzymujemy z przeczytania ogółu. Praca to, na kształt mozaikowéj wykonywana przez wolne i mozolne ustawianie sztuczek w rysunek nakreślony przez kogo innego; sztuczek z których jedna lepiéj, druga słabiéj trzyma się ogółu. W pracy téj nie czuć jednolitych, wielkich i natchnionych pociągów pędzla malarskiego, któryby świadczył o pewnéj sile mistrzowskiéj, czyniącéj ustępstwo z siebie na rzecz tłómaczenia, ale zdolnéj w danym razie i do objawów samodzielnych a twórczych.

Im łatwiejsze wreszcie tłómacz ma przed sobą zadanie, to jest im utwór oryginału zawiéra treść prostszą, więcéj opisową niż liryczną, im układ wiersza więcéj oddala się od formy skomplikowanéj tém przekład udatniejszy i zastępuje poniekąd oryginał. Do téj kategoryi zaliczamy, w tym zbiorku, balady. Nic, na przykład, nie można zarzucić takiemu tokowi wiersza, w porównaniu z oryginałem:

„Wejdź do nas, staruszku, w podwórzec zamkowy,
Spoczynek potrzebny dla siwéj twéj głowy,
    Chwileczki nie żałuj nam czasu.
Mateczka się modli, a ojciec na łowy
    Wyruszył ze służbą do lasu.
Zaśpiewaj bajeczkę nam jedną i drugą,
    My bajki lubimy namiętnie,
I w domu śpiewaka czekamy już długo:
    A dzieci słuchają tak chętnie.“ (str. 98)

Wiersz dwunastozgłoskowy, przeplatany dziewięciozgłoskowym, wiersz, w którym cezura, stanowiąca podstawę harmonii, jest bardzo trudną, w którym wyrazy czterozgłoskowe są stanowczo wyłączone, przez co krępuje się swoboda piszącego,—wiersz taki nie należy do najłatwiejszych, a jednak tłómacz poradził z nim sobie, i przez całą baladę, nie naruszając w punktach głównych treści i obrazowania oryginału, szczęśliwie go przeprowadził.

Ale nie możemy tego samego powiedzieć o wszystkich baladach, ani o całéj formie i budowie zewnętrznéj, w jaką ujęte są przekłady p. Zatheya. Dba on wprawdzie o to, iżby forma oryginału tak co do budowy, jako i co do harmonii, była w tłómaczeniu zachowaną, a przynajmniéj assymilowaną, o ile różnica natury obu języków tożsamości nie znosi. Ale ta jego dobra intencya często się nie urzeczywistnia. Forma słowna Getego, to wzór elegancyi, wykwintu artystycznego, to niemal Słowacki w zastosowaniu do niemczyzny, Bohdan Zaleski we władaniu rozmaitością wiersza. U naszego tłómacza panuje pod tym względem ubóstwo wielkie, mianowicie co do rymów. Nie wiem *np.* jak się można zgodzić na taki wiersz:

„Jeśliby z ludzi kto o oniéj *zapomniał*,
Bodaj i o nim nikt nigdy nie *wspomniał*,“ (str. 80)

Jest to już nie tłómaczenie nawet, ale parafraza niemieckiego

„Und dem sei, wer's nicht singt und sagt,
Im Leben und Tod nicht nachgefragt.“

Właściwe znaczenie tego dwuwiersza jest takie:—a kto jéj (dziewicy bohaterskiéj) nie uczci pieśnią lub podaniem, o tego niechaj nikt nie zapyta nawet ani za życia, ani po śmierci.

Słusznie zauważył tłómacz w przedmowie, że stosowanie się wierne do formy oryginału sprowadzić może nieprzełamane trudności, z uwagi, iż język nasz ani jest tak giętkim, ani tak bogatym jak niemiecki, w zastosowaniu do wiersza. Ale co na to robić? Trzeba mieć zmysł językowy tłómacza pieśni: „Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?.. .“

Inaczéj będziemy musieli, razem z p. Zatheyem, wypowiadać takie wiersze jak:

„Za róg się kozy jedno ujęło,
I tak z nim razem w toni zginęło.“ (str. 80)

oraz mnóstwo innych, gdzie się czasy przeszłe rymują w tym samym rodzaju i liczbie; gdzie się spotykają takie rymy jak *cię* i *mię*, *dmie się* i *rwie się*, *ich* i *mych*, *jéj* i *swéj* (31), i tak daléj. Tak, iż zdawałoby się, że tłómacz nie zna wcale warunków wersyfikacyi artystycznéj, a wiersze dobre tworzy tylko przypadkiem.

W baladach jednak, przypadków tych jest kilka. Oprócz wymienionéj, „Król w Thule" oddaną jest także prawie bez zarzutu; toż samo rzecby można o innéj „Uczeń czarownika". A lubo, w całéj ich sumie, miejscami nie obejdzie się bez obrazy gustu artystycznego, rytmu lub harmonii, i lubo dalekim jest ich przekład od tego, by w tłómaczu odczuć można urodzonego poetę, balady te w całości tak jak są, bez porównywania ich z oryginałem, który wytwornością form i potoczystością dykcyi niezmiernie góruje nad tłómaczeniem polskiém, można je przecież przeczytać z pewną przyjemnością, nie wspominając już o pożytku, jaki wypływa z zapoznania się z Getem, w jakibądź sposób przedstawionym.

Ale nie tak się rzecz ma z pieśniami. Ta liryka Getego, powiewna, głęboka i tajemnicza jak muzyka, oszczędna w słowach a bogata w myśli i obrazy, potrzebuje istnie srebrnych strun, ażeby czarem dźwięku dopomagała słowu i uczyniła je tak melodyjném jak na to oryginał zasługuje. Jedna mała niedokładność w tonie, a całość zaraz ją odczuje. Zgrabnie oddał p. Zathey „Drugą pieśń nocną" w następującém brzmieniu:

„Na wierzchołkach drzew
Noc cicha;
Ciszą każdy krzew
Oddycha;
Ledwo listek drży;
I ptaszki zamilkły wśród lasu.
Czekaj—do czasu,
Spoczniesz i ty."

Jestto jedna z najudatniejszych w przekładzie i zupełnie pod muzykę gotowa. Maleńkiéj brakuje tam rzeczy, ażeby w całości odpowiadała oryginałowi. Kończy się ona wyrażeniem: „spoczniesz *i* ty". Ażeby to wyrażenie było ścisłym odpowiednikiem, czyli refleksem obrazu, o czém zdaje się świadczyć spójnik *i*, potrzeba iżby podobneż wyrażenie go poprzedzało. Logika wskazuje wprawdzie, że gdzie jest cisza tam może być i spoczynek (lubo niekoniecznie), ale logika dla poezyi nie wystarcza; poezya potrzebuje obrazów

wyraźnych. I tak też chce mieć oryginał: jest w nim dźwięk i oddźwięk. Oryginał zaczyna:

„Ueber allen Gipfeln
Ist *Ruh*.....

a kończy: „*Ruhest* du auch“, (na wszystkich szczytach jest spoczynek.... spoczniesz i ty); gdy w przekładzie polskim przeddźwięku tego zbrakło, a przez to, zakończenie straciło nieco na harmonii, jakiéj cała melodya wymaga.

Gdybyśmy takie tylko niedokładności mieli do zaznaczenia, obowiązek sprawozdawcy ograniczyłby się znacznie, ale z tytułu tegoż obowiązku zwrócić musimy uwagę na ważniejsze. I tak, weźmy pod rozbiór pierwszą zaraz „Skargę wstępną“ a zwłaszcza dwie pierwsze jéj strofy:

„Jak namiętne te westchnienia
Wyglądają tu spisane!
W jedną całość pozbiérane
Z dni radości i cierpienia.“

Pomijamy tu straszne ubóstwo rymów, na które jużeśmy zwrócili uwagę, ale porównajmy obrazy. Nasamprzód, westchnienie, nie odpowiada wyrazowi *Stammeln*, ani gramatycznie, ani przenośnie. Autor wyraźnie powiada: „to co się kiedyś wyjęczało namiętnie, jak też wyglądać będzie spisane!“ Więc też i drugie dwa wiersze są czystą parafrazą tłómacza, podstawioną na miejsce obrazowego zmysłowo wyrażenia: „A no! pójdę od domu do domu wyzbiérać rozpierzchłe kartki“. Jakże tu daleko jesteśmy od komunalnych „dni radości i cierpienia“, które mają się zebrać *w jednę całość!* (?). Następna strofa bardziéj jeszcze parafrazuje, przemienia samowolnie, i bardziéj jeszcze zaniszcza obrazowość na rzecz abstrakcyi tak wrogiéj dla poetyczności:

„Życia smutki i rozkosze,
Obraz szczęścia i niedoli,
Czytelnikom miłym gwoli
W tym tomiku tu przynoszę.“

Tymczasem autor tekstu, w związku z tém co powiedział poprzednio, że będzie chciał zbiérać „od domu do domu“, teraz sprowadza „pod jeden *dach* (nie zaś w prozaiczny *tom*)“ i podaje „dobremu czytelnikowi do ręki, to co długą i szeroką przestrzenią stało

od siebie rozdzielone.“ A więc nie ma tu ani smutków, ani rozkoszy, ani obrazu szczęścia i niedoli, które z obrazu uczyniły suchą nomenklaturę uczuć.

Takie przeistaczanie niejednokrotnie napotkaliśmy w tłómaczu, a jeżeli, jak w powyższym wypadku, możemy sobie to objaśnić trudnością układu wierszowego, w innych i ten nawet powód nie objaśnia nam wcale odstępstwa od tekstu. Pieśń „Nieprzystępna“ przedstawia pustą pasterkę, która śmieje się z darów ofiarowywanych jéj przez pasterzy, i odrzuca je. Jeden daje trzy owieczki, drugi wstążki; trzeci serce swe. Tekst opiewa, że na pasterce nie więcéj wrażenia sprawiło „i serce i wstążki jak gzy jagnięce“, czyli że rozśmiała się (nur la la! ralla). Tłómacz natomiast wyrzuca „jagnięce żarty“ zgoła samowolnie i powiada tylko: „ona z serca tak żartuje, jak ze wstążek,“ pozostawiając tym sposobem zakończenie pieśni zupełnie bladém. Zakończenie to staje się zgoła niezrozumiałém w następnéj pieśni: „Nawrócona“ i całéj téj pieśni nadaje inne niż w tekście znaczenie. Jestto pasterka, która, przeciwnie, zachwyca się na górach fletnią pasterza. W chwili zachwytu, pasterz, powiada, „ściągnął mnie. ah! do siebie na dół, i pocałował tak czule, tak słodko,“ co tłómacz wyraża po za autorem: „przeszły mię calutką dreszcze, gdy mi słodki całus dał.“ Ten całus, jakkolwiek go sobie wytłómaczymy, jest przełomem w życiu dziewczyny, która, gdy młodzieniec na jéj prośbę dalej przygrywał na flecie, powiada według tekstu: „Spokój mój zginął, radość moja znikła; a ja w uszach słyszę wciąż tylko ten dawny ton.“ Cóż to znaczy? Oto po prostu pasterka, w zwrocie do tonu wydanego przed tym symbolicznym całusem, wyraża żal za utratą téj czystości duszy, któréj już nie posiada: inaczéj nie można sobie wytłómaczyć tego stanu, w którym ginie „spokój i radość.“ Téj delikatnéj insynuacyi moralnéj nie pochwyciwszy tłumacz w nawróconéj sielskiéj Violecie, kładzie jéj w usta końcowe wyrazy zgoła inne niż w tekście, i całkiem naturę faktu psychicznego zmieniające, a nawet w myśli same z sobą sprzeczne:

„Tak spokojność moja znikła,
Moja radość znikła wnet,
Bom zanadto już przywykła
Słyszéć wciąż ten miły flet“.

Jakto! Więc ona znudziła się tylko miłością, i nic więcéj? Gdzież tu więc jest *nawrócenie?* Jeżeli się znudziła, dla czego flet nazywa miłym? Gdzie jest myśl zawarta w tekstowém wyrażeniu: „ich höre...“

immer nur den *alten* Ton?“ Jak można nie spostrzedz, że tylko ten *alte Ton* jest wyjaśnieniem tytułowego wyrazu *nawrócona*, która myślą, sercem i żalem wraca do przeszłości niecofnionéj.

Nie pójdziemy daléj w tym szczegółowym rozbiorze, boć i, co prawda, nie wszystkie pieśni wymagają takich sprostowań, lecz tylko niektóre. Nie bylibyśmy się nawet zapuszczali w takie szczegóły, wymagające i z naszéj strony przyłożenia się większego może niż przedmiot nastręcza, gdyby nie to, iż tłómacz w przedmowie zdaje się wyzywać do surowéj oceny, mówiąc, iż czytelnik tém mniéj potrzebuje być pobłażliwym, im przedsięwzięcie trudniejsze.

Kaz. Kaszewski.

KRONIKA NAUKOWA.

Nowe drogi nauki i przemysłu.

Szkice z wystawy paryskiéj.

Mikrofony.

Biorąc rzeczy głębiéj, pomiędzy telefonami Edison'a a mikrofonami Hugues'a, różnicy nie ma prawie żadnéj. Jestto po prostu zużytkowanie téj saméj własności niektórych przedmiotów, do których koks przedewszystkiem należy, lecz tylko w inny nieco sposób.

Słowo „mikrofon" zostało złożoném na wzór „mikroskopu" i aparat ten ma za zadanie, tak jak je pierwotnie postawiono, zwiększać słabe i niedosłyszalne dźwięki, jak mikroskop zwiększa obrazy przedmiotów. Zobaczymy późniéj o ile ta pierwotna definicya zgadza się z rezultatami doświadczeń.

Wynalazek mikrofonu datuje zaledwie od kilku miesięcy, to téż nie można jeszcze wyrzec o nim ostatniego słowa, a nawet postawić dokładnéj teoryi. Wszyscy się nim zajmują, doświadczenia są w toku i z dniem każdym dowiadujemy się o nowych rezultatach. Na wystawie, znajdujemy w kilku miejscach mikrofony, które tam zostały już w kilka tygodni po otwarciu przystawione, lecz nie przedstawiają one nic szczególniejszego i mało odbiegają od pierwotnéj formy nadanéj przez Hugues'a.

Nad mikrofon nie masz prostszego przyrządu i każdy z wielką łatwością może go sobie sam przyrządzić. Oto jego forma najprostsza i najmniéj potrzebująca zachodu do odtworzenia.

Na małej deseczce drewnianej, kładziemy kawałek koksu, wielkości pół orzecha laskowego; kawałek może być wcale nieociosany. Łączymy go za pomocą drutu z jednym biegunem jakiegokolwiek elementu jednego, lub też paru złączonych razem. Następnie strugamy z koksu (1) małą laseczką, mającą ze 3 centymetry długości a kilka milimetrów średnicy, i zaostrzamy ją u obu końców. Laseczkę taką opieramy jednym końcem, ledziutko, na poprzednim kawałku koksu a drugim na deseczce i łączymy jéj koniec za pomocą drutu z drugim biegunem elementu. Oto cały mikrofon. Prąd elektryczny zmuszonym jest przebiegać przez oba kawałki koksu, a więc i przez ich punkta styczności.

Dla uzupełnienia całości, trzeba w obwód drutu, łączącego oba bieguny, wstawić zwykły telefon Bell'a do słuchania. Wykazało się bowiem, że nie masz nad telefon czulszego przyrządu do wykazywania wszelkich zmian w natężeniu prądów i za pomocą jego nawet można dowieść istnienie takich prądów; których najczulsze galwanometry nie wskazują.

Otóż, jeżeli ustawiwszy aparat, w sposób wyżéj opisany, przyłożymy telefon do ucha i następnie dotkniemy bardzo lekko palcem do deseczki, na któréj stoi mikrofon, usłyszymy w telefonie taki hałas jakby się deseczka złamać miała. Dotknięcie nawet delikatném piórkiem zmienia się w szmer donośny. Przy dobrém ustawieniu słyszéć można muchę chodzącą po deseczce, a zégarek położony na niéj chodzi z hałasem jakby jaki zégar ścienny.

Doświadczenie to niezmiernie jest łatwém i każdy może je powtórzyć, posiadając telefon i jakikolwiek element galwaniczny.

Doświadczenia możemy jeszcze znacznie rozszerzyć, przedłużając druty idące od elementu i wynosząc telefon daléj, do sąsiedniego domu, albo téż do odległéj sali, tak żeby trzymający telefon przy uchu nie mógł wprost słyszéć dźwięków wydawanych przy mikrofonie.

I wtedy, z takiéj odległości, słyszéć można najdrobniejsze szmery, wstrząsające w jakikolwiek sposób mikrofonem. Dotknięcie palcem, dmuchanie, posuwanie włoskiem po deseczce, nawet chodzenie muchy, może być słyszaném ze znacznéj odległości.

Lecz w takiém ustawieniu, można zauważyć jeszcze inne, niemniéj ważne własności. Oto mikrofon jest wybornym telefonem;

Zamiast koksu zwykłego lepiéj jeszcze jest wziąć laseczkę węgla preparowanego, używanego w lampach elektrycznych, albo téż wyciąć ją z węgla wyjętego z zużytego elementu Bunsenowskiego.

skoro się mówi w jego blizkości, nawet stosunkowo bardzo cicho, to w telefonie słyszymy dobrze każdy wyraz. Nie trzeba nawet mówić nadto blisko od mikrofonu. Zbiéra on dźwięki z całego swego otoczenia i przesyła do telefonu. Udawało mi się nieraz, w laboratoryum fizyczném naszéj szkoły politechnicznéj, ustawić mikrofon w jednym rogu dużego pokoju a mówić doń z drugiego, z odległości około 10-ciu metrów, a w telefonie słychać wszystko było. W ogóle przesyłał on wszystko, w kształcie depeszy elektrycznéj co było mówioném w pokoju.

Dziwne i uderzające wrażenie robi prostota tego wynalazku, i nigdym się nie mógł wstrzymać od zdziwienia, mówiąc do dwóch małych, nieostruganych prawie kawałków koksu i będąc pewnym, że ktoś odległy może mowę moję słyszéć wybornie. Gdybyśmy coś podobnego usłyszeli przed okryciem telefonów, to nigdybyśmy takiemu zjawisku wiary nie dali. Przyrząd prosty, aż do śmieszności prawie, przesyła na dowolną odległość rzecz tak skomplikowaną, tak delikatną w odcieniach, jak ludzka mowa.

Najlepiéj jednak, udawało mi się zawsze przesyłać gwizdanie, które telefon z taką siłą powtarzał, iż mogłem doświadczenie to powtórzyć przed całém dość liczném audytoryum. Przystawiłem do otworu telefonowego tubę, zwiniętą z papiéru i gwizd słyszanym był w całéj sali.

Teorya mikrofonu nie jest jeszcze ścisłą. Przyrząd to jeszcze nowonarodzony, i nie było czasu do szczegółowego jego zbadania. W każdym razie przy jego działaniu odbywają się następujące zjawiska. Gdy nic nie wprawia koksu w drżenie, wtedy prąd idzie przezeń do telefonu bez najmniejszéj zmiany i nic w nim nie słychać. Lecz skoro tylko, pod wpływem jakichkolwiek dźwięków, nawet najsłabszych, kawałki koksu drgać zaczną, wtedy zmieniają one swe przewodnictwo, w jednéj chwili, są lepszemi przewodnikami, w drugiéj gorszemi, i raz po drucie prowadzącym do telefonu przebiega prąd silniejszy, potém słabszy i tak bez przerwy, a telefon zamienia, w znany sposób, te zmienne prądy elektryczne, na dźwięki.

Otóż dla czego koks zmienia swe przewodnictwo, gdy drży pod wylywem dźwięków? Jestto właśnie pytanie, które potrzebuje jeszcze ścisłego rozwiązania. Dotąd spierają się głównie dwa kierunki. Jedni powiadają, że w skutek drgań, powstają w drgającém ciele, w całéj jego masie, różne natężenia. Raz cała masa jest nieco ściśniętą, potém znów rozciągniętą. Te zmiany chwilowe mają wpływać na przewodnictwo i zmieniać je proporcyonalnie do drgań.

Według innéj teoryi, w gruncie rzeczy bardzo z poprzednią pokrewnéj, zmienne przewodnictwo polega na zmianie ilości punk-

któw styczności między obu kawałkami koksu. Przedstawmy sobie dwa takie kawałki, oparte jeden na drugim, i dajmy na to, że się one stykają w trzech miejscach, których suma przedstawia małą powierzchnię. Otóż przechodząc przez taki mały przekrój, prąd elektryczny znajduje dość silny opór.

Lecz gdy w bliskości powstanie szmer lub dźwięk jakikolwiek, to laseczka koksowa drgać zacznie, ilość punktów styczności będzie się zmieniać i gdy przedtém było tylko trzy punkta materyalne styczności, przy drgnięciu będzie ich pięć, dziesięć lub więcéj, gdy głos będzie silniejszy, drganie się wzmacnia i stykanie się jeszcze będzie silniejszém. Wtedy prąd znajduje większą powierzchnię do przejścia i idzie z większą siłą do telefonu. Zmienia się on wtedy proporcyonalnie do siły drgań, a nawet do ich długości i po drucie prowadzącym do telefonu idą prądy ciągłe, ale zmienne, których synteza i zamiana na dźwięk następuje w czułym przyrządzie Bell'a.

Jeśli sobie przypomnimy opis telefonu Edison'a i mikrotasimeton tegoż wynalazcy, to zauważymy, iż są one oparte na téj saméj zasadzie, co mikrofon, którego odkrycie przypisuje sobie Hugues. Nic więc dziwnego, że Edison' uroczyście zawindykował dla siebie pierwszeństwo wynalazku, twierdząc, iż Hugues jest zwykłym plagiatorem. Wywiązała się z tego polemika ostra i gwałtowna, tém przykrzejsza, że zamienia się w walkę dziennikarską, przechodzącą granicę przyzwoitości. W istocie rzecz się tak ma, iż Hugues wykazał tylko nowe zastosowanie własności fizycznych odkrytych przez Edison'a i wykazał, iż bardzo wiele ciał oprócz koksu i grafitu używanych przez Edison'a posiada te same własności, chociaż w różnym stopniu.

I tak np. mikrofon złożyć można z kawałków żelaza. Hugues używał do tego trzech zwykłych ćwieków. Jeden z nich połączył z jednym biegunem bateryi, drugi z drugim, i położył je równolegle na stole.

W poprzek, oparł na nich trzeci ćwiek zupełnie swobodny. W ten sposób powstał mikrofon, niezbyt czuły, ale zawsze jednak dający wcale niezłe rezultaty. Ćwieki są za ciężkie i z trudnością w drganie się wprowadzają. Daleko lepiéj udawało mi się doświadczenie, gdym zamiast ćwieków użył 3 zwykłe igły do szycia, nawlókłszy dwie z nich, zamiast nitką, cieniutkiemi drucikami, połączonemi z biegunami. Mikrofon tak urządzony, najlepiéj ze wszystkich mi znanych, przenosił mowę.

Najzwykléj używaną formę mikrofonu, którą kilkakrotnie spotykamy na wystawie, jest następująca. Dość małe deseczki drewniane, sklejone są prostopadle jedna do drugiéj. Na dolnéj przymocowuje się kawałek koksu z małém zagłębieniem u góry. Po nad tym kawał-

kiem, przylepionym jest do prostopadłéj deseczki drugi, pionowo nad nim się znajdujący i posiadający małe wydrążenie u dołu. Oba te kawałki połączone są drutami z odpowiedniemi biegunami elementu. Laseczka koksowa, zaostrzona u obu końców, ustawia się tak, że dolny jéj koniec wchodzi w zagłębienie dolnego kawałka koksu a górny górnego. Środkowa ta laseczka powinna posiadać wszelką swobodę ruchów i wcale nie trzeba jéj ściskać między górnym i dolnym kawałkiem. Najlepiéj jest jeśli się opiera tylko o ściankę górnego wydrążenia.

Przyrządy tego kształtu najbardziej są rozpowszechnione i na wystawie sprzedają się po kilka franków.

W ogóle kształty mikrofonu i materyał używany można zmieniać aż do nieskończoności. Co chwilę, jakieś pismo naukowe podaje nowe sposoby ustawienia i użycia nowego materyału i zdawałoby się, iż mikrofony robią znaczne i szybkie postępy. Jednak tak nie jest, i w saméj rzeczy prawie wszystkie nowe aparaty, których opis czytałem, są przeróbką jednego i tegoż samego zasadniczego przyrządu.

Zastosowań mikrofonu do celów praktycznych zrobiono także bardzo mało. Spodziewano się, iż odda on znakomite usługi w fizyologii, tam gdzie chodzi o zbadanie dosłyszalnych szmerów, lecz próby w tym kierunku, w bardzo wielu miejscach przedsięwzięte, nie dały nazbyt dobrych rezultatów. Urządzono aparaty mikrofoniczne do poszukiwania kamienia w pęcherzu, do osłuchiwania klatki piersiowej, lecz nie okazało to lepszych skutków jak dotychczas używane sposoby. Przyczyna tego nieudania się leży głównie w tém, że mikrofon zwykle zanadto jest czułym. Każdy najdrobniejszy szmer wzrasta do znacznych rozmiarów i powstaje w skutek tego w telefonie ogromna mieszanina dźwięków, trudnych do odróżnienia. Jeżeli np. zechcemy słuchać tętnic, to skomplikowane ruchy tętnicy tak silnie wstrząsają mikrofonem, iż słychać w nim hałas, z którego przebiegu faz w ruchach odróżnić prawie nie można.

Niedawno czasopisma naukowe francuskie podały opis tak zwanego mikrofonu stetoskopowego, który miał niby zastąpić znane stetoskopy, używane w medycynie do przesłuchiwania szmerów wewnątrz ciała ludzkiego. Mikrofon ten wyszedł pod firmą znanej fabryki aparatów fizycznych Ducretet'a, i zrobiono mu znaczną reklamę, która głosiła, iż za jego pomocą słyszeć można najdrobniejsze szmery z zadziwiającą dokładnością. Obejrzałem ten mikrofon w fabryce i przyszedłem do przekonania, iż w stanie, w którym się obecnie znajduje, jest zupełnie do niczego. Gdy się go przystawi do klatki

piersiowéj, to słychać wprawdzie wielki hałas, lecz szczegółów żadnych w nim odróżnić nie można. Wszystkie wstrząśnienia, nawet najdrobniejsze, oddziaływają jednocześnie na przyrząd i tworzą hałas nic niemówiący. To téż właściciel fabryki użalał się nawet, iż zrobiono jego przyrządowi niepotrzebną reklamę i sam nie przypisuje mu żadnej wartości.

Na posiedzeniu akademii paryskiej nauk (d. 7 października) p. Du Moncel pokazywał nowego rodzaju mikrofon, pomysłu p. Pollard'a, nazwany przezeń „śpiewającym kondensatorem“ (condensateur chantant). Najdziwniejszy to ze wszystkich przyrządów tego rodzaju, które dotychczas widziałem. Proszę sobie wyobrazić trzydzieści kartek papiéru wydartych z książki in 8-vo, poprzekładanych małemi arkusikami cynfolii. Jestto rodzaj butelki Lejdejskiej, w któréj piętnaście arkusików cynfolii formuje jednę powierzchnię, a drugich piętnaście drugą. Odpowiednie arkusiki ściśnięte są z sobą za pomocą blaszki metalicznéj. Otrzymujemy w ten sposób dwie armatury, i jeżeli jedną z nich naładujemy to w drugiej zgromadza się także przez wpływ pewna ilość elektryczności. Od jednej i od drugiej armatury idą druty do zwykłego mikrofonu, zasilonego sześciu elementami. Otóż gdy się śpiewa do mikrofonu, paczka cynfolii poprzekładanej papiérem zaczyna ten śpiew powtarzać i to z taką siłą, że słychać ją w całéj wielkiej sali. Siedziałem dość daleko od aparatu i szmer był w sali, a jednak mimo tego nie straciłem ani jednéj nuty.

Du Moncel śpiewał do mikrofonu umieszczonego o kilka sal daléj aryą z Trubadura. Znane i oklepane dźwięki śpiewu z więzienia rozchodziły się po całej sali. Słów nie było słychać, tylko same dźwięki. Trudno sobie wyobrazić coś dziwniejszego jak tę paczkę śpiewającą. Brano ją do ręki, śpiewała daléj, przyciśnięto ciężarem, głos wydobywał się daléj bez zmiany.

Zjawiska tego wytłómaczyć sobie dobrze nie można. Przyrząd jest tak świeżym, iż bardzo mało było czasu, na robienie z nim szczegółowych doświadczeń.

Wspomnieliśmy wyżéj, że teorya mikrofonów nie jest ścisłą, również jak całego szeregu nowych zadziwiających przyrządów, które się w ostatnich czasach pokazały, jak telefon Bell'a, telefon Edison'a, fonografu i innych. Przybywają coraz nowe fakta, które zamiast rozjaśnić kwestyą jeszcze bardziéj ją zaciemniają. I tak naprzykład p. Blyth z Edynburga podał opis nowego mikrofonu, który funkcyonuje bez użycia telefonu. Na jednéj stacyi mówi się do kawałków koksu, a na drugiéj, takież kawałki powtarzają mowę.

Rzecz to tak dziwna i niepojęta, żebym jéj nigdy nie uwierzył, gdyby mi się nie udało powtórzyć doświadczeń Blyth'a.

Blyth bierze dwa zwykłe szklane słoiki i napełnia je w trzech czwartych potłuczonym na drobne kawałki koksem. Do jednego i do drugiego słoika wstawia laseczki cynowe, wystające nad brzegi, i łączy te laseczki drutem izolowanym, w którego obwodzie wstawia się para elementów Grove'go lub Daniell'a. Do słoików nalewa wody, tak żeby koks był nią całkowicie oblany. Otóż i cały przyrząd. Gdy się mówi do jednego słoika, drugi powtarza mowę, wprawdzie bardzo niewyraźnie, lecz zawsze dość silnie, żeby można było odróżnić słowa.

To odkrycie tak dziwne i niespodziewane dotąd jeszcze zupełnie jest nie do wyjaśnienia.

Fonografy.

Z pomiędzy wielkich a najnowszych wynalazków nie masz prostszego nad fonograf Edison'a, a jednak nie masz także przyrządu, o którymby rozpuszczano tyle fałszywych wieści, o którego działaniu pisanoby tyle absurdów, któremuby przypisywano takie niestworzone rzeczy. Można to było wytłómaczyć, gdy fonograf był jeszcze rzadkością w Europie. Dziś jest już w handlu i każdy z łatwością może się weń zaopatrzyć.

Nie masz prostszego przyrządu, jak powiedzieliśmy, to téż z łatwością można go nawet samemu według rysunku zbudować i próbami doprowadzić do zupełnie dobrego funkcyonowania. Aparat, który sam sobie zrobiłem, idzie wcale nieźle i szedłby zupełnie dobrze, gdyby w budowie przyłożono było nieco więcéj starania i wykonano dokładniéj szczegóły. Na wystawie znajdowały się fonografy małe, wybornie powtarzające mowę, za które jednak brano po 200 fr., mimo że cała robota najwięcéj warta 50. W każdym razie, jestto jednak przyrząd, z którym można robić wszelkie doświadczenia, a powtarzający mowę tak głośno, iż ją we wszystkich zakątkach dużéj sali słyszéć można. Przez kilka dni miałem taki fonograf w ręku i, im więcéj się nim zajmowałem, tém więcéj przedstawił stron ciekawych do zbadania, tém bardziéj zadziwiał prostotą, posuniętą do śmieszności prawie.

Chociaż fonograf jest tak niespodziewaném zjawiskiem w dziedzinie wynalazków i chociaż służy do oddania tak skomplikowanego aglomeratu dźwięków jakim jest mowa ludzka, to jednak dziwić się należy, iż tak długo czekać trzeba było na jego wynalezienie, tém-

bardziéj, że już kilkakrotnie ludzie nauki byli tuż, tuż, koło rozwiązania kwestyi. Brakowało tylko postawienia jasnego celu, streszczającego się w słowach: powtórzenie dźwięku zanotowanego mechanicznie na papiérze.

Odkrycie fonografu poprzedzone było całym szeregiem przyrządów, mających za zadanie przedstawić na papiérze, w sposób graficzny drgań, które powstają przy wydawaniu dźwięków. Wszystkim znany jest dobrze fonautograf Leona Scott'a, który w swojéj budowie niezmiernie wiele ma podobieństwa do fonografów.

Przedstawmy sobie rurę szeroką u jednego końca, a wązką u drugiego. Otóż ten wązki otwór zakryty jest cieniutką błoną, dość mocno napiętą. Skoro tylko zaczniemy mówić do rury przez szeroki otwór, to błona drgać zacznie i to w ten sposób, iż drgania te będą w każdéj chwili zależne od drgań powietrznych, wywołujących wrażenie dźwięku. Błona napięta w fonautografie gra zupełnie taką rolę jak błona bębenkowa w naszém uchu, drgająca od uderzenia powietrznych fal głosowych. Na zewnętrznéj stronie błony fonautografu przyczepione jest małe i ledziutkie ostrze, które drga wraz z błoną.

Otóż jeżelibyśmy wzięli kawałek gładkiego papiéru, poczernionego sadzą, i przesuwali go po ostrzu, w chwili gdy do rury nic nie mówimy, to otrzymalibyśmy na takim papiérze prostą linię białą na czarném tle. Lecz jeżeli przesuwając będziemy śpiewali, lub téż mówili do fonautografu, to ostrze wraz z błoną drgać będzie, a przesuwając pod niém papiérek, otrzymamy na nim białą linię, ząbkowaną mniéj lub więcéj regularnie, która da nam wyraźny obraz wszelkich ruchów tego ostrza. Lecz przesuwając ręką papiérek nie moglibyśmy tego czynić dokładnie i długo, więc téż, p. Koenig w Paryżu buduje fonautografy w ten sposób, iż przed ostrzem umieszczony jest wałek mosiężny, dający się z łatwością za pomocą korby obracać. Gdyby taki wałek był w zwykły sposób na swéj osi umieszczony, to ostrze rysowałoby na nim podczas obrotu koło zamknięte w sobie. Lecz, żeby otrzymać większą drogę do przebiegu ostrza, wycięto na osi wałka śrubę, mającą mutrę w łożysku, tak że wałek obracając się, posuwa jednocześnie naprzód i ostrze fonautografu, rysuje na nim linię, zwaną wężownicą. W ten sposób na pokrytym sadzą wałku można na wielkiéj stosunkowo przestrzeni i przez długi czas notować wszelkie drgania ostrza.

Taki fonautograf daje możność przedstawienia graficznego drgań powietrznych, powstających podczas mówienia. Każda litera, każda samogłoska i każda spółgłoska ma swą postać charakterystyczną, i dokładając wielkich starań, przez porównanie można byłoby w ten

sposób zanotowaną mowę odczytać. Robiono w tym kierunku bardzo wiele ciekawych doświadczeń, Barlow i Rosapelly posunęli znacznie tę kwestyą naprzód, ale Edison rozwiązał ją ostatecznie w ten sposób, iż z rysunku mowy na papiérze cynowym, zrobionego drogą czysto mechaniczną, jak w fonautografie Scott'a, otrzymuje napowrót mowę, także drugą czysto mechaniczną.

Edison, jak powszechnie wiadomo, umieścił ostrze nie stycznie do wałka jak Scott, lecz w kierunku prostopadłym. Wzdłuż wężownicy po któréj się suwa to ostrze wyciął rowek i obwinął wałek cynfolią, zawieszającą się swobodnie po nad rowkami wałka, tak że może ono zagłębiać się swobodnie w tę cynfolią. Otóż jeżeli będziemy za pomocą korby obracać wałek i jednocześnie mówić do błony, to ostrze będzie się posuwało po cynfolii, robiąc w niéj rowek nierównéj głębokości. Dno jego będzie zazębione, a jeślibyśmy się przyjrzeli profilowi tego zazębienia tobyśmy się przekonali, iż jest on identycznym z tą linią zazębioną, którą ostrze rysowało na pokrytéj sadzą powierzchni wałka w fonautografie Scott'a.

Aż do tego więc momentu, różnica między notowaniem graficzném głosu w fonografie Scott'a a takiém że notowaniem w fonografie Edison'a, polega na tém, że w pierwszym ostrze rysuje poziomo po powierzchni wałka, a w drugim rysuje pionowo, t. j. robi rowek o dnie zazębioném.

Widzimy więc, że różnica nie jest istotną i że dotąd jest bardzo małą. I w jednym i w drugim razie zazębione linie przedstawiają nam szereg drgań błony, które, razem złożone, tworzą dźwięk i mowę artykułowaną. Linie te przedstawiają analizę mowy na jéj części składowe. Synteza nie była aż do ostatniéj chwili zrobioną z wyjątkiem kilku prób niezbyt udatnych. Barlow i Rosapelly starali się odczytać słowa, przez porównanie z sobą krzywych powstających przy notowaniu, lecz, jak powiedzieliśmy, nie otrzymali zadawalniających rezultatów. Dopiéro Edison'owi udało się w sposób genialny doprowadzić tę syntezę do skutku.

Zanotowawszy raz na cynfolii mowę w postaci rowku o dnie zazębionym przesuwa ją napowrót pod ostrzem, tak że podczas ruchu musi ono iść wzdłuż zazębienia, wpadać do dołków, podnosić się na miejscach wyniosłych i naturalnie odbywać takie ruchy, jakie odbywało podczas mówienia. Wraz z tém ostrzem drga błonka i powtarza to, co się poprzednio do niéj mówiło.

Tu się zwykle narzuca pytanie, również jak i przy powtarzaniu mowy przez blaszkę telefonu, jakim sposobem blaszka może powtarzać rzecz tak skomplikowaną jak mowę ludzką, która w naturze potrzebuje do wytworzenia tak złożonego i tak giętkiego aparatu,

jakim jest krtań ze strunami głosowemi i jamą ustną, które razem składają się na wytworzenie wszystkich składowych części mowy artykułowanéj. I w saméj rzeczy sprawa to trudna do pojęcia, tak trudna, że członkowie sekcyi fizyologicznéj francuskiéj Akademii umiejętności uznali ją wprost za niemożliwą i wyrzekli, iż telefony, mikrofony i fonografy są zwykłém oszustwem, a jednak jest to fakt, który istnieje i z którym nawet dość często się spotykamy, nie zwracając nań uwagi.

Dajmy na to, że mówimy z kimś znajdującym się w drugim pokoju przez cienką ścianę. Otóż nie ma wtedy wprost połączenia przez powietrze a jednak mowę słyszéć możemy. Fale głosowe, wydobywające się z ust naszych, uderzają o ścianę, wprowadzają ją w drganie, i dopiéro za jéj pośrednictwem drgać zaczyna powietrze, uderzając o błonę naszego ucha i wywołując wrażenie mowy. W saméj więc rzeczy nie słyszymy przez ścianę bezpośrednio osoby mówiącéj, lecz słyszymy ścianę, która nam powtarza to, co się do niéj mówiło.

Blaszka telefonu i blaszka fonografu gra zupełnie taką rolę. Gdy do niéj mówimy, mówi ona jednocześnie z nami. Drga, wygina się w rozmaitych kierunkach, powierzchnia jéj wykrzywia się w rozmaity sposób, a wszystkie te zmiany odpowiadają najzupełniéj zmianom w ludzkiéj mowie. Jeżeli więc, jak Edison, nadawszy blaszce ruchy zupełnie takie, jakie miała poprzednio, to będzie ona *mówiła.*

Z całéj téj sprawy, najbardziéj zajmującém i najciemniejszém dotąd jest to zjawisko, że wszystkie skomplikowane ruchy *całéj* blaszki dadzą się wywołać wprowadzeniem w ruch jednego tylko jéj punktu. Blaszka fonografu, przy powtarzaniu głosu, ruszaną jest tylko w jedném miejscu, tam gdzie do niego jest przymocowaném ostrze. Reszta jéj powierzchni, w niewytłómaczony ściśle sposób, sama się w ruch odpowiedni wprawia. W tém zjawisku leży głównie cała niespodzianka odkrycia Edisonowskiego, gdyż nikt przedtém nie przypuszczał jego możliwości, więc téż i nie próbował.

Jeszcze nic nie byłoby dziwnego, gdyby fonograf powtarzał same tylko tony muzyczne, oddając ich wysokość. I tak np. jeślibyśmy zaśpiewali, lub zagrali na jakim instrumencie nutę, dajmy na to *a* do fonografu, odpowiadającą, jak wiadomo, około dziewięciuset drganiom na sekundę. Nuta ta odbiłaby się na cynfolii jako zazębienie, i przy jéj rozwijaniu otrzymalibyśmy, kręcąc z równą szybkością jak poprzednio wałek, znowu tę samę nutę. Ostrze drgałoby zupełnie tyle razy, jak poprzednio, a więc musiałoby powtórzyć tę samę nutę. Czybyśmy poprzednio zagrali tę nutę na skrzypcach, czy téż na trąbce, albo ją zaśpiewali, to powinnibyśmy z fonografu otrzy-

mać zawsze ton jednakowy, różny od wszystkich poprzednich, co do barwy, lecz mający tę samę wysokość. Powiedzielibyśmy, że w skali muzycznéj zajmuje to samo miejsce. Lecz właśnie spotykamy w fonografie wręcz odmienne rezultaty. Grając poprzednio na trąbce, otrzymujemy następnie z fonografu głos trąbki, ze skrzypiec głos, który odrazu odróżniamy jako głos skrzypcowy, a mowa zostanie powtórzoną ze wszystkiemi samogłoskami i spółgłoskami. W tém leży cała nadzwyczajność działania fonografów.

Wiadomo już powszechnie, czém się różni głos wydawany przez różne instrumenta, i to tak dobitnie, że nie widząc możemy powiedziéć z jakiego instrumentu ten głos pochodzi. Kwestyą tę rozstrzygnął znakomicie Helmholtz i podał teoryą, potwierdzoną niezliczoném mnóstwem faktów. Wykazał on czém jest w istocie owa *barwa* głosu, stanowiąca różnicę między instrumentami.

Przypatrzmy się temu na jakimkolwiek przykładzie. Weźmy napiętą strunę i uderzmy ją palcem, zacznie ona drgać, wychylając się raz na dół, to znów do góry, w bardzo szybko po sobie następujących odstępach, i wyda ton odpowiedni do jéj napięcia. Jeżeli uważnie i wprawném uchem, wsłuchamy się w dźwięk téj struny, to usłyszymy, obok tonu zasadniczego, który nam oznacza stanowisko zajmowane przez tę strunę, w szeregu tonów muzycznych, inne zaledwie dosłyszalne tony, wyżéj nastrojone, na które nie zwracamy zwykle uwagi. Otóż każdy instrument, wydając ton główny i zasadniczy, wydaje jednocześnie cały akord tonów wyższych, które jednak są różne, w różnych instrumentach, i one to właściwie stanowią tak zwaną barwę głosu. Inny akord górnych tonów jest w piszczałce, inny w skrzypcach a inny znowuż w drgającym kamertonie.

Przyczynę powstawania tych tonów wyższych łatwo wytłómaczyć zdołamy, jeśli tylko sobie uprzytomnimy w jaki sposób drga każdy z instrumentów ton wydających. Zostańmy przy wyżéj podanym przykładzie, przy strunie napiętéj.

Otóż struna ta, oprócz drgania głównego odbywającego się w całéj jéj długości, odbywa jeszcze drgania uboczne, dzieli się na kilka części, z których każda drga jako całość, wywołując tony wyższe. Tony wydawane przez drgania uboczne są wyższe, gdyż struna jest podzielona na kilka części drgających osobno, a wiadomo, że jeżeli struna przy tém samém natężeniu jest krótszą, to wydaje ton wyższy. W ten sam sposób struna podzielić się może na więcéj jeszcze części i otrzymamy jeszcze więcéj górnych tonów.

Jeżeliby struna drgała jako całość i nie dzieliła się przytém na części, a zdołalibyśmy jednocześnie odjąć górne tony u piszczałki, u kamertonu i u trąbki, to niczém nie zdołalibyśmy odróżnić jednego

instrumentu od drugiego. Dopiéro przymieszanie górnych tonów daje im barwę charakterystyczną.

Jeżeli zamiast struny wyobrażamy sobie błonę napiętą, albo też cienką blaszkę metalową, to rzecz się będzie miała w sposób zupełnie analogiczny. Cała błona będzie drgała jako całość, będzie wydawała ton zasadniczy, lecz jednocześnie podzieli się na części wydające tony górne. Jeżeli mówimy do blaszki, to ten podział będzie odpowiadał tonom górnym, zawartym w mowie ludzkiéj. Otóż Edison wykazał swym fonografem, że wszystkie te drgania uboczne można wywołać na powrót, i dla tego też jego przyrząd powtarza barwę głosu.

Jak się to dzieje, nie wiadomo jeszcze; że się jednak tak dzieje jest faktem niezbitym.

Z głosem ludzkim rzecz się ma tak samo jak z instrumentami. I tu stanowią różnicę tony górne. Na jednę i tę samę nutę możemy śpiewać którąkolwiek z samogłosek, jak np. *a* lub *e*. Ton zasadniczy w obu razach będzie jeden i ten sam, jednak przy *a* będzie inny akord tonów górnych niż przy *e* i te górne akordy pozwalają nam odróżnić jednę samogłoskę od drugiéj. Teorya ta samogłosek została doświadczalnie stwierdzoną przez Helmholtz'a, i udało mu się, dodając do tonu zasadniczego jednego kamertonu, tony innych kamertonów, wydających tony wyższe, wywołać przez kombinacyą samogłoski.

Możemy zresztą to sami sprawdzić bardzo łatwém i ładném doświadczeniem. Podnieśmy wieko u fortepianu i przyciśnijmy jego pedał tak, żeby wszystkie struny były wolne i krzyknijmy do pudła samogłoskę *A*. Struny odpowiadające tonowi zasadniczemu i tonom górnym drgać zaczną i usłyszymy samogłoskę A, odesłaną przez fortepian jakby echo naszego własnego głosu.

Otóż ponieważ fonograf powtarza mowę ludzką, więc ostrze przyczepione do jego blaszki odbija na cynfolii wszelkie drgania, odpowiadające tonowi zasadniczemu i górnym.

Barwę głosu, dobrze zbudowane fonografy powtarzają z zadziwiającą wiernością. Naturalnie, że nie trzeba tylko wymagać za wiele i chcieć, żeby z fonografu dobywał się głos zupełnie taki sam, jak ten, który na cynfolii był zanotowanym. Zawsze się przejawiać muszą małe niedokładności w budowie, chropowatości cynfolii wywołują uboczne rzeczy, siła głosu jest mniejszą, więc też ogólny ton różni się nieco od pierwotnego. Fonograf daje nam jakby fotografią dźwięków, bardzo podobną, ale nie identyczną z naturą. Głos wydobywający się jest tak silnym, iż słyszéć go można w dużéj sali i zro-

zumiéć fonografową mowę, lecz ma on jakiś odcień głosu nosowego, jakby z piwnicy się wydobywającego, ma to, co Francuzi nazywają *voix de polichinelle*. Może przy użyciu lepszych materyałów, wada ta zostanie usuniętą, dotąd jednak żaden fonograf pozbyć się jéj nie mógł. Lecz mimo tego, barwa głosu przechowaną jest w takim stopniu, iż mowę artykułowaną zrozumiéć można, lub téż poznać odrazu jaki instrument grał poprzednio do fonografu. Naturalnie, że chcąc otrzymać wierne powtórzenie głosu, należy obracać walec z równą szybkością tak przy notowaniu głosu, jak téż i przy jego powtarzaniu. Jeżeli bowiem obracać będziemy wolniéj, to ilość drgań na sekundę będzie mniejszą i głos stanie się grubszym. Z głosu sopranowego można tą drogą otrzymać głos basowy i odwrotnie. Otóż chcąc, żeby głos był z zupełną wiernością powtórzony, należy urządzić mechanizm zegarowy, któryby zamiast ręki obracał osią wałka na którym jest nawiniętą cynfolia. Jeden wielki aparat tego rodzaju znajduje się w Paryżu i jest pokazywanym codziennie w sali wykładowéj na bulwarze kapucyńskim.

Jestto najlepszy fonograf ze wszystkich tych, które dotychczas były zbudowane, i daje on rezultaty rzeczywiście zadziwiające. Każdemu zwiedzającemu obecnie Paryż, radzimy nie opuścić téj sposobności obejrzenia fonografu. Powtarza on z zadziwiającą dokładnością wszelkiego rodzaju dźwięki. Arya, grana na trąbce, wychodzi potém z tuby fonograficznéj z taką siłą, iż w dużéj sali, mogącéj pomieścić kilkuset słuchaczów, słychać ją wybornie. Barwa głosu trąbkowego powtarza się zupełnie dokładnie. Dźwięki fletu wychodzą również dobrze, jak brzęczenie dziecinnego mirlitonu. Jest to nie do uwierzenia, że mała blaszka stalowa wydawać może dźwięki tak różnéj barwy i tak naśladujące różne instrumenta, że niepodobna odróżnić ich od dźwięków oryginalnych. Przy trąbce i mirlitonie rzecz to jeszcze nie tak uderzająca, bo instrumenta te mają ton brzęczący i łatwiéj się przez blaszkę powtórzyć dają. Lecz przy flecie rzecz jest całkiem inną. Ten mały dęty instrument posiada barwę zupełnie odmienną, nie znać w nim wcale brzęczenia i główny charakter nadaje mu dęcie. Otóż fonograf zachowuje w powtarzaniu wszystkie owe cechy charakterystyczne, i zdawałoby się, że słychać osobę dmuchającą, chociaż znowu, tak jak przy trąbce, mamy zwykłą, małą, okrągłą, drgającą blaszkę. Wygina się ona w taki sposób, powierzchnia jéj przyjmuje takie kształty, jak w chwili gdy się coś grało, i to co najdziwniejsza, w skutek drgania jednego jéj punktu, do którego przymocowaném jest ostrze.

Zjawiska te tak szczególne i niespodziewane, że dziwić się nie należy, iż fonograf tylu niedowiarków spotykał i dotąd spotyka. Trzeba

zobaczyć, trzeba samemu robić próby, żeby się przekonać, iż się nie jest ofiarą złudzenia.

Jedném z najciekawszych doświadczeń, które z fonografem robić można, jest następujące: mówi się najprzód silnym głosem i wyraźnie jakieś zdanie, które się odbija na cynfolii jako szereg zagłębień i wyniosłości na dnie rowku. Następnie cofa się wałek z cynfolią do pierwotnego położenia i śpiewa się, lub gra na instrumencie jakąkolwiek aryą. Ten nowy głos odbija się na powierzchni cynfolii, noszącéj już ślady pierwszego głosu. Otrzymuje się w ten sposób skomplikowana kombinacya dwojakiego rodzaju dźwięków.

Skoro zaczniemy wydobywać wtedy dźwięki, słyszymy i mowę i aryą jednocześnie, i oba głosy dają się dobrze odróżnić od siebie. Widziałem w ten sposób wykonywane duety, a nawet i cztery głosy razem. Zjawisko to jeszcze trudniejsze do wytłómaczenia niż zwykłe powtarzania, gdyż nie możemy sobie wyobrazić w jaki sposób na raz już zużytéj cynfolii, na zazębioném dnie rowku, może się odbić nowy fonogram, tak żeby wszystkie szczegóły nowego głosu były zanotowanemi. Wprawdzie przy tego rodzaju kombinacyi ostatni głos jest zawsze najdobitniéj zachowanym, to jednak, mimo kilkakrotnego uwarstwowania jednych fonogramów nad drugiemi, można, przy natężeniu uwagi, wszystkie od siebie odróżnić.

Inne również zajmujące doświadczenie robi się w sposób jeszcze łatwiejszy. Zamiast, żeby ostrze zbierało z fonogramu dźwięki, idąc tą samą drogą, po któréj szło przy notowaniu, obraca się wałek w odwrotnym kierunku. Otrzymujemy wtedy szereg dźwięków, idący wprost w przeciwnym kierunku. Okazało się przytém, że barwa głosu w takim wypadku wcale się nie zmienia. Głos trąbki pozostaje głosem trąbki, a mowa wychodzi tak jakbyśmy ją w odwrotnym kierunku czytali. Samogłoska np. *a* pozostaje zawsze *a*, czy ostrzem przesuniemy po cynfolii w jednym lub drugim kierunku. Lecz nie tylko samogłoski się powtarzają. I spółgłoski dają się odznaczać i tak np. sylaba *ba* przy powtórzeniu w kierunku odwrotnym staje się sylabą *ab*, i tak ze wszystkiemi innemi kombinacyami liter.

Ze wszystkich liter alfabetu, najwyraźniéj powtarza się litera *r*, którą widzimy na cynfolii jako szereg regularnych zagłębień. Najmniéj wyraźnemi są litery s, sz, ż, v, f, w, i zwykle giną one prawie zupełnie.

Wspomnieliśmy już, że jeżeli zmienimy szybkość obrotu wałka na którym jest cynfolia, to i wysokość tonu będzie zmieniona, chociaż barwa głosu pozostanie tą samą. I tak np. byłem obecnym przy doświadczeniu tego rodzaju: jakiś artysta śpiewak z konserwa-

toryum paryskiego, zaśpiewał do fonografu aryą z trzeciego aktu Wilhelma Tella głosem barytonowym. Fonograf był poruszany za pomocą mechanizmu zegarowego z regulatorem, tak, że gdy kazano napowrót przebiegać ostrza po zazębieniach cynfolii, to otrzymano zupełnie tę samę wysokość tonu. Było to najpiękniejsze doświadczenie z tych wszystkich, które widziałem.

Gdy pierwszy raz wywoływano napowrót dźwięki, śpiew wychodził nadzwyczaj czysto i wszystkie jego odcienia, wszystkie modulacye doskonale odróżnić można było. Robiło to wrażenie takie, jakby nie blaszka stalowa śpiewała, lecz jakby ten sam śpiewak znajdował się w sąsiednim pokoju i ztamtąd głos do naszych uszu dolatywał. Gdy następnie zmieniano położenie regulatora, i gdy wałek zaczął się szybcéj obracać głos barytonowy zamienił się na altowy. Przy mniejszéj szybkości stawał się basowym.

Śpiewano następnie duet na baryton i sopran. Śpiewak i śpiewaczka śpiewali do dwóch rurek, które się łączyły w jednę, tuż w blizkości blaszki fonografu. Duet ten wyszedł także bardzo dobrze i doskonale słyszéć można było oba głosy.

Z fonografami znajdującemi się w handlu doświadczenia ze śpiewem nie dają się dobrze powtórzyć, gdyż wałek trzeba w nich poruszać ręką, więc ruch nie jest jednostajnym i śpiew wychodzi fałszywie. Natomiast mowa wychodzi dobrze, słychać wyraźnie, przy dobrém ustawieniu, każde słowo, tylko intonacya się zmienia.

Głos raz odbity na cynfolii, w kształcie szeregu wypukłości i wklęśnień, może być wywołanym napowrót kilkanaście lub téż kilkadziesiąt razy. Ząbki nie zacierają się odrazu i nie tracą swego kształtu; wprawdzie po kilkakrotném użyciu głos słabnie, lecz zawsze jeszcze jest dość silnym, żeby go zrozumiéć można było. Zjawisko to kilkakrotnego powtarzania jest zadziwiającém, gdyż cynfolia jest bardzo miękką i z nadzwyczajną łatwością poddaje się pod ruchy ostrza. Otóż trudno sobie wytłómaczyć w jaki sposób ostrze, przesuwając się po niéj po raz wtóry, nie zatrze zupełnie śladów pierwotnych. Prawdopodobnie mamy tu przed sobą zjawiska, dość często uważane, że ciała obdarzone szybkiem ruchem, posiadające mocną siłę żywą, wywołać mogą skutki silne mechaniczne, mimo że są miękkiemi.

I tak np. znanym jest wszystkim z podręczników fizyki fakt, iż nabiwszy strzelbę świecą, można nią jak kulą przebić deskę dość znacznéj grubości. Otóż cynfolia, nawinięta na wałku, obraca się za pomocą korby, lub téż mechanizmu zegarowego, z dość znaczną szybkością (80 obrotów na minutę), ząbkowana więc jéj powierzchnia

posiada mocną siłę żywą, tak mocną, iż potrafi wprowadzić w pierwotne drżenie i ostrze i połączoną z nią blaszkę stalową.

Ze zwykłemi fonografami jest tu wielka niewygoda, iż gdy się raz naklei na wałek cynfolia, to chcąc wywołać napowrót głos, trzeba zostawić te cynfolią w pierwotnéj pozycyi na tym samym wałku, gdyż przeniesienie jéj na inny i dokładne ustawienie wymaga wielkiego ambarasu. Żeby zaradzić temu, Edison buduje obecnie fonograf innego nieco kształtu. Zamiast na wałku, cynfolia umieszcza się na płaskiéj ogrągłéj płycie, obracającéj się około swego punktu środkowego za pomocą mechanizmu zegarowego. Dajmy na to ostrze fonografu znajduje się koło obwodu płyty. Podczas obrotu rysuje ono koło zamknięte w sobie. Jeżeli jednak nadamy mu wtedy powolny ruch w kierunku do środka płyty, to będzie ono opisywać wężownicę o coraz mniejszych zwojach. Otóż ten ruch dośrodkowy uskutecznia się także za pomocą mechanizmu zegarowego, a na płycie, pod cynfolią,wyciętym jest rowek, w kształcie wężownicy, odpowiedni do przebiegu ostrza. Tą drogą nie potrzeba wiele ambarasu, gdyż po prostu kładzie się cynfolia na płytę, nie naklejając jéj wcale; łatwo jest zdjąć ją i położyć napowrót w innym instrumencie, mającym te same rozmiary a znajdującym się w inném miejscu.

Najważniejszą, istotną część fonografu stanowi blaszka, odbijająca za pomocą ostrza swe wibracye na cynfolii. Od dokładnego jéj ustawienia i umocowania oraz od kształtu ostrza zależy całkowicie dobre funkcyonowanie aparatu. Okazało się, że im bardziéj ustawienie i umocowanie blaszki zbliżoném jest do budowy błony bębenkowéj w naszém uchu, tém odbijanie i powtarzanie głosu lepiéj się odbywa. W tym celu cały obwód blaszki okrągłéj jest mocno ściśnięty między kauczukowemi poduszeczkami, żeby miała ona charakter najbardziéj zbliżony do napiętéj błony. Oprócz tego w kilku miejscach powierzchni blaszki, małe poduszeczki kauczukowe tłumią nadto silne jéj drgania.

Ostrze nie jest bezpośrednio przymocowaném do blaszki. Umieszczone jest ono na końcu prostéj sprężynki biegącéj równolegle do blaszki, którą ciśnie w kierunku ku blaszce. Otóż pomiędzy końcem téj sprężynki, niosącém ostrze, a blaszką, ustawionym jest kawałek kauczuku dość silnie przyciskany przez sprężynkę do blaszki. Doświadczenia wykazały, iż urządzenie tego rodzaju jest koniecznem, aby jedną i tąż samą blaszką można było notować głos na cynfolii a potém go powtarzać.

Od strony zewnętrznéj, od strony ust osoby mówiącéj, blaszka nie jest otwartą zupełnie i nie cała jéj powierzchnia wystawia się na

działanie fal głosowych. Przykrytą jest ona deseczką, która tylko w środku ma otwór okrągły, około dwóch centymetrów średnicy. I to urządzenie, niedostatecznie motywowane przez teoryą, okazało się koniec ném z licznych doświadczeń. Gdy blaszka była wystawioną cała na działanie głosu, wtedy litery s, n, z, w, f i podobne nie odbijały się dobrze i nie dobrze było je słychać.

Używając fonografu, przykłada się usta do samego otworu i mówi się głosem silnym i dobitnym, akcentując każdą sylabę. Pierwsze próby, kiedy się jeszcze nie posiada wprawy, nie udają się zwykle, i dopiéro po kilkakrotném używaniu znajduje się dobrą miarę, tak dla siły głosu, jak téż i dla szybkości obrotu.

Bruno Abakanowicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Sprawa o wyrób 6.000.000 szufli i o granice obowiązków obywateli ziemskich, tudzież objaśnienie: dla czego właściciele lasów olszowych nie mogą zarabiać po 450.000 rs. za szufle.—Dozór budowlany w Warszawie, który nie czuwa ani nad gruntem, ani nad materyałem, ani nad ludźmi, ani nad budowlami.—Kanalizacya i proszek odwietrzający Maxa Fridricha.—Dawny projekt założenia towarzystwa higienicznego. — O losie podrzutków.—Projekt towarzystwa pomocy dla uczącéj się młodzieży.—Pewien sposób pomagania sobie we Francyi.—Rozbiory chemiczne ziemi w Instytucie puławskim.—Projekt p. Boguskiego, dotyczący fizyczno-chemicznéj pracowni dla średnich zakładów naukowych w Warszawie. — Reforma sądów gminnych.

Pewien właściciel ziemski w Płockiém posiada 24 włók lasu olszowego. Z téj racyi zgłosił się do niego jakiś przedsiębierca niemiec z propozycyą, aby obywatel wygotował mu 6.000.000 szufli po 30 kop. za sztukę i takowe odstawił do kolei o parę mil odległéj. Przedsiębierca dawał 30.000 rs. zadatku i zobowiązywał się dostarczyć z Prus robotników, biegli zaś obrachowali, że właściciel lasu, po potrąceniu wszelkich kosztów, mógł na czysto zyskać po 7½ kop. na jednéj szufli czyli 450.000 rs. na wszystkich.

Obywatel jednak propozycyi téj nie przyjął i wiele obiecującego zarobku wyrzekł się, jakoby z obawy kłopotów administracyjnych i nieprzyjemności z robotnikami. Za to prasa warszawska i prowincyonalna, jak jeden mąż, udzieliła mu surowe upomnienie.

Z opowieści téj, którą zapewne czytelnicy już na pamięć umieją, wypływa wniosek, że łatwiéj u nas o 24 włók kniei olszowéj, aniżeli o ludzi do wyrobienia 6 mil. szufli, a jeszcze łatwiéj o morał.

Morał w czasach obecnych jest potrawą, która podaje się każdemu za wszystko, a wytwarza z najrozmaitszych materyałów. Gdy-

by nieszczęsny ziemianin przystał na projekt i sprowadził pruskich robotników do wyrobu szufli, postawionoby go w liczbie tych nieprzyjaciół kraju, którzy niszczą bogactwa terytoryalne przy pomocy „obcych a wrogich nam żywiołów.“ Gdyby, co nie jest niemożliwe, zamiast zyskać 7½ kop. na szufli, stracił na każdéj choć po 1 kop. i tym sposobem do swego lasu dopłacił 60.000 rs., wyśmianoby go jako lekkiewicza, który sam sobie jamę wykopał, biorąc się do nieswojéj rzeczy. Takich „gdyby“ może być i więcéj, a każde z nich przyda się na morał.

Niezawodnie, wielki to już postęp, że obok danych faktów umiemy stawiać inne wprost przeciwne: dowodzi to rozbudzenia się wyobraźni na gruncie kwestyj społecznych, a tém samém gorętszego zajmowania się niemi. Pocieszajmy się nadzieją, że po téj fazie nastąpi inna: objaśniania faktów za pomocą związku przyczynowego, co czytającą publiczność lepiéj wykształci.

W przykładzie powyższym, byłoby niewątpliwie korzystne, ażeby ów ziemianin, na swoim lesie zyskał 450.000 rs. na czysto. Sądzę jednak, że byłoby jeszcze korzystniéj, gdyby ziemianin zyskał tylko naprzykład 200.000 rs., i aby pozostałe 250.000 rs. stały się udziałem pewnéj liczby techników, administratorów, dozorców i robotników krajowych. Przeciw temu nikt chyba nie zaoponuje? Nieszczęściem na interesie tym nikt u nas nie zyska, ponieważ nie mamy ludzi, którzyby go do skutku doprowadzić mogli!

Stawiając kwestyą na gruncie realnym, dziwną mi się trochę wydaje pretensya: aby posiadacz lasu olszowego miał się znać na wyrobie szufli. On ma swoje gospodarstwo, parobków, inwentarze, budynki, rachunki, których pilnować powinien i które zapewne dostatecznie czas mu zapełniają. Jak hutnik wytapiający surowiec nie ma obowiązku wyrabiać sprężyn zégarowych, tak właściciel lasu nie może mieć obowiązku do produkowania szufli. Jego rzeczą jest ułożyć się ze specyalistami, im oddać kierunek robót i przypadającą za nie część zysków, ale po za obrębem tego chyba nic więcéj.

Tu leży środek ciężkości kwestyi, a zarazem nader pospolitego błędu w poglądach na obowiązki ziemian. Wszakże oni nie mierzą pól, nie zakładają ogrodów, nie robią machin, a pomimo to z czynności tych korzystają, ponieważ kraj nasz posiada geometrów, ogrodników i mechaników, a przynajmniéj kowali. Jeżeli zaś nasze gospodarstwo wiejskie pod tysiącznemi innemi względami szwankuje, to nie tyle z powodu, że obywatele nie umieją technologii, weterynaryi, piwowarstwa, hodowli ryb i t. d., a to dla tego, że nie ma specyalistów.

Nie szukając daleko, sam las przyniósłby kilka a może i kilkanaście razy więcéj zysków, gdyby zamiast bez wyboru ciąć drzewo, przerabiano je na deski, sztuki okrętowe i podkłady do kolei, a resztę na produkta suchéj dystylacyi. Kto się jednak tém zajmie? gdzie są robotnicy, kierownicy, gdzie wreszcie szkoły, w którychby przygotowywano jednych i drugich?

W naszém życiu społeczném pełno jest tego rodzaju szczelin przez które wyciekają najszacowniejsze bogactwa narodowe. Straty podobne przykre, nieszczęśliwe, związane są z innném, ogólniejszém nieszczęściem, któremu imię nizki rozwój cywilizacyjny. Przeszłość nie zostawiła nam ani rękodzielniczych, ani przemysłowych, ani handlowych tradycyj, nie posiała nawet nasion, z których rzeczy te powstaćby mogły. Nam więc próżno uganiać się za skutkami przyczyn nieistniejących, możemy co najwyżéj, wskazywać zło i, powołując się na fakta, zachęcać ogół do robienia tego, czego poprzednicy nie zrobili.

W społeczeństwie potrzebni są nie tylko specyaliści, ale jeszcze dobre nałogi, zwyczaje, pilny dozór w końcu. Dowody na to znajdziemy w sercu kraju, ognisku życia naszego, w Warszawie. Opatrzność nie poskąpiła nam ani gliny, ani cegielni, ani budowniczych, a jednak, domy się u nas walą i to nowowznoszone, nieukończone jeszcze.

Wypadków takich mieliśmy już dwa: Jeden przed paru laty na ulicy Dzikiéj, drugi przed kilkoma tygodniami na Wspólnéj, przyczém zginął nawet jeden robotnik, a czterech zostało okaleczonych. Dodać wypada, że kamienicę stawiał budowniczy, za własne piéniądze.

Fakt ten różni różnie tłómaczą. Ci składają winę na grunt, który w owych stronach ma być nasépowy i zwilżony ukrytemi źródliskami. Gdy więc dom wzniesiono, wątła warstwa ziemi pod naciskiem ścian mogła usunąć się i dom runął. Inni znowu domyślają się, że powodem nieszczęścia mogła być zła cegła, przygotowana z gliny, w któréj znajdują się niewidzialne dla zwykłego oka sole, łatwo rozkładające się pod wpływem wilgoci i niszczące cegłę. Ale są inni, którzy twierdzą, że przyczyny walenia się domów szukać należy zarówno w niesumienności właścicieli cegielni, jak budowniczych i mularzy, a nadewszystko w niedbalstwie władz technicznych.

Tym ostatnim w każdym wypadku wytłómaczyć się trudno. Dla czego pod Warszawą tolerowane są cegielnie, wyrabiające materyał tak zły, że aż policya nakazywała „matami przykrywać wozy z cegłą" dla zabezpieczenia przechodniów od kurzu! Dla czego, jeżeli pewna część ulicy Marszałkowskiéj i Wspólnéj jest podminowana przez bagno, wolno budować w tamtych stronach bez przedsięwzięcia odpo-

wiednich środków ostrożności? Dlaczego, pomimo przepisów prawa, niektóre domy mają ściany za cienkie i budują się jeszcze w miesiącu Listopadzie?

Słyszymy o gniciu belek w gmachach przed paroma laty wzniesionych, czy z tego wnosić należy, że sztuka ciesielska nie jest obwarowana żadnemi ustawami, i że cieśla, używający niestosownych belek, nie może odpowiadać przed sądem?

Idąc daléj, proszę przejrzéć nowe kamienice i obrachować, w ilu z nich pomyślano o urządzeniu wygodnych i do oczyszczania łatwych miejsc ustępowych? A jakiego rodzaju i jak obszerne są tam mieszkania dla stróżów? Gdzie wreszcie jest choćby najmniejszy ślad dbałości o symetryą dwu domów sąsiednich, o estetykę? Niektóre ulice zabudowują się dopiéro, a przecież nie tylko nikt nie myśli o nadaniu pięknego pozoru, ale nawet o zasadniczym związku, jaki istnieć musi między wysokością kamienic a szerokością ulicy. Gdzie indziéj ulice są alejami, placami nawet, w porównaniu do naszych przypominających ciasne i zaduszne wąwozy. Kanalizacya nie wiele przyczyni się do oczyszczenia powietrza, wśród tych kiszek, w których przechodzącemu nawet oddychać trudno.

Przyszła rada miejska, już jakoby dla Warszawy zatwierdzona, dużo będzie miała do roboty. Dzisiejszy bowiem zarząd, wszelkie ważniejsze reformy, odkłada do czasu, w którym kierunek spraw i funduszów miasta obejmą wybrani „ojcowie.“ Uważać to mu należy za zasługę, tém bardziéj, że obecny prezydent, pragnąc ułatwić zadania przyszłéj municypalności, zgromadza materyały i wygotowuje plany, między któremi najznakomitsze zajmuje stanowisko; projekt kanalizacyi, zrobiony przez doświadczonego inżyniera Lyndley'a.

Nawiasowo dodajemy, że na kilka dni przed wigilią woda ze wszystkich kranów wodociągowych cuchnęła karbolem, co pokazuje, iż uznano za stosowne oczyścić ją, jako obejmującą przymieszki dla zdrowia szkodliwe. Otóż w projekcie p. Lindley'a Warszawa ma otrzymać więcéj wody i czystszą wodę, cały zaś system kanałów obrachowany jest na 600.000 ludności, cyfrę, do któréj miasto nasze szybko podąża. Koszt urządzenia wyniesie 6.000.000 rs., umarzalnych w ciągu lat 30; bliższe zaś szczegóły projektu ogłoszone zostaną w broszurze mającéj wyjść niebawem z druku.

Tymczasem dzienniki zastanawiają się nad własnościami środka, który dziś ma zastąpić, a w przyszłości, uzupełnić skutki kanalizacyi. Mówimy o proszku odwietrzającym, wynalezionym przez p. Friedricha w Lipsku i już sprowadzonym do Warszawy.

Wiadomo, że w mieszkaniach, podwórzach i na ulicach, nawet czyściéj utrzymywanych niż warszawskie, pełno jest szczątków gnijących i zarodków organicznych, które powodują najcięższe choroby: tyfusy, cholery, malarye i t. d. Kanalizacya rzeczy tych dokładnie nie usuwa, część ich bowiem zawsze może w coś wsiąknąć lub do czegoś przylepić się i z tego powodu niezbędnemi są pewne odczynniki chemiczne, niszczące zarodki chorób. Materyały takie używane pojedyńczo nie we wszystkich przypadkach okazywały się skutecznemi. Dla tego umyślono mieszać niektóre z nich, a produktem powstałym z podobnego zmieszania, jak twierdzi dr. Dobieszewski, silnie odwietrzającym, była dotychczas: masa Süwerna; dziś obok niéj stanął proszek Maxa Fridricha, podobny a nawet pod pewnym względem lepszy od mieszaniny poprzedniéj. Doświadczeń na większą skalę z proszkiem Fridricha nie robiono jeszcze; dr. Dobieszewski jednak sprawdził osobiście, że materyał ten szybko odwania wszelkie cuchnące, zanieczyszczone miejsca i naczynia. Ponieważ na odwietrzenie jednéj osoby dziennie wystarcza pół łuta proszku, pud zaś kosztuje rs. 3, miesięcznie zatém jedna osoba, na zabezpieczenie się od chorób, wydawałaby około 8 groszy, co jest istotnie nie drogo.

W ścisłym związku ze zdrowiem miasta pozostaje myśl założenia towarzystwa higienicznego, rzucona w pewném kole osób wpływowych bardzo już dawno, a świeżo poruszona w dziennikach. Kto wie, że na przedłużenie życia nie tyle oddziaływają środki apteczne, ile raczéj przestrzeganie praw higieny i dyetetyki, ten musi życzyć powodzenia projektowi i ubolewać, że go nie wykonano dotychczas.

Istotnie higiena w kraju naszym potrzebuje czynnego apostolstwa. Żywe słowo i pismo nie wystarczą tu, potrzebny jest bowiem dozór, dozór nie powierzchowny, policyjny, ale rzeczywisty, wykonywany przez całą publiczność. Gdyby proponowane towarzystwo przyjęło się u nas, a członkowie jego posiadali choć takie atrybucye jak członkowie towarzystwa opieki nad zwierzętami w Warszawie i w kraju, zobaczylibyśmy dziwne zjawiska. Kto wie, czy nie poruszonoby wówczas odwiecznych kup śmieci i brudów, zkąd każdéj jesieni, wiosny i lata promieniuje zaraza. Czy nie znalezionoby środka na zamknięcie obrzydłych studzien z wodą zaskórną i wykopania głębszych dla wody źródlanéj. Czy nie zbadanoby dziejów suteryn, poddaszów i owych setek mieszkań wilgotnych, cuchnących, zakażonych, których nikt nie oczyszcza. Czy nie wynalezionoby zreformowania miejsc ustępowych i dopilnowania tego, aby przynajmniéj w nowych kamienicach budowano je dla użytku, nie zaś

dla zamydlenia oczu policyi i rozszerzenia chorób w Warszawie. A może w dalszym ciągu swéj błogiéj działalności, towarzystwo higieniczne przejrzałoby lokale zajmowane na zakłady naukowe prywatne i zbadało: o ile pomieszczone w nich dzieci mają światła, powietrza; czy ławki urządzone są tak, aby nie przyczyniały się do zwiększenia liczby garbatych, krótkowidzów i suchotników?

W niejakim związku ze sprawami higienicznemi znajduje się kwestya podrzutków. Dawniéj każde niemowlę, opuszczone przez matkę, znajdowało pomieszczenie w szpitalu Dzieciątka Jezus; gdy jednak cyfra ich dosięgała rocznie kilku tysięcy, brak więc mamek, opieki, nawet powietrza i wiele innych przyczyn znanych we wszystkich tego rodzaju instytucyach, wywoływał między dziećmi ogromną śmiertelność. W celu zapobieżenia temu zarząd szpitala postanowił, że przyjmowane będą do zakładu tylko niemowlęta z rodziców, a przynajmniéj z matki zamieszkałéj w Warszawie urodzone.

Postanowienie to poprawiło niewątpliwie los dzieci umieszczonych w zakładzie, ale sprawę podrzutków w ogóle pogorszyło. Przedewszystkiem bowiem matki, niemające żadnych funduszów, poczęły potomstwo swoje składać na ulicach, nieco zaś zasobniejsze, oddawać do akuszerek, których opieka z konieczności wywołać musi taką śmiertelność, jaka istniała w szpitalu w czasach najgorszych.

Ogromna cyfra podrzuceń ulicznych zwróciła uwagę osób litościwych, a przedewszystkiém pań, które postanowiły zająć się dolą opuszczonych niemowląt i otworzyć dla nich instytucyą, niezawisłą od zarządów szpitalnych. Stosowny projekt agituje się obecnie w sferach majętniejszych; o rezultacie zaś po urzeczywistnieniu go doniesiemy.

Przed kilkoma tygodniami „Kuryer Warszawski" wspomniał o potrzebie zawiązania towarzystwa opieki nad uczącą się młodzieżą, na co p. Ludwik Jenike, redaktor „Tygodnika Ilustrowanego", odpowiedział, że nie tylko projekt podobny, ale nawet odnośna ustawa od kilku lat istnieje. Fakt ten, nie wspominając o wielu innych, dowodzi, że znajomość potrzeb kraju i chęć zaspokojenia ich nie obce są naszéj publiczności, lecz że oprócz nich znajduje się mnóstwo przeszkód, wszelki zdrowy rozwój tamujących.

Cel towarzystwa polegać ma na tém, aby młodzieży, głównie kształcącéj się w zakładach niższych i średnich, udzielać pomoc w formie jednorazowych czy stałych zasiłków: w książkach i odzieży, a wreszcie w wyszukiwaniu pracy. Fundusze zaś wpływałyby ze składek członków, ofiar i zapisów; z koncertów, odczytów a w końcu z darów w naturze. Pomoc, jak widzimy, wielostronna, dostatecz-

na, a nadewszystko pewna, ogół nasz bowiem na oświatę grosza nie skąpi.

Projekt ten nastręcza ważne pytanie: czy pomoc, szczególniéj stała, ma być udzielaną, o ile fundusze pozwolą, bezwarunkowo wszystkim młodzieńcom ubogim, a mianowicie tym, którzy pierwéj o nią poproszą, czy téż towarzystwo ze swéj strony dla korzystania z niéj położy pewne warunki?

Sposób pierwszy praktykuje się dziś, prawie we wszystkich pomocach tego rodzaju. Zwierzchność szkolna za dostateczną kwalifikacyą do zasiłków uważa dobre stopnie z nauk, a więc przedewszystkiém z języków starożytnych, a następnie dobre sprawowanie, czyli gorliwe pełnienie przepisów.

Dodajmy w końcu, że chłopiec ubogi, dokonawszy tak herkulesowéj pracy jaką jest uzyskanie patentu szkolnego, nie wiedząc co z nim począć, znowu zużywa siły na ukończenie uniwersytetu, albo którego ze specyalnych zakładów i w rezultacie nie otrzymuje zajęcia, któreby mu wynagrodziło czas poświęcony naukom.

Skutkiem tego rodzaju kombinacyj, z któremi łączy się jeszcze dotkliwy brak średnich i wyższych zakładów specyalnych w kraju, młodzież uboga z większemi zdolnościami marnuje się lub nie produkuje nic dla nas, zdolności mierne nie mogą rozwinąć się, ani być zużytkowane w kierunku odpowiednim, a rzemiosła, przemysł i handel czują niedostatek sił nowych, któreby je odświeżyły i podniosły.

Choć w części zapobiedz złemu może towarzystwo pomocy dla uczącéj się młodzieży, jeżeli zasiłki swoje dawać będzie w formie stypendyów przeważnie dla tych chłopców, którzy, ukończywszy pięć czy siedm klas, zechcą się następnie wziąć do jakiegoś praktycznego zajęcia, uzupełniając takowe nauką rysunków, buchalteryi, mechaniki, chemii, do czego już dziś pomoc znaléźć mogą bądź w salach rysunkowych, bądź w laboratoryum chemiczném Muzeum przemysłu i rolnictwa, a wreszcie w specyalnych książkach zrozumiałych dla ucznia, który kilka klas przeszedł. Mówiąc tak, wychodzimy z zasady, że najlepszą formą pomocy jest wskazanie kierunku młodzieńcowi, i że lepiéj jest małą liczbą przygotować do chlebodajnych zajęć, aniżeli rozsiać pieniądze między wielu, niewiedzących do czego dążą i co robić będą, ukończywszy swoje studya.

Przy wyborze tego rodzaju stypendystów należałoby nie tyle kierować się pochwałami oddawanemi im przez szkołę, ile raczéj zbadaniem ich stosunków rodzinnych. Wiadomo, że są familie niezdolne zaszczepić w dzieciach swoich żadnych moralnych ani obywatelskich uczuć, jak również i takie, które od najmłodszego wieku

wpajają w dzieci najszlachetniejsze zasady. Pierwsi zwykle najwięcéj mają pretensyi do świata i najgłośniéj umieją dopominać się o pomoc, drudzy zawsze pozostają w cieniu. Wynaléść rodziny skromne a uczciwe, ich potomstwu dać oświatę i sposób do życia, wspierać niekoniecznie celujących, ale w duchu obywatelskim wychowanych, oto zadania, które towarzystwo pomocy również powinno mieć na względzie.

Prawda, że nie są to rzeczy łatwe; prawda jednak i to, że groszem publicznym należy szafować bardzo umiejętnie, tak aby ogół składający ofiary korzyść z tego odnosił. Nie wątpimy, że jeżeli utworzy się towarzystwo pomocy dla młodzieży, wówczas członkowie jego potrafią wywiązywać się z dobrowolnie przyjętych obowiązków.

Co się tyczy młodzieży ubogiéj a kształcącéj się w wyższych zakładach naukowych, dla pożytku jéj wspomnimy o pewnym zwyczaju, praktykującym się we Francyi. Tam kto chce kończyć studya wyższe, przedewszystkiém zabezpiecza swoje życie i polisę oddaje bankierowi pod następnemi warunkami. Bankier opłaca należną składkę towarzystwu i daje młodzieńcowi piéniądze na koszta edukacyi, on zaś zobowiązuje się, po uzyskaniu posady, spłacić dług w taki sposób zaciągnięty. W razie śmierci młodego człowieka, bankier naturalnie piéniądze wyłożone odbiera natychmiast. Jest tu pewien stopień ryzyka, trafić się bowiem może, że zaciągający pożyczkę nie umiera, lecz marnuje się przed czasem i długu nie spłaci; wypadki podobne jednak muszą być bardzo rzadkie.

Sądzimy, że układy tego rodzaju możliwe są u nas w sferze przemysłowéj i handlowéj. Ktoś przypuśćmy zechce ukończyć szkołę techniczną, albo pracując już w jakimś zawodzie wyjechać zagranicę dla uzupełnienia swojéj wiedzy i wprawy. Otóż stanowisko technika, inżyniera, wykształconego rzemieślnika, buchaltera, przedstawia dużo rękojmi wypłacalności, byle z niém łączył się prawy charakter. Ponieważ ryzyko w téj rzeczy ze strony ludzi młodych nie jest wielkie, mógłby téż który z nich zapytać jakiego rozumnego finansistę: czy nie zgodziłby się na powyższą kombinacyą? Układ taki, gdyby się udał, byłby lepszy od wszelkich wsparć i przed młodzieżą otworzyłby nowy horyzont.

W pamiętnikach akademii agronomicznéj w Nowéj Aleksandryi, (Puławach) znajdujemy sprawozdania o badaniach ziemi rolnéj, przedstawione przez p. K. Malewskiego. Uczony ten w ciągu roku 1876 analizował ziemię z sześciu punktów, w okolicach Puław leżących, w roku następnym dokonał 36 badań; p. Cichocki zaś docent Insty-

tutu 82. Próby ziemi brano z gubernii Królestwa (z wyjątkiem Siedleckiéj i Suwalskiéj) tudzież z gub. Grodzieńskiéj, Kijowskiéj i Tambowskiéj. Z Królestwa najwięcéj okazów dostarczyła gub. Lubelska (66 próbek z 33 miejscowości), Kielecka (33 próbek z 32 miejscowości), Piotrkowska (19 pr. z 19 miejsc), najmniéj zaś Łomżyńska (2 pr. 2 miejsc.) i Płocka (4 pr. 3 miej.).

W sprawozdaniu tém znajdujemy następujące rubryki. Naukową nazwę ziemi, nazwę miejscową, wskazanie gubernii i wsi zkąd wzięto próbę, głębokość z jakiéj wydobyto ziemię, przyczém odróżnia się trzy warstwy po 15 centimetrów grube: warstwa orna, średnia i najniższa. Dalsze rubryki wypełnione są już cyframi. Pierwsza wskazuje mechaniczny skład gruntu, przyczém oznacza się procentowo ilość: a) kamieni, żwiru i grubego piasku, b) drobnego piasku, c) spłókanego za pomocą wody iłu.

Druga rubryka wskazuje skład chemiczny, a więc ilości wody produktów organicznych i mineralnych, mianowicie krzemianów, węglanów, wapna i magnezyi. Ostatni dział obejmuje własności fizyczne a więc: ciężar gatunkowy, zbitość, zdolność pochłaniania wody, wysychania.

Przytoczyliśmy tytuły rubryk w tym celu, aby wskazać czytelnikom punkta z jakich nauka rozpatruje własności gruntów, własności, z których każda w odpowiedni sposób wpływa na zjawisko zwane: urodzajem. Łatwo pojąć, że największą wartość gruntowi nadaje ilość iłu, czyli miałkich cząstek ziemi, z któréj roślina czerpie pokarm. Z drugiéj strony wartość owéj ziemi zależy od jéj składu chemicznego i jest tém większą, im więcéj znajduje się materyałów mogących wejść w organizm rośliny. Lecz największy procent iłu i najkorzystniejszy skład jego nie przyczynią się do urodzajów, jeżeli grunt nie może pochłaniać dostatecznéj ilości wody, albo nagromadza jéj zbyt wiele, albo wysycha zbyt gwałtownie. Rzeczy te są o tyle interesujące, że byłoby pożądaném, aby jakiś specyalista przedstawił je w sposób dla ogółu przystępny i wykazał związek istniejący między życiem rozmaitych roślin a własnościami gruntu. Zachęciłoby to może i obywateli ziemskich do staranniejszego poznania swego warsztatu, z którym w wielu wypadkach nie umieją sobie dać rady.

Pracownia instytutu zrobiła dobry początek w téj mierze, dokonawszy badań, o których wspomnieliśmy przed chwilą, ale na kraj mający parę tysięcy mil kwadratowych powierzchni jakaś setka analizy gruntu nie wystarcza. Pragnąć należy, aby studenci instytutu, naśladując przykład dwu swoich nauczycieli, przystąpili do badań rozleglejszych, nie tylko w pracowni szkolnéj, ale w ciągu praktyki gos-

podarskiéj, naturalnie o tyle, o ile choć przybliżone oznaczenia możliwe są przy pomocy najprostszych środków.

Szczęśliwy projekt, mający na celu upowszechnienie wiedzy przyrodniczéj wśród ogółu, rzucił p. Józef Boguski, nauczyciel fizyki i chemii. W nr. 24 czasopisma „Zdrowie“ dobitnie scharakteryzował on dzisiejszy system wykładu nauk przyrodniczych w średnich zakładach, gdzie uczący się słyszą tylko i czytają o narzędziach, zjawiskach, spostrzeżeniach, doświadczeniach, zamiast widzieć je, dotykać i wykonywać samodzielnie.

Rzeczywiście, sposób traktowania nauk o których mowa jest u nas nie tylko niedostateczny, ale potworny. Wiadomo, że zwrot od książek do doświadczeń, od frazesów do natury, odrodził ludzkość, i że wyższość nowożytnéj cywilizacyi nad starożytną i średniowieczną wspiera się przeważnie na eksperymentalnéj metodzie badań. Wykład zaś nauk przyrodniczych w szkołach średnich o tyle ma cel i wartość, o ile wskazuje umysłom dzieci drogę doświadczenia i przyzwyczaja je do niéj. Gdy nauki przyrodnicze nie wypełniają téj swojéj funkcyi, gdy nie nauczą spostrzegać, nie wskażą sposobów samodzielnego rozszerzania zakresu wiadomości, a choćby stwierdzania nabytych, wówczas szkoły nie rozwijają wszystkich umysłowych uzdolnień dzieci i stwarzają z nich materył dobry na średniowiecznych dyalektyków, nie zaś na ludzi trzeźwych, umiejących rachować się z potrzebami, warunkami i środkami rzeczywistemi.

Otóż p. Boguski w celu poprawienia tego stanu rzeczy chce zachęcić ogół do otworzenia fizyczno-chemicznéj pracowni dla szkół średnich w Warszawie. Do programu zakładów tych wchodzą wprawdzie doświadczenia z fizyki i chemii, ale pozostają niewykonanym zamiarem, najprzód dla tego, że nie ma odpowiednich narzędzi i materyałów, powtóre, że nie ma sal, w którychby nauczyciel mógł przygotować i okazywać doświadczenia, a potrzecie, że nie ma na jedno i drugie funduszów. Według p. B., każda z trzech prywatnych szkół realnych wydaje około 150 rs. na potrzeby eksperymentalne; suma ta jednak jest zbyt małą i musiałaby być podniesiona przynajmniéj do 2.000 rs. rocznie.

Dla zebrania podobnego funduszu, który przechodzi siły pojedyńczéj szkoły, p. Boguski proponuje. 1) Aby utworzono dla wszystkich szkół jednę fizyczno-chemiczną pracownię, która tym sposobem mogłaby mieć od szkół realnych męzkich około 450 rs. a od znaczniejszych pensyj żeńskich około 200 rs. (licząc po 50 rs. od każdéj). 2) Aby w pracowni urządzano odczyty wieczorne dla osób prywatnych, co przynajmniéj 350 rs. przyniesie. 3) Aby dla skompletowania pozostałéj kwoty 1.000 rs. urządzać corocznie kilka od-

czytów dla większéj liczby słuchaczów i odwołać się do ofiarności publicznéj.

Suma 2.000 rs., wydawana co roku, wystarczy na lokal, usługę, opał, a także na narzędzia i materyały potrzebne; pozostają jednak koszta instalacyi, założenia pracowni, na co już tylko dobra wola osób majętnych poradzić może. Sądzimy, że projekt ten należy do wykonalnych u nas, jeżeli wezmą go do serca zwierzchnicy pensyj prywatnych.

Nad sądami gminnemi w kraju naszym przeciągnęła burza; w komisyi bowiem ustanowionéj do zbadania reform dla instytucyi téj pożądanych, powstał był wniosek: zniesienia sądów gminnych i zastąpienia ich przez sędziów pokoju.

Na szczęście większość obradujących nie podzielała téj opinii, któréj pobudek, zaprawdę, nie możemy się domyśléć. Głosujący znowu za utrzymaniem tych sądów przytaczali bardzo poważne argumenta. Według nich, w dzisiejszych kompletach sądów gminnych zasiadają ludzie obeznani ze zwyczajami miejscowemi, a obowiązki swoje pełnią o tyle sumiennie i sprawiedliwie, że apelacye przeciw wyrokom ich wnoszone są bardzo rzadko.

Wziąwszy to na uwagę, komisya nie proponowała żadnéj radykalnéj roformy, lecz przeciwnie szukała środków udoskonalenia instytucyi i poprawienia bytu jéj członków. W tym celu proponuje ona, aby nadzór nad legalnością wyborów poruczonono wyższym urzędnikom sądowym, aby od kandydatów na posady sędziów i ławników wymagano pewnego stopnia ukształcenia i praktycznych pojęć o zastosowaniu prawa, a w końcu powiększono pensyą sędziom i ławnikom, udzielono pierwszym na czas pełnienia obowiązków praw służbowych i przeznaczono większe niż dziś sumy na utrzymanie kancelaryi.

Plan reform w zasadzie jest bardzo dobry; jakim zaś będzie w wykonaniu, jakie żywioły wprowadzi, czy podniesie, czy zniży moralny poziom sądów gminnych—czas pokaże. Ludność w ciągu upłynionych lat oswoiła się już z instytucyą i wyrobiła sobie pojęcia o przymiotach niezbędnych dla jednostki, w któréj ręku znajduje się wymiar sprawiedliwości. Jeżeli więc poprawki komisyi ułatwią członkom gmin wybór swobodny, a wybranym zmniejszą koszta, jakie ponosić musieli na swych urzędach, jeżeli stanowiska sędziów i ławników zajmą ludzie światli i sumienni, w takim razie miasta będą miały prawo zazdrościć wieśniakom ich instytucyi.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**